

Nowy, przerażający thriller autora,
który szturmem podbił listy bestsellerów.



Żadnym czasem nie brakuje **szaleńców.**

GRÓB

MAX
CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

GRÓB

FILIA

Wszystkim, którzy oswoili swoje „deszczowe psy”

[Cierpienia po śmierci] są niczym, jeżeli tylko cieszy nas życie. Śmierć jest dziełem tego samego mistrza i nie powinna nas przerażać.

Michał Anioł

Krew to dość niezwykły trunek...

Johann Wolfgang von Goethe, *Faust*

PROLOG

Kobieta uśmiechnęła się i otarła łzy. Pąsy powoli znikwały z jej twarzy, lecz oczy nadal pozostały nienaturalnie rozwarte.

– A tamci? – zapytała, wskazując na funkcjonariuszy poruszających się na ziemi, kilkadziesiąt metrów niżej. – Ty też chciałeś mnie oszukać.

Spojrzała prosto w oczy Remberta. Zamrugła, chcąc powstrzymać kolejne łzy. Uśmiech zniknął z jej ust.

Odchyliła się i puściła barierkę. Rozłożyła ręce na boki. Była aniołem.

PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

1.

Kobieta osuwała się w czarną dziurę nicości. Nicość rozpraszała się i wypełniała kolorami. Była ciepła, a chwilę potem – lodowato zimna. Otaczała ją. Omywała jej ciało jak fale wzburzonego oceanu.

Za oknem samochodu przesuwały się latarnie. Rozświetlone punkty, które przyciągają roje owadów. Na świecie nie powinno być latarni, a ogniska. Ogniska, wokół których cała ludzkość mogłaby odtańczyć taniec miłości.

Albo gwiazdy.

Najlepiej, gdyby świat oświetlało jedynie światło gwiazd.

– Dajcie mi jeszcze. – Kobieta obróciła się na bok i zamrugła. Zdrętwiałą dłonią przeszukała kieszeń, ale foliowy woreczek gdzieś się jej zawieruszył. – Kurwa...

Na razie nie musiała się niczym przejmować. Haj trwał w najlepsze, choć racjonalność przebijała do równoległego świata. Po pierwszej dawce należy zażyć drugą, po drugiej sięgnąć po trzecią. Tylko w ten sposób możliwe jest realizowanie wszystkich celów. Tylko w ten sposób można osiągnąć nieśmiertelność.

Mogłaby zabić ojca i matkę, lecz ktoś już o tym śpiewał. Morrison. John? Nie. Jim.

Jeżeli zabijać, to tylko we wzniosłym celu. Można złożyć ofiarę ze stu wołów lub stu ludzi. Hekatombę. Ofiarę, o której dowie się cały świat. Ofiarę, która pozwoli jej stać się nieśmiertelną przynajmniej w pamięci pokoleń.

Kobieta uśmiechnęła się do siebie. Latarnie zamieniły się w czarne drzewa odcinające się na tle granatowego nieba. Ich gałęzie sięgały ku kabinie auta. Wyginały się, jakby chciały ją pochwycić i zgnieść.

Tak jak cały świat.

Musiała walczyć z ludzkością, z bogami i z sobą samą. Musiała pokonać wszystkie przeciwności, a na końcu raz obranej drogi złożyć najwspanialszą ofiarę. Podpalić stos większy od największych, których promienie odbijały się od granatowego nieba.

– Dajcie mi jeszcze! – wrzasnęła, a jej własne słowa wróciły do niej stokrotnie zwielokrotnione. – Jeszcze!

Miała specjalny plan. Choć przez jakiś czas nie brała narkotyków, wstrzeźliwość była poważnym błędem. Bez dragów była zerem. Nie mogła niczego osiągnąć, jeżeli nie robiła tego, co chciała. A dragi dawały jej odwagę być sobą. To banalny, zamknięty krąg. Nie powinna nigdy z niego wypaść. Wrodzona słabość i pokora wobec rodziców robiły z niej ofiarę.

Nie chciała być ofiarą. Chciała coś osiągnąć, być wyjątkowa, podobać się sobie i światu. Narkotyki pozwalały być jej sobą. A przede wszystkim pozwalały zapomnieć.

Musiała jedynie się kontrolować. Żaden gnój nie mógł jej powstrzymać. Nie pozwoli już sobie włożyć dłoni w majtki tylko po to, by zaliczyć egzamin. Egzaminy były jej do niczego niepotrzebne. Sama mogła stworzyć świat. Tworząc go od początku, stworzyłaby go skrojonego pod siebie.

– Ej, co jest! – Nabrała powietrza i zaczęła tłuc dłonią w fotel. – Dawajcie mi więcej!

Wcale nie potrzebowała więcej. Już była wolna. Już postanowiła, że nigdy więcej egzaminów, cudzych rąk w jej majtkach, a przede wszystkim – żadnych rozkazów. Mogła osiągnąć wszystko.

Drzewa zgęstniały, a samochodem zaczęło lekko bujać. Powoli zwolnił, wreszcie całkowicie się zatrzymał.

Trzasnęły drzwi.

Potem zapadła cisza, którą wypełniło pohukiwanie puszczyka. Mogła trwać kilka sekund lub wiele godzin. Czas już dawno albo chwilę temu stał się pojęciem względnym.

Nagle drzwi ponownie trzasnęły. Do środka wpadło chłodne, wilgotne powietrze. Kobieta zaśmiała się i zakryła twarz dłońmi. Ktoś usiadł koło niej. Chwycił ją za ramię i delikatnie potrząsnął.

– Hej, proszę pani!

Nie była żadną panią. Świat wypełniały kolory. Nawet noce w rzeczywistości nie są czarne i głuche, a pełne światła. Jeszcze jedna porcja sprawiłaby, że znikłyby prawa fizyki. Wiedziała o tym. I zniknąłby ten gnojek siedzący obok niej.

Poczuła delikatne ukłucie w ramię.

Nagle świat zaczął tracić barwy, lecz kształty się wyostrzyły. Wyraźnie widziała zarys fotela kierowcy, dźwignię zmiany biegów i kawałek przedniej szyby. Światła auta były zgaszone. Przed nim była jedynie zwarta ściana lasu. Czerń ledwie odcinająca się od rozgwieżdżonego nieba. Kolory znikają na dobre.

– Co... co robisz? – wybełkotała, starając się obrócić na plecy. – Potrzebuję...

– Podaję ci środek odtruwający – odparł ciepły głos. – Słowem, robię ci detoks.

– De-de...

– Tak. Detoks.

– Dla-czego? Dlaczego to robisz?

– Musisz się wziąć za siebie.

– Ja...

– Tak, wiem... Mimo to koniec z épaniem. Narkotyki zbyt mocno uśmierzyłyby ból, który ci zadam. A będzie to ból, jakiego nigdy wcześniej nie czułaś. Naprawdę nigdy.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ

2.

– Pieprz się. Jeśli przykujesz się do drzewa, uwierz mi, że zetnę je i powiem, że nie zauważyłem. Takich jak ty we Włoszech zakopują żywcem. Albo zalewają betonem. Bo beton jest dla ciebie jeszcze gorszy niż wieprzowina dla Arabów, prawda? Jesteś zwykłym śmieciem. Jesteś...

Postawny mężczyzna w stroju roboczym, żółtej kamizelce i kasku z logo firmy budowlanej zamilkł. Nabrał powietrza, po czym splunął gęstą śliną. Jego zaczerwienione policzki oraz czoło zrosił pot. Wyłupiaste, przekrwione oczy zionęły wściekłością. Duży, płaski nos musiał być kilkakrotnie złamany, a trzydniowy zarost na podbródku nie zasłaniał pokaźnej blizny. Naprzeciw niego stał wysoki, anorektycznie szczupły dwudziestolatek z długimi kręconymi włosami i sympatyczną twarzą. Miał na sobie jedynie lniane spodnie oraz sandały ze skaju. Sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wyrwał się ze spektaklu, w którym odtwarzał rolę Chrystusa. W dłoni ścisnął cienki łańcuch. Dwie kobiety z dredami przed chwilą omotały nim drzewo i zapięły kłódkę.

– Wpieprzmy mu, nim przyjadą gliny. – Do budowlańca podszedł kolega. Całkowicie łysy, wymachiwał kaskiem jak kastetem. Parę metrów dalej stało kilkunastu kolejnych, którzy obserwowali całą scenę z satysfakcją, że mogą chwilę odpocząć.

– Tamta suka wszystko nagrywa – stwierdził mężczyzna z blizną na podbródku. Ukradkiem skinął w stronę jednej ze stojących przy drzewie kobiet.

– Kurwa! Myślicie, że wycinamy te chaszczki, bo się nam nudzi? – Łysy zmrużył oczy i zwrócił się do wyciągniętej komórki. – Nie rozumiecie, że

to nasza robota? Za to nam płacą i za to możemy wykarmić rodziny. Przywiązując się do drzew, nic nie zmienicie. Idźcie do sądu, do ratusza czy do pierdolonego prezydenta, ale dajcie nam robić swoje.

– Sprawa jest w toku – wycedził mężczyzna w sandałach. – Mimo to wycinka nie została zawieszona. Nie wstrzymano robót.

– Bo ten cholerny sąd uznał, że wszystko jest zgodnie z prawem.

– Jeżeli wytniecie te drzewa, a potem się okaże, że jednak tak nie jest, powiecie, że problem zniknął. Zawsze tak robicie. Nikt się już na to nie nabierze.

– Pierdolona klika – dołączyła się kobieta z niemal białymi dreadami i w koszulce z pacyfką. Na twarzy miała równie dużo kolczyków co piegów. – Zarabiacie na tym grube miliony. Potem przekupujecie urzędników i znów zarabiacie. I tak w kółko.

– Sądy też przekupujemy?

– Sądy zwracają uwagę na interes państwa, a nie społeczeństwa.

– Jezu Chryste! Co za pieprzenie!

Budowlaniec z blizną zdjął kask i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Mimo że znajdowali się w lesie, kilkaset metrów od granicy administracyjnej Gdańska, było piekielnie gorąco. Do tego wśród drzew panowała okropna, dusząca wilgoć. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanej ściółki i igliwia. Za plecami budowlanców stały dwie koparki. Silnik jednej z nich pracował na niskich obrotach. Kabina drugiej była pusta, drzwi otwarte, a szufla – uniesiona.

Obok koparek leżał wyłożony przed chwilą sprzęt: wielkie piły spalinowe, kliny oraz przecinarki. Poza nimi mnóstwo innych drobnych narzędzi, niezbędnych do tego, by wykarczować chaszczę i powalić kilkunastometrowe drzewa. Ta część lasu była stosunkowo młoda i nie zachodziła potrzeba użycia cięższego sprzętu. Była jednocześnie zbyt stara, by po prostu użyć ognia.

– Co robimy, szefie?

Łysy budowlaniec odwrócił się tyłem do aktywistów ekologicznych i zniżył głos. Łypnął na stojących w cieniu drzew robotników. Ściągnęli tu kilkunastoosobową ekipę, a trójka idiotów blokowała pracę. Od początku ten projekt rozwijał się pechowo. Choć niedaleko miała przebiegać obwodnica, pojawiły się problemy z wykupem gruntu.

Przeciwnicy inwestycji chcieli objęcia terenu ochroną, wymieniali zwierzęta, które mają tu swoje łęgowiska, a wreszcie sięgnęli po argument siłowy. Postanowili poprzykuwać się do drzew. Nie przekonywała ich wizja uporządkowania okolicy, usunięcia chaszczy i wybudowania w ich miejscu nowoczesnego motelu z basenem oraz salonem spa. W zamian za każde usunięte drzewo deweloper zobowiązał się zasadzić pięć, jedynie nieco mniejszych. Do tego przy budynku miał powstać elegancki park z fontannami. Mówiło się również o niewielkim ogrodzie oraz ekologicznej uprawie na użytek motelowej kuchni. To ostatnie stanowiło jedynie element kampanii mającej ocieplić wizerunek inwestora. Reporterzy lokalnego dziennika zdobyli nagranie rozmowy, w której członkowie zarządu nabijali się z „debilizmu ekologów”. W mało wyrafinowany sposób mówili o tym, czym należałoby ich karmić po zamknięciu w więzieniu. Nawóz z własnego, wegetariańskiego gówna był jednym z delikatniejszych pomysłów.

Budowlaniec nazwany szefem przeciągnął dłonią po twarzy i mlasnął. Rozejrzał się po okolicy. Wszystkie drzewa pod wycinękę zostały już poznaczone pomarańczową farbą. Teren zabezpieczono taśmami, które ekolodzy poprzecinali. Było jeszcze rano, lecz mężczyzna doskonale wiedział, jak rozwinie się sytuacja. On wezwie policję, by usunęła protestujących, ci urzędzą szopkę z relacją na żywo w internecie, a ostatecznie dzień roboty szlag trafi. Krótko mówiąc, jego firma straci sporo forsy. A na to nie mogli sobie pozwolić.

Szef pociągnął nosem. Nagle rozprostował szerokie ramiona i podszedł do zebranych w pobliżu robotników. Przyciszonym głosem rzucił im parę poleceń. Kilku mężczyzn ruszyło w stronę protestujących. Zatrzymali się przed nimi, tworząc zwarty kordon. Chwilę później koparka podjechała do sosnowego zagajnika.

– Te skurwysyny pokopali doły! – wrzeszczał operator, przekrzykując jazgot silnika. – Szef sam zobaczy.

Nim aktywiści zdążyli zareagować, zanurzył potężną łyżkę w ziemię i podkopał drzewa. Ciągnięte za korzenie sosny się zachwiały. Kolejny wykop powstał tuż obok. Kobiety z dredami rzuciły się w stronę koparki, lecz pozostali robotnicy natychmiast je zatrzymali. Wywiązała się krótka szarpanina, połączona z ostrymi wyzwiskami.

Zanurzona po raz trzeci w miękkiej ziemi łyżka podkopała kilka drzew tak, że te bezwładnie runęły. Następnie operator ostrożnie wycofał sprzęt. Gąsienice znaczyły w ściółce głębokie koleiny. Pomiedzy kolejnymi drzewami znajdowały się płytkie doły. Wystarczyłyby jednak, aby koparka straciła stabilność i wywróciła się lub zakopała.

– Skurwysyny. – SzeF brygady zatrzymał się przy jednym z wykopów. Przez chwilę gniewnie mierzył go wzrokiem, wreszcie odwrócił się do szarpiących i zacisnął pięści. – Dajcie im nagrać to, co zrobili. Niech pokażą te pieprzone doły, przez które ktoś mógł tu zginąć. – Mężczyzna splunął i machnął do operatora koparki. – Młody, dasz radę to objechać? Jeśli nie, najpierw je zakop. Nie możemy ryzykować wpadki.

Krótko ostrzyżony żyłasty chudzielec machnął zza uchylonej szyby. Jeszcze przez chwilę starał się manewrować, lecz gąsienice nie mieściły się między dołami. Nie dałby rady zbliżyć się do kolejnych drzew.

Zakończona ostrymi zębami łyżka bez trudu zagłębiła się w ziemię. Po chwili cała hałda wylądowała w wykopie. Operator minimalnie wycofał koparkę i nabrał ziemi po raz kolejny. Wokół uniósł się pył. Natychmiast obkleił spocone ciała stojących wokół osób.

SzeF ekipy ciężkim krokiem obszedł koparkę. Po raz kolejny wierzchem dłoni otarł czoło i przyjrzał się wykopowi. Ten został niemalże zasypany, lecz należało jeszcze ubić ziemię. Mężczyzna był wściekły, że ekolodzy posunęli się do takiej metody. Nie martwił się o pracowników, ale o sprzęt. Uszkodzenie koparki to kolejne opóźnienia i straty. Przymuszenie tych skurwieli do zapłaty odszkodowania równałoby się popisowej sprawie sądowej. Takiej, która trwałaby całymi latami i wcale nie musiała się zakończyć ich zwycięstwem. Ekoświry opanowały też wymiar sprawiedliwości.

Przez chwilę przeszło mu przez myśl, że w okolicy nie ma zasięgu. Ci idioci musieli ściemniać, że prowadzą relację na żywo. Oczywiście, mogli mieć jakiś zaawansowany sprzęt, ale raczej nie wyglądali na profesjonalistów. Wsparcie z Greenpeace'u dopiero do nich jechało. Nagłą akcją udało się im ubiec ruchy ekologów, ale ta trójka stanowiła jedynie awangardę prawdziwych kłopotów. Może jednak nikt nie wiedział, że już tu są. Być może nikt by się nie zorientował, gdyby...

Mężczyzna zerknął w stronę wybranego przez koparkę dołu. Coś przyszło mu na myśl. Ostrożnie zbliżył się do jego krawędzi i ciężko sapnął. Odciągnął koszulę, która przykleiła mu się do pleców.

Nagle przez jego twarz przemknął grymas zdziwienia. Budowlaniec zmrużył oczy i napiął mięśnie zuchwy. Z całej siły zacisnął palce na kasku.

– Niech to szlag! – wrzasnął. – Ja pieprzę!

3.

– Czy teren był wcześniej zabezpieczony? Ktoś go pilnował?

Liza Langer w jednej dłoni trzymała niewielki, zamknięty notes, a w drugiej długopis. Niczego nie zapisywała, lecz lepiej się czuła, mając zajęte ręce. Była ubrana w proste czarne spodnie oraz plisowaną białą koszulę z subtelną koronką. W klapę błękitnego zakietu miała wpiętą ażurową srebrną broszkę. Jej strój zwracał uwagę nieprzesadną elegancją. Krojem i kompozycją od razu przywodził na myśl ubiory z lat trzydziestych. Dopełniająca go delikatna uroda komisarz niejednokrotnie sprawiała, że początkowo rozmówcy traktowali ją z góry. Jednak jej ostry, konkretny ton szybko uświadamiał im ich błąd.

– Nie widzi pani, że wokół rozpięliśmy taśmę? – Szef ekipy, który przedstawił się jako Marek Tarski, przeciął palcem gęste powietrze. – Wszystko zostało dokładnie oznaczone.

Langer spojrzała mu prosto w oczy.

– Pytałam, czy teren został zabezpieczony, a nie oznaczony – wycodziła. – Czy był tu stróż, cieć, ktokolwiek. Może okolicę miała sprawdzać ochrona? I tak, widzę tę gównianą, pozrywaną wszędzie taśmę.

– Po co ochrona miałaby pilnować paru drzew? Teren robót zabezpieczamy dopiero po rozpoczęciu prac. A to miało nastąpić dzisiaj.

Langer ciężko westchnęła.

– Dziękuję, że odpowiedział pan na moje pytanie. Do dzisiaj teren był niezabezpieczony.

– Tak, tylko że...

Komisarz weszła mu w słowo.

– Między nami, ta ochrona przydałaby się właśnie po to, by nikt nie przypinał się do drzew, gdy zaczniecie robotę. Albo żeby nie wykopano tu wilczych dołów, w które miał wpaść wasz sprzęt. Jak widać, to by nie zaszkodziło.

Budowlaniec jedynie wzruszył ramionami. Langer przygryzła wargę i zerknęła w stronę dwóch dziewczyn z dredami. Stały nieco na uboczu, wyraźnie wystraszone. Przypatrywały się swojemu towarzyszowi, który kilka kroków dalej rozmawiał z aspirantem Wojtiukiem. Smagły, wysportowany policjant górował nad szczupłym chłopakiem. Ten lekko się skulił i nerwowo gestykulował, co chwilę wskazując w stronę wykopów.

Langer odwróciła się do Tarskiego. Wciąż nie podeszła do wykopanych przez koparkę dołów. Zgodnie z wyuczoną metodą pracy starała się rozdzielić relacje uczestników zdarzeń oraz wszelkiej maści oględziny. Dzięki temu potrafiła zachować maksymalną obiektywność. Relację budowlanca traktowała jak nic niewartą historię, którą dopiero należy nanieść na tło rzeczywistości.

– Jest pan pewny, że ten wykop nie powstał wcześniej? – zapytała, obracając długopis między palcami. – Że nie było tam świeżo wysypanej ziemi?

Budowlaniec energicznie skinął głową. Potarł dłonią podbródek i podrapał się po bliźnie.

– Na sto procent – zapewnił.

– Gdy łyżka wbiła się w ziemię, stał pan dokładnie tutaj?

– Tak. Z dokładnością do dwudziestu centymetrów.

– I nic ani nikt nie przysłało panu widoku?

– Nie. Czy pani jest zawsze tak dociekliwa? Jeżeli mówię, że coś widziałem, to tak było. Poza tym jak w inny sposób miałbym zobaczyć to, co się tam znajduje...

– No właśnie. Też chciałabym wiedzieć.

Tarski zmarszczył czoło i się zamyślił. Widać było, że za wszelką cenę stara się sobie coś przypomnieć. Odezwał się dopiero po kilku sekundach i bez większego przekonania.

– Zdaje się, że chciałem obejść koparkę i zbadać grunt, żeby młody nie wpakował się do kolejnego dołu. Właśnie dlatego, że stąd nic nie widziałem.

– Czyli jednak podszedł pan bliżej.

– Jezus Maria, już mówiłem, że...

– Podszedł pan, mimo że z tej perspektywy nie mógł widzieć zawartości dołu. Nic nie mogło w nim pana zainteresować.

– Do środka zerknąłem całkowicie przypadkiem. Przede wszystkim chciałem sprawdzić, czy te ekologiczne zasrańce nie wykopały kolejnego wykopu. Musiałem się upewnić, że cofając się, koparka w nic się nie wpakuje. Przechodząc, odruchowo zerknąłem w głąb i kropka. To cała fascynująca historia. Teraz wyraziłem się jasno?

Langer nie odpowiedziała. Zrobiła krok i stanęła tuż obok budowlańca. Spojrzała w stronę wykopu. Z tej perspektywy nie widziała, jak jest głęboki ani co kryje w środku, lecz bez wątpienia dostrzegłaby zruszoną ziemię wokół. Całkiem wyraźnie rozróżniała ślady gąsienic koparki oraz odbicia butów w grząskim gruncie pod sosnami.

Promienie słoneczne przeciskały się przez korony drzew i rozświetlały podłoże. Na leśnej ściółce toczyła się gra jasnych, żółtych plam i głębokich półcieni. Okolica zdawała się idyllicznie spokojna. Poza ludźmi stojącymi za plecami Langer wokół nie było nikogo. Mimo to komisarz odniosła dziwne wrażenie, że coś lub ktoś kryje się za drzewami i ją obserwuje. Wzdrygnęła się, po czym zmrużyła oczy. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nic podejrzanego. Odwróciła się do Tarskiego.

Starła się wyobrazić sobie sytuację sprzed kilkadziesiątu minut. Zasypującą doły koparkę, walące się, podkopane drzewa, stojących po przeciwnej stronie ekologów. Ich działania, choć w jakiś sposób uzasadnione, często były znacznie bardziej bezprawne niż roboty budowlańców. Wiedziała, że nie może w pełni oprzeć się na ich relacji, dlatego postanowiła porozmawiać z szefem ekipy, a ich rozpytanie zostawić Wojtiukowi. To również pozwalało zachować obiektywność.

A jednak coś jej nie pasowało. Nie rozumiała dlaczego, mimo że doszło do próby siłowych rozwiązań, robotnicy nie rozpoczęli prac od miejsca, które pierwotnie przygotowywali. Usunięta została kępa sosen właściwie na skraju tego obszaru, co stanowiło bardziej demonstrację siły niż...

Langer schowała długopis do kieszeni i pstryknęła palcami. Nie zważając na Tarskiego, szybkim krokiem ruszyła w stronę Wojtiuka. Obrzuciła wzrokiem proekologiczne aktywistki, wreszcie zatrzymała się przed zlanym potem, przepytywanym przez aspiranta chłopakiem.

– Kto z was to wszystko nagrywał? – zapytała ostro. – No, śmiało. Kto z was nagrywał całe zajście?

Chudzielec wytrzeszczył oczy i delikatnie otworzył usta. Na jego ciemnych, rzadkich brwiach osiadły krople potu. Wbił w komisarz baranie spojrzenie.

– Odebrało ci mowę czy co? A może wiesz, że mogłeś zarejestrować przestępstwo?

Langer uśmiechnęła się wymownie. Odruchowo sprawdziła, czy wsuwka nadal nienagannie spina jej włosy. Ktoś powiedział, że ten gest wykonują tylko największe zołzy. Jak na złość od tamtego momentu wszedł jej on w krew. Mimo to w duszy żal jej było przestraszonego chłopaka. Choć starała się nigdy nie stawiać przedwczesnych opinii, była pewna, że młody jest Bogu ducha winnym człowiekiem z głową napakowaną ideałami i marzeniem o uratowaniu całego świata. Przyciskając go teraz, zaoszczędzała mu dodatkowych pytań w trakcie ewentualnego przesłuchania. Tak przynajmniej usprawiedliwiła przed sobą swój ostry, nieprzyjemny ton.

– Kto z was, do cholery, coś nagrywał? – Odwróciła się w kierunku dziewczyn, starających się trzymać bojowy fason. – Może robiliście to wszyscy? Mam zabezpieczyć wszystkie telefony?

Po chwili milczenia kobieta z niemal białymi dreadami wystąpiła w jej stronę. Wyciągnęła z kieszeni telefon i obróciła go w dłoni. Splunęła z pogardą.

– Reżim państwowy zawsze po stronie deweloperów, co? – zapytała, podając komórkę Langer.

Komisarz obrzuciła ją łagodnym spojrzeniem. Kiedyś też taka była. Zbuntowana i pełna nadziei, że może zmienić świat. Niegodząca się na

jakiegokolwiek zła. Również stała po tamtej stronie barykady. A potem swoją frustrację na zmierzający ku zagładzie świat wcisnęła w policyjny mundur. Przestała marzyć. Życie kazało jej twardo stąpać po ziemi i mierzyć siły na zamiary. Nie mogła wytepić całego zła. Choć przecież tamtej kobiecie chodziło o to samo. Nie chciała walczyć o świat, ale o tę konkretną kępę drzew.

Powoli wysunęła telefon z dłoni blondynki i podała go Wojtiukowi.

– Dziękuję. Zrobię wszystko, by odzyskała go pani jak najszybciej. A ty – zwróciła się do aspiranta – spisz protokół i każ zgrać nagrania wideo. Nie ma potrzeby, by utrudniać im życie.

Nie czekając na czyjąkolwiek reakcję, Langer ruszyła do wykopu. Czowała na sobie ciężkie spojrzenia blondynki oraz stojących na uboczu budowlańców. Kątem oka dostrzegła Tarskiego. Szef ekipy wciąż stał w tym samym miejscu. Rozmawiał z kimś, przyciskając do ucha telefon. Być może zdawał właśnie relację z tego, co razem z operatorem koparki zobaczyli, nim wezwali policję. Nie wyglądał na człowieka skorego do przesady, a dosadność jego relacji podkreślał fakt, że operator, blady jak ściana, ledwo bełkotał. Rozmowę z nim komisarz zostawiła więc na koniec. Poza tym na jego kombinezonie Langer dostrzegła ślady świeżo roztartych wymiocin. Oczywiście, bił od niego również ich kwaśny smród.

Liza zbliżyła się do wykopu. Piekielnie chciało się jej zapalić. W kieszeni zakietu miała niemal pełną paczkę mińskich. Kupowanie papierosów z przemytu stanowiło być może ostatnią pozostałość jej młodzieńczego buntu. Schowała notes, ale jedynie musnęła palcem paczkę.

Od wykopu dzieliło ją już tylko kilka kroków. Starła się przygotować na wszystko. Szła prosto, sztywnym krokiem, by zostawić jak najmniej śladów. Kryminaliści byli w drodze. Mimo że nie powinna tego robić, chciała zobaczyć wszystko na własne oczy. Jako pierwsza. Nim wszystko zamieni się w plan filmowy ze znaczącymi okolicę numerami, namiotami i stojakami reflektorów.

Ostatnie kroki przeszła, patrząc prosto przed siebie. Lustrowała okolicę. Ziemia wokół miejsca, w które wbiła się łyżka koparki, była nienaruszona. Poza śladami gąsienic Langer nie dostrzegła żadnych

śladów ingerencji człowieka. Powalone sosny znajdowały się dobrych kilkanaście metrów dalej. Tutaj nie odbiły się podeszwy butów Tarskiego ani operatora koparki. Zasypywany wykop zostawiła już za sobą.

Nabrała powietrza i kucnęła, nie patrząc w dół. Przełknęła ślinę. Żałowała, że nie wzięła tic-taków. Wciąż miała nieprzyjemne wrażenie, że coś przypatruje się jej zza linii drzew. Powiew duszącego, wilgotnego wiatru smagnął jej twarz. Komisarz oparła dłonie na ziemi i spojrzała w głąb wykopu.

Po plecach spłynął jej lodowaty pot.

4.

Doktor Zalewski powoli upił łyk gorącej kawy. Oblizał usta, po czym odsunął filiżankę na skraj biurka, za teczkę wypchaną dokumentami. Patolog był sześćdziesięcioletnim szczupłym mężczyzną o napiętej skórze mumii. W jego twarzy dominował długi, haczykowaty nos. Pod mętnymi oczami miał zwały pofałdowanej, ziemistej skóry. Doktor golił się co trzy dni, a i tak jego policzki przetykały jedynie pojedyncze punkciki siwego zarostu. W jego cienkich ustach skrywały się drobne, żółte zęby, korelujące z delikatną, niemal damską zuchwą. Patolog nosił długie włosy, które zawsze starannie upychał pod czepkiem chirurgicznym. Nie zdejmował go nawet w trakcie przerwy kawowej lub idąc do toalety. Było to tematem rozmaitych żartów i teorii spiskowych.

Przejrzał kilka stron leżącego przed nim dokumentu. Opinia, którą sporządził jako biegły, wciąż była niedopracowana. Sam dostrzegwał w niej niewielkie wewnętrzne sprzeczności, lecz nie mógł się zdobyć na jednoznaczne stwierdzenie przyczyn śmierci dwudziestosiedmioletniego mężczyzny osadzonego w warszawskim zakładzie karnym. Z jednej strony nie znalazł żadnych śladów świadczących o przyczynieniu się do zgonu osób trzecich. Z drugiej – sposób popełnienia samobójstwa był tak nietypowy, że rodziły się pytania, po co mężczyzna miałby tak utrudniać sobie odebranie życia. Były na to znacznie łatwiejsze metody niż

zadzierzgnięcie się własnym podkoszulkiem, i to w pozycji embrionalnej, pod prześcieradłem. Teoretycznie wykonalne, ale...

Zalewski otarł oczy i przegładził włosy. Wyprostował się. Badania chemiczne nie wykazały w organizmie denata żadnych nietypowych substancji, lecz na jego karku znajdowały się dwa wyraźne wklucia. Nie było możliwości ustalenia, co je spowodowało. Igła? Piątka albo szóstka, ale powierzchnia nakłuc wydawała się nazbyt poszarpana. Więźniowie praktykują rozmaite metody odurzania się i z pewnością mają na to sposoby, o których nie śniło się lekarzom.

Wkłady do długopisów?

Wąskie plastikowe słomki?

Ości?

Końcówka pióra?

To wszystko było możliwe. W warunkach zakładu karnego, gdzie wyobraźnia pogrążonych w nudzie osadzonych wspina się na najbardziej abstrakcyjne poziomy, naprawdę wszystko było możliwe. Zalewski doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Tak samo jak z tego, że niektóre substancje chemiczne przestawały być wykrywalne już po kilkunastu minutach od podania. Dosłownie ulatniały się z organizmu.

Autopsję wykonywał gdański profesor, co do którego zdolności Zalewski nie miał najmniejszych wątpliwości. Swoją drogą właśnie przez to znalazł się w kropce. Nawet gdy miał ku temu podstawy, nie lubił kwestionować ustaleń takich tuzów. Zresztą w tej sprawie nie znalazł choćby śladowego punktu zaczepienia. Wszystko wydawało się w porządku, a jednak... Jednak gnębiło go poczucie, że coś przegapiono. Albo że nauka nie znalazła się jeszcze na poziomie wystarczającym, by pomóc rozgryźć tę sprawę. By podważyć dotychczasowe ustalenia i zrozumieć prawdziwą przyczynę śmierci dwudziestosiedmiolatka.

Coś przegapiono.

Ta myśl doprowadzała patologa do szaleństwa. Nigdy wcześniej nie zetknął się ze sprawą, która wzbudzałaby w nim głębsze wątpliwości. Chciał poznać prawdę, a jednocześnie brakowało mu do tego instrumentów. Czuł się jak fizyk tworzący przełomową teorię, która pozostanie teorią tak długo, dopóki nie znajdą się narzędzia zdolne ją potwierdzić. Tyle że w teorii patologa nie było nic przełomowego.

Powtarzał wcześniejsze ustalenia, zwracając jedynie uwagę na specyfikę obecności powietrza w tkance prawej komory serca. To mogło budzić dalsze wątpliwości, lecz...

Zalewski zamrugał. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dzwoni jego telefon. Stary aparat, stojący wśród pomiętych papierów, wydawał z siebie metaliczny dźwięk. Doktor powoli sięgnął po słuchawkę. Model był na tyle nowoczesny, by na niewielkim wyświetlaczu pojawił się numer dzwoniącego, lecz i tak ten ciąg cyfr nic mu nie mówił. Prawdę powiedziawszy, Zalewski nigdy nie marnował czasu na zwracanie uwagi na coś, co można było zapisać w notesie. Podniósł słuchawkę i cicho odchrząknął.

– Słucham?

Niemal natychmiast odpowiedział mu szorstki, niski głos. Zalewski od razu go rozpoznał.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, doktorze.

– Nie. Chociaż właściwie to trochę. Jestem zajęty i mam przed sobą...

Inspektor Siwecki wszedł mu w słowo. Najwyraźniej nie interesowało go, co ma przed sobą patolog. Albo zwyczajnie nie chciał o tym wiedzieć.

– Będzie pan miał sporo roboty, doktorze – odezwał się, akcentując stopień naukowy Zalewskiego.

– Bo?

– Jeszcze nie znam szczegółów. Moi ludzie są w terenie.

– Zajęciem pańskich ludzi jest być w terenie, inspektorze. Zazwyczaj nie wiąże się to z robotą dla mnie.

– Tym razem zdaje się, że trafiliśmy na coś dużego. Proszę uporządkować stoły.

– Ostrzega mnie pan, inspektorze? – Zalewski rozparł się w fotelu i spojrzął w sufit znudzony. Poprawił okulary. Miał zbyt dużo doświadczenia i dystansu do własnej pracy, by przejmować się naciskami policji. – A może już z góry pospiesza?

– To tylko informacja od serca. – Siwecki głośno mlasnął. – Przestroga, by nie zaczął pan teraz partyjki w pasjansa. Szkoda byłoby ją przerywać. Nic więcej.

Inspektor się rozłączył. Patolog powoli odłożył słuchawkę na bazę i zastygł w pół pochylony. Przez chwilę nie poruszył się nawet o milimetr.

Wreszcie przeciągnął się, po czym sięgnął po pilot telewizora. Liczył na to, że głodni każdej sensacji reporterzy zdradzą mu więcej niż Siwecki.

Czekając, aż ekran się rozjaśni, doktor niecierpliwie zaciskał i otwierał lewą dłoń. Lubił swoją robotę. Był świetnym specjalistą, którego niewiele mogło zaskoczyć. Ale tego, co go czekało, nie mógł się spodziewać.

5.

– Zależało mi, żebyś zobaczył wszystko na miejscu. W nienaruszonym stanie.

– Ostatnim razem upierałaś się, że powinny wystarczyć mi zdjęcia.

– Podobno zdjęcia nie mają zapachu ani smaku. Jak to ująłeś? Niech sobie przypomnę... Zdjęcia to tylko pocztówki przesłane z wakacji, podczas gdy prawdziwe wspomnienia zachłannie trzymamy w sobie? – Langer starała się naśladować łagodny, nieco sepleniący głos Remberta.

– Jesteś złotousty.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Gdybyśmy znajdowali się w innej scenerii, bardziej doceniłbym twoje zdolności aktorskie.

– I słusznie.

– Podejdziemy tam wreszcie?

Orest Rembert wbił w Langer zaciekawione spojrzenie. Był szczupłym, wysokim blondynem o twarzy ledwie wyrosniętego chłopca. Obrazu cherubinka dopełniały niemal białe brwi oraz nieco wyłupiaste, błękitne oczy. Od kilku miesięcy całkowicie formalnie piastował etat policyjnego psychologa. Nieoficjalnie jego głównym zadaniem miało być profilowanie sprawców najcięższych przestępstw. Po tym, jak wspólnie z Langer zakończyli sprawę mordercy okrzykniętego przez media „Ślepcem”, zbliżyli się do siebie. Początkowa niechęć przerodziła się w szorstką przyjaźń.

Liza rozejrzała się, starając się uchwycić spojrzenie jednego z dwóch techników płaczących się obok grafitowej furgonetki. Obaj byli zbyt

zajęci, by zwrócić na nią uwagę. Poruszali się niespiesznie, bo – ku ich zadowoleniu – okolicę od świata oddzielały czerwono-białe taśmy policyjne. Cieszyły się większym szacunkiem niż te informujące o terenie robót budowlanych.

Robotnicy zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na miejscu, zgodnie z życzeniem komisarz, pozostały jedynie dwie koparki. Chciała, aby Rembert zastał praktycznie taką samą scenerię, jaką zastała ona. O dziwo, do lasu nie dostali się jeszcze przedstawiciele mediów. Dzięki temu w okolicy panowała niemal zupełna cisza, przerywana jedynie niepokojącym szumem wiatru.

– Idź. – Langer skinęła głową. – Ja już tam byłam i nie wyczaruję nic więcej.

Orest przyjrzał się jej uważnie.

– Czyżby wielka gwiazda policji miała dość?

– Nie drażnij mnie.

– Przecież najgorszy widok to dla ciebie kaszka z mleczkiem. Ubóstwiasz to. Jesteś sadystką, i dobrze o tym wiesz. Żywisz się swoją pracą.

– Znów mnie analizujesz? – Komisarz wytrzymała spojrzenie Remberta. – Nie zrobię ani kroku, żeby drugi raz nie deptać śladów. Technicy i tak mają ochotę mnie zabić.

– Rzucasz mnie lwom na pożarcie?

Langer nie odpowiedziała. Z ponurą miną skinęła głową, dając znać, że chwila rozprężenia dobiegła końca. Podobne utarczki potrafiły rozładować stres i przygotować na najgorsze, ale nie mogły trwać zbyt długo. Oboje doskonale o tym wiedzieli.

– Okej. Do roboty!

Rembert poprawił kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli i wbił dłoń w kieszenie granatowych spodni. Powolnym krokiem ruszył w stronę wykopu. Jeden z kryminalistyków coś do niego krzyknął, lecz psycholog całkowicie go zignorował. Miał nadzieję, że Langer stanie w jego obronie. Nie pomylił się, bo po chwili za plecami usłyszał szorstką wymianę zdań.

Im bliżej dołu się znajdował, tym więcej domysłów krążyło mu po głowie. Podobnie jak Liza, do prowadzenia wielu spraw miał niesztampowe podejście. Jadąc na miejsce zdarzenia, nie chciał żadnych

informacji. Po prostu miano go dowieźć i pozwolić działać. Każde zdanie, intonacja i uzupełniające je mimika lub gest potrafiły zniszczyć świeżość odbioru. Jeżeli miał odtwarzać jakieś zajście lub sposób działania sprawcy, musiał być jak dziecko zapamiętujące twarz rodziców. Jego umysł musiał stanowić białą kartę, pozbawioną uprzedzeń oraz naleciałości cudzych emocji. Wystarczyło mu, że z zachowania Langer wywnioskował, jak bardzo jest zdenerwowana. Mimo że była wyjątkowo odporna psychicznie, wyczytał z jej ruchów niepewność i dezorientowanie. Mógł się założyć, że czuje się całkowicie skołowana. Nie miała żadnych teorii ani przypuszczeń. To, co widziała, wywołało w niej szok. Nie tak potężny, jak ten spotykany na przykład u ofiar wypadków, ale na tyle wyraźny, że przybrała maskę. Nie zachowywała się tak swobodnie jak zwykle ani nie kipiała specyficzną energią.

Ostatnie dwa kroki Rembert zrobił z zamkniętymi oczami. Wsłuchiwał się w świst wiatru w koronach drzew, zza pleców dobiegały go odgłosy kłótni Lizy i kryminalistyków. Gdzieś w oddali żałośnie pogwizdywał jakiś ptak. Powietrze miało duszny zapach nagrzanej ziemi i wilgoci. Zapach grobów. Poza tym czuł...

TO.

Zbyt dobrze znał ten zapach, by go z czymś pomylić.

Otworzył oczy i wyjął dłonie z kieszeni. Czubki jego butów znajdowały się kilkanaście centymetrów od krawędzi wykopu. Przez chwilę patrzył właśnie na nie. Następnie powoli, jakby dawkując emocje, powiódł wzrokiem dalej. Prosto ku...

Gwałtownie odwrócił głowę.

Zamrugnął i nabrał głęboko powietrza. Odciął się już od otaczającego go świata. Nie mógł utracić doskonałego skupienia, więc z powrotem spojrzął w głąb wykopu. Zmusił się, by szeroko otworzyć oczy. Teraz nie słyszał ani kłótni, ani szumu drzew. Całą jego uwagę pochłonęło to, co znajdowało się kilkadziesiąt centymetrów niżej.

Spoglądał na co najmniej kilka makabrycznie splątanych zwłok. Mężczyźni oraz kobiety ubrani byli w strzępy rozpadającej się odzieży. Łyżka koparki rozerwała nadgniłe ciała części z nich. Na samym skraju wykopu leżała wyrwana z barku, szerniała ręka. Kilka centymetrów dalej tkwiła głowa kobiety z kręconymi, czarnymi włosami. Cienka

niczym pergamin skóra odeszła z połowy jej twarzy. Zamiast nosa zionęła czarna pustka wnętrza mózgowca. Fioletowe wargi były zapadnięte i niemalże zlewały się z brązowym strzępem skóry na podbródku, jakby kobieta poplamiała się jakimś gęstym sosem. Zza warg wystawały białe, drobne zęby. Kilku brakowało. Mimo że usta były rozwarte, w środku nie było widać żadnych pozostałości języka.

Rembert przeniósł wzrok na kolejne ciało. Zostało odsłonięte tylko częściowo i ponad powierzchnię ziemi wystawały jedynie ręka z kurczowo zaciśniętą dłonią oraz fragment rozpadającej się klatki piersiowej. Powłoki brzuszne zaszuszyły się i zapadły. Skóra na biodrze pękła, odsłaniając biel kości. Tuż obok niej z ziemi wystawała pokrywa czaszki z resztką krótkich siwych włosów. Nieco dalej znajdowały się piszczel oraz niemalże całkowicie pozbawiona tkanki stopa. Paliczki rozpadły się niczym rzucona o tablicę kreda. Ze ściany wykopu zwisała zdarta z któregoś ze szkieletów zmarszczona brązowa skóra. Przypominała ogromny płat wędzonych smakołyków rzucanych psom do obgryzania. Jednak wyraźnie dało się na niej dostrzec pępek oraz fragment podbrzusza z włosami łonowymi.

Kolejna głowa tkwiła kilkanaście centymetrów poniżej czubka buta Remberta. Była obrócona bokiem tak, że można było wyraźnie dostrzec obkurczoną resztkę płatka ucha i brązowo-czarną skórę rolującą się na kości policzkowej. Obklejony ziemią policzek został mocno trącony rozkładem. Odsłaniał pojedyncze, nierówne zęby. Z uszkodzonego oczodołu wypełził gruby biały robal.

Rembert przytknął dłoń do nosa i się wyprostował. Starał się zapamiętać każdy szczegół. Choć łyżka koparki zmieniła ułożenie ciała, to nadal mogło być ono istotne.

– No, do roboty, chłopie – szepnął do siebie. – Nie pękaj.

Jego uwagę natychmiast przykuło kilka szczegółów.

– I co o tym powiesz, Oreście?

Langer z upodobaniem zwracała się do Remberta, odmieniając jego imię. Wymawiała je, przedłużając głoski niczym hrabina przyzywająca nosowym głosem kamerdynera Lee-oona. Niemal zawsze przy tym mina psychologa wprowadzała ją w lepszy nastrój. Niemal zawsze, bo tym razem Orest pozostał śmiertelnie poważny.

Stali kilkanaście metrów od wykopu, prawie dokładnie naprzeciw powalonych sosen. Za plecami Langer zaparkowana była furgonetka kryminalistów, a niedaleko łomotała targana wiatrem policyjna taśma. Aktywiści proekologiczni oraz budowlańcy zniknęli. Szef ekipy zaklinał się jednak, że nie pozwoli na kolejne wstrzymanie prac przez państwo. Bez względu na to, co „ci cholerni greenpeace’owcy nawrzucaли do tych dołów”.

– Podejrzewasz, że to ofiary zbiorowego mordu? – Rembert otarł chusteczką pot z czoła.

Langer spojrzała na niego z ukosa.

– W naszym związku to nie ty jesteś od zadawania pytań.

– Czasem odpowiedzi innych pozwalają mi udzielić swoich.

– Albo się zasugerować.

– Nie. – Rembert energicznie pokręcił głową. – Kiedy już wszystko zobaczyłem, nikt nie może mi nic zasugerować. Teraz będę pracował już tylko na swoich wspomnieniach.

– Moje słowa staną się ich częścią.

Psycholog westchnął.

– Przekonałabyś diabła, że jest aniołem. Błagam cię, daj mi się nad tym chwilę zastanowić.

Powolnym krokiem ruszył w stronę taśmy policyjnej, podniósł ją i przeszedł pod nią. Wiedział, że Liza pójdzie za nim. Gdy znaleźli się na skraju niewielkiej polany, spojrzał w błękitne, poprzetykane pojedynczymi chmurami niebo. Odchylił głowę do tyłu i starał się zebrać myśli. Kołnierzyk koszuli wjął mu się w spocony kark.

– Naliczyłem szczątki co najmniej trzech osób – odezwał się szeptem. – Jeżeli korpusy i kończyny nie należą do głów, robi się ich pięć. Nie wiem, czy zostały zakopane w tym samym czasie ani kiedy to zrobiono. Nie znam ran ani innych obrażeń. Mogę się tylko domyślać, że nie zginęły

śmiercią naturalną. – Rembert opuścił głowę i rozłożył ręce. – Czego ode mnie oczekujesz? Zgadywanki?

– Opinii.

– Ale sama dobrze wiesz, że...

Orest przerwał, widząc chmurne spojrzenie Langer. Komisarz wyciągnęła z paczki papierosa i przetoczyła nim między palcami. Drugą dłonią sięgnęła po długą szklaną lufkę. Przez ostatnie miesiące, gdy udało się jej odegnąć nawracającą depresję, zachowywała się zupełnie inaczej niż wcześniej. Powtarzała, że zdołała oswoić deszczowego psa. Deszczowy pies był jej imaginacją smutku oraz wewnętrznego cierpienia.

Gdy Rembert spotkał ją po raz pierwszy, przypominała wrak człowieka. Przy życiu trzymały ją tylko praca oraz narzucone twarde rytuały. Obowiązek wstania, zjedzenia czegoś i wykonania roboty najlepiej, jak potrafiła. Nie interesowały jej ubiór ani wygląd. Z pewnością zbyt często zaglądała też do kieliszka, choć potrafiła to starannie ukryć. Orest wiedział, że pod szorstką skorupą kryje się wrażliwa, pełna ciepła i empatii kobieta. Nie dopytywał o jej przeszłość. Nie byli ze sobą dość blisko. Mimo że kilkakrotnie niebezpiecznie zbliżyli się do granicy między kumplostwem a czymś więcej, zawsze wracali na z góry upatrzone pozycje. Liza musiała czuć się tam komfortowo, a Orest nie zamierzał niczego przyspieszać. Poza tym sam również nie szukał usilnie bliskości. Czasem wydawało mu się, że komisarz dopuściła go bliżej siebie, wiedzona jedynie dziwną litością. Współczuciem, które – jak sądził – przenosiła z samej siebie na niego.

Mimo to nie mógł zlekceważyć zmiany, która zaszła w niej w ostatnim czasie. Punkt zwrotny stanowiło zakończenie sprawy Ślepcy. Kilka dni później Langer przyszła do pracy subtelnie umalowana i ubrana w spodnie z szerokimi nogawkami oraz wysokim stanem. Do tego miała na sobie koszulę stanowiącą kwintesencję art déco. Widać było, że w tym stroju czuje się lekko i wygodnie. Właśnie taki musiała mieć styl przed pojawieniem się deszczowego psa. Przestała również pakować w siebie każde najbardziej śmieciowe jedzenie, jakby konsumpcja stanowiła jedynie przykry obowiązek. No i papierosy... Nie odpalała już ich jednego od drugiego, w przerwach starając się nałykać jak najwięcej dymu. Choć nadal paliła przemycane zza wschodniej granicy mińskie,

robiła to przez elegancką szklaną lufkę. Do obrazu wykwiintnej damy sprzed stu lat brakowało jej jedynie długich białych rękawiczek. Tych zapewne nie wkładała tylko dlatego, by uniknąć zbędnych spojrzeń przełożonych. I tak dostrzegano jej przesadną awersję do munduru.

Langer powoli wypuściła dym wprost w twarz psychologa.

– Siwecki będzie chciał ode mnie raportu – odezwała się po chwili. – Ustnego, pisemnego, wszystko jedno. Będę musiała mu powiedzieć coś więcej, niż sam się dowie ze zdjęć. A że, mój drogi, jesteś formalnie moim podwładnym – Liza ponownie zaciągnęła się papierosem, po czym powoli wypuściła dym – wymagam, żebyś wykonał swoją robotę. Wtedy w swoją historię wplotę twoje spostrzeżenia i wszyscy będą szczęśliwi. Przynajmniej dopóki raportu nie prześle patolog.

– Wiesz, że nie lubię wróżyć z fusów.

– W tym dole było znacznie więcej niż fusy.

– Okej, niech ci będzie. – Rembert wsunął dłonie do kieszeni i odwrócił się do komisarz bokiem. Przymknął oczy, jakby starał się sobie przypomnieć szczegóły tego, co zobaczył w wykopie. – Po pierwsze – odezwał się tonem wykładowcy dyktującego studentom definicję – nawet biorąc pod uwagę, że koparka przemieliała ciała, nikt nie dbał o godność pochówku tych ludzi. To wyklucza tezę o dzikim pochówku, co się czasem zdarza na Zachodzie.

– Tam było iks trupów – wtrąciła się Langer. – Nie chodziło o pochowanie babci, która zamarzyła sobie spocząć w ukochanym lesie.

– To fakt. Dlatego od razu przechodzę do punktu drugiego.

– Do rzeczy, Oreście!

– Seryjny morderca. – Rembert pstryknął palcami, wiedząc, że tylko na to hasło czeka Liza. – Wszelkie badania i przeanalizowane przypadki kazały twierdzić, że seryjni zabójcy wyjątkowo rzadko robią dla swoich ofiar cmentarze. Mogą profanować zwłoki, ale nie składują ich w jednym miejscu.

– Dlaczego?

– To proste. W znakomitej większości nie chowają ciał do grobów. Wolą je zniszczyć w kwasie, zalać betonem, utopić w jeziorze i tak dalej albo wręcz przeciwnie. Pragną się nimi pochwalić.

– W tym przypadku raczej o chwaleeniu się nie ma mowy...

– Tego nie wiemy. – Psycholog otworzył oczy i spojrzał na Lizę. – O ile w ogóle doszło tu do morderstwa, sprawca mógł wiedzieć, że w okolicy będą prowadzone roboty budowlane. To byłoby odroczeniem sobie w czasie gratyfikacji.

– Dowiedzenie się, że jego ofiary zostały odkryte, to gratyfikacja?

– Tak. Albo to, że zaczną o nim pisać gazety. Wielu z nas marzy, aby obudzić się któregoś dnia i stać się sławnym. Przyjemność tym większa, jeżeli wydarzy się to z zaskoczenia. Sprawca nie miał pojęcia, kiedy zaczną się prace ani czy w ogóle będą prowadzone dokładnie w tym miejscu. Wystarczyło, żeby koparka zaczęła kopać kilka metrów dalej i...

Rembert przeniósł wzrok za Langer i wymownie cmoknął. Wypuściła dym, po czym powoli zerknęła przez ramię. Z niezadowoleniem odnotowała obecność pierwszej ekipy telewizyjnej. Dwóch dziennikarzy starało się przepytywać broniących dostępu do kryminalistyków policjantów. Ci próbowali trzymać ich na odległość, unikając jednocześnie obiektywu kamery.

Orest z powrotem zerknął na komisarz. Domyślał się, że Liza podświadomie pragnie kolejnej sprawy podobnej do Ślepcy. Skoro tamta pozwoliła jej poczuć się lepiej, następna mogła pomóc jej wzbić się jeszcze wyżej. Całkowicie przegnać deszczowego psa lub dostarczyć potężnej dawki endorfin. To musiał być jedyny przypadek w historii, gdy trafienie na miejsce zbiorowego, makabrycznego pochówku działało lepiej niż prozak.

Rembert postanowił nieco stonować rosnące podekscytowanie komisarz. Cofnął się i założył ręce na piersi. Wiatr rozwiał jego jasne włosy.

– Od początku zakładasz działanie seryjnego zabójcy – powiedział. – Dlaczego?

Liza wzruszyła ramionami.

– Wcale nie. Choć prawdę mówiąc, nic innego nie przychodzi mi teraz do głowy. Sam widziałeś ten syf. Jeśli nie seryjny zabójca, to kto? Opętany grabarz?

– „Gdy odrzucisz to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

– Tak, też czytałam Sherlocka Holmesa. Tyle że sam powiedziałaś, że seryjni zabójcy nie chowają ofiar.

Rembert pokręcił głową.

– Nie powiedziałem, że oni tego nie robią. Powiedziałem, że robią to rzadko.

– Zawsze może być gorzej.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. – Langer z zadumą popatrzyła w stronę wykopów. Z tej perspektywy drzewa całkowicie je przesłaniały. Przeniosła wzrok na ziemię i przygryzła wargę. Zawinęła w chusteczkę niedopałek papierosa, a lufkę ochuchała i wsunęła do wewnętrznej kieszeni. Kucnęła tak, że strzeliły jej kolana. Ostrożnie nabrała w dłoń kilka grudek ziemi. Delikatnie roztarła je między palcami.

– Czy może być ktoś gorszy od seryjnego zabójcy? – dopytywał Rembert.

– Nie wiem – powtórzyła Liza. – Po prostu głośno myślę.

Utkwiła zaciekawione spojrzenie w tłustym czarnym śladzie, który ziemia pozostawiła na jej palcach.

7.

Dziewczyna, na której komórce znajdował się filmik uwieczniający przepychanki z budowlańcami, nie zamierzała współpracować z policją. Najwyraźniej nie zależało jej na szybkim odzyskaniu telefonu. Odmówiła podania hasła do urządzenia i udostępnienia plików. Miała takie prawo. Tym samym uruchomiła maszynę biurokratyczną, nieświadomie obaliła kilka drzew potrzebnych do stworzenia papieru na dziesiątki dokumentów, a przede wszystkim – zmusiła do pracy policyjnych informatyków. Ci ze względu na model telefonu obiecali, że poradzą sobie z jego zabezpieczeniami do następnego przedpołudnia. Zapewniali, że jeżeli zajdzie taka potrzeba, będą harować całą noc. Liza szczerze w to wątpiła. Tym bardziej, że ich praca w nocy sprowadziłaby się do godzin

spędzonych przed komputerami we własnych domach. Bez kontroli, bata nad głowami i ponagień. Zapewne z wyciszonymi komórkami. W końcu nie mogli się rozpraszać.

Nic na to nie mogła poradzić. A nauczyła się, żeby nigdy się nie zadrećzać rzeczami, na które nie ma wpływu. Przynajmniej starać się tego nie robić. Tym bardziej, że informatykom pozostał jeszcze kawał dnia. Odrobina nadziei na pchnięcie choć jednego elementu sprawy do przodu.

Gdy Langer i Rembert wrócili na komendę, minęła już czternasta. Ona osobiście dopilnowała zabezpieczenia terenu oraz wydobycia pierwszych szczątków. Poza tym musiała odbyć przymusową pogawędkę z przybyłym na miejsce prokuratorem i podzielić się z nim swoimi teoriami. Właściwie to nawet nie były teorie. Zbyła go, podając kilka kompletnie abstrakcyjnych pomysłów. Te bardziej konkretne wolała zachować na później. Prokurator, jako nadzorujący czynności, mógł ją zmusić do przyjęcia określonej strategii, i dopiero wtedy zamierzała przedstawić mu argumenty zaprezentowane choćby przez Oresta. To gwarantowało pewien luz. Poza tym akurat ten prokurator nie sprawiał wrażenia nadgorliwca.

Liza zerknęła na tablicę ze skrzyżowanymi łyżką oraz widelcem i informacją, że zjazd do knajpy Baltic Food znajduje się pięćset metrów przed nimi. Niemal na samych przedmieściach Gdańska przy trasie E75. Znaleźli się tu, gdyż nadrobili parę kilometrów, by nie tłuc się drogą gminną o standardzie i szerokości ścieżki rowerowej z paleolitu.

– Chcesz coś zjeść? – zaproponowała, delikatnie zwalniając. – Ja stawiam.

Rembert oderwał wzrok od drogi i spojrzał na nią z lekkim uśmiechem. Przez kilka sekund bez słowa się jej przypatrywał.

– No co?

– Wspólną wyzerkę zaproponowałem ci po raz pierwszy w dniu, kiedy się poznaliśmy.

– Prowadzisz dziennik najważniejszych chwil swojego życia?

– Nie. Po prostu pamiętam, co mi wtedy odpowiedziałaś.

Liza spojrzała na psychologa z ukosa.

– Hę? Aż tak cię obraziłam?

– „Tylko szlugi i kawa”. Tyle odpowiedziałaś na moje awanse.

– Musisz mi to przypominać? Czy każdy pieprzony psycholog przypomina pacjentom chwile, gdy byli w dołku?

– Nie jesteś moją pacjentką. – Rembert z powrotem odwrócił się w stronę okna. Po obu stronach ekspresówki ciągnęły się szerokie pasy bezdroży. W oddali po prawej majaczył tandetny, pomalowany na niebiesko lokal przypominający nadmorskie bary rybne. – Nie wiem, czy to jest najlepszy wybór na romantyczny obiad.

– W zjedzeniu czegokolwiek po tym, czego się dzisiaj naoglądaliśmy, nie ma miejsca na romantyzm. Poza tym to nie randka. – Langer gwałtownie weszła w zakręt i zjechała w asfaltową drogę dojazdową. Wyhamowała dopiero na niewielkim parkingu, na którym stało kilkanaście aut. – Serwują tu dobre rzeczy – odezwała się pewnym tonem. – Nie oceniaj tej budy po pozorach.

Choć Rembert nie był do końca przekonany, wkrótce musiał przyznać Lizie rację. Pstrąg z pieca podany z młodym szpinakiem i ciecierzycą w sosie winnym smakował doskonale. Bez wątpienia był pierwszej świeżości. Mimo to psycholog wciąż miał przed oczami obrazy zaobserwowane przed paroma godzinami. Choć nie była to dla niego pierwszozna, nie mógł pozbyć się zapachu wilgotnej ziemi oraz jej specyficznego posmaku. Z początku rozgrzebywał danie, lecz wreszcie dał się ponieść mistrzostwu szefa kuchni. Cały niesmak i ohyda wspomnień błyskawicznie uleciały. Zastąpiła je czysta przyjemność ucztowania.

Langer się nie patyczkowała. Pochłoneła łososia serwowanego na pesto z czosnku niedźwiedziego wraz z bocznikiem królewskim oraz musem z moreli. Spalaszowanie całej porcji zajęło jej mniej niż pięć minut. Dopiero gdy przełknęła ostatni kęs, zerknęła na Remberta i zdała sobie sprawę, że marzył o tym, by zaproponowała mu spróbowanie.

– Polecałam ci właśnie tego łososia – odezwała się, wyciągając lufkę oraz papierosy. Siedzieli przy stoliku na zewnątrz, więc nie musiała się nigdzie przenosić. Przyjemny wiatr rozgarniał upał i łomotał czapą ogromnego granatowego parasola z nadrukowaną kotwicą.

– Pesto z czosnku niedźwiedziego za bardzo kojarzyło mi się z posmakiem lasu. – Rembert się uśmiechnął. Jego zaróżowiona twarz

przypominała twarz rozmarzonego nastolatka. – A później zrobiło mi się to całkiem obojętne.

– Mówiłam, że to dobre miejsce.

– Często tu jadasz?

Langer wzruszyła ramionami. W rzeczywistości jadła tu tylko raz. Kilkaset metrów stąd na bocznej drodze jej narzeczony miał wypadek. Spłonął we wraku auta. Po kilku miesiącach od tamtego wydarzenia coś ją tu przyciągnęło. Chciała na własne oczy zobaczyć miejsce, w którym rzekomo wypadł z drogi. Dość prosty odcinek z szerokim poboczem oraz dobrą widocznością. Biegli stwierdzili, że wpadł w poślizg. Tylko dlaczego nigdzie nie było śladów gwałtownego hamowania? Dlaczego później się okazało, że był zamieszany w sprawę głośnego napadu na bank? Choć zapewne o tym nie wiedział, jako doskonały informatyk sporządził systemy zabezpieczające skrytki przestępców. Mogli je otworzyć tylko równocześnie, za ogólną zgodą.

Liza zdała sobie sprawę, że Orest uparcie się w nią wpatruje.

– Mam coś na twa...

Dopiero po chwili zrozumiała, że dzwoni jej komórka. Kobięcy wrzask dobiegający z jej kieszeni zwrócił uwagę innych klientów. Pospiesznie odebrała. Zamieniła kilka zdań, po czym schowała telefon.

– Dziwne... – szepnęła.

Rembert splótł dłonie i nerwowo zastukał paznokciami. Liza podniosła na niego wzrok. Drgnęła, jakby się obudziła.

– Przepraszam... Dzwonił Wojtiuk. – Nazwisko aspiranta wymówiła z wyraźną niechęcią. – Nasze ekologiczne dredziary przysięgają na wszystkie świętości, że nie wykopały tych dołów. Ich koleżka odmówił współpracy i chce, żeby mu sprowadzić papugę. Właściwie nie mamy żadnych podstaw, żeby psuć im krew, ale...

– Ale?

– Nie, nic. Po prostu kto inny miałby tam kopać? Akurat tuż obok miejsca, w którym pochowano Bóg wie ilu ludzi. Wiesz, że nie wierzę w cholerne przypadki, nawet jeśli chodzi o wyścig plemników do jajeczka...

Langer oderwała filtr od papierosa i wyrzuciła go do popielniczki. Słońce schowało się za chmurą, a po parkingu przesunęła się ostra linia

dzieląca światło od cienia. Nagły powiew wiatru wzbił w powietrze wir nieuprzątniętego popiołu. Lizie przypomniało się dziwne wrażenie, które miała w lesie. Przeświadczenie, że coś lub ktoś kryje się za drzewami i uparcie się w nią wpatruje. Po raz kolejny poczuła na sobie złowrogie spojrzenie.

DZIEŃ DRUGI (DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY DO WIELKIEGO ZNIKNIĘCIA)

8.

Liza obudziła się tuż po piątej. Miodową roletę w oknie jej przyczepy kempingowej rozświetlały promienie wschodzącego słońca. Odwróciła się na drugi bok. Przez chwilę leżała, obejmując zwiniętą poduszkę. Zbyt długo dzień w dzień zasypiała i budziła się obok ukochanego mężczyzny, by potrafić spać sama. Wierciła się, kotłowała, ale niemal zawsze rano przyciskała do piersi poduszkę lub skraj kołdry. Żal i rozpacz mogły przeminąć, lecz nie poczucie pustki. Przez pewien czas wypełniał ją deszczowy pies. Stał się uosobieniem jej lęków oraz bólu. Teraz, gdy zabrakło również jego, o dziwo, Liza po raz pierwszy od dawna poczuła, że nie chce do końca życia być sama.

 Nie chce budzić się wtulona w cholerną pościel.

Poleżała jeszcze kilka minut i się podniosła. Sięgnęła po telefon. Nie miała żadnych nowych wiadomości, skrzynka mailowa również była pusta, a do rozpoczęcia pracy pozostały jej ponad dwie godziny. O dziwo, media nie podchwyciły jeszcze sprawy. Zaskakujące, biorąc pod uwagę fakt, że informacje o podobnych odkryciach wyciekały szybciej niż sterowane plotki z biur partyjnych. Jedynie „Kurier Gdański” podał notkę o szczątkach znalezionych kilkanaście kilometrów od miasta, dodając, że reporterzy redakcji będą śledzić sprawę na bieżąco. To pewnie pismaki z tej redakcji pojawiły się w lesie poprzedniego dnia.

Langer powoli zwlokła się z łóżka. Przecisnęła się między rozkładanym stolikiem i szafką z ubraniami. Wnętrze przyczepy było ciasne, lecz ergonomiczne. Na niewielkiej przestrzeni zmieściły się wszystkie potrzebne do życia sprzęty. Oddzielna kabina z toaletą i prysznicem

stanowiła doskonałe udogodnienie. A wszystko to za połowę ceny uzyskanej ze sprzedaży mieszkania, które dzielili z Michałem.

Nowoczesna, choć nieprzesadnie luksusowa przyczepa stała się jej domem. Albo raczej – domem jej samotności.

– Przyzwyczaj się. – Langer spojrzała na swoje odbicie w niewielkim lustrze. Nie wyglądała źle. Nie była jedną z tych kobiet, dla których podkrążone oczy urastają do rangi tragedii narodowej. Po prostu się nimi nie przejmowała. Dbała o siebie, może ostatnimi czasy nieco zbyt przesadnie, ale nie składała żadnych obietnic, nie miała żadnych życzeń. Nie marzyła. To jej w zupełności wystarczało. Po raz pierwszy od dawna była pogodzona z życiem.

W niewielkiej lodówce miała mnóstwo produktów. Parę miesięcy temu można w niej było trafić co najwyżej na butelki z piwem i lody. Teraz sam wybór serów na śniadanie zaimponowałby niejednemu Francuzowi. Langer nastawiła czajnik elektryczny, po czym poszła do części sanitarnej. Po kilkunastu minutach wyszła z niej odświeżona, z wilgotnymi włosami i delikatnym makijażem. Miała na sobie przygotowaną zeszłego wieczoru jedwabną bluzkę w biało-czarne pasy. Biały żabot był plisowany i przysłaniał piersi.

Langer zalała kawę i zjadła dwie kanapki. Jedną z wyrazistym w smaku cantalem, a drugą z jej ulubionym Crottin de Chavignol. Z pękatego słoika wyłuskała kilka kandyzowanych wiśni. Cukier pomagał jej wkroczyć w dzień z dodatkową porcją energii. Kiedy uzupełniła go kofeina, wszystko było na swoim miejscu. Nie miała pojęcia, jakim cudem przez tak długi czas mogła robić z siebie cholerną cierpienicę. Życie miało sens. Było piękne i toczyło się dalej. Choć jednocześnie przypuszczała, że może to być jedynie odbicie, po którym deszczowy pies powróci.

Wyszła z domu jeszcze przed wpół do siódmej. Wsiadła do zakupionego przed miesiącem dziesięcioletniego peugeota 1007 i przez chwilę siedziała w ciszy. Zapowiadał się kolejny gorący dzień. Mimo wczesnej pory w środku auta szybko zrobiło się duszno. Mieszkańcy innych przyczep jeszcze spali. W ustawionych w części rekreacyjnej grillach dogasały rozżarzone węgle, a wokół przepelnionego kosza na śmieci leżały butelki. Poprzedniego wieczora Liza przebiegła się kilka

kilometrów do i wzdłuż plaży, po powrocie wzięła prysznic, po czym zwała się do łóżka. Nawet odgłosy dzikiej zabawy nie mogły wyrwać jej ze snu. Przed paroma miesiącami myślała, że w szczycie sezonu mieszkanie w tej okolicy będzie dla niej bardziej męczące.

Zmieniała się.

Obojętniała na to, na co nie miała wpływu.

Wyjęła szklaną lufkę i odpaliła papierosa. Uruchomiła silnik auta, po czym opuściła szyby. Zaciągnęła się jedynie kilka razy. W końcu z wyrazem zdecydowania na twarzy wyrzuciła niedopałek do przypominającej kubeczek popielniczki. Potrząsnęła nią, wzbudzając taniec iskier.

Podjęła decyzję.

Nie mogła się już wycofać.

Powoli wyjechała z parkingu i włączyła się do niewielkiego porannego ruchu. Pojedyncze auta mknęły w stronę centrum lub morza. Plażowicze chcieli rozbić swoje parawany przed innymi. Toczyła się rywalizacja o to, kto wstanie wcześniej po całonocnej zakrapianej imprezie. Wakacje.

Po kwadransie Langer wmaszerowała na cmentarz. Bramy były już otwarte, a przed wejściem ustawiali się sprzedawcy wieńców i zniczy. Liza zlekceważyła ich spojrzenia. Szybkim krokiem przeszła kolejnymi alejkami. Znała je niemal na pamięć. Przez kilka miesięcy chodziła nimi codziennie, czasem nawet co kilka godzin. Teraz pojawiła się na cmentarzu po raz pierwszy od wielu tygodni. Nie miała wyrzutów sumienia. Właściwie zjawiała się tu pod wpływem impulsu, ale nie czuła niczego.

ŚP.

Michał Kasprzycki

Żył lat 39

Zmarł tragicznie

Pokój jego duszy

Patrzyła na granitową tablicę z wyrzniętymi złoconymi literami i... naprawdę nie czuła niczego. Wcześniej za każdym razem z jej oczu ciekły łzy. Teraz wydawała się całkowicie pogodzona z losem. Jakiś wewnętrzny

głos powtarzał jej, że właśnie tak musiało się stać. Że nie ma sensu kwestionować tego, czego się już nie zmieni. Mogła jedynie myśleć o przyszłości. Po tej i po tamtej stronie życia.

Mechanicznie odmówiła modlitwę, nie zdając sobie sprawy, że pomieszała słowa. Nachyliła się i wierzchem dłoni zgarnęła z grobu zeschnięte liście. Przez moment zastanawiała się, czy nie powinna wrócić po znicz lub choćby pojedynczą różę. Dawanie facetowi róży wydawało się jej głupie. Jednak grób Michała wyglądał pusto i smutno. Wszystkie w pobliżu były przystrojone jak choinki na święta, pełne świeczek na baterie, sztucznych kwiatów, a także modnych w ostatnim czasie dekoracji z muszelek.

Liza zerknęła na zegarek. Mechaniczna bulova, którą niegdyś nosił Michał, wskazywała za trzy siódmą. Gdyby się pospieszyła, miałyby dość czasu, by wrócić do bramy i...

Kobięcy wrzask przeciął ciszę cmentarza. Z pobliskiego drzewa ciężko poderwał się gołąb. Langer pospiesznie sięgnęła do kieszeni. Już dawno powinna zmienić ten idiotyczny dzwonek, ale nie było to na tyle istotne, by o tym pamiętać.

Zerknęła na wyświetlacz. Komunikat wskazywał, że dzwoni Zak. Med. Zakład medycyny. Patolog.

Szybko przeciągnęła palcem po ekranie i przyłożyła komórkę do ucha.

– Langer. Halo?

– Wpadniesz do mnie, kochana?

Zdziwił ją głos po drugiej stronie słuchawki. Odsunęła ją od ucha i upewniła się, że dzwoni doktor Zalewski. Sześćdziesięcioletni patolog musiał być w doskonałym humorze.

– Aż tak się spoufaliliśmy od ostatniego razu?

– Nie będę pytał ponownie. Po prostu przyjeźdź.

– Wolalabym usłyszeć zachwyty pod adresem wyników pańskiej pracy przez telefon. Albo dostać je na maila.

– Myślę, że naprawdę lepiej będzie spotkać się osobiście.

– To pomysł inspektora Siweckiego?

– Nie – zaprzeczył kategorycznie Zalewski. – Właśnie ze względu na niego chciałbym się spotkać. W przeciwnym razie mogłaby pani zbyt łatwo stracić tę sprawę.

Langer sapnęła. Nie znosiła takich gierek.

– Błagam, doktorze, o co chodzi? Niczego nie rozumiem.

– Tu nie ma nic do rozumienia.

– Ale...

– Za dwadzieścia minut wyłączam komputer, drukuję raport i zmykam do domu. Przy okazji wyciszam komórkę.

Zalewski nie powiedział nic więcej. Rozłączył się, zostawiając Lizę z mnóstwem kotłujących się w jej głowie pytań.

9.

Kwadrans po siódmej Liza weszła do zakładu medycyny sądowej. W środku zawsze pachniało środkami czyszczącymi i migdałami. Przynajmniej ona wyjątkowo wyraźnie czuła ten drugi zapach.

Korytarze były całkowicie puste. Zresztą nigdy nie plątało się tu zbyt wielu ludzi. W trakcie roku akademickiego można było natrafić na studentów, lecz w wakacje zakład sprawiał wrażenie wymarłego – co było wyjątkowo niezręcznym określeniem. Choć przez wielkie okna wpadało dużo światła, wysokie, wąskie korytarze zdawały się nader posępne.

Langer minęła szyby wind i wbiegła po schodach na pierwsze piętro. Gabinet doktora Zalewskiego mieścił się tuż za rogiem klatki schodowej. Dwukrotnie zapukała, po czym, nie czekając na zaproszenie, otworzyła drzwi.

Rolety w niewielkim gabinecie były opuszczone, więc w środku panował półmrok. Patolog siedział za pomalowanym na biało metalowym biurkiem i przeglądał plik kartek. Gdy Langer weszła do środka, nawet nie podniósł głowy. Oblizując opuszki palców, przekładał kolejne dokumenty. Na przemian mruczał coś do siebie i podśpiewywał.

Poza biurkiem w gabinecie znajdowało się niewiele mebli. Biblioteczka została wciśnięta w sam róg pomieszczenia, a stojąca za plecami doktora szafa musiała pamiętać wszystkich jego poprzedników. Jej drzwi były

wypaczone i wyraźnie odstawały od ramy. Naprzeciw okien, po lewej stronie od wejścia, stały dwie metalowe etażerki wypchane tekturowymi teczkami oraz plikami zszytych kartek. Niektóre z nich z biegiem lat przybrały kolor żółkniętych paznokci palacza. Zwisająca nad biurkiem lampa miała poprzecierany chromowany klosz. Na ścianie przy samych drzwiach wisiał drewniany wieszak, a na nim zielonkawy kitel oraz kilka czepków.

Zalewski przełożył kolejną stronę, po czym przywołał Langer palcem. Wciąż na nią nie patrząc, odłożył dokumenty i sięgnął po myszkę. Poruszył nią, rozjaśniając ekran komputera stacjonarnego. Ukryte pod biurkiem urządzenie zarzęziło.

Liza postanowiła nie odzywać się pierwsza. Dziarskim krokiem podeszła do krzesła ustawionego naprzeciw doktora. Odsunęła je, uważając, by nie zadrzeć odstającego w tym miejscu od podłogi linoleum. Usiadła i pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. Dopiero gdy głośno mlasnęła, Zalewski uraczył ją krótkim spojrzeniem. Skinął głową i, o dziwo, uśmiechnął się porozumiewawczo. Wciąż bez słowa patrzył na ekran. Kilkukrotnie kliknął, otarł pot zbierający się na czole pod czepkiem, a w końcu wyprostował się i założył nogę na nogę. Poprawił okulary.

– Być może cię rozczaruję, moja droga – odezwał się, mrużąc oczy. – A może wcale nie.

– Jeżeli wydusi pan z siebie, o co chodzi, będziemy mogli się tego dowiedzieć szybciej.

Langer wychyliła się, starając zerknąć w ekran komputera, ale pod kątem nie była w stanie niczego dostrzec.

– Zdaje się, że nie będziesz prowadziła tej sprawy.

– Co takiego?

– To nie twoje kompetencje. Ot co.

– Pozwoli pan, że decyzję zostawimy inspektorowi. Nie jest pan od tego, by...

Langer urwała. Gwałtownie odchyliła głowę do tyłu i wypuściła powietrze. Uderzyła dłonią o kolano.

– No tak. Mogłam się domyślić. Jak dawno? – zapytała enigmatycznie.

Zalewski spojrzał na nią z zainteresowaniem. Po raz pierwszy zmierzył ją wzrokiem dłużej niż przez ułamek sekundy. Z uznaniem skinął głową. Jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

– Brawo, brawo, moja droga. Nie spodziewałem się, że... – Doktor zawiesił głos, po czym ponownie zerknął w ekran komputera. – Po czym poznałaś, że to babranie się w starych śmieciach?

Liza uniosła dłoń i potarła środkowym i wskazującym palcem o kciuk.

– Gleba – oznajmiła z satysfakcją. – Torfowa, ciężka gleba, która doskonale konserwuje ciała. I w której każda ingerencja zostawia ślady na długo. Poza tym strzępy odzieży, fryzury... To ofiary drugiej wojny?

– Bardzo możliwe.

– Ile ciał wykopano?

– Na razie doliczyłem się szczątków siedmiu osób, choć z dwóch zostały tylko resztki. Ale spodziewam się, że będzie ich więcej. Na miejsce przyjechali archeolodzy i to im zostawiłem robotę fizyczną. Mam swoich zaufanych ludzi, a w lecie zyskuję pewność, że nie zaprzęgną do pracy studentów, którzy połowę kości pomylą z kamieniami.

– Widzę, że wierzy pan w przyszłość polskiej nauki.

– Wierzę w to, że wszyscy musimy się uczyć. Ale do rzeczy. Odpowiadając na twoje pytanie: tak, moim zdaniem te szczątki mogą pochodzić z czasów wojny. Choć muszą potwierdzić to badania.

– Były w doskonałym stanie. Jakby pochowano ich przed paroma dniami...

Zalewski rozparł się w fotelu. Założył dłonie za głowę i spojrzał gdzieś ponad Lizą. Zapewne w tej pozie egzaminował studentów. Lekko znudzony, pewny siebie i żądny pochwalenia się swoją wiedzą.

– Sama zwróciłaś uwagę, że gleba torfowa konserwuje – odezwał się mentorskim tonem. – Jadłaś kiedyś przeterminowane owoce w zalewie octowej?

– Staram się jadać tylko przeterminowane warzywa.

Patolog zaśmiał się krótko.

– O nic się nie bój. Takie owoce w zalewie się nie przeterminują. Ta popieprzona Unia nakazuje umieszczanie terminów przydatności, ale w occie owoce mogłyby leżeć i od czasów wojny. Tak jak zwłoki. Torf działa na bardzo podobnej zasadzie. Są w nim obecne kwasy huminowe

oraz fulwowe. W środowisku bez tlenu, o niskim pH, nie ma miejsca na mikroorganizmy, które zjadałyby się materia organiczną. Ważne, żeby te ciała trafiły do niego przy niskiej temperaturze. Wtedy mamy z głowy również bakterie gnilne...

Langer nerwowo zerknęła na zegarek. Bulova wskazywała za dwadzieścia sześć ósmą. Od czterech minut powinna być na komendzie. Podniosła się z fotela i poprawiła bluzkę.

– Dziękuję za wykład. – Dygnęła zirytowana. – Kwasy huminowe i fulwowe – mruknięła w zadumie. – Zapamiętam do końca życia.

– To mogą być ofiary wojny – powiedział Zalewski, nie zmieniając pozy zadumanego egzaminatora.

– Czyli nic tu po mnie. Ściągnął mnie pan do siebie, aby powiedzieć tylko tyle?

– Nie.

– Nie?

– Niech pani nie będzie taka w gorącej wodzie kąpana. – Zalewski wyraźnie nie wiedział, czy dalsze mówienie jej na „ty” nie spowoduje wybuchu gniewu. – Pomaleńku.

Liza przygryzła wargę i ciężko wypuściła powietrze. Oparła się o fotel. Nie odezwała się. Wbiła wzrok w patologa i w myślach błagała samą siebie o zachowanie spokoju. Zachowując spokój, wkurwiała bardziej, niż kiedy okazywała zdenerwowanie. A przede wszystkim nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo jest ciekawa ustaleń doktora. Doskonale wiedziała, że ten właśnie odgrywa się na niej za nieco nieregulaminowe i niezbyt eleganckie pospieszanie przy ostatniej sprawie.

– Proszę spojrzeć. – Zalewski ospale odwrócił w jej stronę ekran komputera. – Widzi pani komisarz? To coś bardzo nietypowego. Prawda? Myślę, że nie żałuje pani, że zabrałem jej te kilka minut. Przyznaję, że nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– *Up!*

Krótką komenda padła w niemal całkowitej ciemności, którą rozpraszały jedynie światło przesączaające się z sąsiedniego pomieszczenia pod drzwiami oraz poświata elektrycznego budzika. Czerwone cyfry wskazywały siódmą czterdzieści jeden.

Piotr Gromczyński obudził się już przed ponad godziną, lecz od tego czasu przeczytał w komórce najnowsze wiadomości, przejrzał pocztę oraz zagraniczne serwisy branżowe. Gdy on spał, w zachodnich stanach USA kwitło życie. Właściciele firm i konsorcjów dzielili się ze światem strategicznymi nowinkami. Choć i tam było już zbyt późno na konferencje prasowe, wymieniano się tweetami oraz wstawiano prywatne posty. Menadżerowie lubili chwalić się osiągnięciami. Albo zamieszczali zdjęcia z tajemniczym uśmiechem, obwieszczając wszem wobec, że wkrótce wydarzy się coś przełomowego. Dzięki temu wywoływali szum wokół siebie oraz swoich przedsięwzięci. Przełomowe wydarzenia zazwyczaj okazywały się równie efektowne co zalane wodą fajerwerki.

Piotr Gromczyński obserwował, jak ciężkie żaluzje, obudzone jego komendą głosową, ruszyły w górę. Silnik unosił je mozolnie, odsłaniając przyjemny widok za oknem. Słońce oświetlało idealnie skoszony trawnik oraz rząd tui, odgradzający posesję od szutrowej ulicy.

Działkę przecinała wyłożona kamieniami dróżka. Niemal w połowie długości do bramy rozdzielała się i obiegała niewielki basen. Na powierzchni wody, która wydawała się intensywnie lazuru, unosiło się urządzenie sprzątające. Filtrowało wodę oraz usuwało liście i inne zanieczyszczenia. Było to rozwiązanie znacznie łatwiejsze, choć droższe, od rozkładanej nad basenem przesłony. Zresztą przesłony powodowały, że woda szybko się muliła i zaczynała brzydko pachnieć. Nie pomagały ani specjalne pastylki, ani jonizator. Przez kilka ostatnich sezonów przerobił już wszystko.

Gromczyński włożył sięgający kolan szlafrok z merceryzowanej bawełny. Szlafrok miał ciepły bordowy kolor, ale kołnierz szalowy pokrywał znacznie żywszy, elegancki wzór paisley. Postawny, okołoczwadziestoletni mężczyzna otulił się nim i posuwistym krokiem ruszył do drzwi. Przeciągnął się. Mijając próg, poklepał się po kieszeni.

Zadowolony wyczuł w niej komórkę z wyświetlaczem tak dużym, że można by ją pomylić z tabletem.

Gdy znalazł się na korytarzu, zaczął cicho nucić. Po chwili umieszczone w kontaktach czujniki wykryły dźwięki, a z głośników schowanych pod sufitem dobiegła muzyka. Gromczyński uwielbiał ten myk. Wszelkie nowinki techniczne sprawiały mu niesamowitą frajdę. Choć podobne systemy na Zachodzie montowano już od lat, w Polsce miał problemy ze znalezieniem nie tyle sprzętu, ile ekipy potrafiącej go zamontować i wyregulować. Poza tym Gromczyński, jako totalne muzyczne beztalencie, musiał sprowadzić urządzenia najwyższej jakości. Takie, które w mruczeniu przypominającym jęki zasapanego nosorożca rozpoznają fragmenty piosenek. Udawało im się to zadziwiająco często. Niemal za każdym razem. Intencje nucącego trafnie rozpoznawał jednak jedynie co drugi lub trzeci. Albo jeszcze rzadziej.

Gromczyński wszedł do przestronnej kuchni i skierował się prosto do lodówki. Kątem oka dostrzegł, że Adam, jego dziesiętnastoletni syn, przechadza się po ogrodzie. Trzymał w dłoni książkę i czytał, swoim zwyczajem bezgłośnie poruszając ustami.

Piotr otworzył jedno z dwu skrzydeł stalowej lodówki. Wyciągnął butelkę soku pomarańczowego i pociągnął wielki łyk wprost z niej. Ugasiwszy poranne pragnienie, otarł usta wierzchem dłoni. Zamknął lodówkę i jeszcze przez kilka chwil obserwował spacerującego przed domem syna.

Chłopak był jego oczkiem w głowie. Zdolnym, ambitnym, a przede wszystkim – mającym okres buntu już dawno za sobą. Przeżyli ciężkie lata. Przede wszystkim po tym, gdy zginęła Klara. Jego ukochana żona i matka Adama. Zdawało się, że to wszystko wydarzyło się ledwie kilka miesięcy temu. A minęło już prawie dziesięć lat. Dziesięć długich, wypełnionych tęsknotą lat, w ciągu których przez życie Gromczyńskiego przewinęło się wiele kobiet chętnych ulec bogatemu i dość jeszcze młodemu wdowcowi. Chętnych go uwieść. Chętnych zwieść go obietnicą pięknego wspólnego życia. Gromczyński pozostawał jednak obojętny na wszelkie awanse. W sprawach biznesowych był przesadnie aktywny, ale romanse i związki zupełnie go nie interesowały. Kilkukrotnie zastanawiał się jedynie nad tym, czy nie powinien znaleźć sobie kogoś

dla dobra Adama. Za każdym razem dochodził jednak do wniosku, że nie jest to już konieczne. Owszem, mali chłopcy potrzebują matki. Lecz gdy wreszcie był w stanie dopuścić do siebie kogokolwiek, jego syn był już nastolatkiem.

Wsparcie było mu potrzebne tylko przez pierwszy rok po tragedii. W tamtym czasie prawidłowo rozwijający się chłopiec popadł w apatię. Ojciec zajmował się nim, jak potrafił, i mimo natłoku pracy wygospodarowywał dla niego tyle czasu, ile tylko mógł. Adam odtrącał ojcowską rękę. Kilkukrotnie uciekał z domu, buntował się i stronił od rówieśników, ale z biegiem czasu jego stan wracał do normy. W końcu stworzyli z ojcem naprawdę dopasowany duet, który przestał opierać się na relacji mentora i ucznia, a stał się niemal kumpelski. Gromczyński nie kontrolował syna, ten zaś nie nadużywał jego zaufania. W jakiejś cichej, dorozumianej rywalizacji chciał mu jedynie udowodnić, że potrafi osiągnąć tyle, co on. Że również może być dobrym specjalistą i biznesmenem. Z łatwością zjednywał sobie przy tym przyjaciół, a nawet zyskał w klasie opinię człowieka, który pisał sprawdziany za wszystkich wokół. Z tego też Piotr był dumny. Nie chciał, żeby jego syn okazał się samolubnym gnojkiem, jakich pełny był świat biznesu.

– Co czytasz?

Chłopak aż podskoczył, gdy dobiegł go tubalny głos ojca. Piotr niemal bezszelestnie wymknął się tylnym wyjściem i zaszedł syna od tyłu. Nie było to trudne, bo chłopak był całkowicie pochłonięty lekturą.

Adam zamknął książkę i obrócił w stronę ojca okładkę. Znajdowało się na niej zdjęcie Donalda Trumpa, który mierzy w czytelnika palcem. Prezydent USA miał rozwiane włosy, lekko otwarte usta i wściekłe spojrzenie. Wydawało się, że wypowiada do czytelnika swoje legendarne *you are fired*.

– Warte zachodu?

Piotr przesunął wzorkiem po okładce, stanął obok syna i delikatnie klepnął go w ramię. Książka nie wydawała się zbyt go interesować.

– Może być. Przynajmniej ktoś się skupił na jego sposobie prowadzenia biznesu, a nie na zachowaniu.

– To nie jedno i to samo?

– Przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu nie. Przynajmniej nie chodzi o zachowanie wobec kobiet czy mediów. Interesują mnie relacje z podwładnymi, partnerami handlowymi i...

Adam zawiesił głos, widząc, że ojciec go prawie nie słucha. Był do niego podobny jak dwie krople wody. Postawny, z szerokimi ramionami i pociągłą twarzą amerykańskiego amanta z lat sześćdziesiątych. Giętki w ruchach. Miał gładko ogolone policzki, a jego ciemne oczy wydawały się zawsze rozbawione. Po matce odziedziczył jedynie ładny, prosty nos, tak różny od szerokiego nosa, który nieco szpecił twarz ojca i na niej dominował. Bez wątplenia był chłopakiem, który podobał się wielu dziewczynom. Poza tym był pogodny i miły w obejściu.

Piotr stanął nad brzegiem basenu. Woda była oczyszczona i pachniała chlorem. Delikatny wiatr marszczył jej taflę, zamieniając elegancki wzór z hiszpańskich płytek na dnie w niebieskie mazaje, stworzone przez nadpobudliwego przedszkolaka.

– Daleko mi do Trumpa, ale, jeśli chcesz, możesz mi dziś potowarzyszyć w firmie – zaproponował, obserwując reakcję syna. Widząc na jego twarzy zaciekawienie, od razu poczuł się raźniej. – Mam dziś spotkanie z Chińczykami z HaXimu. To może być ciekawe doświadczenie. Szczególnie jeżeli będą się chcieli zaprezentować jak ostatnio.

– Popis technologii zakończony dwoma rannymi?

– Gdyby to była ich wina, wyrzuciłbym ich na zbity pysk. Nie ryzykowałbym zdrowiem pracowników.

– Trump powiedziałby, że to była ich wina, pozwał ich, a potem zawarł korzystną ugodę. – Adam się uśmiechnął. Odłożył książkę na niebieski leżak i odwrócił się do ojca. – Nie dygaj. Pomogę ci wszystko zorganizować. Mów tylko, co mam robić. Jestem umówiony po południu do kina, więc zależy mi, żebym się wyrobił do czternastej... No, niech będzie, do czternastej trzydzieści.

Gromczyński zatrzymał się na słowie-kluczu.

– Kino? Z kim idziesz?

Adam chciał dać ojcu kuksańca w ramię, lecz jego uwagę przykuł przemykający za szczebelkami bramy cień. Szczebelki były zbyt gęste, by dostrzec coś więcej, ale ktoś wyraźnie zbliżał się do furtki. Ojciec mógłby

to sprawdzić na podglądzie dzięki systemowi, który miał zainstalowany również na komórce. Nie miało to jednak sensu. Nim stary Gromczyński zdążył ponownie zadać pytanie, rozległo się metaliczne brzęczenie.

Piotr drgnął i się wyprostował. Odruchowo upewnił się, czy ma dobrze zawiązany szlafrok.

– Ki diabeł?

Podszedł do zamontowanego przy drzwiach ogrodowych interkomu i zerknął na ekran. Przed wejściem stał wysoki chłopak z bejsbolówką i kurtką pokrytymi logotypami firmy kurierskiej. W dłoniach ścisnął paczkę.

– Halo?

– Dzień dobry. Mam przesyłkę do pana Piotra Gromczyńskiego.

– Proszę.

Zamiast nacisnąć guzik, Piotr zakończył rozmowę i wyszeptał w stronę drugiego mikrofonu komendę: *open*. Brama natychmiast zaczęła się otwierać.

– Czekasz na coś?

Adam zmrużył oczy, obserwując idącego przez podjazd kuriera. Większość paczek ojciec zamawiał na adres firmy, a on nie spodziewał się teraz żadnej przesyłki.

– Chyba nie. Przynajmniej nic nie pamiętam.

– Ani ja.

– Niespodzianki są przyjemne. Prawda?

Piotr Gromczyński wyszedł naprzeciw kuriera. Wziął od niego tekturowe pudło i postawił je koło jednego z leżaków. Gdy składał podpis na czytniku, kurier rozglądał się z zaciekawieniem po posiadłości.

– Dziękuję. – Skinął głową, chowając czytnik i rysik do kieszeni. – Gdyby chciał pan ocenić jakość naszych usług...

Gromczyński machnął ręką, dając mu znać, że może nie strzępić sobie języka. Wymienił z synem porozumiewawcze spojrzenia. Nie dalej jak dwa dni temu rozmawiali o wprowadzeniu systemu oceniania satysfakcji i zadowolenia pracowników w firmie Piotra. Doszli do wniosku, że to kompletna bzdura. Najlepsze relacje utrzymywało się, rozmawiając w cztery oczy, a nie wypełniając ankiety lub zaznaczając czerwone, żółte bądź zielone bużki.

– Co to jest?

Gdy brama zamknęła się za kurierem, Gromczyński chwycił paczkę i obrócił ją w dłoni. Bez zastanowienia zdarł taśmę. Jednocześnie otworzył oba tekturowe skrzydła.

– O kurwa! Niech to szlag!

Wzdrygnął się jak kobieta, która po przebudzeniu widzi na pościeli tuż obok siebie wielkiego, włochatego pająka. Bez zastanowienia cisnął paczkę na ziemię. Zaczął się trząść i ciężko sapać. Zacisnął pięści, gotów do walki. Instynktownie przesunął się bliżej syna, który przestraszony zerkał na przemian na ojca i na wyrzucone przez niego pudło. Nie miał jednak odwagi sprawdzić jego zawartości.

– Tato...

Piotr milczał. Rozglądając się jak spłoszone zwierzę, położył dłoń na ramieniu syna i poprowadził go do domu.

– *LOCK UP!* – wrzasnął w stronę mikrofonu przy drzwiach.

11.

Langer wpatrywała się w ekran komputera. Choć wyświetlane na nim zdjęcia zwłok były bardzo dobrej jakości, nie miała pojęcia, co doktor Zalewski chciał jej pokazać. Spoglądała na głowę kobiety z kręconymi czarnymi włosami. Już ją widziała w wykopie. Teraz ułożona na matowym stole sekcyjnym, pozbawiona korpusu, sprawiała jeszcze bardziej przerażające wrażenie. Po oczyszczeniu z ziemi pergaminowa skóra wydawała się postrzępiona i sucha, jakby do twarzy zmarłej przykleiła się rozpuszczona przy ogniu siatka foliowa. Oddarty kawałek brązowej tkanki opadał na wypukły podbródek.

Komisarz przeniosła wzrok na ułożone obok pozostałe części ciała. Fragment tułowia z obeschniętymi, jakby pozbawionymi tłuszczu piersiami oraz pomarszczonym brzuchem. Brakowało lewej nogi. W biodrze zionęła dziura o nieregularnych, poszarpanych brzegach. Udo prawej nogi było natomiast nadgniłe i czarne. Staw kolanowy został

wygięty pod nienaturalnym kątem, a piszczel wydawała się zdeformowana. Oblekała ją skóra w kolorze intensywnego sosu grzybowego. Miała ciemniejsze przebarwienia oraz punkty przypominające nacięcia.

Patolog kliknął i na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie. Przedstawiało niemal kompletne zwłoki mężczyzny. Te były znacznie mocniej ubrudzone ziemią, ale i tak z twarzy z łatwością można było wyczytać regularne rysy czterdziestokilkulatka. Jego ręce zostały rozłożone na boki i obrócone wewnętrzną stroną do góry. Bicepsy oraz mięśnie przedramion zachowały się w całkiem niezłym stanie. Lewy nadgarstek był mocno wygięty, a dłoń opierała się na stole na kłykciach. Końcówki zagiętych palców zgniły. Paznokcie poodpadały i odsłoniły szerniąłą tkankę, spod której przebijała żółtawa biel paliczków.

Uwagę Langer zwróciła szeroka fałda skórna kilka centymetrów powyżej nadgarstka. Mogła to być blizna, zmiana chorobowa lub nietypowy rezultat procesów gnilnych. Podobna fałda skórna znajdowała się na piszczeli kobiety, którą widziała na poprzednim zdjęciu.

Następna fotografia przedstawiała ciało mniej więcej dziesięcioletniego chłopca. Jego klatkę piersiową zasłaniał strzęp koszulki. Do ud i krocza przywarły resztki spodenek. Materiał zmieszał się z tkanką, co dawało wrażenie, jakby dziecko miało kolorową, fakturowaną skórę. Głowa chłopca była odgięta do tyłu, usta – rozwarte, a nozdrza – szeroko rozchylone. Jego rysy były trudne do rozpoznania. Twarz musiała spocząć w innej mieszance gleby niż dobrze zachowane nogi, gdyż jej skóra wysuszyła się i przypominała pomalowaną niemal na czarno maskę. Oczodoły były uszkodzone. Można je było rozpoznać jedynie po cienkich liniach zakonserwowanych brwi.

Langer wyciągnęła się, jakby zmieniając perspektywę, mogła zobaczyć na zdjęciu więcej szczegółów. Wyczuwając jej intencje, Zalewski pokazał kolejną fotografię. Przedstawiała szczątki chłopca od dołu i boku. Komisarz od razu dostrzegła charakterystyczny fałd skórny pod lewym kolaniem. Zmarszczyła czoło.

– Chwila...

Powstrzymała patologa, gdy po raz kolejny sięgnął ku myszce. Metodycznie lustrowała fotografię. Koszulka na boku chłopca rozpadła

się i odsłoniła przebijające spod resztek skóry żebra. Kilka centymetrów niżej świeciła otwarta jama brzuszna. Proces rozkładu się zatrzymał i pozostawił przyklejone do skraju resztki narządów wewnętrznych. Przypominały kawałki suszonej wołowiny. Langer domyśliła się, że zwłoki chłopca leżały właśnie na tym boku. Jeszcze przez moment przyglądała się zdjęciu, wreszcie przeniosła wzrok na patologa.

Zalewski odsunął się od biurka i wyprostował w fotelu. Ponownie założył dłonie za głowę. Ukradkiem odciągnął czepek chirurgiczny od włosów. Nad jego siwymi brwiami skrzyły się drobne kropelki potu. W pomieszczeniu nie było klimatyzacji, więc mimo grubych ścian robiło się gorąco i duszno.

– Nie chciałem cię zabierać na osobistą wycieczkę i oglądanie. Co prawda, to dwa piętra niżej, więc gdybyś nalegała...

Liza weszła mu w słowo.

– Trupy mi nie przeszkadzają. Są mniej problematyczne niż większość ludzi.

– Naprawdę chcesz to zobaczyć?

– Chyba że pan, doktorze, mnie wyręczy i szybciej opowie o swoich wnioskach. – Langer ostentacyjnie zerknęła na zegarek. – Od ponad kwadransa powinnam być w komendzie.

– Jesteś w pracy.

– Moja praca nie polega na przeglądaniu makabrycznych zdjęć. Ani na ich ocenianiu, choć tym w skali od jeden do dziesięciu dałabym słabą czwórkę. Za to pańska robota...

Zalewski oderwał ręce od głowy i złożył je na piersi. Przymknął oczy.

– Ci ludzie nie zginęli wskutek działań wojennych – odezwał się, jakby recytował wykuty na pamięć raport. – Ich ciała nie noszą śladów typowych dla ofiar konfliktów zbrojnych, zabitych w wyniku strzelanin, wybuchów pocisków czy bombardowań. Nie zginęli w gruzowisku ani nie zakopano ich żywcem. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że wszyscy zostali zamordowani.

Patolog zawiesił głos, a Langer spojrzała na niego uważnie. Przez zasłoniętą roletę do środka wpadało niewiele światła, lecz po raz pierwszy dostrzegła na jego twarzy poruszenie. Dawne ofiary musiały

działać na doktora mocniej niż świeże zwłoki. Przynajmniej jakiegokolwiek, w których dostarczeniu Liza miała swój udział.

– Chłopiec i dwie kobiety zostali najprawdopodobniej zagazowani – podjął po chwili Zalewski. – Powinny to potwierdzić kolejne badania. Jeden mężczyzna został zastrzelony pojedynczym strzałem w tył głowy. – Doktor machnął przy uchu dłonią złożoną w pistolet. – Z broni sporego kalibru, przez co odskoczyła mu pokrywa czaszki. Cztery kolejne osoby zmarły w sposób, którego nie jestem w stanie na razie dociec. – Dopiero w tym momencie lekarz otworzył oczy i przeciągnął dłońmi po twarzy. Ciężko sapnął. – To moje wstępne hipotezy, badania potrwają pewnie co najmniej tydzień. Może prawdziwych przyczyn śmierci niektórych z tych ludzi nie odkryjemy nigdy. Czas zaciera ślady sprawnej niż mafia.

Langer delikatnie skinęła głową. Coś się jej nie zgadzało.

– A jednak dzieli się pan ze mną swoimi hipotezami? Chyba po raz pierwszy w życiu nie wymiguje się pan oczekiwaniem na wyniki badań, tylko mnie tu ściąga. Obstawiam, że nie jest to efekt tego, że ostatnio jak gówniara zagroziłam panu poskarżeniem się przełożonym?

– Przełożeni mi nie przeszkadzają. – Zalewski z ironią sparafrazował jej słowa.

– Więc?

– Co przychodzi pani do głowy?

Langer poprawiła się na krześle. Już nie patrzyła w monitor, a prosto w oczy lekarza. Zalewski ponownie przybrał maskę obojętności.

– Sposoby mordów przywodzą na myśl ofiary obozu koncentracyjnego – odezwała się zamyślona. – Ale ciała nie zostały skremowane. Choć w końcowym okresie wojny Niemcom bardziej zależało na paleniu dokumentów niż ciał. Zwłoki wrzucali do masowych grobów. Mieli ważniejsze metody zużycia benzyny niż potraktowanie jej jako rozpałki.

– Widzę, że zna pani historię.

– Ale to nieistotne.

– Nieistotne?

Liza wzruszyła ramionami. Zaczynała się niecierpliwić. Jak najszybciej zamierzała przejść do sedna.

– Gdyby to było wszystko, sprawa nadal leżałaby w obrębie zainteresowania archeologów lub IPN-u. Nie policji. – Energicznie

podniosła się z krzesła i stanęła tuż obok biurka patologa. – Nie zawracałby mi pan tym głowy.

– Ma pani rację.

– Chodzi o te bruzdy na rękach lub nogach? Co to jest?

Zalewski – czy to z kurtuazji, czy czując się skrępowany, gdy ktoś stał tuż nad nim – również się podniósł z fotela. Założył ręce za plecy i skinął głową.

– Brawo za spostrzegawczość – pogratulował bez cienia entuzjazmu na twarzy. – To jest coś, co nie miało prawa się zdarzyć.

W tym momencie ciszę w gabinecie patologa przeciął kobiecy wrzask.

12.

Orest Rembert przybył na komendę tuż po siódmej. Odkąd dostał pełny etat i podpisał umowę, starał się sumiennie pojawiać w gabinecie. Mimo że jego praca w znacznej mierze polegała na myśleniu, co na dobrą sprawę mógł robić wszędzie, wolał być widoczny. Zresztą uznał to za formę okazania wdzięczności Siweckiemu, który jako jeden z pierwszych zaoferował etat profilerowi. Choć posłużył się przy tym starym wybiegiem i zatrudnił Oresta jako psychologa, nikt się nie spodziewał, że Rembert zajmie się robotą psychologiczną. Nie miał do tego ani wystarczającego doświadczenia, ani wiedzy. Poza tym w jednostce służyli inni specjaliści.

Intensywne, całonocne myślenie nie przybliżyło go do żadnych odkrywczych wniosków. W zasadzie nie miał pojęcia, czy w przypadku odnalezionych w wykopie szczątków zaszło jakiegokolwiek przestępstwo. A właśnie to stanowiło punkt wyjścia dla jego roboty. Musiał mieć dane, które mógł przetworzyć. Bez materiału bazowego pracował w zasadzie na sucho. Tworzenie teorii na podstawie innych teorii, wysnutych na kanwie kolejnych teorii, niechybnie prowadziło do ślepego zaułka.

Najlepsze efekty przynosiła systematyczna praca na bazie sprawdzonych wzorców. Podważanie kilkudziesięciu lat doświadczeń

specjalistów FBI miało się z celem. Jasne, warto eksperymentować, lecz nie można dać się ponieść fantazji.

Zgodnie z najnowszymi trendami pierwszym etapem prawidłowego profilowania powinna być analiza akt i materiałów poglądowych sprawy, następnie oględziny miejsca zdarzenia oraz uczestnictwo w czynnościach policyjnych. Po nich przychodził czas między innymi na wywiady ze świadkami i rodzinami ofiar. Ostatecznie cały ładunek informacji należało nanieść na zdobycze najnowszej wiedzy. W sprawie odnalezionych poprzedniego dnia szczątków wszystkie etapy były dziurawe. Analizowanie przypominało wróżenie z fusów, do którego tak chętnie sceptycy przyrównywali pracę profilerów. Na szczęście coraz częściej ta praca przynosiła zauważalne rezultaty. O dziwo, profile pomagały wytypować nie tylko sprawców morderstw, lecz także – znacznie częściej, choć zarazem mniej spektakularnie – seryjnych gwałcicieli, złodziei oraz oszustów. To skuteczność przy tego typu sprawach stała się podstawą sukcesu Oresta. I jego przepustką do gabinetu, który dzielił z Langer.

Cóż, teraz musiał potwierdzić swoją wartość. Dlatego przez całą noc intensywnie myślał nad ewentualnymi scenariuszami. Gdy tylko wszedł do gabinetu, zdjął marynarkę i zawiesił ją na oparciu krzesła. Na biurku postawił drewnianą czarkę. Następnie przesypał do niej yerbę, której wymierzoną porcję przyniósł w worku foliowym. Zalał ją gorącą wodą i czekał, aż napar się zaparzy. W tym czasie obszedł biurko dokoła. Odruchowo uruchomił kołyskę Newtona i przymknął oczy. Metalowa kulka zawieszona na lince uderzyła w kilka kolejnych, które – choć pozostały nieruchomo – przeniosły energię na kulkę po przeciwnej stronie konstrukcji. Rozpoczął się metaliczny mecz ping-ponga, który Langer doprowadzał do furii.

Dokładnie o wpół do ósmej Rembert pociągnął łyk yerby. Rozumiał zasadność wylania pierwszej partii ze względu na jej ostry, mocny smak, lecz za wszelką cenę pragnął pobudzenia. Nie zwracając uwagi na temperaturę płynu i jego cierpkość, przyssał się do metalowej rurki. Po kilku pociągnięciach opróżnił niemal pół czarki. W momencie, gdy odstawił ją na bok, zadzwonił telefon. Spodziewał się, że Liza zamierza

poinformować go o tym, że przybędzie z lekką obsuwą. W końcu niemal nigdy się nie spóźniała.

– Słucham?

– Pani komisarz Langer?

Zasapany, niski głos go zaskoczył.

– Czy ja brzmię jak kobieta? Mówi Orest Rembert...

– Aha. – Głos po drugiej stronie przyjął tę informację obojętnie. – Potrzebuję porozmawiać z komisarz Langer. Jest już w firmie?

– Jeszcze nie. Powinna pojawić się lada chwila. O co chodzi?

– Dzwonię z informatycznego. Rozgryźliśmy zabezpieczenia tego cholernego telefonu.

Chwilę trwało, nim Orest uporządkował podane informacje. Całkowicie zapomniał o zarekwirowanej poprzedniego dnia komórce. Nagle wspomnienia zaskoczyły.

– Ach, tak. I?

– Przesłaliśmy nagranie z miejsca zdarzenia na wasz serwer.

– Dziękuję. Bardzo słusznie!

Rembert natychmiast się rozłączył i uruchomił komputer. Czekając, aż system się załaduje, pociągał yerbę. Przez chwilę obserwował kołyskę Newtona, wreszcie przeniósł wzrok na pusty fotel Lizy. Spóźniała się tylko wtedy, gdy wyskoczyło jej coś bardzo pilnego. Poza tym zazwyczaj go o tym informowała.

Komputer wreszcie się uruchomił. Orest wpisał hasło i natychmiast otworzył zasoby wewnętrznego serwera wydziału. Usystematyzował pliki zgodnie z kolejnością chronologiczną. Na samej górze pojawił się filmik o nazwie składającej się jedynie z cyfr.

Rembert wstał, nastawił ponownie czajnik, po czym zalał yerbę. Nerwowo czekał na Lizę, lecz ta wciąż się nie pojawiła. Dwukrotnie podchodził do okna, opierał się o parapet z rachitycznym kaktusem i spoglądał w dal. Jak na Gdańsk, widok był nieciekawym. Linie kolejowe, blokowisko oraz pozostałości opuszczonego schroniska młodzieżowego z wieżą zegarową oraz gąszczem anten. Tak zwana Biskupia Górka. Gdyby ich gabinet znajdował się dwa lub trzy piętra wyżej, perspektywa całkowicie by się zmieniła.

Wreszcie Orest wrócił do biurka. Odciągnął od szyi węzeł szerokiego, pasiastego krawata i wziął potężny łyk yerby. Rozprostowując i zaciskając palce, odczekał jeszcze dwie minuty. W końcu nie wytrzymał. Przysunął się bliżej ekranu i uruchomił nagranie. W pełnym skupieniu analizował kolejne klatki filmu, który miał niezłą jakość, choć ostrość zogniskowała się przede wszystkim na punktach wskazanych przez nagrywającą. Były to w głównej mierze twarze budowlańców, podczas gdy tło pozostawało lekko rozmyte. Mimo to można było rozpoznać miejsca, w których znajdowały się przynajmniej niektóre wykopy. Odcinały się matową czernią na tle brązowo-zielonej ściółki.

Rembert dwukrotnie obejrzał cały materiał, a przy trzecim razie zastopował go na wybranej scenie. Niemal przytknął nos do ekranu. Wreszcie mógł wyciągnąć konkretne wnioski. Budował teorię na faktach, a nie na fundamencie poprzedniej teorii. Tym bardziej, że co do kilku kwestii nie miał wątpliwości.

Wyciągnął telefon, aby zadzwonić do Lizy. Gdziekolwiek była, musiał się z nią podzielić swoimi spostrzeżeniami.

13.

Mimo że Rembert chciał jej przekazać jakieś istotne wieści, Liza nie spieszyła się do komendy. W drodze z zakładu medycyny porządkowała zasłyszane przed chwilą informacje. Miała wrażenie, że doktor Zalewski zaprosił ją do siebie tylko po to, by wyrazić na głos swoje myśli. I to wobec kogoś, kto nie mógł zakwestionować jego wiedzy ani zdolności.

Rzeczywiście to, co odkrył, wydawało się zatrważające. Budziło wątpliwości i rodziło pytania. Jednocześnie pozostawiało bez odpowiedzi to najważniejsze: o zasadność prowadzenia czynności przez policję.

Przejechała most Na Ostrowiu, a potem zawróciła tylko po to, by chłonąć industrialny krajobraz okolicy: stoczni, rurociągów i dźwigów. Sądziła, że to pobudzi jej umysł do myślenia. Mimo tej próby wciąż jednak tkwiła w tym samym punkcie. Poza tym nie chciała już bardziej

przedłużać swojej nieusprawiedliwionej nieobecności w komendzie. Z piskiem opon zjechała z mostu i skierowała się w stronę Śródmieścia.

Dwadzieścia minut później wparowała do gabinetu. Rembert siedział w swoim fotelu i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w kołyskę Newtona. Dopiero gdy zbliżyła się do biurka, drgnął, jakby właśnie zdał sobie sprawę z jej obecności. Zamrugnął i pociągnął solidny łyk yerby. Przeniósł na nią zmęczone spojrzenie przekrwionych oczu. Od razu domyśliła się, że tej nocy nie spał najlepiej.

– Co masz? – zaczęła bez ogródek.

Ostentacyjnie wyciągnęła szklaną lufkę oraz papierosy. Rembert jak na zawołanie zatrzymał kołyskę. Metaliczny mecz ping-ponga zakończył się remisem.

– Tylko nie pal – zaskomlał. – Błagam, i bez tego jest mi duszno do porzygu.

Liza odłożyła lufkę na biurko i się przeciągnęła.

– Co masz? – zapytała ponownie.

– Ty najpierw.

– Grasz dziś pana tajemniczego, Oreście?

Rembert wzruszył ramionami.

– Po prostu sądzę, że możesz mieć do opowiedzenia dłuższą historię. To dobra kolejność.

Langer nie zamierzała wnikać, dlaczego właśnie taka kolejność miałyby być dobra. Pospiesznie dopadła do ekspresu z kawą i podstawiała filiżankę.

– Jak możesz pić ten wyciąg z indiańskich skarpet? – Nie zamierzała czekać na odpowiedź. Gdy tylko z ekspresu spłynęła gęsta kawa, wypila ją duszkiem. Następnie od razu przeszła do rzeczy. – Zalewski jest w autentycznym szoku. Stara się grać nieporuszonego naukowca z kijkiem w dupie, ale widać, że ma pełne gacie. Nie wiem tylko, czy z radości, czy żalu. Mówię ci, Oreście, wyglądał jak dziki człowiek, któremu pokazano zapalki. Upadło całe jego wyobrażenie o świecie.

– Bo?

Langer spojrzała na niego ze zdziwieniem. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ten nie ma najmniejszego pojęcia o szczegółach jej rozmowy z patologiem.

– W ekspresowym tempie przebadał kilka ciał – wyjaśniła. – To tylko pobieżne analizy, ale, o dziwo, doktor ek już zrobił się rozmowny.

– Ile ciał?

– Cztery albo pięć. Już sama nie wiem. Wciąż przywożą mu następne. Nie tylko ty nie spałeś tej nocy.

– Przyznaję, że moje niespanie okazało się całkowicie nieproduktywne.

Langer na tę uwagę niedbale machnęła dłonią. Dzieliła z Orestem pragnienie jak najefektywniejszego działania, więc doskonale rozumiała jego frustrację.

– Każdej z tych osób za życia usunięto kawałek ciała. Następnie dokonano handlu wymiennego i podstawiono go komuś innemu. Nadążasz? Miały na przykład pół łydki swojej, a pół cudzej. Albo zamieniono je stopami. Doktor ek wstępnie ustalił przyczynę śmierci tylko trzech ludzi.

– To znaczy?

– Strzał w tył głowy oraz zagazowanie.

– Brzmi jak ofiary obozu koncentracyjnego.

– Pomyślałam o tym samym. Ale nie to jest najciekawsze.

Rembert odruchowo wyciągnął dłoń w stronę kołyski Newtona, lecz zaraz ją cofnął. Zamiast tego, nie spuszczając wzroku z Lizy, dopił yerbę. Resztką naparu zabalgotowała wśród fusów.

– Kości niektórych osób się zespoliły – wyjaśniła Langer. – Na przykład pół łydki faceta A przyrosło do drugiej połowy łydki faceta albo kobiety B. Rozumiesz?

– Jeszcze tak. To całkiem jasne, więc albo gadasz do rzeczy, albo mam pojemniejszy mózg, niż ci się wydaje.

Langer zabębniła palcami w blat szafki. Podstawiła filiżankę pod ekspres i przygotowała kolejną kawę. Nie czekając, aż maszyna przestanie rzeźić, mówiła dalej:

– Zalewski wyciągnął z tego dwa zasadnicze wnioski. Właściwie nie trzeba do nich biegłego lekarza, ale bez niego nie miałabym pewności. Po pierwsze – Liza ponownie wypić espresso jednym haustem – operacji dokonano za życia tych ludzi. To były właściwie przeszczepy, a wszystko wskazuje, że odbywały się niemal na żywca. – Spojrzała, sprawdzając, jakie wrażenie wywarła na psychologu, i ciągnęła dalej: – Po drugie, to

nie miało prawa się przyjąć. Zalewski twierdzi, że dzisiejsza medycyna nie zna podobnych przypadków.

Rembert wzdrygnął się z odrazą.

– Twierdzimy, że to eksperymenty medyczne?

– Albo celowe działanie jakiegoś psychopaty. Zalewski skłania się ku tej drugiej tezie. Ci ludzie mogli być więźniami i ofiarami wesołej działalności jakiegoś świra. Takiego, który był zbyt praktyczny, żeby zrobić z nich po śmierci meble. Chciał trzymać ludzi poskładanych z innych za życia. Choć ich życie mogło być dość krótkie.

Rembert rozparł się w fotelu i odchylił głowę do tyłu. Przymknął oczy, po czym głośno wypuścił powietrze.

– Niewiarygodne – szepnął. – Po prostu popieprzone.

– Delikatnie mówiąc.

– Ale?

– Co: ale?

Z powrotem spojrzał na Langer. Ta po raz trzeci uruchomiła ekspres.

– Zawsze wiem, kiedy coś cię męczy. I chyba nawet się domyślam, o co chodzi tym razem.

Liza dopiła kawę i odstawiła filiżankę.

– Strzelaj. Zobaczmy, jak ci pójdzie.

– Nawet jeżeli to seryjny zabójca, zapewne już nikogo nie zabije. – Rembert z uśmiechem zauważył, że Lizie mina rzednie. – Czekamy jeszcze na wyniki, kiedy dokładnie te osoby zostały pochowane, ale martwisz się, że sprawę przejmie IPN.

– Jesteś złotousty i genialny.

– Nie mów hop. – Orest uśmiechnął się szerzej. – Ale chyba wiem, jak utrzymać nas przy tej sprawie. Mamy w niej wcale nie tak historyczny wątek...

Po kilku sekundach ciszy Langer wzięła pustą filiżankę po kawie i zabębniła w nią łyżeczką.

– Proszę bardzo. Fanfary na cześć złotoustego Oresta – zakpiła. – A teraz już możesz przejść do rzeczy.

– Najpierw filmik. Niech to nam robi za grę wstępną.

– Filmik?

Rembert nie odpowiedział na pytające spojrzenie Lizy. Rozjaśnił ekran i ponownie uruchomił przesłane przez informatyków nagranie. Komisarz obejrzała je w pełnym skupieniu, co chwilę przygryzając wargę. Chłonęła szczegóły filmiku, analizowała zachowanie budowlańców oraz aktywistów i starała się wyciągnąć właściwe wnioski. Mimo to uznała, że zaoszczędzi sobie czasu, jeżeli pozwoli mówić Orestowi. Była przekonana, że ten znał już każdy piksel tego materiału.

– Co wypatrzyłeś?

– Moment, poczekaj. – Rembert odsunął się od biurka i uniósł dłonie. Ponownie odciągnął od szyi węzeł krawata.

– Poluzuj to. Albo zdejmij. Wystroiłeś się jak stróż w Boże Ciało.

– Nie chciałem od ciebie odstawać. Tyle że ciuchy kupiłem w sklepie, a nie w antykwariacie. Masz te kiecki po babci, która wywijała charlestona?

– Żebyś wiedział. – Liza poczuła satysfakcję, że Orest w ogóle zwrócił na to uwagę. Po wielu miesiącach, gdy ubranie nie miało dla niej żadnego znaczenia, znowu chciała wrócić do swojego stylu. I chciała się w nim nie tylko czuć dobrze, lecz także podobać. A choć psycholog starał się jej dopiec, wiedziała, że to rodzaj komplementu. – No dobrze. Mów już.

Rembert wreszcie się poddał, rozpiął kołnierz koszuli i opuścił krawat o dobre kilka centymetrów.

– Moim zadaniem jest wyciąganie wniosków na podstawie maksymalnej liczby przesłanek – odezwał się tonem usprawiedliwienia.

– W tym przypadku nie dość, że mam mało przesłanek, to zająłem się wyciąganiem wniosków dotyczących czegoś zupełnie innego niż profilu psychologicznego zabójców lub gwałcicieli.

– Świetnie. A teraz możemy do rzeczy?

Orest skinął głową.

– Wątpię, żeby to aktywiści wykopali doły, w które omal nie wpadł sprzęt budowlanców – wypalił rezolutnie.

– Nie?

– Nie.

– Skąd ta myśl?

Rembert pochylił się nad biurkiem i przewinał film. Zatrzymał go w zapamiętanym wcześniej momencie.

– Przez chwilę dziewczyna w dredach jest tu widoczna. Widzisz? Ma lekko rozwarte usta i podniesione brwi. Wysoko, ale naturalnie. Bez teatralnej przesady. Do tego stara się stanąć jak najwyżej, żeby zerknąć w stronę wykopów. – Orest klasnął. – Jestem pewny, że zobaczyła je po raz pierwszy. Poza tym... – Przewinał filmik o kilkanaście sekund. – Spójrz teraz.

– Na...?

– Rozmieszczenie tych wykopów. Nie widzimy ich wszystkich, bo za plecami tego budowlanca są kolejne. Zaraz zobaczysz. O, teraz.

– Widzę. Zdaje się, że kolejny był też za tamtą linią drzew. – Langer wskazała palcem w stronę monitora. Starła się sobie odświeżyć w pamięci tamto miejsce. Przede wszystkim powracał do niej jednak jego wilgotny, mdły zapach. – Co najmniej jeden był również za tymi krzakami.

– Właśnie. I to jest punkt numer dwa.

– Że...?

– Sama pomyśl. – Orest przeniósł wzrok z monitora na Langer. Na moment przesunął wzrokiem spojrzeniem po jej biuście.

– Oreście... Nie zachowuj się jak neandertalczyk.

– Przepraszam. To podświadome. – Uśmiechnął się niepewnie. – W każdym razie, wracając do tematu: gdybyś była ekologiem, gdzie kopałabyś doły?

– Tam, gdzie nie chciałabym dopuścić ciężkiego sprzętu.

– Brawo. A te zostały wykopane, jakby jakiś pijany grabarz nie mógł się zdecydować, gdzie wykopać grób. Nie ma w tym żadnej logiki. Część jest przy krzakach, część w głębi lasu, niektóre zupełnie na uboczu polany... Zdecydowana większość z nich w ogóle nie przeszkodziłaby w pracach. Gdyby szef robót nie kazał zacząć karczowania od innej

strony, niż miał w planach, nie byłoby żadnego problemu. Zresztą, jak widać, i tak go nie było. Poza tym zwróć uwagę na ziemię.

Langer zwróciła na nią uwagę jeszcze na miejscu. Wiedziała, do czego zmierza Orest.

– Wokół starych wykopów jest zupełnie sucha – stwierdziła. – Zważywszy na panującą w lesie wilgoć oraz konsystencję gleby torfowej, można uznać, że została wydobyta jakiś czas temu. Pewnie przed paroma dniami. Choć były też wykopy świeższe. Dlatego uznałam, że powstawały systematycznie.

Rembert był wyraźnie pod wrażeniem jej spostrzegawczości. Po raz kolejny pozbawiła go przyjemności zaskoczenia jej. Z uznaniem skinął głową.

– Brawo. Dopuszczałem możliwość, że już zwróciłeś na to uwagę.

– Staram się zwracać uwagę na wszystko – odparła sucho Langer. – Ale nie wyjaśniłeś jeszcze najważniejszego. Jakim cudem moglibyśmy utrzymać tę sprawę przy sobie, a nie przekazywać jej IPN-owi albo innym archeologom. Nie, żebym przesadnie paliła się do roboty, pytam z czystej ciekawości.

Orest z zadowoleniem zatarł dłonie. Nie miał wątpliwości, że dla Lizy ciekawość jest równoznaczna z rozwiązywaniem spraw. Musiała być jednym z bodźców, które pchnęły ją ku pracy w policji. Zaraz obok marzenia o wybawieniu świata od całego zła.

– Czyli zgadzasz się ze mną, że teoria o aktywistach kopiących te doły jest mało przekonująca?

– Oreście, przeszłam już do punktu drugiego...

– Żeby do niego przejść, musimy zaliczyć punkt pierwszy.

Liza skinęła głową. Czasem sposób przekazywania informacji przez Remberta doprowadzał ją do furii. Nie chciała jednak sprowokować teraz kolejnej zbędnej wymiany zdań.

– Tak, złotousty, w pełni się z tobą zgadzam. W słabości swojej wyznaję, że mnie też nie przekonuje teza, jakoby te doły wykopali aktywiści.

Orest tryumfalnie potrząsnął pięścią.

– A skoro to nie oni, mam inną teorię.

– Że?

- Po co ktoś miałby kopać doły właśnie tam? Zastanowiłaś się nad tym?
- Może potrzebował ziemi albo chciał wydobywać trufle na skalę przemysłową.

Słowa Lizy go ucieszyły. Nie miała czasu zastanowić się nad tym, nad czym on myślał prawie od godziny. W profilowaniu kluczowymi pytaniami były „po co?” oraz „dlaczego?”. Gapiąc się na kołyskę Newtona, opracował chyba wszystkie możliwe i prawdopodobne scenariusze, włącznie z kilkoma możliwymi, lecz kompletnie absurdalnymi. Prawdopodobna była tylko jedna wersja.

Choć przekonywała jego samego, mogła zaskoczyć Langer. Orest rozparł się w fotelu i bacznie wyglądał jej reakcji.

- Sądzę, że chodziło o coś zupełnie innego – powiedział, smakując swoje słowa. – Te doły wykopał ktoś, kto szukał tych zwłok. Teraz. Ostatnio. Przed paroma dniami. A to pozwala nam jeszcze trochę pozajmować się tą sprawą.

15.

- Raz kozie śmierć – mruknęła Langer. – Pakujemy się w paszczę lwa, ale nawet nie próbuj skomleć.

Pchnęła drzwi i dziarskim krokiem weszła do gabinetu inspektora Siweckiego. Od razu poczuła przyjemny chłód. Poza przenośnym klimatyzatorem w pomieszczeniu pracował obrotowy wiatrak. Langer nadstawiła twarz w jego stronę. Ożywczy powiew dodał jej energii.

- Wzywał nas pan, pa...
- Siadajcie.

Siwecki chciał jak najszybciej przejść do rzeczy. Wciągnął tabakę wysypaną między kciukiem a palcem wskazującym i wstrzymał kichnięcie. Miał okrągłą twarz, łysą czaszkę i zaróżowione od nadciśnienia policzki. Przypominał wielkiego bobasa, który w wyniku jakiejś mutacji nabrał rysów pięćdziesięciokilkulatka.

Gdy Liza i Orest usiedli, inspektor opuścił fotochromowane okulary na czubek nosa. Sponad mieniących się niczym tęcza szkieł spojrział na podwładnych. Kichnął i przeprasząco pokręcił głową.

– Wybaczcie. Nie sądziłem, że tak szybko przyjdziecie.

– Do ukochanego szefa? – Langer wyduła wargi w sztucznym uśmiechu. – Pędziliśmy, aż się kurzyło.

– Potwierdzam – wtrącił się Rembert. – Przed wyjściem z gabinetu Liza wypaliła papierosa za jednym sztachnięciem. Coś niesamowitego...

Siwecki mlasnął. Najwyraźniej nie był w nastroju do częściej gadaniny. Zazwyczaj jowialny, teraz miał śmiertelnie poważną minę. Wyciągnął przed siebie ręce i trzasnął palcami. Dawał znać, że szykuje się do długiej, poważnej tyrady.

– Dopóki nie dostaniemy ostatecznych wyników, macie zajmować się sprawą tych cholernych trupów – rozpoczął cierpko. – Macie tworzyć raporty i teorie, wypełniać cholerne teczki. Wszystko na wypadek, gdyby coś jebło. Albo gdyby komuś zamarzyło się rozliczać nas z roboty. A uwierzcie mi, że odnalezienie tych szczątków przyciąga uwagę. Już z samego rana dzwoniła do mnie Warszawa, dopytując, czy to na pewno ofiary wojny. – Siwecki sapnął i położył dłonie na skraju biurka. Poprawił się na fotelu tak, że ten zatrzeszczał. – To scenariusz, który wszystkim odpowiada najbardziej. Rozumiecie? – Zniżył głos do poufałego półszepotu. – Jeżeli to ofiary wojny, to w zasadzie nie mamy problemu. W zasadzie. Dajemy zabawki IPN-owi i umywamy ręce. Ale jeśli jakimś cudem to, nie daj Boże, ludzie zamordowani przez jakiegoś psychola, może być różnie. Tym bardziej, że patolodzy wciąż nie są w stanie przedstawić mi jednoznacznych wniosków. – Inspektor zacisnął pięść, lecz powstrzymał się przed uderzeniem w biurko. Ciężko nabrał powietrza i łypnął na Langer. – A ty, Lizo, co o tym sądzisz?

Odchyliła się na krześle. Odruchowo przegładziła dłonią włosy, upewniając się, że żaden kosmyk nie wymknął się ze spinki. Powiew powietrza z wiatraka przyjemnie smagnął jej kark.

– Wiem tyle samo, co pan, inspektorze – odezwała się, przezornie nie odkrywając wszystkich kart. – Musimy czekać na dalsze informacje. Ponoć odczynniki gleby, w której znaleziono szczątki, utrudniają ich datowanie. To jak szmata, która podczas mycia podłóg nasiąka brudną

wodą. Trudno ten syf odsączyć, mimo że w misce mamy wodę z płynem, a do tego...

Siwecki skierował w górę udręczone spojrzenie.

– Błagam cię, postaraj się nigdy publicznie nie przyrównywać ludzkich szczątków do szmaty, którą się myje podłogę.

– Chodziło mi jedynie o metaforę.

– Cokolwiek by to było, postaraj się.

– Ale to tylko...

Inspektor machnął dłonią. Przeniósł wzrok na Remberta.

– A ty? Wyczarowałaś coś?

Orest spojrział porozumiewawczo na Langer, ale niemal natychmiast przeniósł wzrok na inspektora.

– Być może rzeczywiście to nie są ofiary wojny. Ale raczej w to nie wierzymy. Bez wyników od patologów niewiele zdołaliśmy...

Tak jak wcześniej uzgodnili z Lizą, pokrótce opowiedział o swoich wnioskach. Ocenzurował się na tyle, by Siwecki nie zapragnął zbyt czujnie nadzorować sprawę. Starał się go zainteresować, a potem pozostawić z niedopowiedzeniami. Analizując wyraz twarzy inspektora, z każdą chwilą zyskiwał pewność, że mu się to udało. Chodziło o to, by zasygnalizować, że poświęcając się czynnościom związanym ze znalezionymi szczątkami, mogą mieć ręce pełne roboty. Po temacie ewentualnego poszukiwania lub znieważenia zwłok przez nieustalone osoby jedynie przemknął. Siwecki łakomie połykał haczyk.

– Zajmiemy się wszystkim z należytą dyskrecją – zakończył poufałym tonem psycholog.

Langer przysłała mu w sukurs i natychmiast przytaknęła.

– Bez dwóch zdań.

– Osobiście będę cenzurował panią komisarz.

Siwecki zbył zapewnienie Oresta machnięciem ręki.

– Każdy zmarły zasługuje na pochówek – stwierdził pompatycznie. – Poza tym, kiedy dokonamy identyfikacji, pojawią się rodziny ofiar. Są na świecie ludzie, którzy chcą wiedzieć, czy ich rodzice lub dziadkowie zginęli, czy wyemigrowali i wiodą złote życie w USA.

– A kiedy ich marzenia o spadku szlag trafia, potrafią się stać wyjątkowo upierdliwi – wtrąciła Liza.

– Wyjęłaś mi to z ust.

– Choć w takich sprawach nie mam doświadczenia, nie sądziłam, by mogło być inaczej.

Inspektor otworzył szufladę i wyjął z niej tabakierkę. Zabębnił palcem o ozdobną pokrywkę.

– Niezidentyfikowane szczątki to zawsze problem – mruknął, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. – Natomiast te zidentyfikowane to problem podwójny.

– Żywych i martwych. – Langer ponownie uzupełniła jego moralizatorską przemowę.

Podniosła się z krzesła i wygładziła spodnie. Rembert stanął obok niej.

– Mam wrażenie, że te zwłoki nas jeszcze zaskoczą – rzucił, jakby za wszelką cenę chciał dodać coś od siebie.

Siwecki obrzucił go kpiącym spojrzeniem. Otworzył tabakierkę, ostatecznie obwieszczając, że ich pogawędka jest już zakończona. Gdy Liza się odwróciła i ruszyła do drzwi, cicho odchrząknął.

– Ładna kiecka. Gdyby moja żona była dwadzieścia lat młodsza, zapytałbym, skąd masz te cuda.

– I tak bym panu nie odpowiedziała, inspektorze.

16.

Do piętnastej zakład medycyny sądowej milczał jak grób. Langer była przekonana, że Zalewski po całonocnej harówce i przekazaniu jej wstępnych danych postanowił odpocząć. Zaspokoił ich wstępny głód, nie zdając sobie sprawy, że w rzeczywistości jedynie rozbudził apetyty. Jego robota stanowiła jednak jedynie element układanki. Nie mógł przyspieszyć pracy wirówek ani laborantów. W świecie odczynników, próbek chemicznych i analiz nie znano pojęcia „pilne”. Wszystko miało taki sam priorytet. Szczególnie jeśli z wielkim prawdopodobieństwem sprawa czekała na wyjaśnienie już co najmniej pół wieku.

Orest przez kilka godzin raz po raz oglądał filmik pobrany z komórki aktywistki. Obgryzał ołówek i mrużył brwi. Z każdą minutą utwierdzał się w przekonaniu, że ktoś poszukiwał wykopanych przez koparkę szczątków. Według niego wskazywały na to sposób rozmieszczenia wykopów, ich głębokość oraz ułożenie. Właściwie ten, kto je zrobił, miał pecha, że nie trafił na ciała. Jeden z dołów znajdował się kilka metrów od szkieletów.

Zdjęcia przesłane przez funkcjonariuszy pracujących w terenie tylko go w tym upewniły. Archeolodzy poszerzyli dół i trafili na jeszcze kilka ciał. Aby doliczyć się zamordowanych, należało ostatecznie uporządkować kości. Na miejsce ściągnięto też profesjonalny sprzęt do obrazowania 3D. Miał on pomóc w ustaleniu chronologii wydarzeń: w jaki sposób ciała znalazły się w prowizorycznym grobie, jak były ułożone i czy zostały zdefragmentowane przez łyżkę koparki, w wyniku rozkładu czy wcześniej, jeszcze zanim trafiły do ziemi.

– Jadę tam – obwieściła w pewnym momencie Langer.

Orest oderwał od ekranu zamglone spojrzenie.

– Tam?

– Mówiąc „tam” w dzisiejszym kontekście, mogę mieć na myśli tylko jedno miejsce.

Rembert wzruszył ramionami.

– Zawsze mogłaś wpaść na pomysł zrobienia sajgonu w zakładzie medycyny sądowej.

– Właśnie skończyłam pracę. Nie będę nadgorliwa.

– Jakbyś jadąc teraz do tego lasu, wcale nie była...

Liza nie zwróciła na niego uwagi. Zabrzączała kluczykiem do auta i wyszła z gabinetu.

– Czekał, jadę z tobą!

Popędził za nią. Pół godziny później przeszli pod biało-czerwonymi taśmami i stanęli tuż nad wykopem, w którym znaleziono szczątki. Technicy zabezpieczyli już wszystkie ślady. Teraz swoją robotę kontynuowali jedynie archeolodzy. Policjant pilnujący terenu poinformował ich, że od wczoraj prokurator się tu nie zjawił. Najwyraźniej spisał sprawę na straty i z radością oczekiwał, aż odfajkuje ją jako podlegającą przekazaniu do IPN-u. Wojewódzka Komisja

Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu już musiała sobie ostrzyć na nią zęby. Langer sądziła, że dla jej pracowników każde wyjście w teren i oderwanie się od zakurzonego archiwum musi stanowić wielkie święto. Biedacy.

Niemal przez godzinę włóczyli się po okolicy. Liza skrupulatnie oglądała kolejne doły, powalone przez buldożer drzewa i ślady gąsienic koparki. Tymczasem Rembert, mrużąc do siebie, odtwarzał zachowanie budowlańców oraz ekologów. Nanosił wszystkie spostrzeżenia na stworzony w umyśle obraz wydarzeń.

Gdy minęła szesnasta trzydzieści, Langer otarła pot z czoła i spojrzała w niebo. Nie było ani jednej chmurki, słońce paliło jak diabli, a parawanowe fortyfikacje na nadbałtyckich plażach musiały wejść w etap rywalizacji z Manhattanem.

– Dobra. Nic tu po nas – zdecydowała za nich oboje.

Rembert podniósł się z klęczek i ruszył w jej stronę. Marynarkę trzymał w ręce, krawat miał jeszcze mocniej poluzowany niż wcześniej i rozpięte trzy guziki koszuli. Mimo to na klatce piersiowej odbiła mu się ciemna plama potu.

– Liczyłaś na jakieś cudowne olśnienie? – zakpił.

Langer uśmiechnęła się drapieźnie. W przeciwieństwie do niego nadal wyglądała dość świeżo. Przy czym „dość” oznaczało naprawdę sporą różnicę.

– Po prostu chciałam się napatrzeć. Niektórzy dewianci tak mają.

– Są tacy, którzy wracają na miejsce zbrodni.

– Jeżeli mnie podejrzewasz, musiałabym być wampirem ze zdolnością odmładzania się. Poza tym wampiry nie bywają chyba głodne. A mnie skręca żołądek.

Rembert nagle się ożywił.

– To propozycja? Ten Baltic Food...

Liza weszła mu w słowo.

– Nawet o tym nie myśl. Co za dużo wspólnego jedzenia, to niezdrowo. Poza tym w taki upał marzę o zaszyciu się w przyczepie.

– Ale...

– Mogę cię odwieźć. Nie licz na nic więcej.

Rembert zmarszczył czoło. Tęsknym wzrokiem popatrzył na wykopy, rozejrzał się po okolicy, a wreszcie wygiął usta w dziwnym uśmiechu. Wzruszył ramionami.

– Nie – zawyrokował. – Jako dewiant jeszcze większy od ciebie, pozwól, że się tu pokręcę i pomedytuję. Pogadam z drzewami. Może wejdę do tego grobu...

Langer spojrzała na niego spode łba. Nie odezwała się ani słowem. Machnęła dłonią na pożegnanie i szybkim krokiem wróciła do peugeota. Elektrycznie otwierane drzwi niezmiennie dawały jej frajdę. Nastawiła klimatyzację na pełną moc i powoli wycofała się z prowizorycznego parkingu.

Powrót na pole kempingowe zajął jej prawie czterdzieści pięć minut. Większość miast w wakacje się wyludniała, ale z pewnością nie Gdańsk. Poza tym po drodze zatankowała auto i zrobiła drobne zakupy. Była piekielnie głodna. Mimo to nie miała ochoty na knajpiane jedzenie. Teraz, gdy znów czuła smak życia, chciała mieć nad nim większą kontrolę. Sprowadzało się to również do postanowienia, że jak najczęściej będzie sobie sama przyrządzać posiłki.

Największym problemem były brak piekarnika i niewielka kuchenka, którą miała w przyczepie. Przez to jej możliwości zostały mocno ograniczone. Tego popołudnia naszła ją ochota na coś szybkiego i łatwego, ale zarazem wyrazistego. Sięgnęła do jednego z popisowych dań, które Michał niegdyś wprost uwielbiał. *Coq au vin*, kurczak w winie.

Od razu po powrocie do przyczepy pospiesznie obtoczyła drobiowe kawałki w mące i soli z pieprzem. Następnie obsmażyła je z boczkiem na żeliwnej patelni. Po kilku minutach dodała przyrządzoną w trakcie podduszoną cebulę. W drugim rondelku podgrzała resztkę calvadosa. Podpaliła ją długą zapalniczką i wylała płonący alkohol na mięso. To był jej ulubiony moment. Teraz pozostało tylko dodanie ziół, koncentratu pomidorowego oraz czosnku. Na koniec całość zalała solidną porcją wina.

Zerknęła na zegarek.

Danie musiało się dusić około czterdziestu pięciu minut. Był to przyjemny moment oczekiwania na zwieńczającą pracę ucztę. Langer spędziła ten czas, przeglądając *Więźnia Czylonu* w starym wydaniu

i fantastycznym przekładzie Chmielowskiego. Dwukrotnie przerywała lekturę. Uruchomiła przenośny wiatrak i uchyliła okienko. Mimo to w przyczepie zaczęło robić się naprawdę gorąco.

Wreszcie, gdy danie było gotowe, wysunęła spod szafki blat i podstawiła do niego krzesło. W tak małym wnętrzu liczyła się ergonomia. To ona była kluczem do tego, że kilkudziesięciometrowe mieszkanie udało się jej przenieść do przyczepy. Całkiem sporej, ale jednak tylko przyczepy.

Coq au vin wyszedł jej naprawdę dobrze. Smaku nie popsuły jej nawet powracające co chwilę wspomnienia zdjęć, którymi uraczył ją Zalewski. Z biegiem lat makabra stała się permanentnym elementem jej pracy. Nie widziała nic niezwykłego w zwłokach, opisach zadanych obrażeń ani medycznych wywodach. Wszystko stanowiło kwestię perspektywy. Dla niektórych to, co teraz jadła, byłoby bardziej obrzydliwe niż dokonanie autopsji gnijących zwłok. Nawet gołymi rękami.

Dochodziła już dziewiętnasta, gdy Langer posprzątała po posiłku i usiadła na schodku przyczepy. Gapiąc się na morze, odpaliła rytualnego papierosa. Lejący się z nieba żar nieco ustępował. Bryza niosła zapach wody zmieszany z aromatem drzew iglastych. Zapach, którego nie miało żadne inne miejsce na ziemi.

Liza delectowała się tą chwilą. Nie zwracała uwagi na piski biegnących do sąsiedniej przyczepy dzieci ani na grupę podchmielonych nastolatków usiłujących rozpalić grill w części sanitarnej. Delectowała się każdym zaciągnięciem. Nadstawiła twarz w stronę bryzy i przymknęła oczy.

Wreszcie zapaliła jeszcze jednego papierosa. Obserwowała, jak cienie pogiętych sosen wydłużają się, a niebo przybiera pomarańczowy kolor. Za niecałą godzinę słońce miało zniknąć za horyzontem. Kolejny dzień dobiegał końca.

Tego wieczoru nie miała ochoty na bieganie. Wzięła długi prysznic i położyła się, trzymając wiatrak niemal przy samej twarzy. Przeglądała kolejne wiersze Byrona. Starła się nie myśleć o szczątkach. Musiała nabrać dystansu i poczekać na wyniki z laboratorium. Nie mogła niczego przyspieszyć. Poza tym po tylu latach...

Głowa zaczęła jej ciążyć, a powieki – opadać. Przez chwilę wydawało jej się, że w przyczepie słyszy szuranie. Jakby deszczowy pies drapał o podłogę. Nie zamierzała się do niego odwracać. Osuwała się w przyjemny sen. Jej dłoń nerwowo drgnęła, a potem ciało stało się zupełnie bezwładne.

Wtedy ciszę rozdarł potworny wrzask. Przez kilka sekund nie miała pojęcia, co się dzieje. Dopiero po chwili oprzytomniała i utkwiała spojrzenie w rozświetlonym ekranie komórki. Nerwowo przeciągnęła zieloną słuchawkę.

– Orest, do kurwy nędzy, już się stęskniłeś?! – wrzasnęła mimo suchości w gardle. – Spałam.

Na łączu zapadła cisza. Po chwili Rembert odezwał się całkowicie zбитy z tropu.

– Ee... Przepraszam, nie chciałem... Ale na coś trafiłem.

– Na pewno na moment, kiedy śpię.

– Chodzi o te szczątki. To naprawdę ciekawe.

Liza usiadła na łóżku i rozmasowała lewą dłońią skroń.

– Domyślam się, że to odkrycie nie może zachekać do rana?

– To, co znalazłem, natychmiast cię rozbudzi. Masz to jak w banku. Nie chciałabyś przespać trzęsienia ziemi, prawda?

17.

Po narkotykach pozostał jedynie ból głowy. Delikatnie ćmienie przy skroniach. Nic więcej. Nie chciało się jej rzygać ani podcinać sobie żył. Pamiętała, że ostatnim razem po samotnej imprezie z mieszaniną tabletek marzyła o tym, by umrzeć. Przez wiele godzin świat nie miał dla niej znaczenia. Nie zabiła się tylko dlatego, że to również uznała za bezsensowne.

Była samotna. Samotność naprawdę jej doskwierała i sprawiła, że po raz pierwszy sięgnęła po twarde narkotyki. Jasne, miała jeszcze całe życie przed sobą. Tylko dlaczego wszyscy tworzyli pary, pobierali się,

robili sobie dzieci, a nią zainteresował się jedynie pieprzony wykładowca-zboczeniec?

Co z nią było nie tak?

To fakt, że odrzuciła zaloty kilku facetów. Każdy z nich wydawał się nudziarzem lub kimś, kto chce ją tylko zaliczyć. Na przykład Daniel. Albo Dawid, nieważne. W każdym razie student trzeciego roku kulturoznawstwa. Wysyłał jej romantyczne esemesy, pisał wiadomości na Facebooku i długie maile. Romans, którego nie było, zakończył się, gdy przez przypadek odkryła, że wszystkie piękne słowa to kopiuj-wklej z serwisu z poradami, jak szybko i skutecznie poderwać kobietę. Odpisała mu, również kopiując jedną z gotowych wiadomości. Nigdy więcej, gdy mijali się na korytarzu uczelni, nawet na nią nie spojrzął.

Albo taki Maciek. Chodzili ze sobą przez miesiąc, wyznał jej miłość, obsypał ją kwiatami, a potem przyłapała go na całowaniu się z dziewczyną, która miała być jego „najlepszą przyjaciółką”. Tak o niej mówił. Nie dodał, że wcześniej przez pół roku regularnie z nią sypiał. Dupek.

Wykładowca-zboczeniec był nią autentycznie zainteresowany. Po ich krótkiej, choć dość jednostronnej przygodzie dostała wyższą ocenę i zaproszenie na kawę. Przyjęła je, bo bała się odmówić. Kawa zamieniła się w kolację, kolacja – w długą rozmowę o tym, że doktor ma żonę i na razie nie może od niej odejść, ale...

Musiała w końcu przestać o tym myśleć. Było, minęło. Nie mogła tego roztrząsać każdego poranka. Każdego nowego dnia swojego pieprzonego życia.

Owszem, popełniła błędy. Całe mnóstwo cholernych błędów, ale czy są ludzie, którzy ich nie popełniają?

Nabrała powietrza i przełknęła ślinę. Przez ostatnie godziny na zmianę odzyskiwała i traciła przytomność. Tak działał środek, który podał jej nieznajomy. Mimo to obudziła się bez haju i bez zwały. Tak jakby niczego nie brała. Jakby wypiała kilka lampek wina i spała nieco zbyt krótko. Skronie pulsowały jej w rytmie przetaczanej krwi.

Wciąż była jedynie senna i okropnie ciążyły jej powieki. Makabryczny sen przeplatał się z migawkami tego, co działo się z nią na fazie. Musiała dostać naprawdę czysty towar. Powinna trzymać się tego

kontaktu za wszelką cenę, bo dawno po ćpaniu nie czuła się lepiej. Chyba że dragi wciąż działały?

Nie. To niemożliwe. Miała zbyt mocne poczucie własnego ciała i świadomość upływającego czasu. I czyjejs obecności tuż przy niej. Ktoś chwycił ją za nogę. Czyjaś dłoń wędrowała w górę po jej udzie. Jak niegdyś, gdy miała dostać dwóję na egzaminie. Dwóję albo... Coś więcej. Jeśli tylko ulegnie.

Otworzyła oczy. Powoli zamruwała. Zdała sobie sprawę, że jest całkowicie naga i że znajduje się w pomieszczeniu, w którym panuje półmrok. Punktowe, bardzo intensywne światło było skierowane jedynie na nią. A raczej na jej twarz oraz nogę.

– Dzień dobry – przywitał ją nieznajomy. – Budzisz się w samą porę.

Chciała osłonić dłonią oczy przed światłem, ale nie mogła się poruszyć. Została skrępowana.

– Co robisz? – zapytała, nadal czując czyjś dotyk na udzie.

– Muszę to założyć, żebyś się nie wykrwawiła.

Dopiero zimny, wręcz lodowaty ton głosu nieznajomego na dobre przywołał ją do rzeczywistości. Zrozumiała, że makabryczny sen był jej częścią. Szarpnęła się, lecz więzy były zbyt silnie zaciśnięte, aby mogła się wywinąć.

– Jezu! – krzyknęła rozpaczliwie. – Kim jesteś i co robisz?!

– Czy to, kim jestem, jest teraz ważne? Naprawdę chciałabyś znać odpowiedź właśnie na to pytanie? O mnie?

– Wypuść mnie! Wypuść!

Zaczęła wrzeszczeć tak głośno, jak tylko potrafiła. Piszcziała i wiła się, starając się wyszarpnąć nogę z uścisku nieznajomego. Biła dłońmi o boki stołu, na którym leżała. Zdzierała sobie gardło, dławiąc się łzami.

– To nic nie da. Mogłem cię zakneblować, ale uznałem to za zbędne. Nikt cię nie usłyszy.

– Czego chcesz?!

– To akurat bardzo ogólne pytanie. Chcę na przykład nieśmiertelności. Chcę też pokoju na świecie...

– Wypuść mnie! Proszę, proszę, wypuść mnie, ja...

– Zdaje się, że dopiero co wszystko było ci obojętne. Byłaś gotowa zaćpać się na śmierć.

Nieznajomy zacisnął na jej udzie pętlę i sięgnął po coś stojącego za jej głową. Mimo że światło nadal ją raziło, rozpoznała kształt butelki ze spryskiwaczem, która przesunęła się jak czarny cień na tle jasnej jak słońce lampy.

– Istotne jest, abyś się nie wykrwawiła. Ale to już chyba mówiłem.

Poczuła, że porywacz spryskuje jej udo jakimś środkiem i że mgiełka wilgoci osiada na jej łonie oraz podbrzuszu.

– Po co to robisz? – zaskomlała. – Jeżeli mnie zostawisz, obiecuję, że nikomu o niczym nie powiem. Mam to gdzieś. Wrócę do domu i...

– Niestety, to niemożliwe.

– Proszę. Zrobię wszystko, co chcesz, tylko mnie wypuść!

Nieznajomy po raz kolejny nachylił się nad stołem. Kobieta szarpnęła się, chcąc zobaczyć, co robi porywacz. Usłyszała odgłos przekładanych metalowych narzędzi. Brzęczenie i stukot. Do głowy napłynęło jej mnóstwo skojarzeń, ale nie chciała brać ich pod uwagę. To musiał być żart. Kretyński, makabryczny żart, nastawiony na jej nawrócenie. Rodzice musieli wynająć kogoś, kto miał ją jedynie nastraszyć. Zaraz będzie wolna. Jeszcze tylko chwila.

Jeszcze...

– Robię to, abyś się nie poruszyła.

Oprócz więzów została przypięta do stołu grubym skórzanym pasem przeciągniętym na wysokości jej bioder. Drugi dociskał do stołu jej rozłożone na boki stopy.

Szarpnęła się, lecz teraz prawie wcale nie mogła się ruszać.

– Już czas.

Poczuła zimno nieco powyżej połowy uda. Z trudem uniosła głowę i zobaczyła, że nieznajomy przyciska do jej skóry szeroką piłę z wielkimi zębami. Zadrżała ze strachu.

– Boże, nie, nie, nie! Błagam!

Pierwsze cięcie rozerwało jej skórę i mięsień. Przerazający ból rozlał się po całym ciele. Miała wrażenie, że od pasa w dół polewana jest wrzątkiem. Krzyczała, lecz krzyk ginął gdzieś w jej gardle.

Drugie cięcie otarło się o kość, a w zęby piły zaplątało się ścięgno. Urwało się dopiero wtedy, gdy porywacz odciągnął piłę na bok. Przerwał na moment pracę, otarł ostrze chusteczką i wrócił do piłowania.

Zęby zgrzytały o kość, w powietrzu unosiła się woń gabinetu dentystycznego, zmieszana z intensywnym aromatem krwi oraz moczu. Kobieta wciąż była przytomna. Oddychała płytko i szybko. Odchyliła do tyłu głowę, po czym zacisnęła zęby tak mocno, że któryś pękł.

Piłowana kość stawiała opór. Piła ślizgała się po niej, a jej ostrze piszczało. Krojący oparł jedną dłoń poniżej linii cięcia, odciągając odkrojoną skórę, tłuszcz i poharatany mięsień. Krew ciekła na stół, lecz dzięki opasce uciskowej nie tryskała strumieniem.

Kobieta zacisnęła oczy. Kręciło się jej w głowie i marzyła o tym, by stracić przytomność, ale nadal wszystko czuła i słyszała. Wszystkie bodźce zdawały się zwielokrotnione.

Nagle rozległ się trzask. To piłowana kość udowa pękła pod naciskiem krojącego. Rozłamała się, wbijając w żywą tkankę. Teraz pozostało mu tylko kilka ruchów po papce mięśnia oraz tłuszczu. To było już zwykłe krojenie przypominające odkrawanie kawałka łopatki lub karczku.

– Musisz cierpieć – wydyszał nieznajomy. Cięcie musiało go zmęczyć. – Musisz się bać i cierpieć. Jak najdłużej.

18.

Orest zjawił się u Lizy już po kilkunastu minutach od zakończenia krótkiej rozmowy przez telefon. Musiał być gdzieś w okolicy. Langer podejrzewała, że swoim zwyczajem zaszedł do którejś knajpki i jeszcze raz analizował wszystkie informacje. Zapewne uzupełniał je, serfując po internecie. Nikt nie potrafił w przepastnej otchłani sieci wyszukiwać danych tak sprawnie, jak on.

Nie pomyliła się.

Rembert wkroczył do jej przyczepy lekko chwiejnym krokiem. Czuć było od niego cierpki zapach piwska.

– Mam *déjà vu* – powitała go, robiąc miejsce w progu. Musiała się cofnąć, by zdołał zamknąć drzwi.

– Ostatnim razem nie doprowadziliśmy spraw do końca. – Orest uśmiechnął się i nim Liza zdążyła wybuchnąć, uniósł koncyliacyjnie dłonie. – Tylko żartowałem. Po dwóch piwach myślę jeszcze całkiem trzeźwo. Przychodzę jako wysłannik ciekawych wieści, a nie kochanek. Przynajmniej taki mam plan.

Powiódł wzrokiem po krótkim, koronkowym peniuarze Lizy. Ta ostentacyjnie odwróciła się i przeszła w głąb przyczepy. Złożyła łóżko, zamiast którego wysunęła stół. Usiadła na giętym, thonetowskim krześle.

– Siadaj i nie gładź. Jestem odporna na twoje pieprzenie.

– Tak ci się tylko zdaje.

– Mogę ci to bez problemu udowodnić. Gdy skopię ci dupę i wyrzucę stąd na zbity pysk.

Rembert usiadł na maksymalnie opuszczonym obrotowym hokerze. W kącikach jego ust wciąż błędził uśmiech.

– Twoją postawę zrzucę na karb zaspania.

– Obudziłeś mnie, Oreście. – Langer gwałtownie spoważniała. Sięgnęła po stojącą na szafce nienapoczętą butelkę calvadosa i zerknęła na etykietę. Przez chwilę obracała butelkę w dłoni. Wreszcie zdecydowanym ruchem odstawiła ją na bok. Nie zamierzała wracać do czasów, kiedy musiała się upić, by zasnąć. Nie chciała się złamać. – Mów, o co chodzi, i spadaj – odezwała się cierpko. – Naprawdę chce mi się spać.

– Starzejesz się.

– Wal się, Oreście.

Rembert sięgnął do kieszeni i przez chwilę walczył z materiałem spodni. Wreszcie wyciągnął telefon. Położył go na blacie stolika, po czym odblokował ekran. Langer zauważyła, że ma uruchomiony notatnik.

– Grzebałem w starych dokumentach – zaczął oględnie. – Zeskanowane gazety, stare książki, sprawozdania, raporty... Bla, bla, bla. Istnieje kilka baz danych, w których można wyszukiwać konkretne frazy.

– Na przykład?

– Choćby Google Books, ale...

– Nie pytałam o bazy danych. Strzelam, że kluczowe są frazy.

Rembert wzruszył ramionami.

– Pozwól mistrzowi zachować tajniki pracy. Poza tym nie ma czasu na wymienianie ich wszystkich.

Dopiero teraz Langer spostrzegła, jak mocno przekrwione oczy ma Orest. Zerknęła na zegarek i zdała sobie sprawę, że minęła już północ. Kiedy ją obudził, musiała spać od dwóch godzin. A zdawało jej się, że ledwie przymknęła oczy.

Jeżeli się nie myliła, Rembert od ponad doby non stop był na nogach. Znała ten jego stan. Nakręcał się i przez cały czas tkwił w prowadzonej sprawie. Poświęcał się jej, starając się poniekąd stać uczestnikiem minionych wydarzeń. Przynajmniej taką dorabiał do tego ideologię. Wieczne skupienie na szczegółach roztrząsanej historii i niewychodzenie poza jej ramy. To miał być jego sposób na sukces.

– Polskie wyniki nie dały mi...

Langer weszła mu w słowo.

– Jadłeś coś? Jeżeli dalej będziesz się głodził, niedługo będą cię przewracały powiewy bryzy.

– Wziąłem sobie przekąskę do piwa. – Orest starał się unieść honorem i szybko wrócił do swojego wywodu. – Myślałem, że to wyszukiwanie to strata czasu, ale...

Zamilkł, gdy Langer gwałtownie podniosła się od stolika. Ściągnęła poły peniuaru i podeszła do kuchenki. Błyskawicznie podgrzała danie, którego zapach wzbudził u Oresta ślinotok. Gdy wylądowała przed nim solidna porcja *coq au vin*, apetyt pochłonął dumę. W kilka minut bez słowa spałaszował cały talerz. Następnie kawałkiem chleba starannie wytarł resztkę sosu.

– *Fare la scarpetta* – skwitowała Liza.

– Hę? Jaka skarpetka?

– Tak po włosku nazywa się to, co zrobiłeś. Włosi mają swoje określenie na wycieranie talerza pieczywem.

– Włoski. – Oczy Remberta były przeszkłone, ale posiłek wyraźnie dodał mu sił. Z ożywieniem odsunął talerz i spojrzał na Langer. – Nigdy nie miałem czasu zabrać się do nauki włoskiego. Ale dziś przydał mi się hiszpański.

Liza uprzątnęła talerz i z powrotem usiadła przy stoliku.

– Dałam ci strawę, złotousty, więc teraz, błagam cię, mów do rzeczy.

– Jasne. Pozwól mi tylko czymś przepłukać usta.

– Dostaniesz wody, kiedy powiesz, po co zawracasz mi głowę.

Rembert westchnął.

– Niech ci będzie. – Obrócił się na hokerze i oparł dłonie na udach. – Podobne ofiary zostały odnalezione w latach pięćdziesiątych – wypalił i czekał na reakcję Langer. – W Polsce, niedaleko Olsztyna.

Liza zachowała kamienną twarz, więc po chwili kontynuował:

– W latach siedemdziesiątych odnaleziono cztery trupy w Hiszpanii. Franco maskował sprawę, bo przecież w jego idealnym państwie nie mogło być seryjnych. Tak samo jak w PRL czy ZSRR.

– I?

– I tyle? W ogóle cię to nie zaskakuje?

Langer westchnęła.

– Odnaleziono gdzieś szczątki udreńczonych ludzi? To żadne odkrycie. Zagazowanych? Zastrzelonych? Masowy grób? To też naprawdę mało podniecające wieści, Oreście. Mogłeś dać mi spać.

– Nie w tym rzecz. Nic nie rozumiesz.

– Oświeć mnie więc albo spadaj.

Rembert oparł się oboma łokciami na stoliku. Pochylił się w stronę Lizy, jakby miał zaraz wyjawić najgłębszy sekret.

– Ciała nie tylko były pomieszane – powiedział półszepem. – Znaleziono na nich ślady robionych za życia przeszczepów, które się przyjęły. Zabójca musiał torturować kilka ofiar naraz. Coś, co – zdaniem naszego patologa – nie miało prawa się wydarzyć, wydarzyło się co najmniej kilka razy.

DZIEŃ TRZECI (WIELKIE ZNIKNIĘCIE)

19.

Mimo że Orest robił wszystko, żeby zostać w przyczepie, Langer go wygoniła. Kazała mu wracać do domu i się przespać. Osobiście zamówiła mu taksówkę. Dopilnowała, żeby do niej wsiadł, i nakazała taksówkarzowi wieźć go tylko pod wskazany adres. Gdyby Rembert usiłował dalej medytować w barach nad sprawą, taksówkarz miał mu to wyperswadować. Jego siłę perswazji miał wzmocnić rzucony ukradkiem na przednie siedzenie banknot.

Langer potrzebowała Oresta przytomnego i wyspanego. Rewelacje, które sprowadziły go do niej w środku nocy, mogły istotnie skomplikować i rozmyć ważne aspekty sprawy. Gdyby domniemać tożsamość mordercy, ostatnie znane ślady jego działalności pochodziły sprzed niespełna pół wieku. A to, biorąc pod uwagę rozmaite przepisy prawne w państwach UE, mogło być kolejnym argumentem, by nie oddać sprawy IPN-owi.

Jak na złość, po powrocie do łóżka Langer nie mogła zasnąć. Leżąc z otwartymi oczami, patrzyła w zasłonięte roletą okno. Świecąca w nie latarnia była niezmiennie zepsuta. Migała jak stroboskopy na dyskotecę, następnie gasła na minutę lub dwie i ponownie rozpoczynała zabawę.

Czy to możliwe, żeby w Polsce i Hiszpanii grasował szaleniec mający świra na punkcie przeszczepów? Lekarz? Rzeźnik, który doszedł do perfekcji, ćwicząc najpierw na tuszy?

Niewiarygodne dla Zalewskiego właśnie stawało się faktem. Choć to mało poprawne politycznie, należało przyznać, że psychopaci często wpływali na rozwój świata. Unabomber przyspieszył rozwój zabezpieczeń na lotniskach i w firmach kurierskich, terroryści z Al-Kaidy ulepszyli wąglika, Kuba Rozpruwacz wycinał organy z precyzją

godną chirurga korzystającego ze sprzętu rodem z XXI wieku. Przykłady można było mnożyć.

Tylko co to wszystko oznaczało w tym konkretnym kontekście? A przede wszystkim po co ktoś miałby szukać tych szczątków?

Langer naszły myśli o żywych trupach, wyłazających z dołów. O ludziach, którzy nie do końca umarli. Zostali zakonserwowani wraz ze swoimi duszami i wciąż pozostawali na ziemi. Potwory. Upiory. Umarli, którzy nie mogą się rozłożyć, zamienić w proch i uwolnić z okowów fizycznej materii.

W jej umyśle, niczym w kalejdoskopie, przewinęły się obrazy szczątków przewiezionych do zakładu medycyny sądowej. Twarzy obłazących z brunatnoszarej skóry, pustki oczodołów, zapadniętych warg i dziur w policzkach. Potem jej myśli bezwolnie powędrowały ku wspomnieniu grubych fałd skórnych widocznych na zasuszonych pieszczelach oraz nadgniłych przedramionach. Przypominały wybrzuszenia, które czasem tworzyły się na obwiązanych sznurkiem kawałach mięsa.

Liza pozwoliła ponieść się kolejnym obrazom. Osuwała się w makabryczny świat koszmaru. Z sercem w gardle uciekała przed usiłującymi ją dopaść żywymi trupami. Znajdowała się na otwartej przestrzeni. Krajobraz wokół przypominał powierzchnię księżyca. Jedynym obiektem w zasięgu jej wzroku był upiorny drapacz chmur z zabarykadowanymi pierwszymi piętrami. Mimo że była noc, paliły się w nim tylko pojedyncze światła. Kiedy wreszcie dopadła do jednej z barykad, nikt nie reagował na jej wołania. Świat wypełniła cisza. Była gotowa na śmierć, gdy stała naprzeciwko całej armii maszerujących w jej stronę rozpadających się zwłok. Tyle że śmierć nie była najgorsza...

Wszystko wydawało się stracone, kiedy gdzieś z góry usłyszała krzyk. To Orest wyjrzał z jednego z okien i rzucił jej linę. Machał do niej.

Tylko dlaczego jego krzyk był tak rozpaczliwy i niski? Czy rzucał linę, aby jej pomóc, czy sam chciał uciec z budynku?

Langer zatrzepotała powiekami. Z potężną ulgą ocknęła się w rozświetlonej porannym słońcem przyczepie. Nabrała powietrza.

Tymczasem wrzask się powtórzył.

Zrzuciła poduszkę, odwinęła pościel, a wreszcie zdała sobie sprawę, że jej telefon leży na podłodze. Natychmiast go odebrała.

– Jezu, Orest, to znowu ty? Chcesz mnie zakatować?

Odpowiedział jej szorstki, niski głos. Z pewnością nie był to głos Remberta.

To, co usłyszała, natychmiast ją rozbudziło. Błyskawicznie zerwała się na równe nogi i otrząsnęła ze strzępów snu.

– Przecież to niemożliwe! – krzyknęła, nieświadomie zaciskając palce na komórce. – To jakiś absurd! Będę tam za dwadzieścia minut. Niech nikt niczego nie rusza!

20.

Langer w biegu pochłonęła kilka kawałków Crottin de Chavignol, zagryzając je wybieranymi wprost ze słoika wiśniami. Wypiła jedynie kilka łyków wody. Na przygotowywanie herbaty lub kawy nie miała czasu.

Przemyła się, włożyła czarne spodnie, nieco przypominające damskie bryczesy, oraz jedwabną koszulę z marszczonymi rękawami. Strój uzupełniała prawie stuletnia bulova na jej nadgarstku. I oszczędny, niemal szczątkowy makijaż.

Ulice były jeszcze puste, ale – mimo że silnik peugeota dawał z siebie wszystko – dojazd do zakładu medycyny sądowej zajął Langer ponad kwadrans. Kiedy wbiegła na schodki, ktoś ze środka pchnął drzwi. Po chwili w półmroku wnętrza dostrzegła toporną sylwetkę ochroniarza. Stał w progu, by ją przepuścić. Rzucił jeszcze do kogoś kilka słów i omiół wzrokiem komisarz.

Gdy wpadła do środka, od razu zobaczyła doktora Zalewskiego. Patolog stał w holu obok gabloty z popiersiem jednego z założycieli zakładu. Wpatrywał się w nie, jakby brązowa figura mogła udzielić mu pomocy. Był wyraźnie zdenerwowany. Ciężko oddychał, miał zaróżowione policzki, a czepek – zsunięty na bok głowy.

– Proszę powiedzieć, że to żart... – Langer zanurzyła się w chłodzie wnętrza. Jej kroki na marmurowej posadzce poniosły się echem po

pustych korytarzach.

– To nie pieprzony żart. To totalne szaleństwo. – Patolog pokręcił głową. – Niech pani rozmawia z nim. – Wskazał palcem na ochroniarza. – Ja się w to już nie mieszam. Nie chcę tu być, kiedy zjawi się dyrekcja. Wolę święty spokój swojego cholernego gabinetu.

– Nie jest pan w stanie nic wniesć do tej sprawy? Nic pan nie widział? Lekarz zmrużył oczy. Był wyraźnie zdenerwowany.

– Nic wniesć? Zjawiłem się tu pięć minut przed panią, z zamiarem prowadzenia dalszych badań nad zwłokami, które swoją drogą, to dzięki pani mi dostarczono. I pięć minut temu dowiaduję się, że stało się coś takiego. A od lat mówiłem, że to gówno, a nie zakład medycyny! Farsa. Jak całe to tekturowe państwo! – Zalewski odwrócił się i sztywnym krokiem ruszył w stronę windy. Nacisnął przycisk przywołujący kabinę, po czym znowu odwrócił się do Langer. – Na szczęście najważniejsze fakty ustali laboratorium. Przynajmniej tam nic nie zginie.

– Nie dla mnie – odpowiedziała Liza, chwilowo lekceważąc obecność płaczącego się w tę i we w tę ochroniarza.

– Nie dla pani?

– Dla mnie najważniejszym było to, żeby rodziny tych ludzi mogły pochować swoich bliskich. Teraz, jeżeli dowiedzą się, co się im stało...

Zalewski wyciągnął dłoń, by drzwi się nie zamknęły, i wszedł Langer w słowo.

– Jest pani dobrą Samarytanką. A ja jestem jedynie naukowcem ciekawym rozwiązania zagadki. Niemniej możemy być tak samo wściekli na to, co zaszło. Do widzenia.

Gdy patolog zniknął w kabinie, Liza przygryzła wargę i zacisnęła pięści. Powoli obróciła się do ochroniarza.

– Co się tu stało? – Spiorunowała go wzrokiem.

Mężczyzna przeciągnął dłońmi po twarzy, jakby miało mu to pomóc poukładać myśli. Poklepał się po łysej głowie. Pod pachami jego koszuli znajdowały się wielkie, ciemne plamy potu.

– Przekazane nam ostatnio zwłoki zniknęły – oznajmił bełkotliwie.

Choć tyle Langer dowiedziała się już przez telefon, z niedowierzaniem powtórzyła swoje pytanie:

– Jak to: zniknęły?

- Nie mam zielonego pojęcia.
- Niech mi pan powie, że to dowcip.
- Czy ja wyglądam na dowcipnisia? Czy wyglądam, jakbym robił sobie teraz jaja?

Nie wyglądał. Był postawnym, łysym pięćdziesięciolatkiem z tatuażami na rękach. I pewnie nie tylko, choć tego Langer nie zamierzała sprawdzać.

Głośno fuknęła. Trafiła do świata abstrakcji.

– Po prostu nie mieści mi się to w głowie. Zwłoki wstały i wyszły? Czy pan siebie słyszy?

– Nie powiedziałem, że wstały i wyszły – odparł ostro ochroniarz. Był poddenerwowany, lecz nie zamierzał dać się punktować. – Powiedziałem, że ich nie ma. Zniknęły.

– Okej, niech pan mówi po kolei. Tkwimy w pieprzonym chaosie.

Ochroniarz skinął głową. Uniósł oczy do sufitu i najwyraźniej zastanawiał się, od czego powinien zacząć. Langer postanowiła ułatwić mu zadanie.

– Niech pan opisz swoje obowiązki. Po co pan tu jest?

– Pracuję.

– Ja pieprzę. Naprawdę będziemy rozmawiać w ten sposób czy woli pan trafić na czterdzieści osiem z podejrzeniem współnictwa?

Ochroniarz wzruszył ramionami. Wyglądał na tak skołowanego, jakby było mu wszystko jedno.

– Co dwie godziny robię obchody. Dyżur nocny zaczynam o dwudziestej i kończę o ósmej. Łącznie to sześć obchodów trwających około piętnastu minut.

– Nie siedem? – wtrąciła.

Spojrzał na nią zdziwiony. Dopiero po chwili zrozumiał, co miała na myśli.

– Nie. O dwudziestej ostatni obchód robi mój poprzednik. Ja kończę obchodem o ósmej rano.

– I kiedy się pan zorientował, że coś jest nie tak?

– Kilka minut po szóstej. Proszę zrozumieć, że obchód to nie inspekcja i polega przede wszystkim na pomachaniu latarką oraz pokazaniu, że

poza szczurami w budynku jest ktoś jeszcze. Nigdy wcześniej nie zginął tu nawet długopis...

– Może po prostu nie miał kto go ukraść.

– Słucham?

– Nieważne. Rozumiem, że kilka minut po szóstej przechodził pan obok kostnicy?

– Tak. Zgadza się. Regulamin nie wymaga, żebym za każdym razem schodził na poziom minus jeden. – Ochroniarz sapnął. – W końcu są tam tylko umarlaki, prawda?

W tym cały problem. Te umarlaki były jednocześnie sednem materiału dowodowego, a być może – podmiotem przestępstw. Choć wątpliwe było, by po tylu latach ich sprawca opacznie zinterpretował powiedzenie: „nie ma ciała, nie ma zbrodni”.

Liza rozejrzała się po holu. Do środka wszedł niski mężczyzna w brązowym garniturze. Liczył sobie około sześćdziesięciu lat i poruszał się o lasce. Miał krótko ostrzyżone siwe włosy oraz krótki, szczotkowany wąsik. Przechodząc, skinął ochroniarzowi głową. Z zaciekawieniem zerknął na komisarz i skierował się ku windzie.

– Doktor Roman Erlig. – Ochroniarz czuł się w obowiązku przedstawić mężczyznę.

Liza nadaremno starała się przywołać w pamięci jego twarz lub nazwisko.

– Nigdy go tu nie widziałam.

– Od dwóch tygodni jest w naszym zakładzie na delegacji z Warszawy. Prowadzi jakieś badania, między innymi w archiwum.

– Mhm.

– Poza tym...

Ochroniarz przerwał, słysząc dzwonek telefonu Lizy. Natychmiast wyciszyła komórkę i wróciła do przerwanej przed chwilą tematu.

– Nie ma tu żadnych kamer? – zapytała.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Coś pani pokażę. Mam wrażenie, że pani myśli, że zwłoki przechowuje się jak w sejfie bankowym. To nie do końca prawda.

Langer nie zamierzała tłumaczyć, że w kostnicy była już wiele razy. Zbyt wiele. Mimo to nigdy nie przyszło jej do głowy, by zwracać uwagę na

zabezpieczenia. Rozmawiała z patologami, biegłymi, kilka razy uczestniczyła w identyfikacji zwłok i to wszystko. Nigdy nie wpadłaby na to, że zwłoki mogą zniknąć. Zostać wykradzione. Ślady włamania były na tyle uspokajające, że nie dopuszczały kolejnych, jeszcze bardziej abstrakcyjnych pomysłów. Na przykład takich, że kilka zmumifikowanych trupów postanowiło opuścić kostnicę. Tak jak w jej śnie.

Ochroniarz w ciszy poprowadził ją ku bocznej klatce schodowej. Pospiesznie zeszli po krętych schodach i znaleźli się w długim korytarzu.

Podziemia zakładu medycyny sądowej przepełniała nieprzyjemna woń zgnilizny, środków czyszczących oraz śmierci. Przynajmniej Langer zawsze wyczuwała tu ukryty aromat śmierci, jakby ta osiadła w tym miejscu i zagościła w nucie serca bukietu zapachowego podziemi starego gmaszyska.

Okna były niewielkie i znajdowały się tuż pod sufitem, a jednocześnie, patrząc z zewnątrz, na poziomie gruntu, mimo to do środka wpadało sporo światła. O tej porze roku już o świcie miało ono intensywny biały kolor. Dopiero za tydzień lub dwa miało stać się żółtawe i leniwe.

Langer z trudem nadążała za sadzącym potężne kroki ochroniarzem. Mężczyzna choć w ten sposób chciał zyskać złudne wrażenie panowania nad sytuacją. Przeszli kilkanaście metrów, po czym skręcili w boczny korytarz. Tuż za rogiem znajdowały się szerokie metalowe drzwi z okrągłą szybką.

Ochroniarz zatrzymał się i machnął latarką w stronę wygiętego skobla. Sala, w której przechowywano zwłoki, była zamykana jedynie na prowizoryczną kłódkę.

Liza złożyła dłonie jak do modlitwy i przytknęła czubki palców do podbródka. Powoli wypuściła powietrze.

- Faktycznie nie są to zabezpieczenia godne Fortu Knox – zakpiła.
- Bo cholerne ciała to nie sztabki złota – odgryzł się ochroniarz.
- Chyba że należały do bogatych Sowietów z wymienionym uzębieniem. Już raz to przerabiano z Żydami.
- Nikt nigdzie nie kupi złotego zęba ani go nie przetopi.

Langer spojrzała na ochroniarza spode łba. Nie musiała nic mówić.

– No dobrze. Pewnie ktoś by się znalazł, ale zaręczam, że nie leżeli tu żadni sowieccy miliarderzy. To były pieprzone rozpadające się, zmumifikowane trupy.

– Wszystkie zniknęły?

Ochroniarz zaprzeczył. Wierzchem dłoni pchnął drzwi i odszukał dłonią kontakt. Jarzeniówki zamrugwały, a po chwili sporą, przestronną salę zalało śnieżnobiałe światło. Naprzeciw wejścia znajdowały się komory chłodnicze. Po lewej ciągnęły się szafki z rzeczami osobistymi nieboszczyków, a po prawej stały potężne stoły. Na jednym z nich spoczywały rozsypane kości. Drugi okrywała folia, pod którą widać było zarys ciała. Trzeci był pusty, skłębiona folia leżała obok niego na podłodze. Ochroniarz ruszył w ich stronę.

– Na litość boską, niech pan tam nie wchodzi! – Langer powstrzymała go ruchem dłoni. – Technicy będą tu lada chwila, a pan właśnie dokłada im roboty.

– Chciałem tylko...

Liza westchnęła.

– Naprawdę niczego pan nie słyszał? Żadnego hałasu?

– Niczego.

– Włamywacze musieli przejść przez główny hol.

Ochroniarz pokręcił głową.

– Nie. Jest tylne wejście od podwórza, które prowadzi do drugiej klatki schodowej. Nie miałem szansy, żeby ich usłyszeć.

– Są tam ślady forsowania zamków?

Ochroniarz wbił wzrok w podłogę. Ciężko sapnął i mimowolnie się przygarbił. Langer domyśliła się, do czego zmierza jego opowieść.

– Jezu... – westchnęła. – Niech pan nie mówi, że zostawił tam otwarte drzwi.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, nie drzwi – zaprzeczył. – Okno. Nie wiem, jakim cudem podczas wieczornego obchodu przegapiłem otwarte okno na korytarzu.

Langer wzniosła oczy ku górze.

– Nie mam tylko pojęcia, jak oni wynieśli te zwłoki – ciągnął pospiesznie. Za wszelką cenę chciał zmienić temat. – Nie użyli wózka, łóżka ani niczego... Przecież te ciała nie zmieściłyby się do walizki.

– Zmieściłyby się. – Langer nie miała wątpliwości. – Były zmumifikowane. Wystarczyło je pociąć byle jak.

21.

W drodze na komendę Langer zdała Rembertowi relację z porannych wydarzeń. Psycholog właśnie wjechał na parking i cierpliwie jej wysłuchał. Był równie zaskoczony co ona. W momencie, gdy jego reakcje zaczęły się ograniczać do westchnięć i przytaknięć, Liza zrozumiała, że jego mózg przełączył się w tryb tworzenia teorii. Kazała mu czekać na siebie w gabinecie i się rozłączyła.

Kilka minut później wkroczyła na komendę. Na korytarzu minęła nadkomisarza Chojeckiego, szpakowatego mięśniaka, który od lat był typowany na następcę naczelnika. Prywatnie zresztą łączyły go z nim bardzo serdeczne stosunki.

Nadkomisarz obrzucił ją lodowatym spojrzeniem, po czym niechętnie skinął jej głową. Następnie ostentacyjnie pomachał do stojących przy wejściu policjantów. Langer nie miała wątpliwości, z czego wynikały jego uczucia. Nieoficjalnie łączyła go z dawną, zamiecioną pod dywan sprawą rekordowego skoku na bank i nadkomisarz o tym wiedział. Choć nie miała żadnych mocnych dowodów, to poszlaki wydawały się zbiegać w jego osobie. A to już było coś.

Swego czasu nawet prowadziła w tej sprawie prywatne śledztwo, lecz ostatecznie dała sobie spokój. Wiązało się z nim grzebanie w zbyt bolesnej przeszłości. Przestępcy wykorzystali wówczas nieświadomego niczego Michała. Jeżeli nie chciała, by deszczowy pies powrócił, musiała zarzucić badanie tej sprawy. Przynajmniej na pewien czas. Wiedziała, że w końcu nie wytrzyma i znów do niej wróci, ale jeszcze nie teraz.

Jednocześnie miała się zawsze na baczności. Jej życie było mniej cenne niż parę milionów. A przypadki chodziły po ludziach z każdej profesji. Również policjanci ginęli w dziwnych okolicznościach, o czym kiedyś nadkomisarz niemal wprost jej przypomniał.

Przeszła tak blisko Chojeckiego, że poczuła zapach jego korzennych perfum. Używał Collistar L'Oud i choć niegdyś szalała za tym zapachem, teraz przyprawiał ją o mdłości.

Specyficzna woń drzewa agarowego wciąż kręciła ją w nosie, gdy weszła do gabinetu. Od razu zobaczyła Remberta, który stał oparty obiema rękoma o blat biurka.

– Przed chwilą dzwonił Siwecki – oznajmił ponuro.

– Czego pragnął nasz pan i władca?

Langer była cała nabuzowana. Jej oczy błyszczały, a policzki się zaróżowiły. Orest nie wyglądał na równie podekscytowanego. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie przybitego.

– Chce nas odsunąć od sprawy nieboszczyków – mruknął.

– Co takiego? – Langer obróciła się na pięcie i zawróciła na korytarz.

– Chwila! Czekaj!

– Nie może nas odsunąć w takim momencie – wycedziła, idąc w stronę schodów. – Ta sprawa ma zbyt dużo niewiadomych. Nie zostawię bez odpowiedzi...

– Syndrom Malevica – bąknął Rembert. Niemal biegł, starając się ją dogonić.

– Co takiego?

– Odkąd cię poznałem, zauważyłem, że nie potrafisz machnąć ręką na jakiegokolwiek zagadki. Jesteś jedną z tych osób, które muszą rozwiązać krzyżówkę do ostatniego hasła, inaczej łapią doła.

– Znowu mnie diagnozujesz? Nie mów, że ciebie to wszystko nie interesuje.

– Może i interesuje, ale równie dobrze mógłbym teraz symulować robotę i czytać na przykład ostatni artykuł Malevica. Albo coś równie ciekawego.

Langer zatrzymała się przed gabinetem Siweckiego i zapukała. Zerknęła na kolegę z ukosa.

– To syndrom pokręconego psychologa. I lenia.

Z gabinetu dobiegło ciche zaproszenie, więc natychmiast pchnęła drzwi.

– Chce nas pan odsunąć? – wypaliła prosto z mostu. – Wie pan, co się dziś rano stało w zakładzie?

Inspektor obrócił się w fotelu w stronę drzwi. Na kolanach trzymał spodeczek filiżanki, z której sączył kawę. Na ten widok w brzuchu Langer zabulgotało. Marzyła o kawie. Marzyła o całym wiadrze kawy i papierosie.

– Tak. – Siwecki nie zaproponował im, by usiedli. – Wiem, co się wydarzyło rano w zakładzie. I uważam, że błędem było zawiadomienie przez dyżurną właśnie ciebie, Lizo.

– Przecież to ma bezpośredni związek z naszą sprawą.

– Już nie. Chcę wam dać inne zadania.

– Wczoraj martwił się pan mediami, prokuraturą i kontrolami. Pomstował pan na Warszawę. Co się zmieniło?

Siwecki uniósł brwi.

– To, że dostałem pierwsze wyniki z laboratorium. Mam czarno na białym, że to zwłoki co najmniej sprzed sześćdziesięciu lat. Wobec tego sprawa zostanie zakwalifikowana jako zbrodnia wojenna, będąca jednocześnie zbrodnią przeciwko ludzkości. A to znaczy, że zajmie się nią Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu czy jak to tam leci. Koniec, kropka. A ty, Lizo, zaczynasz wszystko traktować nazbyt personalnie.

Langer cicho zaklęła.

– Ktoś najpierw usiłował znaleźć te szczątki, a teraz je wykradł. – Nie dawała za wygraną. – Nie wydaje się to panu dziwne? To już czasy współczesne.

– I podpadające pod współczesne paragrafy – dodał Rembert. Do tej pory stał wyprostowany jak struna i przysłuchiwał się dyskusji. – Znieważanie zwłok i tak dalej...

Siwecki obrzucił go zirytowanym spojrzeniem. Następnie zerknął na leżący na biurku raport i sięgnął ku tabakierce. Ostatecznie jedynie przysunął ją w swoją stronę.

– Co was w tym tak zainteresowało? – zapytał sponad okularów. – To główniana sprawa. Obstawiam, że chodzi o zwykłe hieny cmentarne.

– Może tak, a może nie.

– Wiesz, ilu ludzi ślini się na myśl o wojennych znaleziskach? Niektórzy są gotowi przeszukiwać rozpadające się zwłoki dla nieśmiertelnika i paru zgniłych fantów.

– To nie byli żołnierze – sprostowała Langer.

– Właśnie. – Inspektor oparł łokcie na blacie i podsunął fotel. – Być może ktoś dotarł do informacji, że w tym miejscu rozwalono jakąś bogatą rodzinę. Albo uchodźców z Prus Wschodnich, którzy mogli mieć przy sobie kawałki Bursztynowej Komnaty. Poszukiwacze skarbów często są naiwni jak dzieci. Wierzą w totalne bajki. Oglądaliście to show z pociągiem zaginionym w Górach Sowich? – Siwecki parsknął. – Figa z makiem. Gówno znaleźli.

– Ale swoje mogli zarobić. A przede wszystkim zyskali darmową reklamę chyba we wszystkich możliwych mediach.

– Odbiegasz od tematu, Lizo. Sama widzisz, że nic cię przy tej sprawie nie trzyma. To nie jest coś dla ciebie.

– Wręcz przeciwnie. – Langer podeszła do biurka. Oparła się o nie opuszkami palców. – Twierdzą, że ludzie, którzy decydują się wykraść zwłoki z zakładu medycyny sądowej, to nie są zwykli, wierzący w bajki fantaści. Oni mają konkretne, zupełnie racjonalne motywacje. Jestem o tym przekonana.

– I chcesz się zabawiać w archeologa na koszt państwa?

– Chcę prowadzić dochodzenie w sprawie wykradzenia zwłok oraz znieważenia szczątków ludzkich. Tym nie zajmują się archeolodzy.

Liza odwróciła się i zerknęła z pogardą na Remberta. Ten jedynie wzruszył ramionami.

– Nie musi to pochłonąć całego naszego czasu – odezwał się pojednawczo. – Nie wyklucza tego, żebyśmy prowadzili inną sprawę.

– Mów za siebie, złotousty.

– To tylko negocjacje.

– Nigdy nie negocjuj czegoś, czego nie możesz dać. Rozmawiasz o moim czasie i mojej dupie.

Siwecki przez chwilę przysłuchiwał się tej wymianie zdań, wreszcie z impetem rzucił na biurko teczkę. Kilka kartek się wysunęło, ale nie wypadło. Inspektor poprawił leżące w eksponowanym miejscu etui na pióro z kontrastowym logo.

– Niech wam będzie – odezwał się zmęczonym głosem. – Skoro to wasze marzenie, możecie prowadzić dochodzenie co do bezczeszczenia i wykradzenia zwłok. Droga wolna. Ale stawiam trzy warunki.

Langer założyła ręce na piersi i utkwiała w inspektorze wyczekujące spojrzenie.

– To znaczy? – zapytała oschle.

Siwecki odwrócił twarz w stronę wiatraka.

– Po pierwsze, nie wejdziecie w konflikt z prokuratorami IPN-u.

– Mhm.

– Po drugie, działacie formalnie. Żadnego kombinowania na własną rękę.

– Mhm. A po trzecie?

– Po trzecie, równocześnie będziecie zajmować się inną sprawą. I to ona... – inspektor władczo uniósł palec – ...ma być waszym priorytetem.

– Zgoda, zgoda, zgoda. – Langer wyprostowała się i błyskawicznie odzyskała humor. – Co to za druga sprawa? – zapytała, udając szczere zainteresowanie.

22.

Przez kilka sekund Siwecki przeglądał plik leżących na biurku dokumentów. Ślinił opuszki palców, po czym ponownie przekładał papiery. Porządkował je, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

– Sprawa jest delikatna... – wyszeptał bardziej do siebie niż do podwładnych.

Nagle odsunął teczkę na bok i się wyprostował. Zsunął okulary na sam czubek nosa, a następnie ponad szklami zaczął uważnie lustrować Lizę i Oresta. Wyglądał, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał. Wreszcie mlasnął i poprawił okulary. Był to znak, że podjął ostateczną decyzję.

– Kojarzycie Piotra Gromczyńskiego? – zapytał.

Langer wymieniła z Rembertem zaciekawione spojrzenia. Oboje skinęli głowami.

– Chodzi o tego milionera i właściciela firmy produkującej wytworne jedzenie? – dopytał przezornie Orest.

– LuxFoodu – sprecyzował Siwecki. – A także członka zarządu lub głównego udziałowca kilkunastu innych sporych firm. Od gastronomii przez kosmetyki po jakieś szczepionki. Zdaje się, że po drodze są również zabawki dla dzieci.

– Człowiek orkiestra – skwitowała Liza. – Coś narozrabiał?

– Nie.

– Więc to jemu się coś stało?

– Też nie. Jezu, Liza, czy ty musisz wiecznie przerywać?

Langer w przeproszającym geście uniosła dłonie. Wyprostowała się i zaraz założyła ręce za plecy. Poczowała na ramionach ożywczy powiew wiatraka.

– Od jakiegoś czasu Gromczyński dostaje pogróżki – podjął Siwecki. – Może to nic dziwnego, bo w biznesie ponoć kawał z niego sukinsyna, ale stają się coraz bardziej wymowne. Ktoś się na niego wziął. Jeden, drugi czy trzeci list można potraktować jako durny żart albo zwykłe zawracanie dupy. I tak Gromczyński zrobił. Ale wczoraj dostał przesyłkę dosłownie w mafijnym stylu.

Siwecki sięgnął do biurka i wyciągnął butelkę wody. Napił się jej prosto z gwinta, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

– Łeb konia czy rybę? – spytał Orest.

Langer stała nieco z boku, nie ukrywając, że sprawa pogróżek stanowi dla niej policzek. Mógł ją prowadzić byle kto. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent zastraszeń w biznesie to czcze gadanie, okraszone zaskakującą formą. Zazwyczaj pochodzi od konkurenta zza płotu. Poważni biznesmeni są doskonałymi znawcami psychologii. Wiedzą, że czasem wystarczy wprawić rywala w gorszy nastrój, dać mu powód do choćby znikomych zmartwień lub rozproszenia myśli, a akcje jego firm zanurkują. Podejmie taki jedną lub drugą pospieszną decyzję albo chlapanie przed kamerami coś niestosownego. W pogróżkach nie chodziło o ich zrealizowanie. Zazwyczaj wystarczało zaprzątnięcie nimi myśli biznesowego konkurenta.

– Akurat Gromczyński dostał całą pakę zgniłego mięsa – sprecyzował Siwecki.

– Może któryś z klientów odesłał mu luksusową wołowinę? Może mięso argentyńskich krów okazało się dla niego zbyt orientalne?

Inspektor spojrział na Langer spode łba. Zerknął, czy w filiżance nie ma resztki kawy, po czym z irytacją odsunął ją na sam skraj biurka.

– Będziesz musiała ustalić to osobiście – stwierdził z szyderczym uśmiechem.

– Naprawdę nie można tego syfu przydzielić komuś innemu?

– Nie.

– Po prostu nie?

Langer była wściekła. Przed ostentacyjnym wyjściem z gabinetu szefa hamowało ją tylko to, że pozwolił jej prowadzić sprawę szczątków. Wiedziała, że w każdej chwili Siwecki może jej ją odebrać. Teraz to była jego karta przetargowa. Poza tym Liza była zbyt dobra, aby mógł wyciągnąć wobec niej surowsze konsekwencje. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Syndrom Malevica? Nieważne, jak się to nazywało, ale wewnętrzny imperatyw kazał jej doprowadzić tamtą sprawę do końca. A pogróżki w świecie biznesu? W nich nie było żadnej tajemnicy. Zastanawiało ją tylko, dlaczego ten syf przydzielono właśnie jej. Siwecki jakby wyczuł to niewypowiedziane pytanie.

– Gromczyński prosił konkretnie o ciebie – powiedział uroczyście. – Zdaje się, że zaimponowała mu twoja robota przy Ślepcu.

Rembert z uznaniem pokiwał głową.

– Dobrzy biznesmeni dobierają najlepszych współpracowników.

Langer milczała. Z chmurną miną ruszyła w stronę drzwi.

– On ma kilka fundacji – dodał pospiesznie inspektor. – Za darmo leczy ludzi. I robi to o niebo lepiej niż NFZ. Do tego założył jadłodajnię dla ubogich oraz jakiś przytułek. Ma świetny PR, więc chyba wiesz, co to znaczy?

Langer zatrzymała się przy drzwiach, ale wciąż milczała.

– Są ludzie, którym się nie odmawia. – Siwecki odpowiedział na własne pytanie. – Jeżeli czegoś chcą, po prostu się im pomaga. Koniec, kropka.

– Nie jestem panienką do wynajęcia na godziny.

– Jesteś. W pewnym sensie cała policja taka jest.

Po tych słowach inspektora Liza wyciągnęła dłoń do klamki. W tym samym momencie ktoś zapukał i drzwi się otworzyły. W progu stanął sierżant, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Był

przystojnym brunetem z ładną, świeżo przywiezioną z zagranicy opalenizną. Najpierw popatrzył na Langer, potem na Remberta, wreszcie utkwiał wzrok w inspektorze.

– Przepraszam... – wydukał. – Co do tej przesyłki dla doktora Gromczyńskiego... Laboratorium prosi o pilny kontakt. I to naprawdę pilny.

Siwecki podniósł się z fotela i łypnął na Lizę.

– Właśnie przydzieliłem tę sprawę komisarz Langer. Ona się tym zajmie najlepiej, jak potrafi.

23.

– Dowiedz się, jaka jest skala zniszczeń w kostnicy. Czy Zalewski już opanował sytuację i czy przywieźli mu nowe szczątki. – Langer pędziła korytarzem komendy i starała się uporządkować myśli. Rembert podążał tuż obok niej, kiwając co chwilę głową na znak, że przyjął do wiadomości jej polecenia. – Potem ustalił, czy w okolicy zakładu medycyny sądowej jest jakiś monitoring. Czasem jakiś sklep albo firma rejestrują obraz z ulicy lub chodnika. Albo może jakiś stróż czy sprzątacznik widział kogoś z podejrzeniem dużą walizką.

Zatrzymała się przy automacie z kawami. Rembert stanął obok niej.

– To czysto policyjna robota. Nie zapominaj, że jestem psychologiem.

– Nie interesuje mnie, co wpisali ci do zaszeregowania. – Liza wrzuciła monetę i wybrała numer napoju. – Siedzisz ze mną w gabinecie, a ten gabinet znajduje się w komendzie. Na komendach pracują gliniarze. Ja jestem gliniarzem, więc wszystko przemawia za tym, że ty też jesteś gliniarzem. Rozumiesz?

– Nawet jeśli, to będę potrzebował ludzi.

– Dokoptuj sobie parę osób z wydziału. Powołuj się na moje polecenie służbowe i na Siweckiego. Każ Róży Burzy skontaktować się z ludźmi w terenie. Zamiast szukać cienia, niech się zajmą robotą.

– A ty?

Langer wyjęła z automatu dużą americanę. Mimo że z kubka unosiła się para, natychmiast pociągnęła z niego spory łyk. Spojrzała rozanielona.

– Ja udam się na zsyłkę do laboratorium. Dowiem się, czego chcą i czy ta sprawa Gromczyńskiego to nie jeden wielki pic na wodę.

– Znowu podejrzewasz, że złe siły chcą cię odciągnąć od ważnej roboty?

– Nie kpij.

– Nie kpię. Po prostu pytam.

Rzeczywiście, Langer nie dostrzegła na twarzy Oresta ani śladu ironii. Być może jej paranoja nie miała żadnego uzasadnienia. Może Siwecki w niczym nie pomagał Chojeckiemu, a Chojecki nie miał najmniejszego związku ze skokiem na bank. Może, może...

Pociągając kolejny łyk, wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale każda sprawa, którą starają się mi odebrać, nabiera teraz dla mnie podwójnego znaczenia. Dlatego przyłóż się do roboty. Ciao!

Nie czekając na reakcję Oresta, ruszyła do wyjścia. Gdy tylko znalazła się w samochodzie, sięgnęła po lufkę i zapaliła papierosa. Wyjeżdżając z parkingu, dopiła resztkę kawy. To połączenie sprawiło, że poczuła się lepiej.

Do laboratorium mogła, co prawda, zadzwonić, lecz większość rozmów telefonicznych sprowadzała się do tego, że wkrótce technicy prześlą raport. Raport ten należało następnie godzinami analizować i tłumaczyć na ludzki język. Langer nie chciała tracić na to sił ani czasu. Poza tym liczyła, że jednocześnie dowie się czegoś o szczątkach. Koronnym argumentem była odległość. Pokonanie nieco ponad kilometra dzielącego komendę od laboratorium powinno zająć jej chwilę. Dopiero gdy zobaczyła rząd aut z pojemnikami na deski windsurfingowe na dachach, zawróciła na parking. W zatoce miały się w najbliższych dniach rozgrywać zawody, a uczestnicy, nie wiedzieć czemu, wybrali akurat tę trasę.

Zostawiła auto i szybkim krokiem ruszyła w stronę laboratorium. Droga zajęła jej równy kwadrans. W symbolicznej stróżówce ustaliła numer pracowni, z której kontaktowano się z Siweckim.

Po chwili trafiła do sporego pomieszczenia ciasno zastawionego nowoczesnymi czarnymi meblami. Na lśniących blatach stały rzędy laptopów, drukarek oraz innych sprzętów. Pod sufitem podwieszony był gigantyczny ekran, na którym obecnie wyświetlał się slajd rodem z podręczników do biologii.

– To powiększony obraz z mikroskopu. – Niska, pulchna laborantka wyciągnęła do niej rękę. – Maria Lasocka.

Langer uścisnęła jej dłoń i również się przedstawiła.

– Co jest na tym slajdzie? – zapytała, wiedzona chwilową ciekawością.

– Komórka. Przynajmniej w uproszczeniu.

– Mhm...

Liza nagle straciła zainteresowanie obrazem. Odwróciła się do laborantki i zmrużyła oczy.

– Powiedziano mi, że macie jakieś istotne informacje w sprawie doktora Gromczyńskiego.

Lasocka skinęła głową.

– Przebadaliśmy zawartość paczki, którą dostał.

– To zgniłe mięso odesłane od niezadowolonego klienta?

– Dwa razy pudło.

Langer badawczo spojrzała na laborantkę.

– Takie informacje miałam od przełożonego.

– To całkiem świeże mięso – wyjaśniła kobieta. – Tylko ktoś wpuścił do niego specjalne mięsożerne robaki. Przez to wyglądało jak zgniłe.

– Może komuś nie smakowało i wpadł na taki pomysł, żeby je zareklamować? Choć najwyraźniej zapomniał załączyć karteczki z danymi i numerem konta.

– To z pewnością nie była paczka od niezadowolonego klienta.

– Skąd ta pewność?

Langer nie spuszczała wzroku z laborantki. Ta uciekła onieśmielonym spojrzeniem w bok. Należała do ludzi, którzy więcej czasu spędzają nad mikroskopem, niż rozmawiając o rezultatach swojej pracy.

– Bo to mięso ludzkie – sapnęła.

24.

Langer odzyskała animusz dopiero po kilku sekundach milczenia. Odruchowo przeczesła palcami włosy i upewniła się, że są właściwie związane. Głośno wypuściła powietrze.

– Ulala... To się porobiło – mruknęła pod nosem. Przez chwilę starała się zebrać myśli. Wreszcie spojrzała na ekran telewizora i wymierzyła w niego palcem. – Stwierdziliście to na podstawie różnicy tkanek, DNA czy jak?

Laborantka wyglądała na dotkniętą tym pytaniem. Wyjęła z kieszeni złożoną na trzy kartkę papieru, po czym podała ją Lizie.

– Proszę bardzo, to wyniki badań aminokwasów w białkach. – Rzuciła kartkę na biurko obok, po czym ponownie sięgnęła do kieszeni. Tym razem wyjęła z niej wskaźnik laserowy. Zatoczyła nim koło na wyświetlonej na telewizorze grafice. – Widzi pani? Stwierdzając obecność osteocytów, osteoblastów, osteoklastów można ocenić, że to tkanka kostna. Jej drobny odprysk znaleziony w mięsie. Jeżeli...

Langer uśmiechnęła się porozumiewawczo. Zrozumiała, że właśnie zafundowała sobie przedsmak tego, co znalazłaby w raporcie.

– Dość, dość, dość – powtórzyła, wciąż się nerwowo uśmiechając. – Nie musi mnie pani torturować. Pojmuję, że nie ma mowy o żadnych wątpliwościach.

– Żadnych – zapewniła kategorycznie Lasocka. – Nie mam żadnych wątpliwości. Poza tym gdybym pokazała pani zdjęcie... – Odłożyła wskaźnik laserowy i podeszła do jednego z czarnych biurek. Wzięła z niego niewielki pilot. Kilkukrotnie nacisnęła guzik, przełączając slajdy. Na ekranie telewizora wyświetlały się kolejne obrazy, które Langer kojarzyły się jedynie z podręcznikiem do biologii. – O, właśnie. Jest. Proszę spojrzeć. – Lasocka skinęła głową w stronę ekranu. Tym razem wyświetlało się na nim zdjęcie, które nie budziło wątpliwości. Przedstawiało starannie umyty z krwi fragment ciała. Fotografię wykonano od strony rozcięcia. Widoczne były zbrylone mięso, żółta tkanka tłuszczowa oraz biała główka kości.

Laborantka znów przełączyła obraz. Na kolejnym ujęciu uchwycono tę samą część ciała, ale z innej perspektywy. Gładka, jasna skóra była poharatana tylko na krótkim odcinku. Poza tym wyraźnie było widać zarys mięśnia. Zwężający się kształt oraz podwójna kość, wystająca z mięsa po cieńszej stronie, nie pozostawiały wiele miejsca wyobraźni.

– To łydka – wycedziła Langer.

– Zgadza się. łydka białej, dwudziestokilkuletniej kobiety, której wzrost wstępnie oszacowałabym na mniej więcej sto siedemdziesiąt centymetrów. Plus minus dwa.

– Czy ten ktoś... Czy ta ofiara mogła to przeżyć?

Laborantka nie była zaskoczona pytaniem. Odłożyła pilot i odwróciła się do komisarza. Przez chwilę przyglądała się jej koszuli, wreszcie przeniosła wzrok gdzieś za jej plecy. Odezwała się, patrząc w nieokreślony punkt, jak dziecko recytujące wiersz z pamięci.

– Amputacje wykonuje się od tysięcy lat i ludzie są w stanie je przeżyć. Jeżeli operujący ma choć szczątkowe pojęcie o tym, co robi, szanse na to są naprawdę spore. Trzeba umiejętnie odciągać skórę i mięśnie, a do tego uciskać naczynia, aby zapobiec krwotokowi. Choć na przykład lekarze Napoleona mieli specjalny przyrząd, *tourniquet*, coś w rodzaju imadła, które zaciskano ponad miejscem cięcia i...

– Dziękuję! To mi wystarczy. Interesowało mnie tylko, czy ta osoba mogła to przeżyć.

– Mogła.

– Ale na podstawie tego fragmentu ciała nie możemy mieć co do tego pewności?

Laborantka pokręciła głową.

– A te robaki?

– To larwy *Platystoma lugubre*. Jestem przekonana, że nie zagnieździły się w mięsie same z siebie. Umieszczono je tam w wydrążonych kanałach. To dlatego fragment łydki został rozcięty.

– Spotkała się pani z czymś podobnym?

– Nigdy.

Langer zanotowała na telefonie nazwę owada, po czym podpisała podsunętą przez laborantkę krótką notatkę służbową.

– Mamy nadgorliwego szefa – wytłumaczyła się Lasocka.

Liza machnęła ręką.

– Wiem coś o tym. Aż za dobrze.

Pożegnały się, po czym Langer w zadumie powlokła się do wyjścia. Kobieta, którą pozbawiono nogi, wciąż mogła żyć. Mogła czekać, aż jakiś szalenciec zabierze się za nią ponownie. Przestało to przypominać zwykłą przepychankę biznesmenów. Spodziewała się, że Siwecki nie będzie zadowolony z takiego obrotu spraw. Sama czuła przyjemny dreszcz emocji i satysfakcję, że pojawiła się kolejna godna rozwiązania zagadka. Rembert miał rację. Właśnie to napędzało ją do życia. Syndrom Malevica? Tak to nazwał?

W drodze powrotnej na komendę zdała inspektorowi przez telefon krótką relację. Siwecki, zgodnie z przypuszczeniami, przyjął ją wymownym milczeniem. Dopiero po kilku sekundach wybuchnął tyradą o konieczności przydzielenia Gromczyńskiemu ochrony. Zagrożenie jego życia lub zdrowia stawało się uzasadnione. Gdy Langer zauważyła, że obecnie ważniejsze wydaje się jej zdrowie kobiety, której nogę amputowano, inspektor jedynie głośno parsknął. Szykował się zapewne do riposty, ale Liza usłyszała w słuchawce regularne pikanie. Ktoś usiłował się do niej dodzwonić.

Odsunęła komórkę od ucha i zerknęła na wyświetlacz. Wciąż ściskając telefon w dłoni, krzyknęła w stronę mikrofonu:

– Inspektorze, przepraszam, muszę kończyć!

Przyjęła drugą rozmowę.

– Tak? Coś nowego? – zapytała, przytrzymując telefon między uchem i ramieniem.

Odezwał się niski, nosowy głos doktora Zalewskiego:

– Mam ciekawe wieści.

25.

Ciemność przemieniła się w jasność, a jasność przybrała postać światła – intensywnego białego światła padającego jej prosto na twarz. Jakby

lampa stomatologiczna została kilkakrotnie powiększona i skierowana prosto na jej oczy.

Kobieta się ocknęła. Powoli odtwarzała wspomnienia. Starła się przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Kim jest. Dlaczego nie ma przy niej...

Nie było nikogo, kto miałby przy niej teraz być.

Piekielny ból rozsadzał jej nogę. Poruszyła nią, ale coś było nie tak, jak powinno. Czuła ból nogi, a jednak nie mogła nią w ogóle poruszyć. Choć wspierała się na biodrze, nie potrafiła zgiąć palców. Nie mogła wygiąć kolana ani unieść łydki.

Nagle wszystkie wspomnienia ożyły. Zapach krwi, potu i moczu wdarł się w jej nozdrza z podwójną mocą. Znowu trafiła do rzeczywistego świata z otchłani, w którą kilka godzin wcześniej zepchnął ją piekielny ból.

Sadysta, który odciął jej nogę od połowy uda, później jeszcze dwukrotnie poprawiał cięcie. Na jej oczach rzucił jej kończynę na stół obok. Dysząc ze zmęczenia, przepiłował ją na wysokości kolana. Jakby obrabiał kawałek drewna. Piłowane kości trzeszczały. Zęby piły grzechotały o nie przy kolejnych ruchach. Porywacz babrał się w jej mięśniach, tłuszczu i ścięgnach. Pracował jak makabryczny rzeźnik.

Kobieta nie pamiętała, co się stało później. Ból, który rozlał się po całym jej ciele, odebrał jej przytomność. Teraz znowu powracał. Do tego, choć kątem oka poniżej swojego biodra widziała pusty, zakrwawiony stół, czuła szarpanie odciętego mięśnia. Czuła wyrwane spod jej skóry i rozciągnięte ścięgna. Czuła pieczenie...

Kilka metrów od siebie dostrzegła cień. Poruszył się i zbliżył w jej stronę.

– Teraz... – odezwała się, lecz zabrakło jej tchu. W trakcie tej barbarzyńskiej amputacji zaciskała zęby tak mocno, że kilka z nich pękło lub się rozkruszyło. Czuła, że lada moment ich szczątki mogą wypaść z dziąseł. – Wypuścisz mnie? – wybełkotała.

– Nie mogę – odparł nieznajomy. W jego głosie brzmiało współczucie. – Musisz mi uwierzyć, że chcę dla ciebie dobrze. Chcę dobrze dla całego świata.

– Co ty pierdolisz?! Wy...

Znów straciła dech. Przełknęła ślinę zmieszaną z krwią. W gardle poczuła kawałki zębów.

– Słucham?

– Wypuść mnie. To będzie dla mnie dobre... Błagam.

– Jesteś samolubna. Powiedziałem o dobru całego świata, a ty zaraz skupiasz się na sobie. To egoizm, przez który świat staje się z dnia na dzień coraz gorszy.

Sadysta podszedł do niej od tyłu i pogładził ją po włosach. Były mokre od potu, jakby przed chwilą je umyła. Nawet gładzenie sprawiało jej ból.

Poruszyła się. Miała wrażenie, że jej prawa noga po prostu zdrętwiała. Czowała jej obecność i tępe mrowienie podobne do tego, gdy źle się ułożyła w trakcie snu. Obróciła głowę, lecz poniżej biodra widziała jedynie owinięty zakrwawionym bandażem kikut.

– Proszę...

Sadysta nie przestawał jej gładzić po włosach.

– O nic nie prosz. Mogę zrobić dla ciebie tylko jedno.

– Co takiego?

– Zdradzić ci, co się stanie wkrótce.

Kobieta przełknęła ślinę i starała się skupić wzrok na cieniu za sobą. Nie miała jednak siły tak mocno wygiąć karku. Przymknęła oczy i poczuła, że po policzkach płyną jej łzy.

– Cccoo... – załkała. – Ccoo się stanie wkrótce?

– Będzie bolało. Znacznie bardziej niż dotąd.

26.

– Co to za ciekawe wieści? – zapytała Langer.

Patolog powoli wypuścił powietrze w słuchawkę. Najwyraźniej przez ostatnie godziny zdołał się już nieco uspokoić.

– Zabrałem się jeszcze raz do badania tych zwłok, których nie ukradziono. Poza tym dostałem trzy kolejne mumie.

– I?

– Znalazłem cechę wspólną.

Langer krążyła po parkingu komendy. Nie chciała wchodzić do środka, bo w holu wejściowym często traciła zasięg. Schroniła się w cieniu kilku rosnących przy ogrodzeniu drzew. Zaczynało się robić potwornie gorąco, a bezchmurne niebo nie dawało nadziei na choćby krótką burzę, która by oczyściła pełne pyłu powietrze.

– Wszystkie pozostałe szkielety pozbawione są kręgu L1 – ciągnął patolog – najniżej położonego kręgu lędźwiowego. Tego, który graniczy z kością krzyżową.

– O ile nie przespałam jakiejś lekcji, zdaje się, że bez kręgów nie da się żyć?

– Akurat musiała pani nie spać.

– Ale te konkretne usunięto po śmierci?

Zalewski wymownie westchnął.

– Wszystko wskazuje, że za życia – odpowiedział po chwili. – Dzięki temu udało mi się ustalić przyczynę zgonu każdej z tych osób.

– Czyli to nie gaz ani strzał w głowę?

– Nie. Tamto to były oddzielne przypadki. Mogę wszystko zaprezentować pani na miejscu, póki znów ktoś się nie włamie. Albo przesłać mailem.

– Mail – zdecydowała Langer. – Będę czekać.

Podziękowała patologowi za telefon i się rozłączyła. Jej entuzjazm dla sprawy dawnych szczątków mimo wszystkich współczesnych wątków chwilowo został wyparty przez zafrasowanie. Musiała działać jak najszybciej. Być może kobieta, którą pozbawiono nogi, wciąż żyła. Poza tym jaki sukinsyn jest zdolny do tak okrutnego okaleczenia, byle tylko wysłać swojemu konkurentowi makabryczną paczkę? I wreszcie, co tak naprawdę miałyby oznaczać ta przesyłka? Sprawa, którą jeszcze przed godziną zamierzała – delikatnie mówiąc – olać, nieoczekiwanie stała się priorytetem. Mnożące się pytania przyciągały ją jak magnes.

Syndrom Malevica.

Syndrom tropiącego psa.

Gdy przekroczyła próg komendy, coś przyszło jej do głowy. Rozwiązanie przerażające, ale najprostsze. A właśnie te sprawdzały się najczęściej. Dokładnie to przedstawiał wielki plakat z mężczyzną sięgającym do

torebki staruszki w zatłoczonym autobusie. Podpis brzmiał: „Jesteś świadkiem przestępstwa? Nie zastanawiaj się. Zadzwoń lub wyślij SMS pod numer alarmowy”.

Liza szybko popędziła na górę. Tęsknym wzrokiem łypnęła na automat do kawy, ale nie zatrzymała się przy nim. Nie miała na to czasu.

Gdy wpadła do gabinetu, ten w pierwszej chwili wydawał się pusty. Jej uwagę zwróciła jedynie tłukąca się kołyska Newtona. Dopiero kiedy zrobiła kilka kroków, kątem oka dostrzegła cień w głębi pomieszczenia. Cień się poruszył i zamruczał.

Orest leżał na podłodze, w wyciągniętej dłoni trzymał książkę, a drugą rękę miał podłożoną pod głowę. Nagle poderwał się i rzucił książkę na biurko. Spojrzał na nią roziskrzonymi oczami.

– Dzwonili z zakładu, że nie mogą się z tobą skontaktować. Odnaleziono kolejne szkielety i we wszystkich usunięto jeden z kręgów, co było bezpośrednią przyczyną śmierci. Do te...

Langer weszła mu w słowo.

– Wiem. W końcu się dodzwonili.

Rembert nie dał się zagłuszyć. Staął przy oknie, a z jego ust wylewał się potok słów wypowiedzianych podekscytowanym tonem.

– Przez przypadek miałem tu książkę, która pokazuje zwyczaje poznane dzięki wyprawie Himmlera do Tybetu. Właśnie tam esesmani i naukowcy...

– Oreście...

– Poznali kilka ciekawych technik...

– Oreście! Daj spokój, nie mamy na to teraz czasu!

– Jak to?

Rembert spojrzał na nią zaskoczony. Przeczesał dłonią blond czuprynę i zmarszczył czoło. O tej porze krawat jeszcze szczelnie zaciskał się pod kołnierzykiem jego śnieżnobiałej koszuli.

– Wiesz, czy Gromczyński ma córkę albo młodą żonę? – zapytała bez ogródek, zmierzając do zweryfikowania swojej najprostszej teorii.

Orest delikatnie pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. A co?

– Opowiem ci w aucie. – Langer zabrzączała kluczykami. – Chodź.

– Wybierasz się gdzieś?

– Mamy trochę pracy w terenie.

– My?

Liza pospiesznie sprawdziła wewnętrzną pocztę, ale nie znalazła w niej żadnych istotnych wiadomości. Na serwerze również nie pojawiło się nic nowego. W kilku słowach opowiedziała o wynikach badań laboratorium. Rembert wyglądał na totalnie zaskoczonego. W końcu Langer niemal biegiem ruszyła do wyjścia.

– Wreszcie się do czegoś przydasz – bąknęła zamyślona. – Zobaczymy, co Gromczyński ma nam do powiedzenia i jak zareaguje na najnowsze wieści. Zdaje się, że profilowanie to twoja brocha. Zgadza się?

– Profilowanie to złożo...

– Tak, wiem. – Langer nie dała mu dokończyć. – Himmler może poczekać. Tak samo trupy sprzed kilkudziesięciu lat, nawet jeżeli miały złote zęby. Musimy zająć się żywymi.

– Mam nadzieję, że żywymi – poprawił ją Rembert.

27.

W aucie Langer zadzwoniła do Róży Burzy i kazała jej przesłać na swoją prywatną pocztę informacje o zgłoszonych w ostatnich dniach zaginięciach kobiet. Zawęziła ich wiek do przedziału między osiemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia. I tak zostawiła szersze widełki niż to wstępnie oszacowano w laboratorium. Choć były wakacje, więc sezon zaginięć i zniknięć kwitł w najlepsze, nie spodziewała się zbyt wielu wyników.

Od lat w Polsce występował podobny wskaźnik liczby zaginionych: około dwudziestu tysięcy osób rocznie. Blisko połowę stanowiły dzieci i nastolatki. Liczba zaginionych wzrosła, gdy definicję zaginięcia rozszerzono na ofiary tak zwanych uprowadzeń rodzicielskich. Sporo było też osób w podeszłym wieku. Biorąc pod uwagę wszystkie grupy, wśród poszukiwanych było więcej mężczyzn niż kobiet.

– Zaginione z jakiego obszaru nas interesują?

Pytanie padło, gdy Langer starała się wstępnie oszacować możliwą liczbę wyników.

– Niech będzie, że w całym województwie. Wykraczanie poza nie ma sensu.

Nie sądziła, żeby porywacz tak się fatygował. W końcu nie wysłał Gromczyńskiemu paczki za pośrednictwem firmy kurierskiej, tylko musiał nadzorować operację na miejscu. Langer wątpiła, by zrobił to osobiście, lecz wszystko było możliwe. Często najwięksi szaleńcy chcieli spojrzeć wprost w twarze swoich ofiar. Bo ofiarą była nie tylko uprowadzona kobieta. Gromczyński także.

Nie miała pojęcia, na czym obecnie stoją.

Poza przekazaniem paczki laboratorium wczoraj w sprawie nie zrobiono kompletnie nic. Potraktowano ją jako zwykłe zawracanie głowy, które może zepsuć statystyki. Teraz wszystko się diametralnie zmieniło.

Róża Burza obiecała działać niezwłocznie i odłożyła słuchawkę.

– Czyją nogą chciałbyś nastraszyć konkurenta biznesowego lub coś mu przekazać? – Langer zwróciła się do Remberta.

Orest spojrział na nią zaskoczony. Obrócił się w fotelu, odciągnął pas i oparł tyłem głowy o szybę.

– Dlaczego zakładasz wersję, że to konkurent biznesowy?

– Nie wiem. To pierwsze, co przychodzi mi na myśl.

– Jak dla mnie to nie przejaw gierki między biznesmenami, tylko klasyczna sprawa prywatna. Osobiste porachunki. Może wendeta.

– Mów mi więcej, Oreście. Wreszcie wiem, za co ci płacą.

Rembert nie podzielał entuzjazmu komisarz.

– To wszystko źle wróży porwanej – wycedził.

– Już brak nogi wróży jej wystarczająco źle.

– Tak, ale w pełni zgadzam się z tym, że to nie może być ktoś całkowicie obcy. Ktoś spoza świata Gromczyńskiego. Wtedy ta przesyłka byłaby szokująca, ale nie miałyby elementu zastraszania. W końcu co cię interesuje noga Zośki czy Anki, choćby jedna czy druga mieszkała za płotem?

– O ile nie masz na tym punkcie fetyszu, to nic.

– Właśnie. Kompletnie nic. Pewnie kilka osób puściłoby pawia, ktoś stracił przytomność, a ktoś inny dostał ataku serca, ale raczej nie to

miął na celu nadawca przesyłki.

– Sugerujesz, że krąg zaginionych, na których powinniśmy się skupić, należy ograniczyć do znajomych Gromczyńskiego?

– Nie. – Orest pokręcił głową. Odszukał dźwignię regulacji fotela, ale ten był maksymalnie odsunięty. Mimo to i mimo że siedział bokiem, jego kolana dotykały deski rozdzielczej.

– GPS pokazuje, że jeszcze tylko siedem minut – uspokoiła go Langer.

Gdyby nie niespodziewany korek w okolicy stadionu Energi, być może dojechaliby jeszcze szybciej. A tak znaleźli się w punkcie docelowym, gdy zegar w aucie wskazywał dwunastą trzy. Opóźnienie względem założeń nawigacji sięgnęło prawie kwadransa.

– Całkiem ładnie... – Rembert wysiadł z samochodu i gwizdnął. Z ulgą się przeciągnął, po czym zrobił kilka szybkich skłonów.

Gromczyński z synem mieszkali w sporym domu na Brzeźnie. Nieruchomość została otoczona wysokim murem, lecz była widoczna przez metalowe szczeble bramy. Była to zapewne międzywojenna willa, odrestaurowana i przebudowana w nowoczesnym stylu. Spora działka robiła imponujące wrażenie na tle powszechnych tutaj domów stojących przy samej ulicy.

– Myślisz, że konserwator zabytków pobłogosławił tę przebudowę?

Langer nie odpowiedziała. Podeszła do ogrodzenia i przytrzymała przycisk domofonu. Gromczyński odebrał niemal od razu. Najwyraźniej spodziewał się wizyty policji.

28.

– Napisz do Róży Burzy, żeby ustaliła, co się stało z jego żoną – poleciała Orestowi, gdy weszli na wykładany eleganckimi kamieniami podjazd. Skinął głową i pospiesznie sięgnął po telefon.

Kilka minut później razem z Piotrem Gromczyńskim siedzieli przy szklanym stoliku na tarasie jego okazałego domu. Część frontu willi była przeszklona, a na taras prowadziły automatycznie rozsuwane drzwi.

Światła solarne reagowały na ruch. Langer zwróciła również uwagę na system sterowania głosowego. Poza gadżetami i nowoczesnymi fragmentami willi posesja niczym się nie wyróżniała. Miała równo przystrzyżony trawnik, część ogrodową z kilkoma egzotycznymi roślinami, a w jej rogu znajdowała się mała altana z grillem. W niewielkim basenie pływał sprzęt oczyszczający.

Gospodarz przyniósł wodę oraz dwie szklanki. Sam raczył się rozcieńczonym burbonem z lodem, który wcześniej kurtuazyjnie zaproponował Langer i Rembertowi. Ci z żalem odmówili.

Liza nie zamierzała tracić czasu na grę wstępną. Choć biznesmen był wyraźnie zdenerwowany, zaczęła od konkretów. Niemal zawsze wychodziła z założenia, że *small talk* to zwyczaj godny angielskich snobów, a nie ludzi czynu.

– Są tu jakieś kamery? – zapytała, obejmując dłońmi zimną szklankę.

– Niestety...

– Zdaje się, że dom jest napchany elektroniką.

– Która ma służyć wygodzie, ludziom, ułatwieniom! – Gromczyński nerwowo przeczesał palcami rzadkie włosy. – Dla mnie technologia ma łączyć ludzi, a nie ich dzielić. Pomagać, a nie szkodzić. Boże! Ten dom to nie cholerna forteca, która miała być niedostępna. Do dzisiaj nigdy nie miałem podstaw, żeby... – Mężczyzna zawiesił głos. Głęboko nabrał powietrza i pokręcił głową.

– Żeby? – podchwycił Orest.

Gromczyński spojrzał na niego.

– Żeby się bać? – odparł pytająco. – Żeby pomyśleć, że kamery jednak mogłyby się przydać? Sam nie wiem.

– Naprawdę nigdy wcześniej nie miał pan powodu do niepokoju? – zapytała Langer. – Żadnych biznesowych wojen, prób kradzieży, włamań i tak dalej? Wszyscy wiedzą, że jest pan jednym z najbogatszych ludzi w Trójmieście.

– Nieprawda – zaprzeczył.

– Nieprawda, że ma pan kupę forsy czy że ludzie o tym wiedzą?

Gromczyński uśmiechnął się niewyraźnie.

– Pozwoli pani, że o coś zapytam. Czy wiedziała pani, jak wyglądam? Czy widziała pani kiedyś moje zdjęcie albo czytała ze mną wywiad?

Langer zaprzeczyła. Biznesmen ponownie spojrzął na Oresta.

– A pan?

– Też nie.

– No właśnie. Ludzie wiedzą, że Piotr Gromczyński to milioner. Ale jednocześnie nie mają pojęcia, jak on wygląda. Dla sprzedawczyń w sklepie za rogiem jestem jednym z wielu klientów. Dla sąsiadów – dziwakiem, który ma w tej okolicy dom ze sporą działką i nie chce go udostępnić turystom.

Langer napiła się wody. Zmarszczyła czoło i nerwowo zabębniła paznokciem w blat stolika.

– To nieważne – stwierdziła kategorycznie. – Ludzie, którzy mogliby chcieć panu zaszkodzić, dowiedzą się bez problemu, gdzie pan mieszka.

– Może. – Gromczyński wzruszył ramionami. – Tyle że, jak dotąd, najwyraźniej mieli to w nosie. Nawet w biznesie staram się trzymać standardów. Pracuję z ludźmi i dla ludzi. To nie tylko pusty frazes na stronie internetowej mojej firmy.

– Czyli jednak udziela się pan w internecie.

Gromczyński lekceważąco machnął ręką.

– To jedynie slogan bez autora. Stworzony pod presją marketingowców. O! – Nagle się podniósł i wyciągnął obie ręce, wskazując na dom. – Oto mój syn Adam. – Pospiesznie się odwrócił i szeptem dodał: – Na razie nie wie, co za cholerne mięso było w tej paczce. Jeżeli to możliwe, niech tak zostanie...

Biznesmen przyzwał syna gestem i przedstawił mu policjantów. Chłopak uścisnął im dłonie, po czym, zakłopotany, utkwiał spojrzenie w ojcu. Widać było, że są ze sobą blisko. Porozumiewali się niemal bezgłośnie. Gromczyński położył rękę na jego ramieniu.

– To tylko rutynowa rozmowa – wyjaśnił, po czym zwrócił się do Langer: – Podobnie jak państwo, Adam nie rozumie, że ludzie mogą robić głupie żarty. Ta paczka autentycznie go przestraszyła.

– Zmartwiła – poprawił go syn. – Powinieneś być ostrożniejszy, tato.

– Bzdura.

– Ktoś może chcieć przejąć LuxFood. Wchodzisz na giełdę, ustala się cena akcji, a ty...

– Ufam ludziom. – Gromczyński wszedł synowi w słowo.

Langer zauważyła, że jego palce nieco mocniej zacisnęły się na ramieniu chłopaka. Liczyła, że swobodna rozmowa ojca z synem potrwa trochę dłużej, lecz ci zamilkli.

– Może ty będziesz w stanie opisać człowieka, który przyniósł paczkę?
– zwróciła się do Adama.

Młody Gromczyński pokręcił głową.

– Pamiętam, że miał strój przypominający ubrania kurierów. Baseballówka, chyba kurtka z żółtymi elementami i czarne spodnie. Choć nie jestem pewny. Na twarz kompletnie nie zwróciłem uwagi. Na pewno miał czytnik, na którym ojciec się podpisał, mógł to być jednak zwykły tablet z programem do ręcznego pisania. Albo nawet telefon komórkowy. Rysiki wracają do łask.

– Było w tym człowieku cokolwiek charakterystycznego?

Adam, zastanawiając się, przymknął oczy. Obliznął wąskie usta. Nad jego górną wargą zebrały się krople potu.

– Na wewnętrznej stronie nadgarstka miał tatuaż – odezwał się żałośnie. – Coś jak kula ziemiska albo inna planeta. A pod spodem napis, ale ledwie widoczny spod rękawa. Nic więcej nie pamiętam. Przykro mi.

Rembert uśmiechnął się do niego.

– Gdybyś przypomniał sobie cokolwiek...

– Powiem ojcu, a on przekaże wam.

– Tobie również daję moją wizytówkę. Dzwon, kiedy tylko zapragniesz.

Młodzieniec niepewnie sięgnął po kartonik i schował go do kieszeni krótkich spodni. Następnie zerknął na ojca.

– Chciałbym pomóc, ale nic więcej nie pamiętam...

– To nic – zapewnił Gromczyński. – Niczym się nie przejmuj. Jeżeli chcesz, możesz już wracać do swoich zajęć.

Na odchodne klepnął syna w plecy i zdobył się na pokrzepiający uśmiech. Raczej nie wyglądał przekonująco. Gdy Adam zniknął w głębi domu, na twarz biznesmena natychmiast powrócił wyraz poważnego skupienia. Spojrzał na Langer, a potem na Oresta. Przypatrywał się im, jakby szacował, czy może im zaufać. Wreszcie powziął decyzję i pociągnął spory łyk bourbona. Głośno odchrząknął.

– Coś przyszło mi do głowy...

Langer odruchowo pochyliła się nad stolikiem.

– Proszę mówić. Wszystko może się okazać istotne.

– Naprawdę wszystko – podkreślił Orest.

Gromczyński wyprostował się i spojrzał na szklanę z alkoholem, ale po nią nie sięgnął. Po chwili przeniósł wzrok gdzieś w głąb podwórza.

– W jednym z laboratoriów przed kilkoma tygodniami padły wszystkie szczury. Produkt, który testowaliśmy, miał nie być w ogóle szkodliwy dla ich zdrowia. Bardziej chodziło o ostateczną weryfikację przed testami na ludziach... Wtedy wydało mi się to niefortunnym zbiegiem okoliczności. Smutnym wypadkiem przy pracy. Kazałem zamknąć projekt i władowałem mnóstwo forsy w wyjaśnienie, co zaszkodziło szczurom, żebyśmy wiedzieli to na zaś.

– I?

– Nie wiem. Całkowicie o tym zapomniałem. Nie zdziwiłbym się, gdyby moi ludzie uznali, że szkoda na te badania pieniędzy. Skoro projekt jest zamknięty...

– Nie baliby się, że sobie pan o tym przypomni?

Gromczyński parsknął nerwowo.

– Moi pracownicy wiedzą, że rzadko kiedy wracam do przeszłości. Dlatego jestem dobry w tym, co robię. Interesuje mnie tylko przyszłość. Choć ta sprawa rzeczywiście mogła być warta uwagi... Być może popełniłem błąd.

– Czy mógłby pan ustalić, co się stało z tymi szczurami?

– Jasne. Przynajmniej spróbuję...

Langer dopiła wodę i odsunęła szklanę. Pochyliła się jeszcze mocniej nad stolikiem, jej twarz od twarzy Gromczyńskiego dzieliło kilkanaście centymetrów.

– Muszę o to zapytać... – zdobyła się na krótki wstęp. Splotła dłonie i ponuro kiwnęła głową. – Czy w ostatnich dniach zgłoszono zaginięcie jakiegokolwiek kobiety, którą pan znał?

– Nie.

– A może stracił pan z jakąś kontakt? Nie odezwała się, choć miała zadzwonić?

– Też nie.

– Zależałoby mi, aby pan o tym pomyślał.

Gromczyński poruszył się nerwowo. Mlasnął i pochylił głowę.

– Nie ma wokół mnie zbyt wielu kobiet – mruknął. – Kilka pracuje w moich firmach, ale nie mam z nimi bliskich relacji. Jeżeli coś pani sugeruje, może sobie pani od razu darować. Kochałem żonę. I tylko ją.

Langer wyciągnęła dłoń w jego stronę, lecz zatrzymała się w pół ruchu.

– Niczego nie sugeruję. Jedynie liczę na pańską pomoc. – Podniosła się od stolika i zasunęła za sobą krzesło. – Bardzo panu dziękuję. Dołożymy wszystkich starań, żeby to wszystko wyjaśnić jak najszybciej.

Uścisnęła rękę biznesmena, po czym ruszyła do bramy. Usłyszała za sobą kroki Oresta. Nagle stanęła w miejscu i się odwróciła. Psycholog omal na nią nie wpadł.

– Kiedy dokładnie LuxFood wchodzi na giełdę? – zwróciła się do Gromczyńskiego, który wciąż stał przy stoliku.

Mężczyzna ciężko pokiwał głową.

– Za jedenaście dni. Możecie trzymać kciuki.

– Będziemy!

Langer machnęła do niego i ruszyła do wyjścia. Słyszała, jak Gromczyński wydaje krótką komendę, by brama się uchyliła. Gdy znaleźli się z Rembertem na zewnątrz, głośno westchnęła.

– Co o tym myślisz? – zapytała.

Orest wolnym krokiem szedł do samochodu. Założył ręce za plecy i głęboko wciągnął zapach bryzy. Znad morza wiało ożywcze, chłodne powietrze. Z plaży niosły się radosne krzyki. Ulicą szło kilka osób z parasolami oraz ręcznikami.

Rembert zatrzymał się przy peugeocie i oparł o jego bok. Splótł ramiona na piersi.

– Ten człowiek unika wejścia w konflikt nawet ze szczurami eksperymentalnymi... Ma poczucie misji i wyjątkowości technologii. Sprawia wrażenie wizjonera, a nie typowego przedsiębiorcy dorobkiewicza.

– Właśnie. – Langer pstryknęła palcami. – Też tak go odebrałam.

– Choć to, jaki jest, nie wyklucza, że inni nie widzą w nim wroga.

– Masz rację, tyle że...

Liza urwała. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła telefon. W górnym rogu pulsowała czerwona dioda. Komisarz pospiesznie wpisała kod, po czym uruchomiła jedną z aplikacji.

- Dostałam listę zaginionych – wyjaśniła. – Przesyłam ci ją.
 - Przeanalizujemy ją w firmie...
 - Nie. Zrobimy to tu i teraz.
 - Mówisz, że chcesz odbyć jeszcze gorsze spotkanie?
- Langer nie odrywała oczu od ekranu komórki.
- Tu śmierć tylko zapukała. Tam, być może, już weszła do domu.
 - A my będziemy musieli ją zapowiedzieć – skwitował ponuro Orest.

29.

Dochodziła czternasta, gdy Langer dopaliła kolejnego papierosa i wrzuciła go do studzienki kanalizacyjnej. Lista wysłana przez Różę Burzę obejmowała prawie czterdzieści nazwisk. Wbrew prośbie komisarz były to kobiety, których zaginięcie zgłoszono w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Razem z Rembertem Langer analizowała kolejne zgłoszenia. Protokoły sprawy, załączniki, formularze, informacje dostępne o zaginionych w internecie... Wreszcie udało im się odrzucić większość pozycji. Dotyczyły kobiet, które miały rodziny lub znajomych za granicą, które podejmowały tam prace sezonowe, lub tych, które miały problemy małżeńskie. W podobnych przypadkach zaginięcia nie były niczym niezwykłym i poszukiwania znajdowały szczęśliwy koniec. W dalszej kolejności wyeliminowali te zaginione, którym już wcześniej zdarzało się na jakiś czas zniknąć. Niektórzy mieli skłonności do dość regularnego przepadania, choć oczywiście przyświecały im różne motywacje.

W końcu zostały tylko trzy potencjalne ofiary. Langer po raz ostatni porównała karty i wykreśliła jeszcze jedną.

- Skąd wiesz, że to nie ona? – zapytał zaskoczony Rembert.
- Ma prawie sto osiemdziesiąt wzrostu – wyjaśniła komisarz. – Laboratorium oszacowało wzrost naszej ofiary na mniej więcej sto siedemdziesiąt. To zbyt duża różnica.

Prawie pół godziny później zatrzymali się przy ogrodzeniu jednej z posesji w podgdańskim Otominie. Niewielki dom z lat siedemdziesiątych zajmował niemal całą działkę. Znajdował się tuż za pomalowanym na czerwono metalowym płotem. Kilka ozdobnych elementów zdradzało zacięcie artystyczne twórcy, lecz dowodziło jednocześnie jego kompletnego braku talentu. Pomiedzy ogrodzeniem a domem ciągnął się rząd smukłych, nierównych tui. Do drzwi prowadziła kilkumetrowa żwirowa ścieżka.

Gdy Langer podeszła do furtki, po drugiej stronie jak spod ziemi wyrósł mały, zmierzwiony kundel. Zaczął piskliwie ujadać.

Liza mimowolnie się cofnęła. Kątem oka dostrzegła ruch. Za domem, przy granicy z kolejną posesją, przemknął cień.

Stała na palcach i zerknęła ponad tujami.

– Przepraszam! Halo!

Trzy- albo czteroletni chłopiec zatrzymał się i popatrzył w jej stronę. Po chwili z za domu wyszła około siedemdziesięcioletnia kobieta o rumianej, pomarszczonej twarzy. Zmrużyła oczy, po czym zamieniła z chłopcem kilka słów. Następnie, lekko pociągając nogą, podeszła do ogrodzenia.

– Żadnych rozmów! – Pogroziła Lizie palcem. – Żadnych wywiadów!

Langer wymieniła z Orestem zdziwione spojrzenia.

– Jesteśmy z CBŚP – oznajmiła, siląc się na łagodny ton.

– Policja?

– Tak, chcielibyśmy rozmawiać z... – ukradkiem zerknęła na komórkę – z Elżbietą Nisok.

– To moja córka. Przecież ledwo co pojechała... – Starsza kobieta oparła się ciężko na ogrodzeniu. – Poszedł! – wrzasnęła na psa.

Dopiero teraz Liza dostrzegła, że kobieta ma czerwone, przekrwione oczy i obrzmiałe spojówki. Co chwilę pociągała nosem.

– Pojechała? – zapytała zdziwiona. – To ona zgłosiła zaginięcie swojej córki Marty?

– Ona.

– Chcieliśmy właśnie o niej porozmawiać.

– A co tu rozmawiać po raz kolejny! – Staruszka spuściła głowę i szybko się przeżegnała. – Świeć Panie nad jej duszą. Serce pęka, że ten

szkrab będzie musiał się wychowywać bez matki. To była moja jedyna wnuczka, wie pani? Co jej strzeliło do głowy!

Langer powstrzymała się, aby nie zerknąć na Remberta. Na szczęście ten z wyczuciem przejął pałeczkę.

– Rozumiem, że została odnaleziona? – dopytał. – Proszę mi wybaczyć, ale prowadzimy dwie oddzielne sprawy. Być może zaszła...

– Popełniła samobójstwo. Niedawno odcięli ją w lesie.

Liza poczuła dreszcz spływający jej po łydkach.

30.

– Brak śladów przestępczego spowodowania śmierci? Brak udziału osób trzecich? – Langer bębniła palcami w kierownicę. – Przypadek czy nie?

– Przypadki są jak uprowadzenia przez UFO – skwitował Orest. – Można w nie nie wierzyć, ale te się zdarzają. Przyznała to nawet NASA.

Komisarz westchnęła.

– Musimy mieć tę sprawę na oku. Rozumiesz?

– To niemoralne, ale powinniśmy być zadowoleni, że została nam tylko jedna osoba z listy.

Liza jeszcze mocniej uderzyła dłonią o kierownicę. Gwałtownie weszła w zakręt. Tyłem auta zarzuciło, lecz zaraz skorygowała tor jazdy.

– Jezu, co ci się stało? – Rembert przytrzymał się podsufitki. – Skąd te nerwy?

– Za dużo śmierci wokół. Za dużo zbiegów okoliczności...

– Doszukujesz się ich.

– Raczej same na mnie trafiają.

Przez kolejnych kilka minut jechali w całkowitej ciszy. Langer nie zważała na przepisy ruchu drogowego, a Rembert starał się tego nie komentować. Mknęli przez miasto jak oszaleli. Wreszcie zjechała na chodnik i zaparkowała u podnóża dziesięciopiętrowca przy Zabłockiego. Tym razem nie popełnili błędu sprzed godziny. Upewnili się, że rodzice,

którzy zgłosili zaginięcie córki, są w domu i że w jej sprawie nic się nie zmieniło.

W parszywych nastrojach wjechali windą na ósme piętro. Jeszcze zanim zapukali, drzwi otworzyła im zadbana czterdziestokilkulatka. Miała czarne, spięte włosy, okrągłą, ładną twarz i zgrabną figurę. Przedstawiła się jako Beata Nowicka, po czym natychmiast zaprosiła ich do środka.

– Proszę nie ściągać butów – zaproponowała, idąc w stronę salonu.

Niewielkie mieszkanie było czyste, ale znać było w nim upływ czasu. Popękane ściany, obłaząca gdzieśgdzie farba, trzeszczące klepki podłogowe. Pachniało w nim wilgocią oraz niedawno przygotowanym posiłkiem.

– Mąż wróci z pracy za jakiś kwadrans... – Kobieta usiadła przy okrągłym drewnianym stole i wskazała, by uczynili to samo. – Chcecie państwo coś zjeść lub się napić?

Aromat gorącej zupy wywrócił żołądek Langer do góry nogami, ale z niechęcią podziękowała. Orest zrobił to samo. Nie poprosili nawet o wodę, choć oboje po chwili spędzonej na dworze byli spragnieni. Nie chcieli marnować czasu.

– Być może nie będziemy musieli kłopotać pani męża – odezwała się Langer. – Mamy kilka standardowych pytań.

– Wydawało mi się, że te już zadano...

– Tak, tak. Proszę wybaczyć, lecz zależy nam na bardziej wnikliwym zbadaniu sprawy. Pani córka...

– Magda.

– Magda... Ostatni raz widzieli ją państwo w sobotę wieczorem?

Liza pamiętała szczegóły zawiadomienia odebranego przez jednego z posterunkowych, ale niektóre fakty wolała usłyszeć osobiście. Tym bardziej, że Orest miał na bieżąco analizować mowę ciała kobiety. Statystyka, choć niewygodna, potwierdzała, że z ogromem zaginięć związek mają najbliżsi.

– Około dwudziestej pierwszej – sprecyzowała Nowicka.

– Twierdziła, że idzie do koleżanki. Tymczasem koleżanka się zapiera, że nie były umówione.

– Zgadza się. I jak na złość na całej drodze nie ma ani jednej kamery. Rozumie pani? Ani jednej!

– Czy już wcześniej zdarzyło się jej zniknąć na jakiś czas?

Nowicka wbiła w Langer spojrzenie.

– Nigdy. To porządna dziewczyna. I z góry ubiegnę pani pytanie, nie, nie byliśmy pokłócone, a mąż nie wydarł się na nią za spotkanie się z nowym chłopakiem czy oblany egzamin na studiach.

Langer przygładziła dłonią włosy. Przysunęła krzesło bliżej stołu.

– Oczywiście Magda nie ma ani nowego chłopaka, ani nie oblała egzaminu – dodała pospiesznie Nowicka. – To tylko przykład.

– Wiemy jednak, że miała konflikty z prawem – wtrącił się Orest.

– Drobnostki i głupoty.

– Ale jednak...

Nowicka przewróciła oczami.

– Zły glina? – Wskazała na Remberta, po czym zwróciła się do Langer:

– A pani robi za dobrego?

– W tej sprawie wszyscy jesteśmy po tej samej stronie i chcemy pani pomóc – podkreśliła komisarz. – To nie przesłuchanie, a rozmowa, która ma przybliżyć nas do znalezienia pani córki.

Nowicka głośno wypuściła powietrze.

– Dobrze, dobrze... Przepraszam. Tak, Magda miała problemy z prawem. Trzy lata temu trafiła w złe środowisko. Dwukrotnie przyłapano ją w grupie, która dokonywała rozboju. Brała też narkotyki. Od tamtej pory zmieniała towarzystwo i to się nie powtórzyło.

– Jest pani pewna? – dopytał Rembert. Chciał zasłużyć na miano złego gliniarza. – Może po prostu udało się jej dobrze kryć? Może teraz nie została, jak to pani ujęła, przyłapana?

– Nie.

– Po prostu nie?

– Wiem, że nie znikłaby ot tak. – Nowicka zwróciła się do Langer: – Rozumie mnie pani? Jako matka wiem pewne rzeczy.

Liza zagryzła usta. Przez chwilę wpatrywała się w pełną napięcia twarz kobiety. Widziała w niej determinację, pewność siebie, ale również nadzieję. Coś, czego była pozbawiona twarz staruszki, z którą rozmawiała przed niespełną godziną.

– Rozumiem – odezwała się po chwili. – Rozumiem panią. Dlatego proszę o podanie nazwisk oraz kontaktów do wszystkich osób, z którymi mogła się zadawać Magda. Teraz i kiedyś. Czasem przeszłość dopada ludzi po latach...

– Co chce pani przez to powiedzieć?

Liza nie odpowiedziała. Odczekała, aż kobieta daruje sobie zaczepną pozę i zrozumie, że musi współpracować. Dla dobra własnego dziecka.

Wreszcie Nowicka powlokła się do tandetnej komody i wyciągnęła z niej zeszyt oraz długopis. Na stole przed sobą położyła komórkę. Część informacji podawała z pamięci, a część – z jakichś zapisków w telefonie. Akurat gdy skończyła i, zastanawiając się, przymknęła oczy, rozległ się dźwięk przekręcanego zamka. Kobieta wychyliła się na krzesło, zerkając do przedpokoju.

Po chwili w salonie pojawił się wysoki, szpakowaty mężczyzna z poprzecieraną brązową tęczką w dłoni. Miał na sobie kraciatą koszulę oraz jeansowe spodnie, ściśnięte w pasie cienkim paskiem. Był przeraźliwie chudy. Zatrzymał się w progu i skinął do policjantów. Najwyraźniej żona już go uprzedziła, że są w mieszkaniu.

Langer i Orest się przedstawili. Mężczyzna uporczywie wpatrywał się w nich mętym wzrokiem, ale się nie poruszył. Zachowywał się, jakby czekał na rozwój wydarzeń.

– A pan...? – zwrócił się do niego Rembert.

– Obawiam się, że żona powiedziała państwu wszystko, co możliwe. – Bezradnie wzruszył ramionami, a przez jego szarą twarz przebiegł grymas rozpacz. Nabrał powietrza i się opanował. – Ostatnimi czasy pracowałem od rana do nocy. A Madzia ma lepszy kontakt z żoną niż ze mną... Prawdę mówiąc, dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ostatnio bardzo się oddaliliśmy. – Mężczyzna ściągnął usta, powstrzymując drżenie głosu. – Macie jakieś nowe informacje? – zapytał po chwili. W jego oczach pojawił się blask nadziei. – Ktoś ją widział?

– Niestety...

– Po prostu przechodzimy drugi raz to samo. – Nowicka podniosła się od stołu i zwróciła się do męża. – Po raz kolejny pytania, pytania, pytania... I zero działań.

Langer wzięła zapisaną przez nią kartkę, po czym złożyła ją na cztery części. Schowała ją do kieszeni. Najbardziej zależało jej na poznaniu stosunków panujących w tej rodzinie. Chciała, aby Rembert mógł stworzyć jak najbardziej wiarygodny obraz sytuacji. Z uwzględnieniem wszystkich osób. Choć być może Nowiccy nie mieli z ich sprawą nic wspólnego. Ich córka mogła wrócić do dawnych znajomych i w końcu pokazać rodzicom, że postawiła na swoim.

– Nie będziemy zabierać państwa czasu – mruknęła, kierując się do wyjścia. – Swoją drogą, czy mówi coś państwu nazwisko Gromczyński?

Nowicka obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem. Łypnęła na męża, ale zaraz oboje nadgorliwie pokręcili głowami.

– Naprawdę przyjechaliście tu tylko po to? Wypytywać o jakichś ludzi? – zapytała kpiącym tonem kobieta. Zerknęła na męża. – Właśnie na taką policję idą nasze podatki.

Langer przeszła do przedpokoju i sama otworzyła sobie drzwi.

– Przepraszam, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Po prostu jesteśmy w toku prowadzenia czynności.

– Tok prowadzenia czynności! To jakaś kpina? Powinniście szukać naszej córki. Tu jej nie ma! Dlaczego więc, do cholery, przyjechaliście?!

– Spokojnie, Beata...

Nowicki nie był w stanie uspokoić żony. Zaczęła histerycznie płakać. Z wściekłością patrzyła to na Oresta, to na Lizę.

Żadne z nich nie miało odwagi powiedzieć, że wkrótce pojawią się tu policyjni technicy. Będą potrzebowali tylko jednej rzeczy. Materiału służącego jako próbka do badań DNA. Próbka, która następnie zostanie porównana z drugą, pobraną z odciętej łydki.

31.

Po wyjściu od Nowickich Langer i Orest natychmiast wrócili do auta. Mimo że było już po piętnastej, Liza skierowała się do komendy. Jechała

tak samo szaleńczo jak wcześniej, tym razem jednak jej pirackie zapędy były hamowane przez zakorkowane ulice.

W końcu Orest przerwał ponurą ciszę.

– Wracamy do roboty?

– A myślałeś, że robię za taksówkarza i odwożę cię do domu?

– Myślałem, że to forma odpłaty za harówkę, jaką dla ciebie odwaliłem.

– Przymknął oczy i zaczął recytować: – Stłamszona kobieta. Dwa razy spostrzegłem, że może kłamać. Wtedy, gdy oświadczała, że córka zerwała ze złym środowiskiem, i wtedy, gdy mówiła, że nie pokłóciła się z mężem. Za dużo słów, gestów i rozmydłanie tematu. Tak robią kłamcy. Ojciec sprawia wrażenie apodyktycznego typu, który samym milczeniem jest w stanie dać żonie sporo do zrozumienia. Zwróciłaś na to uwagę? – Langer nie odpowiedziała, więc mówił dalej: – Była przygotowana do podania danych znajomych córki. To świadczy, że albo naprawdę się obawia, że coś się jej stało, albo coś ukrywa. Nie sądzę, żeby była zamieszana w zaginięcie, ale to mi nie pasowało. Poza tym gdy zapytałaś o Gromczyńskiego... Jezu, Liza!

Langer dynamicznie zjechała na buspas i wcisnęła pedał gazu w podłogę. Auto miało mały silnik, ale i tak wychodząc z zakrętu, zabujało się. O mały włos nie zahaczyło o krawężnik.

– Przepraszam. Po prostu tracę cierpliwość. – Langer mocniej ścisnęła kierownicę. – Mam wrażenie, że czas płynie za szybko. I to nie tylko dla nas... Ta dziewczyna może nie przeżyć amputacji drugiej nogi.

– O ile jeszcze żyje.

– Mów mi jeszcze o Gromczyńskim, złotousty...

– Aha! – Orest pstryknął palcami. Obrócił się bokiem, by kolana nie wbijały się mu w deskę rozdzielczą. Na szczęście peugeot miał automatyczną skrzynię biegów, więc Rembert nie blokował ruchów Lizie. – Gdy o nim wspomniałaś, Nowiccy od razu przeszli do ataku. To charakterystyczne ogólnie w sytuacjach stresowych, ale moją uwagę zwrócił pewien moment. Jakby chcieli zmienić temat. Choć w tej kwestii mogą być przewrażliwiony.

Langer się nie odezwała. Zjechała z głównej drogi i skierowała się na Targ Węglowy. Zaparkowała auto na chodniku.

– Dziś czas na hot-doga – obwieściła. – Czasem trzeba udręczyć żołądek.

– Masz plan na pracowity wieczór?

– Mam plan na wieczór z rozmachem. Dlatego niech mnie broni twa ręka przed pochłonięciem sosu czosnkowego.

Nie oglądając się na Remberta, przecięła chodnik i schroniła się w cieniu rozłożonych przy niewielkiej knajpie parasoli. Lejący się z nieba żar przykleił jej koszulę do pleców. Z utęsknieniem popatrzyła na zimne piwa stojące na stoliku przed grupą mężczyzn. Nie liczyła, by w tym miejscu serwowano jakiegokolwiek piwo bezalkoholowe.

Zamówiła dwa hot-dogi XXL z solidną porcją warzyw, keczupem oraz sosem meksykańskim. Do tego zestawu, zgodnie z informacją przy kasie, dodawano frytki gratis. Wypełnione nimi i ociekające tłuszczem pudełko natychmiast wręczyła Rembertowi.

– Masz. To prezent.

– Ale...

Czekając, aż hot-dogi się odgrzeją, wyjęła telefon. Zobaczyła, że ma dwa nieodebrane połączenia, ale zignorowała je. Postanowiła zadzwonić do aspiranta Wojtiuka, który dostał zadanie koordynować ich działania. Uważała go za nieco ograniczonego bawidamka, lecz jednocześnie doceniała jego wrodzoną skrupulatność.

Jak się okazało, to właśnie Wojtiuk próbował się z nią skontaktować. Miał wieści z linii frontu obu spraw. Langer słuchała go w pełnym skupieniu i Rembert musiał dać jej kuksańca w ramię na znak, że jej hot-dogi już leżą na ladzie. Były ogromne i wypełnione solidną porcją składników.

– Jeden jest twój – mruknęła Langer do Oresta, przysłoniwszy mikrofon dłonią. – Na koszt firmy.

Dalszej relacji Wojtiuka wysłuchiwała, starając się ukryć mlaskanie. Była piekielnie głodna. Wyszła z hot-dogiem na zewnątrz i usiadła przy jedynym wolnym stoliku. Niewiele zabrakło, a oparłaby łokieć na wielkiej plamie rozlanego keczupu.

– Szlag by...

– Słucham? – podłapał Wojtiuk.

– Nie, nic... Po prostu... Nieważne. Coś jeszcze?

Aspirant podzielił się z nią już wszystkimi wiadomościami. Wobec tego Langer rozłączyła się i schowała telefon. Z obrzydzeniem patrzyła, jak Orest w błyskawicznym tempie pałaszuje hot-doga i frytki. Był jednak na tyle zręczny, że nie tylko się nie ubrudził, lecz nawet na stół nie spadł mu pojedynczy okruszek. Prawdziwy majstersztyk. Swoją porcję skończył, gdy Lizie została jeszcze końcówka. Wyssała z niej parówkę i zawinęła bułkę w serwetkę.

– Nienawidzę bułek z sezamem. To barbarzyński zwyczaj mieszać pieczywo z czymś, z czego robi się mydło. – Starannie otarła usta i upiła zamówiony przez Oresta sok. – Na co się gapisz? Żałujesz soku? Odtrącasz rękę, która przed chwilą cię nakarmiła?

Rembert puścił jej zalotnego całusa.

– Może podzielisz się ze mną newsami...

– Nie podsłuchiwałaś?

– Mówiłaś dość enigmatycznie.

Langer zmięła serwetkę i rzuciła ją do popielniczki.

– Monitoring z ulic koło sądówki gówno dał – oznajmiła ponuro. – Trafiło się parę kamer, ale większość to oczywiście atrapy.

– Ale domyślałam się, że jakieś działały?

– Nie uchwyciły żadnych ludzi z tobołkami, walizkami, wózkami sklepowymi ani niczym, w co można by wpakować zmumifikowane szczątki. Poza tym przez noc przewinęło się od czorta aut. Nie ma sensu typować vanów i kombiaków. Bo były ich tysiące. Ludzie suną w stronę morza jak jakieś pieprzone żółwie morskie.

– Czyli jesteśmy w punkcie wyjścia?

– Mniej więcej. Dlatego musimy działać z pełnym rozmachem.

– Czyli?

Langer nie odpowiedziała. Podniosła się od stolika i ruszyła w stronę peugeota.

– Jest jeszcze coś – odezwała się, gdy elektryczne drzwi się rozsuwały.

– Żona Gromczyńskiego zginęła jedenaście lat temu. W czasie sztormu na Adriatyku wypadła z motorówki i nie została odnaleziona. Uznano ją za zmarłą.

Rembert zmarszczył brwi.

– Paskudna sprawa – mruknął. – Brak ciała to wieczna nadzieja, no nie?

Langer machnęła ręką.

– Że w czasie sztormu przemieniła się w cholerną syrenkę? Daj spokój, Orest. Czasem nadzieja to luksus głupców.

– Pijesz do Nowickich?

– Nie. Stwierdzam zupełnie ogólnie.

Liza wsiadła do auta i uruchomiła silnik. Nastawiła klimatyzację na maksimum. Gdy Rembert usadowił się obok, natychmiast nacisnęła przycisk zamykający drzwi, których wadą było to, że stanowiły niemal połowę długości kabiny. Przez to do środka błyskawicznie wdzierało się upalne powietrze.

– Co zamierzasz zrobić? – ponownie zapytał Rembert. – Jaki masz plan?

– Bądź cicho, a zaraz się dowiesz.

Langer wybrała numer. Jednocześnie powoli wytoczyła się z parkingu. Zakaz rozmawiania przez telefon w trakcie jazdy wyraźnie całkowicie jej nie obchodził.

Siwecki odebrał po drugim sygnale. Langer przedstawiła mu swój pomysł, zanim zdążył się do niej odezwać.

– Musimy zorganizować konferencję prasową.

– Konferencję prasową? – zdziwił się inspektor.

– Konferencję prasową. Czasem zwołujemy coś takiego pod naciskiem dziennikarzy, polityków albo, co prawda, zdecydowanie rządu, z własnej woli.

Siwecki zlekceważył sarkastyczny ton Lizy.

– Uważasz, że konferencja jest tu potrzebna?

– Tak. Musimy zaprzęgnąć do tej sprawy media. To oni odrobiją za nas pańszczyznę weryfikowania nagrań i... – Langer zrezygnowała z dalszego brnięcia w to porównanie. – Być może wiem, czyją nogę dostał Gromczyński.

W kilku słowach Liza streściła inspektorowi wydarzenia popołudnia. Siwecki uważnie słuchał, nie przerywał jej, lecz wreszcie, zirytowany, mlasnął.

– I tylko dlatego chcesz organizować konferencję prasową? Przecież to może być dziewczę, które wyszło z domu i wróci za dwa czy trzy dni. Takich spraw mamy dziesiątki...

– Wcale nie – zaprzeczyła Langer.

– Bo co? Bo masz przecucie?

– Sprawdziłam z Orestem wszystkie zaginione. Wytypowaliśmy tylko te dwie, a że tamta...

– Liza...

Langer nie pozwoliła sobie wejść w słowo.

– Tamta nie żyje. Dlatego poprosiłam już, aby wystąpiono o analizę porównawczą DNA. Wyniki mogą być już jutro.

– Co takiego?! – Inspektor uderzył w coś dłonią. Liza wyraźnie usłyszała trzaśnięcie. – Boże, zaczynasz przeginać! Jeśli to nie ona, wyjdziemy na idiotów.

– Wcale nie. W końcu możemy robić wszystko, aby odnaleźć jakąkolwiek zaginioną, prawda? Społeczeństwo nie musi się domyślać priorytetów. A zawsze działamy dla ogólnego dobra, zgadza się?

Siwecki westchnął.

– Zaraz zwołam tę konferencję. Ale to ty na niej wystąpisz.

32.

Piotr Gromczyński oderwał wzrok od dokumentu i spojrzał przez okno na ogród. Przetarł oczy. Od kilku godzin wnikliwie czytał każde zdanie raportu dostarczonego mu przez jednego z dyrektorów. Na stercie obok leżały papiery związane z debiutem giełdowym. Po drugiej stronie niskiego stolika kawowego znajdowała się teczka opisana słowem „SZCZURY”, niedbale nakreślonym markerem.

Gromczyński odchylił się na kanapie i przytknął palce do skroni. Niebo miało budzący niepokój fioletowo-pomarańczowy kolor. Z dnia na dzień zmierzch nadchodził coraz wcześniej. Ptaki siadały na drutach elektrycznych jakby ciaśniej, jeden tuż obok drugiego, i ćwierkały

niższymi tonami niż jeszcze tydzień wcześniej. Nawet po najbardziej upalnych dniach noce w końcu dawały ochłodę.

Lada dzień dzikie tłumy powinny opuścić Gdańsk. Dzieciaki zaczną rozpaczać, odliczając dni do rozpoczęcia szkoły, a rodzice zatrą ręce, myśląc o chwili spokoju. Gromczyński wsłuchał się w słowa piosenki, która dobiegała z pokoju syna.

*Don't know that I will but until I can find me
A girl who'll stay and won't play games behind me
I'll be what I am
A solitary man
Solitary man*

Johnny Cash. Przynajmniej nie jakiś współczesny badziew, od którego lasował się mózg. Poza tym należało przyznać, że miał skubany dobre teksty. To dlatego przed miesiącem Piotr ukradkiem podsunął jego płytę synowi. Kochał go i chciał go wychować jak najlepiej. Czasem denerwowało go, jak bardzo oddany jest mu Adam. Syn bał się mu postawić. Robił wszystko, by go zadowolić. Znajomy psycholog stwierdził, że to częsta i naturalna reakcja po śmierci jednego z rodziców, ale Gromczyński pragnął, aby chłopak całkowicie samodzielnie zdecydował o swojej przyszłości. Biznes był brutalny. Ryzykowny i wyczerpujący. Choć przynosił sporo pieniędzy, być może byłoby lepiej, gdyby Adam poszedł na medycynę. Albo – na architekturę. To był zawsze porządny kierunek, po którym otwierały się rozmaite możliwości.

Znowu urządzał mu życie.

Znowu planował za niego.

Piotr Gromczyński odwrócił się w stronę telewizora i wydał krótką komendę:

– *TV on!*

Drewniana płyta przesunęła się po ścianie przy kominku i odsłoniła siedemdziesięciocalowy telewizor. Po kilku sekundach jego ekran się rozjaśnił. Gromczyński rozejrzał się za pilotem, ale nie dostrzegł go nigdzie w pobliżu. System sterowania głosem kanałów był bardzo męczący. Szczególnie jeśli nie planowało się oglądania konkretnej stacji,

tylko skakanie w poszukiwaniu czegoś, co przykuje uwagę. Bezsensownie zdzierało się przy tym gardło.

Na ekranie telewizora wyświetliło się studio transmisyjne jednej ze stacji. Właśnie rozpoczął się program informacyjny. Po chwili obraz się zmienił i pokazała się niewielka sala konferencyjna. Była zatłoczona, a dziennikarze toczyli zwyczajowe pojedynki kostkami z logotypami swoich stacji.

Gromczyński z zainteresowaniem spojrzał na widoczne w tle godło polskiej policji. Po chwili z głośników dał się słyszeć lekki szum, choć zdawało się, że nic się nie stało. Ułamek sekundy później na mównicę pewnym krokiem wkroczyła Liza Langer. Bez zwłoki chwyciła mikrofon. Jeszcze nim szmery ucichły, odezwała się hardym, pewnym siebie głosem.

– Do wszystkich państwa została rozesłana notka prasowa, więc nie ma potrzeby powtarzania, w jakiej sprawie się tu zebraliśmy. Mam nadzieję, że wasze stacje odrobiły pracę domową.

W sali dało się słyszeć śmiechy, lecz Langer pozostała śmiertelnie poważna.

– Magdalena Nowicka zaginęła w nocy trzy dni temu. Na mapie za mną... – odwróciła się, sprawdzając, czy projektor uruchomił slajd – ...widać jej miejsce zamieszkania oraz domniemaną trasę, którą poruszała się po godzinie dwudziestej pierwszej. Tak naprawdę nie mamy pewności, w którą stronę się skierowała. Dlatego istotny jest materiał nagrany o tej porze w promieniu kilometra od jej miejsca zamieszkania. – Langer przełączyła pilotem slajdy. Kolejny ukazywał naniesione na mapę czerwone koło. – Proszę wszystkich kierowców o udostępnianie nagrań z kamer zainstalowanych w autach. Jeżeli poruszaliście się państwo po zaznaczonej na ekranie okolicy, być może dzięki wam uda się trafić na trop Magdy. Interesuje nas przedział prawie trzech godzin. Jednocześnie być może znajdą się inni świadkowie, którzy widzieli ją na tym obszarze. – Liza zawiesiła głos. Odwróciła się, ponownie mierząc w stronę projektora pilotem. Po chwili na ekranie zamiast mapy wyświetliło się wielkie zdjęcie Magdaleny Nowickiej. Pod spodem pojawiły się numery telefonów kontaktowych. – W momencie zaginięcia Magdalena Nowicka była ubrana w niebieskie jeansy oraz czarną

koszulkę na ramiączkach. Na nogach miała czarne adidas z czerwonymi paskami. Nie muszę dodawać, że w takich sprawach liczy się każda godzina. Każda minuta może być na wagę złota. Wierzę w państwa pomoc...

– A.. so.. mórkę? – padło zniekształcone pytanie z publiczności.

Langer wychyliła się nad pulpitem i zmarszczyła brwi. Przysłuchiwała się temu, co mówi jedna z dziennikarek. Jej słowa ginęły wśród szeptów innych zgromadzonych. Wreszcie Liza ze zrozumieniem pokiwała głową i się wyprostowała. Ponownie sięgnęła po mikrofon.

– Nie. Nie będzie możliwości zadawania pytań – zapowiedziała kategorycznie. – Wszystko, co niezbędne, zostało już powiedziane. Nie ma czasu na gadanie. Trzeba działać. Dziękuję.

Ponownie powiodła wzrokiem po zebranych i pospiesznie zeszła z mównicy. Kamery jeszcze przez chwilę pokazywały, jak stara się przejść między dziennikarzami. Wreszcie obraz się zaciemnił, a w następnym ujęciu pokazano studio programu informacyjnego.

– Wkrótce zawita do nas jeden z ekspertów w sprawach zaginięć, pan...

Gromczyński nerwowo rozejrzał się za pilotem. Nagle przypomniał sobie, że ten nie jest mu do niczego potrzebny.

– *TV off!* – warknął.

Telewizor natychmiast się wyłączył. Mężczyzna pochylił się, wbijając dłonie w welur kanapy. Nagle poderwał się, po czym przeszedł kilka kroków w stronę werandy.

– *Down!* – krzyknął o wiele głośniejszym głosem, niż było trzeba.

Metalowe rolety zaczęły opadać. Zdawało się, że cały dom drży w posadach, ale Gromczyński nie zwracał na to uwagi. Obrócił się i zrobił krok w kierunku wejścia do salonu.

– *Light on!* – Jego krzyk, odbity od opuszczonych do połowy rolet, poniósł się dźwięcznym echem. Jednocześnie w pomieszczeniu zapaliło się ledowe podświetlenie sufitu. – Magda Nowicka – wycedził już znacznie ciszej. – Magda Nowicka...

Szybko wrócił na kanapę i pochylił się nad stolikiem. Spomiędzy papierów wyciągnął telefon. Nie zwrócił uwagi na kilka kartek, które upadły na podłogę. Przeszukał kieszenie. W jednej z nich znalazł

wizytówkę Langer, na której podano jej numer komórkowy. Wstukał go na ekranie swojego iPhone'a i odchrząknął. Jego dłoń zawisała nad zieloną słuchawką.

Nagle ciężko sapnął i przeniósł wzrok na dokumenty. Wsłuchał się w rytmy country dobiegającego z pokoju syna. Uśmiechnął się.

Wykasował wpisany numer i delikatnie odłożył telefon na skraj stolika.

33.

– Nie możesz stracić przytomności.

Cichy, stanowczy głos pozbawił kobietę resztek nadziei. Zacisnęła rozchwiane, pokruszone zęby. Skupiła się na bólu szczęki, by nie czuć tego, co robi z nią oprawca. Ból zlokalizowany bliżej mózgu w jakiś cudowny sposób przyćmiewał cierpienia, które nieznajomy zadawał jej ciału.

– Musisz czuć.

Słowa wyszeptane wprost do jej ucha były jak wbijany w nie gwóźdź. Przebijały się wprost do jej umysłu. Rozrywały neurony, myśli i poczucie rzeczywistości.

Oprawca przed jakimś czasem, nie miała tylko pojęcia, czy przed minutą, czy przed paroma godzinami, podał jej kroplówkę. Stała się po niej pobudzona i odczuwała wszystko ze zdwojoną siłą. Wyostrzyły się jej zmysły. Czowała smród własnego ciała, krwi i moczu. Słyszała tarcie piły o drugą kość udową. Słyszała rozrywane na strzępy ścięgna i mięśnie. Jakby była plastrem mięsa, z którego rzeźnik wykrajał niechciane żyłki.

Opaska uciskowa wżynała się jej w pachwinę. Czowała i ją, i cięcie, i ucisk sadysty na jej kolano, które miało zaraz na zawsze zostać odcięte od jej ciała. Słyszała chrupot rozdzielanej kości i plaśnięcie mięsa rzuconego na drugi stół. Zapewne fragmentu jej mięśnia czworogłowego, który przeszkadzał sadyście w operacji.

Nie chciała umierać. Mimo że ból był nie do zniesienia, marzyła tylko o tym, by stracić przytomność, a potem obudzić się daleko stąd.

Bezpieczna. Nawet bez obu nóg, ale wciąż z perspektywami. Ze świadomością, że gdy jutro znów wstanie dzień, ona nadal będzie na świecie. Znów będzie mogła podziwiać świt. Marzyła o tym. Marzyła o promieniach słońca padających na jej twarz. Marzyła o zapachu trawy po koszeniu i o szumie liści.

A chwilę później ból był tak mocny, że chciała umrzeć. Modliła się o to, by Bóg zesłał jej śmierć i odpuścił jej wszystkie grzechy. Czuła Jego obecność. Czuła, że jest gdzieś obok i napęnia ją ciepłem.

Wtedy ból nieco łagodniał. Jakby z kolejną falą potu wyrzucaną przez jej pory ulatniał się z jej ciała. Powracał sekundę później. Z następnym oddechem. Z następną myślą i cięciem.

Teraz leżała na plecach, a oprawca jedną dłoń opierał na jej żebrach. Przyciskał ją do stołu. Chwilę wcześniej nakreślił na jej kręgosłupie linie. Dwie lub trzy, nie miała pojęcia. Mruczał przy tym coś do siebie. A może mówił do niej, lecz nie była w stanie zrozumieć słów.

– Jedno precyzyjne, głębokie cięcie. Dokładnie pomiędzy kręgami.

Nie wiedziała, czy to jego głos, czy głos jej wyobraźni. Wszystko mogło być jedynie potwornym koszmarem. Realnym i makabrycznym. Skutkiem ubocznym tych wszystkich narkotyków, które pochłonęła ostatnio.

Zwidem.

Nie, nie, nie. To nie był zwid. Jej myśli znów odpływały, powieki stawały się coraz cięższe, a ból wypłukiwał z jej ciała świadomość.

– Jeszcze chwila...

Oprawca, zgodnie z zapowiedzią, poprowadził tylko jedno precyzyjne, głębokie cięcie. Dokładnie pomiędzy jej kręgami. Poczowała, jak się rozdzielają, chrupią, a ostrze rozdziera od tyłu jej jamę brzuszną. Rozdzielony kręgosłup zatopił się w jej podbrzuszu. Nagle straciła czucie w połowie ciała. Ale ból nadal wypełniał jej odcięte członki.

Chwilę później nadszedł koniec.

DZIEŃ CZWARTY

35.

Aby uspokoić myśli, Langer wybrała się na przebieżkę w świetle księżyca. Na plaży minęła tylko dwie obściskujące się pary i starszego mężczyznę ze szpicem. Poza tym było całkowicie pusto.

Biegła samym brzegiem morza, pozwalając, by zimne fale obmywały jej stopy. Jednocześnie opór stawiany przez zapadający się piasek szybko męczył jej mięśnie. Już po kilkuset metrach czuła się, jakby przebiegła dobrych parę kilometrów po asfalcie.

Starła się wsłuchać w szum morza i przez chwilę o niczym nie myśleć. Potrzebowała relaksu oraz nabrania dystansu do kłębiących się pytań. Zamiast tego przed jej oczami niczym slajdy przewijały się obrazy poskręcanych, wydobytych z dołu zwłok. Obłazącej z nich skóry, zgrubiałych fałdów skórnych i zionących pustką oczodołów. Wspomnienie oczyszczonej z krwi kobiecej łydki dopełniało całości.

Ludzie siedemdziesiąt lat temu byli tacy sami jak dzisiaj. Nic się nie zmieniło. Langer zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Gromczyńskiego. Chciała go zapytać, czy nie kojarzy skądś Magdaleny Nowickiej. Czy jakimś cudem nie ma między nimi związku, który pozwoliłby nakierować sprawę na właściwe tory. Uznała jednak, że już jest za późno. Poza tym to było na razie nieistotne. Przede wszystkim należało trafić na ślad zaginionej.

Liczyła na pomoc obywateli. Obecnie życie przeniosło się do wirtualnej rzeczywistości, a ludzie rejestrowali dosłownie wszystko. Abstrahując od zainstalowanych w autach kamer, nagrywali zachody słońca, fotografowali niebo z sobą na pierwszym planie i samo, a także prowadzili rejestrowane wideorozmowy.

Langer nie spostrzegła, kiedy pokonała drogę powrotną. Z zamyślenia wyrwało ją mrugające światło latarni.

Zmęczona, wzięła z przyczepy lufkę oraz papierosy. Usiadła na schodku i zapaliła, gapiąc się w niebo. Powoli jej serce spowalniało, a oddech się uspokajał. Zmęczone mięśnie przyjemnie pulsowały. Miała ochotę doczytać lorda Byrona, lecz gdy wróciła do przyczepy, spłynęła na nią senność. Nie pomógł nawet prysznic.

Powieki zaczęły się jej kleić. Sięgnęła po książkę, ale ta wysunęła się jej z ręki. Usłyszała, że ktoś otwiera drzwi przyczepy. Zazwyczaj zamykała je dopiero przed spaniem. Kątem oka dostrzegła cień.

– Ty cholerna suko – wymamrotał. – Musiałaś tak węszyć?

Langer osunęła się w sen.

36.

Langer zamrugła. Mimo to nadal otaczała ją ciemność. Zdała sobie sprawę, że wokół oczu ma zawiązaną opaskę. Przez chwilę starała się zebrać myśli. Miała wrażenie, że mózg jej pulsuje i nie mieści się w czaszce.

Rozchyliła wargi, upewniając się, że nie ma zaklejonych ust. Mogła krzyczeć, lecz uznała, że to nie byłby najlepszy pomysł. Najpierw powinna lepiej ocenić sytuację.

Znajdowała się w pozycji półleżącej. Miała związane ręce i nogi. Sznury powiązано tak, że nie mogła się rozprostować. Starła się obrócić na brzuch, ale to również było niewykonalne. Leżała na cuchnącej, starej kanapie. Czuła się jak na statku. Powoli odzyskiwała jasność myśli.

Gdy poczuła, że statek bierze ostry zwrot, wszystko stało się jasne. Znajdowała się na tylnej kanapie auta, które sunęło wyboistą drogą. Słyszała szum kół, uderzające o podwozie kamyczki i jęk resorów.

– Widzę, że ktoś się budzi.

Głos był niski i szorstki. Dziwnie elektroniczny. Langer wiedziała, że podobny ton można uzyskać, przykładając modulator niemal do ust.

Wtedy niemożliwe jest usłyszenie prawdziwego głosu mówiącego. Urządzenie zmienia go i nagłaśnia zbyt szybko. Co najważniejsze, wystarczy szeptać, a przy pomocy kilku przycisków szept zamieni się w krzyk.

– Jesteś wrzodem na dupie – wycedził elektronicznie zmodyfikowany głos.

– To nie ja zmuszam cię, kimkolwiek jesteś, do wspólnej przejażdżki. A nachalność to cecha wrzodów na dupie.

Nieznajomy zaśmiał się krótko i drapieźnie.

– Nie zgłębiaj sprawy Nowickiej. Nie sądzę, żebyś trafiła na jej ślad, ale cokolwiek by się działo, szczerze ci radzę, olej to. Nawet jeżeli dostaniesz nagranie, na którym uwieczniono ją w jakości HD. Rozumiesz? Zrób to dla jej dobra.

– Dla jej dobra zamierzam ją znaleźć.

– Opóźnij tę sprawę. Parę dni, może tydzień. Pewne kwestie muszą się wyjaśnić, a wtedy zrobisz, co zechcesz.

Langer poruszyła nadgarstkami, starając się dosięgnąć palcami węzła. Udało się jej zahaczyć paznokciem o splot sznura, lecz nie było mowy o tym, by go rozwiązała.

– Chyba nie wierzysz, że to zrobię.

– W przeciwnym razie okaże się, że jesteś bardzo głupia. Zawiedziesz nie tylko mnie, lecz przede wszystkim biedną Magdę oraz społeczeństwo. Ludzie przestaną cię kochać.

– Nie sądzę, żeby mnie kochali.

– Kibicują ci tak mocno, jak przy sprawie Ślepca. Ale teraz walczysz po złej stronie. Rozumiesz?

– Rozumiem to, że jesteś popierdolony. Masz zaburzenia postrzegania świata i syndrom zbawiciela. A pewnie coś jeszcze.

Mężczyzna głośno parsknął. Musiał dodać gazu, bo auto wyrwało do przodu i jeszcze mocniej podskakiwało na wybojach.

– Zrobisz, co mówię, albo...

Langer mu przerwała. Odkąd zaczęła się stawiać, musiała kontynuować grę. Postanowiła zaryzykować i zgrywać nieprzejednaną, czy ten szaleniec w to wierzył, czy nie.

– Zrobię, co uważam – burknęła. – Nie da się mnie do niczego zmusić.

– Myślisz, że nie masz nic do stracenia?

– Ja to wiem, skurwysynu. I jeżeli jakkolwiek się przygotowałeś do tej roboty, pewnie dobrze zdajesz sobie z tego sprawę. Kiedy świat wokół ciebie jest martwy...

Tym razem to mężczyzna wszedł Langer w słowo.

– Widzę, że niczego nie rozumiesz. Jesteś głupsza, niż sądziłem.

Auto gwałtownie się zatrzymało, tak że komisarz niemal zleciała na podłogę. W ostatniej chwili udało się jej przesunąć i zaprzeć stopami. To ją uratowało przed zaryciem twarzą w ziemię.

– Chcesz mnie zabić?

Po wypowiedzeniu tych słów po raz pierwszy poczuła autentyczny strach. Do momentu, gdy porywacz był zajęty prowadzeniem, a ona znajdowała się za nim, towarzyszył jej animusz. Teraz gwałtownie się ulotnił.

Usłyszała, że mężczyzna gasi silnik i wysiada z kabiny. Po chwili gwałtownie otworzył drzwi u jej nóg.

– Jesteś upartą, tępą suką – wycedził. – Jeżeli dałabyś sobie na wstrzymanie, zrobiłabyś dla tego świata więcej dobrego.

Langer nic nie powiedziała. Starła się podkulić nogi, lecz mężczyzna był szybszy. Chwycił jej stopy i brutalnie wyciągnął ją z auta. Upadła na wilgotną, chłodną ziemię. Na chwilę straciła dech.

Opaska lekko zsunęła się jej z oczu, lecz wokół panowała niemal kompletna ciemność. Światło reflektorów rozświetlało pustkę przed autem. Poza ciężkim, zmienionym przez modulator głosu sapaniem mężczyzny nie słyszała żadnych odgłosów. Nikt nie mógł jej pomóc. Mogła krzyżeć, ale czuła, że to bez sensu. Poza tym nawet w tym momencie powstrzymywała ją przed tym duma. Jeszcze nie teraz.

Wypluła zmieszana z ziemią ślinę i wierzgnęła nogami. Sznur nie poluzował się ani trochę. Przy upadku rąbnęła kolanem o jakiś kamień i przeszył ją ostry ból.

– Do widzenia, komisarz Langer.

Mężczyzna stanął tuż nad nią. Usłyszała, że wyciąga coś z kieszeni, a po chwili poczuła metal przytknięty do potylicy.

– Jezu... – Duma gwałtownie ustąpiła bezkresnemu przerażeniu. – Nie rób tego...

– Za późno.

Mężczyzna pociągnął za spust.

37.

Rembert wstał tuż po piątej, wiedziony dziwnym uczuciem niepokoju. Zaparzył sobie yerbę i przez pół godziny włóczył się po swoim niewielkim mieszkaniu.

Wynajmował niespełna trzydziestometrową kawalerkę w akademiku Uniwersytetu Gdańskiego. Jako doktor psychologii oraz pracownik naukowy otrzymał preferencyjne warunki. Nic innego nie miało dla niego znaczenia. Nie przeszkadzały mu ani imprezy za ścianą, ani regularnie niedziałające windy. A w dodatku był stałym gościem studenckich zabaw.

Choć od pierwszoroczników był niemal dwa razy starszy, z racji chłopięcej urody oraz podejścia do życia szybko niwelował ten dystans. Potrafił się bawić wszędzie i ze wszystkimi. Gdy jednak poprzedniego wieczoru do jego drzwi zapukała urocza brunetka, ubrana w koszulkę Pink Floyd oraz różowe glany, natychmiast przybrał minę cierpiętnika. Musiał odmówić. Był zbyt pochłonięty myślami, żeby towarzyszyć komukolwiek w rozmowie. Nawet przy wiadrze wódki i nad talerzem najlepszego jedzenia.

Dzięki temu od rana nie był też śpiący. Z yerbą w dłoni stanął nad rozłożoną na stole mapą. Zeszłego wieczoru wydrukował ją z Google'a i naniósł na nią rysunki przedstawiające rozmieszczenie wykopów w podgdańskim lesie. Gapił się na nie jak na detale świętego obrazu namalowanego przez wielkiego mistrza.

Czekał na olśnienie, lecz ono nie przychodziło. Wszystko wydawało mu się totalnym chaosem. Zarazem sprawa zmumifikowanych zwłok oraz podjętej współcześnie próby ich odnalezienia, a następnie skutecznej kradzieży fascynowała go znacznie bardziej niż historia przesyłki, którą dostał Gromczyński. Miał dziwną awersję do świata biznesu. Potrafił się

jednak do niej przyznać i ją przeanalizować. Uważał, że w świecie wielkich pieniędzy nie ma ludzi szlachetnych, niewinnych ani porządnych. Choć Gromczyński prowadził liczne fundacje i zajmował się pomocą bezdomnym, Rembert wierzył, że musi się kryć za tym drugie dno. Machloje podatkowe? Tworzenie sztucznych wydatków? Manipulowanie księgowością lub zwykle ukrywanie forsy?

To brzmiało cynicznie, lecz nie potrafił się wyzbyć tej opinii. Może wynikała ona z faktu, że niegdyś jego ojciec dotkliwie rozbił się o szklany sufit wielkiego biznesu. I to w ten sposób, że upadając, pod swój zadek podłożył całą rodzinę.

Mimo analitycznego podejścia Orest tkwił w ramach swoich uprzedzeń. Wiedział o tym. Wolał się jednak pozytywnie kimś zaskoczyć, niż rozczarować.

Jednocześnie, choć martwił się losem maltretowanej kobiety, podświadomie łączył ją z tym światem bezprawia. Światem, w którym umieścił Gromczyńskiego. Poza tym raz po raz analizował jego mowę ciała, modulację głosu i wypowiedziane słowa. Nie potrafił znaleźć żadnych punktów zaczepienia. Przedsiębiorca zachowywał się naturalnie, a jedyny fałszywy ton tkwił w jego relacji z synem. Orest wyczuwał delikatnie pęknięcie właśnie tam, lecz nic poza tym. Zarazem powtarzał sobie, że biznes rzadko wyciągał łapy po niewinnych. Choć czasem czynił to z premedytacją. W końcu dzieci lub krewni szantażowanych milionerów nie mogli odpowiadać za ich winy. Często nawet – tak jak Orest – nie utrzymywali z nimi kontaktu.

Stygmatyzowanie.

Afirmacja.

O tym wszystkim Rembert wiedział zbyt dużo. Błędne koło się zamykało, gdy stwierdzał, że wie, do czego będzie chciał się przekonać po tym, jak najpierw przekona się do czegoś całkowicie innego. Szalone?

Wcale nie.

Niecierpliwie czekał na rezultaty wczorajszej konferencji prasowej oraz wyniki pracy techników. Naprawdę chciał pomóc w dopadnięciu gnoja, który skrzywdził kobietę, choćby ta była umoczoną w biznesowym szambie przestępczynią. Chodziło o zasady.

Choć może o coś całkiem innego?

Upił kolejny łyk yerby i odstawił drewniane matero na stolik. Wszedł na krzesło, by zerknąć na mapę z większej perspektywy. Mimo to wykopy wydawały się całkowicie chaotyczne, co samo w sobie o czymś świadczyło. Poszukiwania zazwyczaj prowadzi się dość chaotycznie. Tę strategię często nazywa się „uporządkowanym szaleństwem”. Chodzi o to, by w świat metodycznych działań wpuścić element loteryjności. W końcu osoby zaginione na szlakach górskich, w łódkach dryfujących na morzu lub gdziekolwiek indziej zazwyczaj nie zachowują się przewidywalnie. Nie mają planu. Działają spontanicznie i często wbrew zdroworozsądkowym regułom.

Orest wyprostował się i przeciągnął. Zerknął w stronę okna. Poranne światło zalewało pokój, niehamowane przez żadne zasłony lub firanki. Mimo że akademik stał równoległe do kolejnego, oddalonego o maksymalnie dwadzieścia metrów bloku, Rembert się tym nie przejmował. Osoby cierpiące na podglądactwo go nie interesowały. Skoro miałyby dostarczać im rozrywki, proszę bardzo.

Powoli, jakby tańczył po kwadracie walca, obszedł mapę. Z żadnej perspektywy nie był w stanie dostrzec nic nowego. Zauważył natomiast kroplę yerby, która skapnęła z bombilli na stół. Stanął na niej i wytarł ją skarpetką.

W tym samym momencie na krześle zawibrował telefon. Zaskoczony Orest drgnął i omal nie spadł ze stołu. Utrzymał równowagę, po czym ostrożnie, by nie uszkodzić wydruku, zsunął się na podłogę. Chwycił komórkę i natychmiast odebrał.

Słuchał tylko przez chwilę, a jego twarz gwałtownie bladła.

– Jezu Chryste – wyszeptał. – Już jadę.

38.

Rembert jechał jak szalony. Nie lubił prowadzić auta, ale teraz zachowywał się jak rasowy kierowca rajdowy. Brał ostre zakręty, kontrował tył i lawirował między sunącymi leniwie pojedynczymi

pojazdami. Z doskonałym wyczuciem redukował biegi, by wyciągnąć z dwulitrowego silnika starego mercedesa dodatkowe pokłady mocy.

Zazwyczaj dojeżdżał do pracy autobusem lub szedł na piechotę. Po wypadku, w którym brał udział jako dziecko, pozostała w nim silna awersja do prowadzenia pojazdów. O dziwo, nie była zbyt mocno odczuwalna, gdy siedział na miejscu pasażera. Zresztą teraz nie miał czasu o tym myśleć.

Kilka minut po szóstej zjechał z drogi krajowej w wybetonowaną zatoczkę. Następnie, nie dbając o niskie zawieszenie mercedesa, skierował się w wąską ścieżynę między polami. GPS pokazywał mu, że to najkrótsza trasa. Po kilkuset metrach dziurawy asfalt został zastąpiony przez wymieszany ze żwirem piach.

Drobne kamyczki biły o podwozie i boki auta. Rembert nie przejmował się lśniącymi, chromowanymi felgami, które przed tygodniem przez cały dzień nabłyszczał specjalnym preparatem. Jechał tak szybko, jak mógł, byle tylko koła nie straciły przyczepności.

Po kolejnych kilkuset metrach pola po obu stronach drogi zastąpił las. Iglasty, rzadki las z niemalże kompletnie odkrytą ściółką i prześwitami pomiędzy drzewami. Gdzieniegdzie unosiły się kłęby gęstej, porannej mgły. Mimo włączonej klimatyzacji do środka auta przenikał przyjemny, żywiczny zapach. Rembert uchylił okno. Czuł, że ma rozpalone policzki, a po skroniach ściekają mu strużki potu.

Do celu pozostało mu siedemset metrów, na tym odcinku musiał jednak zredukować prędkość do niespełna dwudziestu kilometrów na godzinę. Droga wiła się między drzewami jak serpentyna. Mogła to być dawna ścieżka pożarowa, którą pozbawiono oznaczeń i na dziko zaadaptowano na potrzeby dojazdu do działek znajdujących się po drugiej stronie lasu. Rembert nie znajdował innego uzasadnienia tego, że ktoś wcześniej jechał tą trasą i naniósł ją na nawigację.

Gdzieś w głębi po prawej dostrzegł ruch. Coś drgnęło i przemknęło pomiędzy drzewami. Odruchowo zwolnił, ale gdy się odwrócił, nie zobaczył niczego. Żadnego zwierzęcia ani człowieka. Las sprawiał wrażenie całkowicie wymarłego.

Dojechał do rozgałęzienia dwóch ledwie widocznych ścieżyn. Zerknął na wyświetlacz GPS. Pozostało mu nieco ponad dwieście metrów,

a znajdował się w kompletnej głuszy. Nawigacja zdawała się pokazywać jego położenie dość orientacyjnie. Po lewej unosiła się gęsta, właściwa moczarom mgła. Przebijające między drzewami poranne słońce kładło niepokojące cienie. Po drugiej stronie mgła już się niemalże rozwiała, lecz las przypominał zwartą brązowo-zieloną ścianę.

Zwyczajem Langer Rembert zabębnił palcami w kierownicę i wziął głęboki wdech. Zdecydował się jechać na wprost. Dodał gazu, a pod kołami mercedesa zaczęły trzaskać suche, opadłe gałęzie.

Mógł wybrać normalną trasę. Mógł zadzwonić i się wszystkiego dowiedzieć.

Tyle że zależało mu na czasie. Na czasie, który właśnie bezsensownie tracił na omijanie kamieni i zwalonych pni.

Przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby z łatwością wciągnąć go w zasadzkę. Wiedząc, że spod domu będzie kierował się w konkretne miejsce, mógł oznaczyć fikcyjną najkrótszą trasę. Popularna aplikacja zapewne wyszukałaby ją jako pierwszą. Ale po co ktoś miałby go tu ściągać?

Głos w komórce zdawał się nie budzić żadnych wątpliwości. Choć istniały programy, które potrafiły naśladować dowolny głos. Podrabiały go tak doskonale, że ludzie wierzyli, że rozmawiają z szefami lub z najbliższymi. Dokonywali na ich prośbę przelewów, podpisywali umowy i przekazywali obcym gotówkę. Użycie modulatorów głosu wznosiło metodę kradzieży „na wnuczka” na nowy technologiczny poziom.

Rembert zagryzł wargi. Żałował, że wciąż nie wziął udziału w przeszkoleniu, które pozwoliłoby mu na posiadanie broni. Coś mu tu bardzo nie pasowało.

Nagle drzewa się przerzedziły, mgła rozwiała i zobaczył skąpaną w słońcu polanę. A potem ją.

Langer siedziała na ziemi, wpatrując się w niebo. W dłoni trzymała kubek parującej kawy. Miała zmierzwiowane włosy i przekrwione oczy. Jej spojrzenie wyrażało jedynie dumę oraz nieprzejednaną wolę walki. Poprawiła zarzucony na plecy koc. Na widok Remberta uśmiechnęła się blado, po czym podniosła się, lekko utykając.

Nie miała sobie nic do zarzucenia. Nawet kiedy wiedziała, że gdyby przed paroma godzinami krzyczała, wzywając pomocy, zwróciłaby uwagę policjantów ochraniających znajdujący się niedaleko teren wykopów. Mimo to z pistoletem przytkniętym do głowy zdobyła się jedynie na szept.

Jej porywacz sporo ryzykował, zabierając ją właśnie w to miejsce. Langer od ponad godziny zastanawiała się, czy krył się za tym jakiś podtekst. Czy nieznajomy chciał jej coś uświadomić, zawożąc ją kilkaset metrów od miejsca, gdzie wykopano zwłoki? Być może pragnął w ten sposób pokazać, jak dobrze poznał jej psychikę. Jak doskonale rozgryził jej dumę, gdy pociągnął za spust i dodał: „Kolejnym razem nie będziesz miała czasu się zastanawiać, czy ważniejsze jest twoje pyszne, acz martwe ego, czy upokorzone, ale żywe. Pamiętaj, ja jestem po dobrej stronie”.

„Ja jestem po dobrej stronie”. Co to, do diabła, znaczyło? Świry potrafiły sobie wmówić różne rzeczy i co do zasady upierały się, że działają w słusznej sprawie. Ale powtórzyć to kilka razy w ciągu paru minut to była przesada nawet jak na nich.

Gdy rozległo się metaliczne trzaśnięcie mechanizmu spustowego, Liza z całych sił zamknęła oczy. Był to odruch bezwarunkowy. Mimo że miała na nich opaskę, jakiś wewnętrzny impuls chciał jej oszczędzić ostatniego widoku. Widoku rozpryskującej się własnej czaszki i posiekanych fragmentów mózgu.

Przez kilka sekund była pewna, że nie żyje. Wokół panowały martwa cisza i nieprzenikniony mrok. Zrobiło się jej lodowato zimno. Była przerażona, że całą wieczność spędzi właśnie w takim otoczeniu.

Dopiero po chwili porywacz się poruszył, przywracając ją do rzeczywistości. Klepnął ją w ramię i niespodziewanie pchnął na ziemię. Uderzyła podbródkiem o iglaste podłoże, ale odzyskała przekonanie, że żyje. Egzekucja była jedynie markowana. Wszystko rozegrało się

maksymalnie w ciągu minuty, lecz jej się wydawało, że trwa całymi godzinami.

Gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi auta, a po chwili mrużenie silnika, zrozumiała, że tym razem jej się upiekło. Miała szczęście. Ktoś napuścił jej stracha, ale odpuścił.

Następnie spłynęła na nią wściekłość. Na własną bezradność, upokorzenie i na to, że pozwoliła się tak łatwo zaskoczyć. Leżąc na boku, skuliła się na tyle, na ile pozwoliły jej więzy. Zacisnęła pięści i wrzasnęła za odjeżdżającym samochodem:

– Dorwę cię, sukinsynu!

Policjant ochraniający teren wykopów najwyraźniej nie usłyszał tego krótkiego, rozpaczliwego wrzasku. Langer przez kolejną godzinę tarzała się, starając znaleźć ostrą krawędź, o którą mogłaby rozciąć sznury. Nie trafiła na żaden porządny kamień, a na domiar złego oblaży ją mrówki. Udało jej się jednak zerwać opaskę. Musiało być po czwartej rano. Brzask przełamywał czerń nieba.

Po kolejnym kwadransie doczołgała się do pochylonego pnia drzewa. Napinając wszystkie mięśnie i starając się lekceważyć potworny ból wywoływany przez wżynające się w jej ciało sznury, obróciła się na plecy. Wyciągnęła ręce do góry. Następnie zaczęła pocierać liną o szorstki pniak. Kilkukrotnie musiała robić przerwy. Mięśnie ją paliły, a obcierana skóra piekła jak smagana płomieniem świecy.

Wreszcie jedna z lin ustąpiła. Wystarczyło mocno pociągnąć i węzeł puścił. Dysząc ze zmęczenia, Liza rozsuptała sznur krępujący jej nogi. Usiadła i oparła się o pniak. Brakowało jej tchu, a wszystkie jej mięśnie drżały. Nie miała nawet siły strzepnąć z siebie mrówek, które wędrowały po jej ciele.

Kiedy nabrała sił, by się podnieść, był już świt. Niebo miało żółtawo-błękitną barwę i kontrastowało z ciemną zielenią sosen. Mgliste opary zaczęły opadać.

Langer ruszyła przed siebie. Po dziesięciu albo piętnastu minutach marszu między drzewami dostrzegła biało-czerwoną taśmę policyjną. Potem rozpoznała miejsce, w którym przed dwoma dniami znajdował się ciężki sprzęt budowlańców. Przy prowizorycznej stróżówce stał młody posterunkowy.

Liza otrzepała się, na ile to było możliwe, z igliwia oraz ziemi. Sprzedała posterunkowemu naprędce skleconą bajkę o odtwarzaniu wydarzeń w terenie. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów ani odznaki, a koszula nocna mogła budzić wątpliwości. Mimo to kazała mu zadzwonić do Remberta. To uwiarygodniło jej historię. Czekaając na Oresta, poprosiła o kawę oraz koc. Nie chciała paradować przed posterunkowym niemal półnago. Zabroniła mu jednak pisać o całej sprawie choćby słówkiem. Zasłaniała się tajemnicą postępowania oraz konsekwencjami służbowymi w przypadku, gdyby cokolwiek wypłynęło. Miała nadzieję, że była wystarczająco przekonująca.

Rembert pokazał wciąż pełnemu wątpliwości posterunkowemu legitymację. Następnie pospiesznie ruszył w stronę Lizy. Na jego twarzy malował się głęboki niepokój. Idąc, nerwowo przeskakiwał nierówności terenu.

– Masz fart, że wybierałem się do roboty autem – odezwał się, podchodząc. – Miałem dość wożenia się z tobą w tym zielonym kosmicznym wózku dla dzieci.

Langer dopiła kawę i odstawiła kubek na ziemię.

– Też się cieszę, że cię widzę – mruknęła. – Nie doceniasz ponadczasowej urody samochodów, które wkrótce zyskają miano kultowych.

– Nic ci nie jest? Co tu się...

Zamilkł, widząc, że Liza posyła mu porozumiewawcze spojrzenie. Bez słowa skierował się do samochodu, a ona powlokła się za nim. Wreszcie, gdy znaleźli się w mercedesie, Orest nerwowo przeczesał palcami włosy. Uruchomił silnik i, wciąż milcząc, wycofał się z leśnej polany. Czekał, aż Langer zacznie mówić.

– Do mojej przyczepy – wybełkotała jedynie.

Rembert nadal milczał. Postanowił wyjechać na główną drogę i nadłożyć drogi, lecz nie tłuc się z powrotem przez las. Co chwilę łypał na skuloną na siedzeniu obok Lizę. Ona zaś oparła głowę o szybę i jakby nigdy nic przysypiała.

Gdy po kilkunastu minutach znaleźli się na obrzeżach Gdańska, Rembert nie wytrzymał. Na moment podgłośnił na maksa radio, po czym

całkowicie je ściszył. Langer ocknęła się i zerknęła na niego nienawistnie. Intensywnie zamrugła.

– Po raz drugi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin widzę cię w koszuli nocnej – zagał.

– Twoja mina nie zdradza dziś podniecenia, więc zaczynam się martwić o swój stan. Trzymam się coraz gorzej. Co jest nie tak, Oreście?

Rembert spojrział na nią uważnie.

– Poniósł cię cug? – zapytał troskliwie. – Nie opanowałaś się?

Langer wybuchła niepowstrzymanym śmiechem.

– Naprawdę myślisz, że melanz w środku nocy zaniósł mnie na to zadupie? Nawet kiedy bywam pijana, trzymam się cywilizacji. Może jeszcze bardziej niż na trzeźwo, bo martwię się, że zbyt oddalę się od monopolowego. Poza tym wiesz, że od dawna nie piję.

– W takim razie...

– W takim razie co? Pytasz, co mi się stało? – Wstrzymała powietrze i przyjrzała się czujnie Orestowi. Odezwała się dopiero po chwili, uważnie dobierając słowa. – Jakiś kutas wpuścił mi w nocy do przyczepy gaz, uśpił mnie i wywiózł tu, strasząc, że jeśli nie ukreczę łąba sprawie Nowickiej, źle się to skończy i dla mnie, i dla niej. A przy okazji dla całego świata. Niezły megaloman, co nie? Choć chyba powinnam to potraktować jako komplement...

Rembert o mało nie wpakował się w auto przed nimi. Gwałtownie przyhamował, zmrużył oczy i utkwiał zaskoczone spojrzenie w Langer.

– Nie rób sobie ze mnie jaj!

– Tym razem odmówiłam sobie tej przyjemności. A raczej pozbawiono mnie jej bez mojej woli.

– Jezu! Liza, musimy to zgłosić, przecież...

Langer uderzyła dłonią w deskę rozdzielczą.

– Nawet nie zaczynaj – przerwała mu ostro. – Jeżeli ktokolwiek się o tym dowie, urwę ci jaja.

– Ale...

– Żadnego ale. To byłoby dla mnie największe upokorzenie.

– Więc nie chcesz z tym nic zrobić, bo to byłoby upokorzenie? Ofiary gwałtów też mają się nie zgłaszać, bo to cholerne upokorzenie? Zastanów się!

Langer westchnęła.

– Wezwę ekipę, która sprawdzi moją przyczepę, być może zamówię system czyszczenia powietrza i będę pamiętała, żeby zamykać drzwi za każdym razem po wejściu do środka.

– Poza tym powinnaś...

– Nic nie powinnam – ucięła krótko Liza.

Przez kolejne minuty Orest zastanawiał się, jak przemówić jej do rozsądku. Milczał aż do momentu, gdy wjechał na niewielki parking z tyłu pola kempingowego. Langer wychyliła się i pomachała do zaspanego stróża.

– To ja! – krzyknęła, opuszczając szybę. – Parkujemy tylko na chwilę.

Wąsaty staruszek nie zwrócił na nich żadnej uwagi. Był całkowicie pochłonięty rozkładaniem niewielkiego leżaka, na którym miał przevegetować cały dzień.

Gdy tylko Rembert zatrzymał samochód, Liza pchnęła drzwi. Dziarsko, choć lekko utykając, ruszyła do przyczepy.

– Zaczekaj na zewnątrz – nakazała. – Umyję się, przebiorę i zaraz wracam. Gdyby nie było mnie dłużej niż dziesięć minut, możesz wejść. Będzie to znaczyło, że znowu zasnęłam.

– Liza, nic ci...

Langer pospiesznie znikła w środku. Po chwili Orest spostrzegł, że uchyliła na oścież okna przyczepy i jednocześnie wypięła rolety z szyn tak, by te bezwładnie zwisały, zasłaniając widok. Pół minuty później usłyszał szum wody spływającej do odpływu.

Nim zdążył zebrać myśli i zdecydować, jak nakłonić Langer do złożenia zawiadomienia o tym, co zaszło, Liza wyszła na zewnątrz. Była odświeżona, lekko umalowana i miała wilgotne, ale nie mokre włosy. Włożyła luźną bluzkę z motywem kwiatowym oraz szerokim, mocno wywiniętym kołnierzykiem. Dobrała do niej ciemne spodnie z wysokim stanem. Na stopach miała białe pantofle o lekko wydłużonych noskach, zapięte na poprzeczny czarny pasek biegnący wokół kostki.

– Gotowa! – Machnęła ściskaną w dłoni szklaną lufką, nabitą odpalonym już papierosem.

Rembert zerknął na nią z podziwem.

– Brakuje ci tylko borzoja. – Ponownie zwrócił uwagę, że Langer lekko utyka. – Ej, na pewno nic ci nie jest?

– Jeszcze raz mnie o to zapytasz, a...

Nie skończyła. W tym samym momencie rozdzwoniły się telefony jej oraz Remberta. Musiało wydarzyć się coś całkowicie niespodziewanego.

40.

News był krótki. Anonimowy kierowca przesłał na ogólny serwer policji kilkuminutowe nagranie, na którym przez sekundę lub dwie była widoczna dziewczyna bardzo podobna do Magdy Nowickiej. Kamera nie uzyskała dobrej ostrości, uroda oraz ubiór pozwalały jednak wnioskować, że to właściwy trop.

Wojtiuk obiecał niezwłocznie przesłać nagranie na skrzynkę Remberta. Ten oddał Lizie kluczyki do mercedesa i usadowił się na fotelu pasażera. Analiza materiału była dobrą wymówką, by nie prowadzić, choć może zastosowaną w niezbyt fortunnym momencie.

– Jesteś w stanie kierować? – dopytał, gdy uruchomiła silnik.

Langer milczała. W odpowiedzi dodała gazu i, wchodząc w zakręt z hamulcem ręcznym, wypadła ze żwirowego parkingu na ulicę.

– Okej, rozumiem – zapewnił ją przezornie Orest. – Nie musisz mi pokazywać tego tak wymownie.

– W takim razie przestań traktować mnie jak pieprzoną laleczkę z porcelany. Sprawdź lepiej, czy masz już to nagranie.

Rembert odblokował ekran komórki i uruchomił internet. Przez chwilę czekał, aż wszystkie wiadomości zostaną dostarczone.

– Jeszcze nie. To może być spory plik, którego przesyłanie potrwa... Dokąd jedziemy?

– Nie wiem. Muszę pojeździć w kółko, żeby zebrać myśli. To chyba cel warty spalania paru litrów ropy?

– Mówił ci ktoś, że twój mózg jest mniej ekologiczny niż piece kaflowe?

Langer po raz pierwszy tego ranka się uśmiechnęła.

– O nie, Oreście. To tylko przez twoje auto. Mój peugeot... – Urwała w połowie. Przełknęła ślinę i zerknęła na Remberta. – Zastanawiają mnie dwie rzeczy... – odezwała się poważnym tonem. – Dlaczego jakiś kutas chce mnie zrazić do poszukiwań Nowickiej, a wywozi mnie do lasu, gdzie są tamte wykopy?

– Daje ci znać, żebyś skupiła się na starej, gównianej sprawie – odparował natychmiast Orest. – A ta druga rzecz?

Liza zwolniła, dwukrotnie objechała rondo i skierowała się w stronę Wrzeszcza. Dziewczyna uwieczniona na nagraniu szła wzdłuż parku Steffensa przy alei Zwycięstwa. Wojtiuk zdążył ustalić, że kamery ze stacji paliw, oddalonej o dwieście metrów, już jej nie zarejestrowały. Mogła albo zawrócić, albo przejść przez ulicę jednym z dwóch przejść. Trzecia opcja była taka, że kobieta weszła do parku od ulicy Smoluchowskiego. Langer postanowiła czekać na dalsze wieści.

– Ten sukinyń twierdził, że ja walczę po zły, a on po dobrej stronie. Kilka razy powtórzył coś w tym stylu.

– Pewnie to kolejny wariat, który ma poczucie misji.

– I na czym ta misja miałaby polegać?

Rembert wzruszył ramionami. Wciąż siedział wpatrzony w ekran telefonu.

– Nie mam pojęcia, Lizo. W ogóle uważam, że powinniśmy to zgłosić. Ktoś cię porwał. Rozumiesz?!

– Zapewniam cię, że nikt nie rozumie tego lepiej niż ja.

– I masz to gdzieś? Przechodzimy do porządku dziennego nad sytuacją, gdy ktoś włamuje się do domu policjanta, krępuje go i...

Langer uderzyła pięścią w kierownicę.

– Ja nie mam domu, Orest – syknęła. – Mam cholerną przyczepę kempingową, której, jeśli spłonie, nie będzie mi ani trochę żal. Jest ubezpieczona, więc kupię kolejną. Mam kilka ubrań, które mi się podobają, lecz chuj z nimi. Robię wszystko, by poczuć się lepiej, a prawda jest taka, że w rozciągniętej koszuli nocnej czułam się tak samo, jak w mundurze albo sukni balowej. To nie ma dla mnie znaczenia. – Przygryzła usta, po czym mówiła dalej: – Staram się jeść smacznie, bo to daje mojemu życiu jakikolwiek smak. Ale nie można mnie zastraszyć ani zaszantażować. Dopóki nie wpieprzy mi się kolejna ekipa śledczych,

sama szybciej dorwę tego, kto założył mi za skórę, niż ktokolwiek inny. Nie mam potrzeby błagania kogokolwiek o pomoc, bo wiem, że poradzę sobie lepiej od niego.

Rembert chciał coś powiedzieć, lecz w tym momencie zabrzączał jego telefon.

– Obejrzyj to pieprzone nagranie – nakazała Langer. – I przestań mi matkować.

– Jest też wiadomość.

– Że?

– Przy bocznym wejściu do parku odnaleziono ślady opon. W ślepej uliczce, gdzie teoretycznie wstęp mają tylko służby porządkowe.

– I?

– Te pojawiają się tam raz na miesiąc. Mają być pojutrze.

Langer przez chwilę trawiła tę informację. Nagle tryumfalnie zacisnęła dłoń, po czym z impetem uderzyła Remberta w ramię.

– Oreście, takie drobnostki stawiają mnie na nogi. Wreszcie coś mamy!

Natychmiast się rozchmurzyła. Z uśmiechem ponownie gwałtownie dodała gazu.

41.

– Idzie pewnym krokiem, jakby była umówiona lub miała konkretny cel. To na pewno nie tempo spacerowe. Wygląda prawie, jakby ćwiczyła chodźniarstwo. Naprawdę zasuwa. Nie odwraca się jednak ani nie rozgląda, więc bez dwóch zdań nie spodziewa się zagrożenia. Na nagraniu wyświetla się godzina dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem. Biorąc pod uwagę odległości, wszystko się zgadza. Dojście do parku Steffansa z Zabłockiego zajmuje mniej więcej czterdzieści, pięćdziesiąt minut. Należy sprawdzić trasę obok stawu Wileńska, stadionu miejskiego oraz ośrodka sportu, a potem Zielonego Parku. Choć, żeby wyjść od południa, musiała iść przez tereny zielone Uniwersytetu Gdańskiego.

Langer oderwała wzrok od drogi i zerknęła na Remberta.

– Włóczysz się tamtędy?

– Bywam tam – przyznał oględnie Orest. Pospiesznie wrócił do tematu.

– Skoro nie uchwyciły jej żadne kamery, a przynajmniej nic o tym nie wiemy, obstawiałbym tę drugą trasę. Zresztą mogła ją wybrać całkowicie świadomie.

– Mów dalej.

– Na filmie jest widoczna dosłownie przez kilka sekund, więc niewiele tu po mnie...

– Czyli możemy przyjąć, że była umówiona lub szła do konkretnego celu?

Rembert oparł się o zagłówek i sapnął.

– Lizo, ja nie jestem jasnowidzem. Wiesz, że osoby o przeciętnej urodzie często podświadomie starają się chodzić dynamiczniej? – Langer nie odpowiedziała, więc spoglądając na ulicę, mówił dalej: – Ekstrawertycy chodzą średnio o sześć centymetrów na sekundę szybciej niż introwertycy. Zoolog brytyjski Desmond Morris wyróżnił prawie czterdzieści typów chodzenia. Tyle że po tak krótkiej próbie nie jestem w stanie wiele powiedzieć. Dziewczyna stawia kroki sztywno, na piętę, a nie na palce, ma dość mocno wyprostowane kolana i trzyma sztywno ramiona. To może potwierdzać stres lub napięcie. Równie dobrze może jednak świadczyć o tym, że parę kroków wcześniej się potknęła.

Langer zwolniła i zjechała na pobocze.

– Mówiąc krótko, znowu niewiele wnosisz do naszego życia. Na dwoje babka wróżyła, może to, może tamto...

Rembert nie zwrócił uwagi na jej sarkastyczny ton.

– Gdyby nie ja, dalej tkwiłabyś pod kocem w środku lasu – odciął się. – Uratowałem cię.

– Do tego nie potrzeba szczególnych zdolności ani studiów.

– Chcesz mnie pozbawić wyjątkowości?

Liza nie odpowiedziała. Zatrzymała auto i wysiadła. Drobnym truchtem ruszyła w stronę kilku policjantów stojących w pobliżu ogrodzenia parku. Przez moment zastanawiała się, co z jej chodu byłby w stanie wywnioskować Rembert. Lekko utykała, lecz starała się nie zwracać uwagi na doskwierający jej ból.

Na miejscu byli już technicy. Pospiesznie zabezpieczali ślady i co chwilę zerkali w niebo. Dopiero teraz Langer zdała sobie sprawę, że od zachodu zbierają się ciemne, burzowe chmury. Zrywały się również pojedyncze, mocne porywy wiatru. Rozwiewały nieprzyjemny, lepki upał.

– Herr Fischer!

Liza z daleka dostrzegła niskiego technika o mysiej urodzie. W rzeczywistości nazywał się Karol Flisek, lecz z racji lekkiej wady wymowy, przez którą mówił szorstko i twardo, a także ponieważ często współpracował z policją niemiecką, od lat przezywano go Herr Fischerem.

Kryminalistyk wyprostował się i pomachał jej na przywitanie.

– Co za spotkanie! – odezwał się jowialnie, po czym szeroko rozłożył ręce. – Fischer i Langer! Wolne Miasto Gdańsk może czuć się zagrożone.

– Wypraszam sobie. Mój dziadeczny stryj, czy jak się to nazywa, był pracownikiem Biura Szyfrów. Brał udział w złamaniu kodów Enigmy!

– A więc ślęczenie nad zagadkami jest u ciebie rodzinne?

Langer odchrząknęła, dając technikowi znać, by przeszedł do konkretów. Zacisnęła palce na szklanej lufce i w duszy zaklęła, że nie wyjęła z auta papierosów.

– Sedno jest takie, że nie powinno parkować tu żadne auto. Jest zakaz wjazdu, szlaban, który wprawdzie można ominąć, a do tego brak utwardzanego podłoża.

– Tak, to już wiem. Znaleźliście ślady opon.

– Opony – poprawił ją Fischer. – Ale to nie wszystko. Sprawa zapowiada się znacznie ciekawiej.

42.

Langer wbiła w Fischera uważne spojrzenie. Obróciła szklaną lufkę między palcami i przeniosła ciężar ciała na prawą, nieobolałą nogę. Kątem oka dostrzegła, że w ich stronę zmierza już Rembert.

– Gdybym miał tu jakieś krzesło, kazałbym ci usiąść – odezwał się kryminalistyk.

– Żeby nie mogła cię zdzielić po pysku?

– Jak zawsze zaczepna. – Fischer uśmiechnął się i zerknął w niebo. Powiew wiatru poniósł po okolicy kłęb pyłu. Plastikowa butelka, grzechocząc, potoczyła się po nierównym chodniku. – Gdybym nie musiał nadzorować pracującej w pośpiechu ekipy, z przyjemnością pogawędziłbym dłużej.

Technik poprawił czepek i ruszył do zabezpieczanego stanowiska.

– Hej! – Langer zrobiła krok w jego stronę. – A co z tym śladem?

– Słucham?

– Co z tym śladem?

Fischer zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się i skinął głową do Remberta.

– Ach, właśnie! – Teatralnie udał roztargnienie. – To jeszcze niepotwierdzone, więc nie bierz moich słów za pewnik. Choć jednocześnie wykluczyłbym taki zbieg okoliczności...

– Chciałabym o tym usłyszeć, nim zacznie się burza.

– Jasne. – Fischer spoważniał i spojrzał jej prosto w oczy. – Wiesz, że badałem też ślady tam w lesie? Przy tych odkrytych przed trzema dniami grobach.

– Wiem.

– I w tym rzecz. – Technik chciał włożyć dłonie do kieszeni, ale strój ochronny ich nie miał. Wobec tego nerwowo zabębnił palcami o uda. – Był tam ślad opony takiego samego typu i z takimi samymi cechami, jak tej tutaj. A o ile się orientuję... – zerknął w niebo, a następnie ponownie przeniósł wzrok na Lizę – ...to dwie całkowicie odrębne sprawy?

Langer wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Rembertem. To by wiele wyjaśniało. Znaleźliby przynajmniej jedną odpowiedź na pytanie zadane przez nią w aucie.

– Tak było do tej pory. Ale jak widać, wszystko może się zmienić.

– Powtarzam – technik wymownie uniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym – to jedynie moje spostrzeżenie. Wyniki potwierdzi laboratorium. Choć nie dopuszczam miejsca na błąd. Będziemy w kontakcie, moi kochani.

– Moi kochani? – Langer odprowadziła go wzrokiem. – Serio? *Auf Wiedersehen*, Herr Fischer. Idziemy, Oreście.

Odwróciła się i ruszyła do auta. Te informacje mogła uzyskać przez telefon, lecz pewnie kryminalistycy trafią do laboratorium dopiero późnym popołudniem. Dzięki temu, że tu przyjechała, zyskała kilka godzin.

Wyciągnęła telefon i wybrała numer Siweckiego. Zdała mu krótką relację, po czym, szykując się na suszenie głowy, wpadła w mający je zagłuszyć słowotok:

– W sposób kontrolowany prasa może się dowiedzieć o odkryciu śladów opon. Możemy też dodać, że podobne ślady zabezpieczono również w lesie przy szczytkach. Tamta sprawa zdaje się odchodzić w niepamięć, ale to nic. Niech media podchwycą temat i wszystko pójdzie z górki. To może spowodować, że sprawca zacznie panikować albo poczuje się doceniony. Tak przynajmniej utrzymuje doktor Rembert. Uważa, że to dobra metoda...

Orest szturchnął ją w ramię. Pokręcił z przyganą głową. Chciał coś powiedzieć, lecz Langer przyłożyła palec do ust. Przycisnęła słuchawkę do ucha, wsłuchując się w słowa inspektora. Odwróciła się, osłaniając oczy przed niesionym przez wiatr piaskiem. Kilka razy kiwnęła głową, a wreszcie się rozłączyła. Ponownie odwróciła się do Remberta. Odezwała się, nim ten zdążył zaprotestować przeciw użytym przez nią argumentom.

– Zgodził się. Nawet nie polemizował. Dziadzieje albo jest chory, ale to nie nasz problem.

– Wcale nie powiedziałem, że nagłośnienie i połączenie obu spraw to dobry sposób...

– Ale tak pomyślałeś. Widziałam to w twoich oczach.

– Wcale nie. Nie zastanowiłaś się, co się stanie, jeżeli się okaże, że kryminalistycy się pomylili? Że to tylko przedwcześnie rzucone tropy?

Langer podeszła do auta i uruchomiła pilotem drzwi. Zajrzała do środka, po czym wyciągnęła paczkę papierosów.

– Nic się nie stanie – zawyrokowała. – Dla społeczeństwa to nie będzie miało żadnego znaczenia. Poza tym nie musimy nic mówić wprost.

Orest wyciągnął z kieszeni pastylki. Wyrzucił kilka na dłoń i zaraz je wessał.

– Co to? – zapytała z ciekawością Langer.

– Yerba plus liście tytoniu w formie cukierków.

– Legalne?

Rembert nie odpowiedział. Rozzłoszczony schował opakowanie do kieszeni i spojrzał na Langer.

– Społeczeństwo to jedna strona medalu – powiedział, ssąc pastylki. – Interesuje nas również reakcja porywacza. Już dziś w nocy poczuł się zagrożony i odważył się zaatakować.

– Nie mamy pewności, że to on.

– Kogo chcesz oszukać?

Langer zaciągnęła się głęboko papierosem i powoli wypuściła dym.

– Nie wiem, Oreście – przyznała niechętnie. – Chyba jeszcze sobie tego nie przetrawiłam. W każdym razie powiedz mi, co o tym wszystkim sądzisz?

Z twarzy Remberta zniknął chmurny wyraz. Był wyraźnie zadowolony, że Lizę interesuje jego zdanie.

– Leonardo da Vinci twierdził, że cały świat polega na jak najszybszym osiągnięciu skutku. Jeżeli poprowadzimy możliwie krótką drogę we właściwym kierunku, poznamy przyczynę.

– Da Vinci był wielkim człowiekiem, ale to dla mnie brzmi jak zwykłe głędzenie dla samego głędzenia.

– Moim zdaniem miał rację.

Langer wyrzuciła niedopałek papierosa i wsiadła do mercedesa. Odpaliła silnik, po czym gestem ponagliła Oresta. Ten zdziwiony usadowił się na fotelu pasażera.

– Co teraz? – zapytał, zapinając pasy.

– W nocy, nim ktoś mnie ululał, przejrzałam listę nazwisk zapisaną przez matkę Magdy Nowickiej. To raptem kilka pozycji, a widziałas, z jakim mozołem je kreśliła.

– Zdaje się, że jej córka nie jest typem dziewczyny z szerokim gronem znajomych.

– W tym przypadku to całkiem dobrze. Odrzuciłam wszystkie dziolchy, latawice i inne kumpele, a gachów wyszukałam na Facebooku.

– Niesamowite. Liza Langer ma konto w mediach społecznościowych?

– Anonimowe.

– To nielegalne.

Langer spojrzała na Remberta z ukosa.

– Okej, okej. Nie bij. Zamieniam się w słuch.

– Było tam sześciu facetów – ciągnęła komisarz. – Jednego nie odnalazłam. Trzech kumpli pracuje teraz we Francji, a co więcej, przedwczoraj wstawili wspólną fotkę z wypadu do Nicei.

– Zostaje dwóch?

– Tak. Jeden już z aparycji wygląda mi na bandziora. Umówię się z nim na romantyczną pogaduchę przy kawie.

– Zazdroszczę.

– Ty w tym czasie spotkasz się z drugim. Nieważne, czy jest w pracy, w domu, czy w cholernym więzieniu.

– Też mam odbyć romantyczną rozmowę przy kawie?

– Masz wyciągnąć z niego informacje, Oreście. A jak to zrobisz, pozostawiam to tobie.

43.

Plan mieli prosty. Mężczyzna, z którym zamierzała spotkać się Langer, prowadził bar na Jelitkowie. Drugi ze znajomych Magdy Nowickiej był zaś menadżerem sali kinowej w Galerii Bałtyckiej. Liza postanowiła podrzucić Remberta w okolice alei Grunwaldzkiej, a w drodze powrotnej go odebrać. Rozdzielając się, mogli zaoszczędzić sporo czasu. I choć Rembert nie był formalnie uprawniony do przeprowadzania czynności dochodzeniowych, te wcale nie musiały być rejestrowane. Nie było przeszkód, aby odbył niezobowiązującą rozmowę w konkretnej sprawie. Wizytówka psychologa policyjnego powinna mu w tym pomóc.

O Mariuszu Darczewskim, poza informacją o barze, Langer dowiedziała się niewiele. Na Facebooku miał tylko dwa zdjęcia, a wszystkie treści zostały zablokowane dla osób nieznanym. Liza

wahała się, czy nie sprawdzić go w Krajowym Rejestrze Karnym, lecz wiązałyby się to z koniecznością wszczęcia procedur. Na razie wołała tego uniknąć.

Gdy tuż przed południem stanęła przed mieszczącym się w przypominającym bungalow budynku barem U Kapitana, wciąż wiał wiatr, a w oddali dudniły grzmoty. Mimo to wydawało się, że burza przejdzie bokiem i na miasto nie spadnie nawet kropla. Poza tym chmury zaczęły się lekko rozwiewać, a horyzont z granatowoczarne stał się szary.

Langer pchnęła drzwi z tabliczką informującą o godzinach otwarcia baru i zanurzyła się w ciemnym, dusznym wnętrzu. Większość stolików o tej porze była pusta. Przy jednym nad szklankami piwa siedziała para nastolatków, którzy z pewnością nie mieli skończonych osiemnastu lat. Przy kolejnym, w przeciwnym rogu sali, pochylał się podchmielony, potężny brodacz, wręcz sztampony wilk morski, który na swoje nieszczęście dożył emerytury.

Za barem stał wysoki, krótko ostrzyżony brunet w białym podkoszulku bez rękawków. Krój miał uwypuklać jego niezbyt okazałe mięśnie i odsłaniać znacznie efektowniejsze tatuaże. Właściwie każdy fragment jego ciała został wytatuowany. Napisy i tribale mieszały się z figurami geometrycznymi oraz wizerunkami nagich kobiet.

Langer zatrzymała się po drugiej stronie baru i z uznaniem popatrzyła na tatuaże. Pokiwała głową.

– Sporo roboty, bólu i kasy – mruknęła.

Mężczyzna uśmiechnął się zalotnie, jednocześnie prężąc muskuły.

– Każdy jeden był wart swojej ceny – powiedział z dumą. – Zabiorę je do grobu.

– To na pewno.

– Zastąpią mi złoto i zmumifikowane koty.

Langer zmrużyła oczy, a barman zaśmiał się głośno.

– Chodziło mi o faraonów egipskich – wyjaśnił. – Ich chyba chowano z kotami i złotem. Tutemchamun albo ta... Kleopatra.

– Tutenchamon – poprawiła go Liza.

– Jeden chuj. Co podać?

Langer oparła dłonie na oklejonym porozlewany piwem, pełnym okruchów blacie.

– Pan Mariusz Darczewski? – zapytała.

Mężczyzna odsunął szklanke, z której popijał piwo, i pochylił się nad barem. Spojrzał jej prosto w oczy. Poczula zapach jego potu zmieszany ze spirytusowym aromatem tanich perfum.

– Bądźmy na ty... – wyszeptał zalotnie.

– Okej, kochasiu. Powiedz mi tylko, czy to ty jesteś Mariuszem.

Darczewski powoli skinął głową.

– Glina? – zapytał bez ogródek.

– Możemy zacząć od tego, jak bardzo nie lubisz psów, od pokazania, jakim jesteś napakowanym testosteronem troglodytą, a potem, jeśli tego zapragniesz, nawet pozwolę ci ostentacyjnie odejść. Tyle że koniec zawsze będzie taki sam.

– To znaczy?

– Przyjdzie do ciebie list z wezwaniem na komisariat. Jeśli nie będziesz miał ochoty zjawić się z własnej woli, przyjedzie po ciebie suka. Tak czy siak, się spotkamy. Ale możemy załatwić to szybko i bezproblemowo tutaj. Bez sprawdzania, ile lat mają tamci gówniarze w rogu sali ani czy wszystkie te piwa nabiłeś na kasę.

Darczewski wygiął usta w podkowę i pociągnął nosem. Rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt teraz na niego nie patrzy. Już nie prężył mięśni.

– Zgoda. Mów, o co ci chodzi. Pani sierżant?

– Komisarz Liza Langer.

– Liza... Ładne imię. Nigdy nie spotykałem się z żadną Lizą.

– I sędzę, że szybko się to nie zmieni.

Langer wyprostowała się i przeszła wokół baru. Obeszła go, po czym pchnęła dwuskrzydłowe drzwiczki. Wyciągnęła spod lady krzesło i usiadła obok Darczewskiego. Ten nie skwitował jej zachowania nawet słowem.

– Przyjaźnisz się z Magdą Nowicką.

Uważnie wypatrywała reakcji barmana. Kąciki jego ust drgnęły, wzrok się wyostrzył, ale poza tym Darczewski nie sprawiał wrażenia ani

zestresowanego, ani zaskoczonego. Popełniła błąd, nie biorąc ze sobą Remberta. Co jak co, ale miał dar czytania z ruchów ciała oraz mimiki.

– Nie widziałem się z nią od ponad roku. – Darczewski zerknął w głąb lokalu, upewniając się, że nie zjawił się żaden nowy gość. – Może dłużej.

– Dlaczego? Chyba byliście bliskimi znajomymi?

Spojrzał na nią badawczo. Głośno odcharknął i splunął do zlewu, obok którego na piętrowym ociekaczu suszyły się szklanki.

– Magda zaginęła. Widziałem wczoraj w wiadomościach. I zdaje się, że to ty prowadziłaś tę konferencję, prawda? – Uśmiechnął się nerwowo. – Teraz poznaję. Od razu rzuciłaś mi się w oczy. Spodobało mi się, jak bardzo masz w dupie dziennikarzy i konwenanse. Chciałaś powiedzieć swoje i wracać do roboty. Pewnie dla wielu wyszłaś na gburowatą sukę, która sra wyżej, niż dupę ma, ale dla mnie...

Langer weszła mu w słowo.

– Możemy skończyć te peany na moją cześć?

– Dla mnie wyszłaś jak profesjonalistka – dokończył Darczewski. Po chwili dodał: – Po prostu widziałem kobietę, która ma cel. I nie jest nim wypaść jak wypacykowana laleczka przed kamerą.

– Zaraz się wzruszę. I stracę potrzebę chodzenia do terapeuty.

– Chodzisz do terapeuty?

Liza przewróciła oczami. To, jak płynnie barman zmieniał temat, wzbudziło jej czujność. Starał się ją zagadać, ułagodzić czy wręcz się jej podlizać, sukcesywnie rozmydlając wątek. Rembert nauczył ją zwracać uwagę na takie detale. Tylko czy, do licha, nie był to po prostu styl Darczewskiego? Zwykły odruch? Barmańskie flirtowanie z każdą wyposażoną w cycki istotą, która wejdzie do baru?

– Dobra, kochasiu, do rzeczy. Powiedziałeś, że nie widziałeś Magdy od ponad roku.

– Nie widziałem się z Magdą – poprawił ją mężczyzna.

Dał się złapać na prostą zagrywkę. Zabawa w „precyzowanie–dementowanie” była autorskim wynalazkiem Langer, który stosowała w trakcie szczególnie opornie idących przesłuchań. Umyślnie przeinaczała wypowiedzi zeznających, by ci poczuli się zobowiązani prostować jej słowa, a przy okazji rozwijać wcześniejszą, lakoniczną wypowiedź. Tak stało się również tym razem.

– Czasami ją widywałem – uściślił Darczewski. – Na plaży, na osiedlu... Zdarzało się, że przychodziła nawet tu, do baru. Z nowymi znajomymi.

– Z nowymi znajomymi?

– Tak. Kumpłowała się od jakiegoś czasu z takimi dwoma chłystkami.

Langer sięgnęła do komórki i ukradkiem uruchomiła dyktafon.

– Znasz ich nazwiska?

– Nie.

– A chociaż imiona?

Barman poderwał się do lady i podstawił szklanekę pod kranik z piwem. Langer obróciła się i popatrzyła nad rzędem butelek. Muskularny brodac, zataczając się, sunął w stronę baru. Musiał być stałym klientem, a Darczewski najwyraźniej znał jego możliwości i potrzeby. Gdy brodac znalazł się przy kontuarze, barman bez słowa podał mu kolejne piwo. Wymienili krótkie, porozumiewawcze spojrzenia. Po chwili Darczewski ponownie usiadł naprzeciw komisarz

Uniósł głowę i spojrzał w sufit. Przełknął ślinę.

– Zdaje mi się, że na jednego z nich reszta wołała „Kolorowy”. Zwróciłem na to uwagę, choć gość wyglądał normalnie. Może to było nazwisko? Totalny przypał mieć na nazwisko Kolorowy.

– Mógłbyś mi ich opisać?

Darczewski wzruszył ramionami.

– Nigdy się im nie przypatrywałem. Jeden wyższy, postawniejszy, z krótkim zarostem. Drugi mocniej opalony, z czarnymi włosami. Wyglądał jak Cygan. Ale to nie jego nazywano „Kolorowym”, tylko tego wyższego.

– Rozpoznałbyś ich na zdjęciu?

– Wątpię. Nie miałbym stu procent pewności. – Barman zakreślił palcem kółko. – Widzisz to? Brak światła. Mamy tu intymną atmosferę, by nie gapić się na siebie zbyt czujnie, bo to nie sprzyja szczeroci kontaktów.

Langer założyła nogę na nogę. Poprawiła się na twardym krześle.

– Dziwna polityka firmy.

– Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc.

– Możesz.

Darczewski ciężko sapnął.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Kiedy widziałeś ją ostatnio?

– Dwa, może trzy tygodnie temu. Wtedy, gdy była ta poprzednia fala wariackich upałów. Zdaje się, że zaszła tu na piwo w drodze na plażę. Miała przy sobie torbę, z którą zawsze chodziła nad morze.

Langer przygryzła policzek. Poczowała krew na języku.

– Dlaczego chodziła właśnie tutaj? – zapytała, pochylając nieco na bok głowę. – Od niej z domu to kawał drogi.

– Kawał drogi, ale Magda nie lubi zmieniać zwyczajów. Przywiązuje się do miejsc i ludzi. Chodziła do tego baru i na tę plażę od wielu lat.

– Dlaczego więc zmieniła towarzystwo?

Darczewski odwrócił wzrok. Podniósł się z krzesła i machinalnie przetarł dłonią kontuar.

– Zabiła kogoś – wyszeptał, wciąż nie patrząc na Langer. – A później uznała, że to вина demonów.

44.

Rembert zdał sobie sprawę, że przyciągnął uwagę stojących obok osób. Nieświadomie mruzczał pod nosem, porządkując myśli. Udał, że nic sobie z tego nie robi, zanucił coś, po czym się odwrócił.

Czekał na Langer na przystanku przy alei Żołnierzy Wyklętych. Za plecami miał nowoczesny gmach Galerii Bałtyckiej, a przed sobą opartą na kolumnach konstrukcję trasy nadziemnej. W jej cieniu odpoczywało kilkoro rowerzystów. Po niedoszłej burzy nie pozostał już nawet ślad. Rozpogodziło się, niebo przybrało jasnoblękitną barwę, a temperatura z pewnością przekroczyła trzydzieści stopni.

Z daleka dostrzegł białego mercedesa W123, który z piskiem opon wszedł w zakręt od alei Grunwaldzkiej. Następnie gwałtownie zatrzymał się przed przejściem dla pieszych i gdy zeszła z niego poruszająca się o lasce staruszka, ponownie wyrwał do przodu.

Langer nie zamierzała się zatrzymywać. Wjechała w zatoczkę autobusową i zwolniła do kilku kilometrów na godzinę. Orest zrozumiał, że Liza oczekuje, iż psycholog wskoczy do środka w trakcie jazdy.

– Zaraz! Chwila!

Otworzył drzwi i o mały włos nie upadł na bruk. Podbiegł kilka kroków, po czym udało mu się dostać do mercedesa.

– Oszalałaś? Nie mogłaś się zatrzymać?

Langer nie odpowiedziała. Zaciskając dłonie na kierownicy, włączyła się do ruchu. Rembert dostrzegł, że ma pobielające kłykcie, a jej zuchwa porusza się jak zawsze, kiedy Liza intensywnie myślała. Wzrok miała wbity w drogę, ale nie sprawiała wrażenia osoby szczególnie skupionej na jeździe.

– To jakiś degenerat – odezwał się pierwszy. – Nie wiem, jakim cudem został menadżerem sali. Obstawiam, że jest synem właściciela albo podczas rozmowy o pracę przyłożył komuś do głowy pistolet. Nie zdziwiłbym się.

– Aż tak? – bąknęła Langer.

– Był naćpany. Gały wywalone na wierzch, czerwone spojówki, źrenice wąskie jak nie powiem co u hurysy... – Rembert sapnął. – Ale bez dwóch zdań mówił prawdę. Od dawna nie widział Nowickiej, a na noc, gdy zaginęła, ma alibi. Koniec, kropka. Dziękuję. Zmarnowałem godzinę życia na rozmowę z degeneratem.

– Aha.

– Aha?

Rembert zerknął na Langer. Była podekscytowana i skupiona jednocześnie. Choć skupienie z pewnością nie dotyczyło drogi przed nimi. W ostatniej chwili zauważyła, że na skrzyżowaniu zapaliło się czerwone światło, i z całej siły wcisnęła hamulec. Mercedes z piskiem opon zatrzymał się kilka metrów przed przejściem.

– Jezu, Liza, można delikatniej!

– Przepraszam...

– Powiesz mi, czego się dowiedziałaś?

– Aha.

– Aha: co? Na tym polega rozmowa: raz mówisz ty, raz ja. Teraz czas na ciebie.

Langer nieco rozluźniła dłonie na kierownicy. Poprawiła się w fotelu i podkręciła klimatyzację.

– Te problemy z prawem Nowickiej to nie były cholerne rozboje – odezwała się, nie odrywając wzroku od sygnalizatora świetlnego. – A przynajmniej nie tylko. Trzy lata temu wsiadła za kółko i zabiła człowieka.

– Po pijaku?

– Nie. Podobno miała atak padaczki.

– To nie przestępstwo.

– Darczewski dał mi do zrozumienia, że to psycholka, która była non stop na lekach. Zaczęła je mieszać i eksperymentować.

– Przy okazji choroby chciała mieć trochę rozrywki. To się zdarza.

– Nie widzisz w tym nic złego? – Światło się zmieniło i Langer ruszyła. Tym razem powoli. – Dziewczyna miesza leki, wie, że po tym koktajlu nie może prowadzić, po czym wsiada za kierownicę i wjeżdża w przypadkową osobę. Adwokat ją wyciągnął, ale całą winą obarczył jej znajomych. Ona ocalała dupę, a ci dostali wyroki za dopuszczenie do całej sytuacji.

– Uznano ją za niepoczytalną w chwili popełniania czynu?

– Uwierz mi, że ten wytatuowany pozer nie zapamiętałby takiego zwrotu. Wspomniał jednak o tym, że musiała się poddać jakiejś terapii. Rodzina zabitej ponoć do tej pory użera się z ubezpieczycielem o odszkodowanie.

Rembert nagle uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Cwane. – Pstryknął palcami. – Naprawdę cwane. Podejrzewasz, że to oni mogą mieć coś wspólnego z jej zniknięciem? Zemsta? Pragnienie uśmierzenia własnego bólu przeniesieniem go na jego sprawcę?

– Przyszło mi to do głowy – przyznała Langer.

– To psychologiczny margines marginesów. Normy etyczne, moralne i cały rozwój cywilizacji wybiły nam z głowy takie zachowania. Piętnujemy je sami w sobie. O ile nie mówimy o patologii. Poza tym działanie Magdy Nowickiej łatwo usprawiedliwić. Naprawdę mogła być niepoczytalna lub mieć ograniczoną świadomość kierowania swoim postępowaniem...

– Wiesz, że nasza robota zbyt często opiera się na obcowaniu z patologią i marginesem marginesów.

Rembert musiał przyznać jej rację.

– Mimo wszystko – dodał przekornie – statystycznie to mało prawdopodobne. Na filmach mamy mnóstwo mścicieli, lecz w rzeczywistości to tak nie działa. Zemsta to motywacja mniej niż jednego procenta sprawców zabójstw.

– Dlatego już kazałam sprawdzić rodzinę tej potrąconej kobiety. Oprócz tego Róża Burza dostała zadanie wysłania ludzi do rozpytania o Nowicką jej znajomych ze studiów, ekspedientek w osiedlowych sklepach czy kosmetyczek. Chcę się dowiedzieć, jaka jest. Być może ten barman nie mówił całej prawdy.

Langer z irytacją nacisnęła klakson, gdy duży SUV wepchnął się na pas tuż przed nimi. Rembert nie zwrócił uwagi na jej wybuch wściekłości.

– Masz wrażenie, że kłamał? – zapytał.

– Od przebywania w twoim towarzystwie zaczynam przesadnie analizować ludzi. I to jest błąd prowadzący do nadinterpretacji.

– Nie możesz oddzielić wniosków od nadinterpretacji. Nie potrafimy tego zrobić wobec własnych spostrzeżeń.

– Pieprz się, Oreście.

– Powiedz mi tylko, jakie odniosłaś wrażenie.

Langer machnęła dłonią, jakby chciała odgonić natrętną muchę.

– Co najmniej nie mówił całej prawdy. I ma swoje za uszami.

– A alibi na wieczór, gdy zaginęła Nowicka?

– Solidne. Pracował w barze, miało go widzieć kilkudziesięciu klientów. Tyle że...

Kobięcy krzyk sprawił, że Langer urwała w pół zdania. Szamocząc się z pasem, wyciągnęła z kieszeni telefon, po czym zerknęła na wyświetlacz. Dzwonił aspirant Wojtiuk. Zmieniła pas na prawy i pospiesznie odebrała.

– Masz jakieś wieści? – zapytała, przytrzymując słuchawkę między ramieniem a uchem.

Odpowiedź aspiranta była bardzo wymowna:

– Mam kurewsko złe wieści.

45.

Kuchnia molekularna była jednym z głównych filarów prężnie rozwijającej się LuxFood Corporation. Piotr Gromczyński wyczuł jej potencjał już pod koniec lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku, gdy to pojęcie dla większości Polaków brzmiało jak nazwa stołówki przy centrum lotów NASA. Zresztą skojarzenie były dość słuszne.

Sedno kuchni molekularnej stanowi oparcie się wyłącznie na naturalnych składnikach, którym nadaje się wyjątkową formę poprzez odpowiednie wykorzystanie zjawisk chemicznych oraz fizycznych. Niektóre z nich były banalne. Gromczyński uległ bezwzględnej fascynacji, gdy jeden z zagranicznych partnerów podczas prywatnej kolacji zaprezentował mu przepis na doskonałe jajko. Należało umieścić je w woreczku próżniowym, zanurzyć w wodzie i wstawić na dwie godziny do piekarnika rozgrzanego dokładnie do 63 stopni. Niewiele ówczesnych piekarników oferowało taką możliwość, lecz Gromczyński od razu wyczuł pomysł na rozwinięcie interesu.

Od prawie dwudziestu lat jego laboratoria opracowywały metody konserwowania i sprzedawania dań kuchni molekularnej w formie instant. Było to działanie sprzeczne z początkową ideą tej kuchni, lecz – zdaniem Gromczyńskiego – właśnie na tym polegał rozwój. Należało zwalczać idee, ewentualnie je modyfikować i stawiać na piedestale własne pomysły.

Molekularny fast food stał się jednym z pierwszych prawdziwych sukcesów przedsiębiorcy. Mimo rozgłosu i początkowej euforii okazało się jednak, że koszty działalności są tak wysokie, że należy podnieść ceny. Te natychmiast odstręczyły gros klientów. Wobec tego Gromczyński zdecydował się stworzyć markę LuxFood. Kierował ją do osób, którym nie robiło różnicy, czy na obiad wydadzą pięćdziesiąt, czy dwieście złotych. Poza tym istotnym elementem polityki firmy stało się

sprzedawanie bonów prezentowych oraz organizowanie eleganckich kolacji. Tym razem biznes zaczął przynosić naprawdę godne dochody.

Gromczyński nie spoczął na laurach. Mimo że działał w wielu gałęziach rynku, LuxFood stał się jednym z jego koników. Postanowił rozwijać tę markę i modyfikować jej ofertę. Wreszcie pojawił się pomysł molekularnych dań instant, dań na wynos albo potraw konserwowanych. Było to trudne, lecz wykonalne. Przynajmniej tak zapewniali Gromczyńskiego pracujący dla niego chemicy. Tyle że od dekady nie dokonali żadnego przełomu. Opatentowali kilka rozwiązań, lecz prace wciąż były w toku i nie dawały jasnej odpowiedzi, czy i kiedy zainwestowane pieniądze się zwrócą.

Jednocześnie marketingowcy robili, co mogli. Samo wypuszczanie do mediów plotek o możliwościach kuchni molekularnej, o perspektywach projektu LuxFoodu oraz o tym, jak diametralnie wkrótce zmieni się rynek, sprawiały, że władarze przedsiębiorstwa zaczęli uchodzić za wizjonerów. Współpracujący z nimi mistrzowie kuchni zyskali miano sław, choć tak naprawdę paleta ich dań nie była przesadnie bogata. Kilka nowych receptur to nie były wiekopomne odkrycia, a konsekwencja typowych eksperymentów.

Mimo to pomarańczowy przezroczysty makaron stał się sukcesem rynkowym. W filiach brytyjskich, francuskich oraz niemieckiej sprzedawano dziesiątki tysięcy porcji dziennie. Biorąc pod uwagę, że jedna kosztowała pięć euro, przy kosztach produkcji zminimalizowanych zaledwie do kilkudziesięciu centów, można było mówić o sukcesie. Długotrwała strategia marketingowa nie mogła jednak opierać się na jednym produkcie. Wiele marek przejechało się na tym, jak szybko zmieniają się podniebienia i upodobania konsumentów. Rada nadzorcza LuxFoodu była zgodna, że jak najszybciej należy wprowadzić gamę całkowicie nowych produktów. Wobec tego potężne środki przesunięto do kilku laboratoriów firmy. Jak dotąd generowały one potężne koszty, nie dając nic w zamian.

Tymczasem Gromczyński trzymał się na uboczu. Wolał, aby to jego dyrektorzy wykonawczy uchodzili za wizjonerów. Był szarą eminencją biznesu, który sam stworzył. Nierzadko pracował od świtu do zmierzchu, by potem zdrzemnąć się przez godzinę i pracować do kolejnego wieczora.

Uchodził za tytana pracy, a jednocześnie bardzo życzliwego szefa. Pracownicy, którzy byli wobec niego lojalni, zyskiwali jego bezgraniczne poparcie w każdej sytuacji. Mimo że łącznie w ośmiu spółkach Gromczyński zatrudniał ponad sto osób, każdą znał z imienia i nazwiska. Każda mogła przyjść do jego gabinetu i wyplakać mu się w rękaw. Wszystko funkcjonowało niemal jak rodzinny interes.

Osoby, które znały Gromczyńskiego bliżej, podziwiałały wszechstronność jego umysłu. Jednego dnia zajmował się eksperymentami nad jedzeniem molekularnym, by kolejnego opracowywać najtrwalszy zapach perfum. W przerwach konsultował z innym laboratorium sprawę szczepionek przeciw chorobom wieku dziecięcego lub kremów ujędrniających skórę. Poza tym ślęczał na łączach z Japonią, Koreą czy Kazachstanem. Zaharowywał się.

Segmenty medyczny i kosmetyczny były szczególnie bliskie jego sercu. To w nich widział istotę swojej działalności. To tam mógł czynić prawdziwe dobro, a jednocześnie zarobić górę pieniędzy. Luksusowe jedzenie miało prawo na zawsze pozostać luksusowe, lecz upowszechnienie szczepionek przyniosłoby Gromczyńskiemu chwałę. Członkowie rad nadzorczych nie pochwalali tej polityki ani nie mieli podobnych marzeń.

Prawdziwym ciosem była utrata państwowych funduszy. Ze względów politycznych strumień pieniędzy na badania nagle został wstrzymany. Pozostały natomiast kosztowna aparatura oraz personel, który trzeba było utrzymywać w nadziei, że fundusze zostaną odblokowane. To przynosiło straty. Wydawało się, że marzenie Gromczyńskiego o stworzeniu lekarstwa na jakąś śmiertelną chorobę lub wyeliminowanie problemów bezpłodności czy wad genetycznych miało pozostać niezrealizowane.

Odcięcie funduszy doprowadziło go na skraj załamania. Pozbawiano go jednego z sensów życia. Wtedy jeszcze mocniej zwrócił się ku synowi i pragnieniu jak najdoskonalszego jego wyedukowania. Godzinami spacerował z nim po laboratoriach i tłumaczył skomplikowane zagadnienia. Zachowywał się tak, jakby przeczuwał swój koniec. Jakby pragnął cały swój umysł skopiować i przekazać synowi.

Mimo to któregoś dnia nie wytrzymał. Uznał, że praca jego życia była zbyt wiele warta, by się poddać i nie zaryzykować. Zdecydował, że za wszelką cenę należy pozyskać inwestorów oraz zewnętrzne finansowanie. Prawnicy oraz doradcy ekonomiczni z całą siłą starali się wyperswadować mu nowy pomysł. Gromczyński jednak, jak zawsze, w sprawie debiutu giełdowego był uparty. Skoro sam podjął decyzję, nikt nie mógł mu wybić jej z głowy.

Być może właśnie dlatego wiele osób było niezadowolonych z drogi, którą obrał. Niektórzy bali się redukcji etatów, inni – utraty wartości udziałów, a jeszcze inni mogli spiskować z konkurencją. Ta zaś przypatrywała się zawirowaniom w biznesie Gromczyńskiego szczególnie uważnie. Liczono na spektakularną porażkę, ale niektórzy niechętnie przyznawali, że jego wizja może się okazać prawdziwa. Koncern zajmujący się różnymi nowoczesnymi technologiami wkraczał na rynek.

Piotr Gromczyński zatopiony był w sentymentalnych wspominkach, gdy przepychał się pomiędzy swoimi pracownikami na parkingu. Przez okno dostrzegł zamieszanie, lecz nie miał pojęcia, co je spowodowało.

– Sukinsyny. Pieprzone sukinsyny.

Słyszał głos jednego z dyrektorów, lecz nie zastanawiał się, do kogo ten kierował swoje słowa. Biznesmen wyciągnął się, przechodząc między stojącymi blisko SUV-ami daihatsu oraz lexusa. Przecisnął się, ocierając o ich lusterka. Znalazł się w kolejnej części parkingu. Niedaleko codziennie sam zostawiał własne auto.

Zrozumiał, że kilkanaście zgromadzonych osób stoi właśnie przy jego pocziwej, ośmioletniej alfie romeo.

– Co się stało? – zapytał, podchodząc.

Ludzie rozstępowali się przed jego potężną sylwetką. Zerkali na niego, jakby wyczekiwali jakiejś nagłej reakcji.

Coś było nie tak.

Wysiadając z auta, z pewnością zamknął szybę. Teraz była otwarta.

Gdy zrobił kilka kolejnych kroków, zrozumiał, że została zbita i w samochodzie znajdują się jej pokruszone odłamki. Część tafli roztrzaskała się w drobny mak również pod drzwiami od strony kierowcy.

Zebrani na parkingu ludzie nerwowo zerkali jednak do środka.

Gromczyński dopadł do drzwi i odruchowo, nie zastanawiając się nad zacieraniem ewentualnych śladów, szarpnął za klamkę. Zamek pozostawał zamknięty, więc otworzył drzwi od środka.

Spostrzegł leżący na siedzeniu pakunek. Jak w transie sięgnął po pokrytą czerwonymi śladami, zwiniętą w kulkę gazetę. Podniósł ją. Okazała się mokra i śliska. Rozwinęła się, a na ziemię wypadło z niej mięsiste zawiniątko.

Oblepione świeżą krwią wnętrzności.

Na stronie gazety Gromczyński dostrzegł nakreślony czarnym markerem napis:

**Ś.P.
Adam G.**

46.

Już sama droga była ponura. Zbliżając się do wybrzeża, do pasa plaż i morza, zazwyczaj miało się to przyjemne uczucie podążania we właściwym kierunku. Wyczuwało się bryzę, ożywczy aromat wody zmieszany z zapachem sosen i jodu. Przechodziło się kilkudziesięcio- lub kilkusetmetrową linię drzew, a potem dostawało się piękny widok wydm, łąchów piasku i morza. Być może bardziej zielonego niż błękitnego, być może o temperaturze bardziej przypominającej tę w lodowej przerębli niż w wannie, ale jednak mającego swój wyjątkowy urok.

Tak wyglądało to zazwyczaj, z tym kojarzyła Bałtyk większość turystów. Tymczasem Rembert i Langer wysiedli z auta na końcu drogi, którą przez niemal kilometr stanowiły betonowe płyty, jakich niegdyś używało się na budowach. Po jednej stronie ciągnęły się nieużytki, a po drugiej – sześciiany domów nieodnawianych od lat siedemdziesiątych. Przy niektórych z nich znajdowały się składy budowlane lub zwykłe

rupieciarnie. Wrażenie chaosu potęgowały wysuszone, niemal żółte trawniki poprzetykane kopcami kretów.

Rembert pierwszy dostrzegł furgonetkę techników oraz nieoznakowanego opla, który z pewnością należał do policji. Oba pojazdy stały na trawie, w cieniu krzewów, chyba leszczyny.

– Tam... – Wyciągnął dłoń i pomaszerował w ich stronę.

Za rzędem krzaków teren minimalnie się podnosił. To owa niecka musiała powodować, że w okolicy panował okropny, gorący zaduch, a powietrze niemal w ogóle się nie ruszało. Znajdowali się kilka kilometrów na północ od Gdyni, lecz zdawało się, że temperatura ocierała się o tropikalne pięćdziesiąt stopni.

– Mamy minąć auta i iść wydeptaną ścieżką – odezwała się Langer.

Ból w nodze nie był już tak dotkliwy jak przed kilkoma godzinami, ale wciąż sprawiał, że lekko utykała. Szczególnie gdy szła po nierównym terenie, musiała ostrożnie stawiać kroki. Tym razem nie zapomniała o lufce i papierosie. Odpaliła go jeszcze w samochodzie. Maszerowała, co chwilę zaciągając się i wypuszczając dym nosem.

– Nie wiem, jak możesz się truć w taki upał – mruknął Rembert. – To jakbyś podpałała się dodatkowo od środka. Jak kurczak z rożna, któremu w kuper wsunięto petardę.

– Chodziło ci raczej o rozgrzany rożen.

– Chodziło mi o przesadną przenośnię.

Langer odpowiedziała, ostentacyjnie wypuszczając w jego stronę mentolowy dym. Choć w Unii Europejskiej sukcesywnie ograniczano dostęp do papierosów smakowych, zdobywała je na bazarach. Poza tym białoruskie mińskie naprawdę jej smakowały.

– Ochładzają mnie – powiedziała, gdy zeszła z płyty betonowej na wydeptaną ścieżkę. – Odświeżają i ochładzają. To jak przefiltrowanie się od środka. Inhalacja lodem.

– Aha. Smacznego.

Langer zwolniła, by odgiąć zwisającą się nad ścieżką gałąź.

– Pieprzona dżungla.

Pochyliła się i, kuśtykając, przyspieszyła kroku. Rozgarniała rękoma zarośla przed sobą.

– To na pewno ta ścieżka? – zawołał za nią Rembert.

Ścieżka była, co prawda, widoczna wśród sięgających półtora metra chaszczy, lecz co chwilę należało odginać kolejne gałęzie.

– Mam taką nadzieję.

– Ktoś tędy niedawno szedł – zauważył Orest. – Trawa jeszcze nie zdążyła wstać.

– Może nie zdążyła tego zrobić od wiosny.

Nagle spomiędzy drzew przebiła niebieska toń Bałtyku. Langer jeszcze bardziej przyspieszyła kroku, jakby ten widok nagle ją pobudził. Znajdowali się kilkadziesiąt metrów powyżej poziomu morza, ku któremu prowadziła kręta, żwirowa ścieżyna.

– Dzień świra! – Nawet z oddali rozpoznała głos Fischera.

– Teraz tutaj?

– Ileż można patrzeć na ślady opon?

Langer zeszła ze zbocza i ostrożnie stąpała między wielkimi, wyślizganymi przez Bałtyk głazami. Fale chlupotały o kamienie i z szelestem cofały się w głąb morza. Technik podszedł w jej stronę. Ściągnął czepek ochronny, po czym wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

– Dzień świra – powtórzył zmęczonym głosem.

Liza przyjacielsko poklepała go po przedramieniu, po czym ruszyła do dwóch kolejnych techników oraz nieumundurowanego policjanta. U podnóża ogromnego szarego głazu leżał zdeformowany, nieokreślony przedmiot.

Dopiero z odległości kilku kroków Langer rozpoznała nagą ludzką sylwetkę pozbawioną znacznej części obu nóg. Należała do młodej, szczupłej dziewczyny. Jej twarz była zwrócona w stronę głazu, więc Langer nie mogła jednoznacznie stwierdzić, czy to Magdalena Nowicka. Zatrzymała się i kucnęła. Obie nogi zamordowanej zostały odcięte powyżej kolan. Ciało musiało przez jakiś czas przebywać w wodzie lub mieć z nią kontakt. Choć teraz było suche, skóra była pomarszczona i nabrała specyficznego sinawego odcienia. W niektórych miejscach tkanka nabrzmiała oraz rozpulchniła się. Z pewnością kobieta nie wyglądała na topielca, którego fale wyrzuciły po wielu dniach dryfowania. Nie zdążyła jeszcze napęcznieć, a jej skóra przylegała do ciała.

Rembert stanął obok Lizy. Bez słowa przypatrywał się zwłokom. Wreszcie obszedł je, oglądając z odległości kilku kroków. Gdy znalazł się za głazem, spojrział w stronę morza. Wiatr niemal zupełnie ustał, lecz fale nadal były o kamienisty brzeg. Mimo to nigdzie wokół nie było wyrzuconych brudów ani zanieczyszczeń. Prądy z pewnością nie przenosiły śmieci dryfujących w pobliżu plaż na południu.

Orest wsunął ręce do kieszeni i ponownie stanął obok Langer. Jeszcze raz zerknął na zionące zgniłą czerwienią kikuty. Po środku doskonale widoczne były niewielka warstwa żółtego tłuszczu oraz biel kości. Woda musiała obmyć krew. Na pierwszy rzut oka na skórze dziewczyny nigdzie nie było widać krwistych wybroczyn ani ran.

Fischer oraz nieumundurowany policjant stanęli w odległości kilku metrów za nimi. Kryminalistyk ponownie włożył czepek i odezwał się tonem, jakby odpowiadał na wiszące w powietrzu pytanie.

– Zobaczyli ją chłopaki z patrolu lotniczego.

Langer podniosła się z klęczek i mimowolnie syknęła z bólu. Stłuczone biodro odezwało się z pełną mocą.

– Może to jakiś nieszczęśliwy wypadek? – zapytała, choć zdawało się, że sama nie ma żadnych wątpliwości. – Nikt nie zgłosił ofiary cofki w Gdyni lub okolicy? Potem mogła wpaść pod motorówkę czy coś...

– Nie. Poza tym podejdź tutaj. – Fischer zrobił kilka kroków w bok i skinął do Langer głową. – Z tej perspektywy zobaczysz coś jeszcze. Zrozumiesz, dlaczego kazałem cię wezwać. Spójrz! – Wskazał na zwłoki. – To popieprzone, prawda?

47.

Langer ze wzrokiem wbitym w podłogę czekała przed wejściem do kostnicy. Lada moment miała się spotkać z rodzicami Magdaleny Nowickiej. Ten ostatni element identyfikacji to jedynie formalność. Podobieństwo odnalezionych zwłok do zdjęcia zaginionej nie budziło wątpliwości. Zgadzały się również znaki szczególne: trójkątna blizna na

lewej skroni oraz niewielki tatuaż na klatce piersiowej pomiędzy piersiami. Ryzyko pomyłki praktycznie nie zachodziło.

Słyszając odgłos kroków, wyprostowała się i przygładziła dłonią włosy. Wyraźnie rozpoznała, że idą co najmniej dwie osoby. Już kilkakrotnie w swoim życiu zaliczyła obecność przy identyfikacji i nigdy nie było to łatwe. Nie mogło być.

Kroki były głośne, ale nierówne, jakby idący na zmianę przyspieszali i zwalniali przy kolejnych drzwiach lub łącznikach. Od kostnicy dzieliło ich już kilkanaście metrów. Musieli pokonać tylko jeden zakręt. Jeden, ostatni zakręt do kresu złudzeń oraz nadziei.

Langer po raz kolejny przygładziła włosy i zagryzła zęby. Gdzieś zza pleców dobiegło ją ciche szuranie. Przypominało tarcie psich pazurów o posadzkę. Deszczowy pies znowu plątał się w jej pobliżu. Wyczuł swoje miejsce i czas. Zwiertzył trop.

Liza obróciła się, po czym cicho nacisnęła klamkę. Mechanizm ustąpił niemal bezgłośnie.

– Idą – szepnęła, wciskając głowę w szparę, która powstała między drzwiami a futryną. – Wszystko gotowe?

Zalewski skinął głową. O dziwo, nie miał na sobie stroju roboczego, a ciemne spodnie, granatową koszulę i szarą marynarkę. Po raz pierwszy od dawna jego włosów nie skrywał czepek. Czarne, lekko kręcone pasemka przeplatała siwizna. Doktor związał je w kucyk, który sterczał mu z tyłu głowy.

– Coś się stało? – zapytał, widząc, że Langer uporczywie się mu przygląda.

– Nie... Nic.

Liza ostrożnie zamknęła drzwi, akurat w chwili, gdy na końcu korytarza pojawili się Nowiccy. Kobieta szła wsparta na ramieniu męża. Ten starał się trzymać fason, lecz jego twarz była purpurowa. Langer zwróciła uwagę, że prawa dłoń, którą kurczowo przyciskał do spodni, drży jak trącana prądem.

Przywitała się z nimi i czując rosnącą w gardle gulę, zmusiła się, by spojrzeć Nowickiemu prosto w oczy.

– Przepraszam, ale muszę zapytać. – Zawiesiła głos, dając im czas na oswojenie się z sytuacją. – Jesteście państwo gotowi? Na pewno chcecie

oboje ją zobaczyć?

– Ja to zrobię – stwierdził mężczyzna. Pogładził żonę po ramieniu i dodał: – Zaczekaj przy wejściu.

– To nie może być Magda...

– Miejmy nadzieję. Boże, miejmy nadzieję...

Langer odczekała jeszcze kilka sekund, pchnęła drzwi i przepuściła ich przodem. Małżonkowie wymienili lakoniczne powitania z Zalewskim, a Nowicka natychmiast przeszła w bok i stanęła przy samej ścianie. Jej mąż podszedł do patologa, który stał sztywno przy wyciągniętej z chłodni szufladzie. Ciało zostało wyjęte z foliowego worka i zakryte prześcieradłem. Był to ostatni etap przygotowań przed sekcją. Poza tym wydawało się, że wspomnienie bliskiego okazywanego w ten sposób, a nie w worku, może być przynajmniej krztyną mniej traumatyczne. Tak utrzymywał Zalewski. Dlatego przed laty robił wszystko, aby odpowiednie przepisy znalazły się w wewnętrznym regulaminie zakładu.

Langer taktownie zatrzymała się niedaleko wejścia. Założyła ręce za plecy i starała się uregulować rytm oddechu. Deszczowy pies wciąż gdzieś tam był. Czaił się. Po raz pierwszy od miesiący tak wyraźnie czuła jego obecność. Nie przerażał jej, lecz sprawiał, że podświadomie się niepokoila.

Nie słyszała krótkiej wymiany zdań między patologiem i Nowickim. Zauważyła jednak, że mężczyźni stanęli po przeciwnych stronach szuflady. Nie miała pojęcia, co zrobił Zalewski, ale wydawało się, że pod prześcieradłem jest kompletne ciało. Brak nóg był niemalże niedostrzegalny.

Doktor chmurnie skinął głową i zsunął prześcieradło. Robił to powoli, tak, by odsłonić jedynie twarz kobiety.

Nowicki gwałtownie pobladł. Nerwowo przełknął ślinę i przytknął obie dłonie do twarzy.

– To ona – stwierdził drżącym głosem. – Mój Boże, to Magda... Proszę, niech ją pan zasłoni. Przecież... To niemożliwe. – Zerknął raz jeszcze, po czym głośno pociągnął nosem. – Jezu Chryste... Kochanie, co ci zrobili? Co ci się...

Głos Nowickiego się załamał, a jego ciałem wstrząsnął rozpaczliwy spazm. Odwrócił się do żony i wykonał gest, jakby kazał jej odejść, lecz

zaraz się rozmyślił. Podszedł do niej i objął ją tak, jak małe dziecko przytula się do nóg matki.

Beata Nowicka stała jak zamurowana. Zdawało się, że również z jej twarzy odpłynęła cała krew. Była blada, przerażająco blada, a jej oczy momentalnie straciły blask. Zaczęła się trząść. Langer miała wrażenie, że jej cera z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej szara.

Nagle przywarła do męża i wybuchła głośnym, rozpaczliwym płaczem. Wszystkie emocje, które przez ostatnie sekundy były w niej zamrożone, w jednej chwili uległy rozpuszczeniu. Z każdego pora jej ciała wylewała się rozpacz. Nogi się jej ugięły i gdyby mąż nie zareagował, z pewnością by upadła.

Zalewski zbliżył się do nich i taktownie skinął głową. Wskazał metalową ławkę na korytarzu. Wymienił z Nowickim wymowne spojrzenia, dając mu do zrozumienia, że teraz powinien zająć się żoną. Mężczyźni, którzy dostawali konkretne zadania, szybciej zbierali się w sobie. Patolog doskonale o tym wiedział i przemyślnie stosował to za każdym razem, gdy widział, że może to odnieść skutek. W podziemiach sądówki był nie tylko lekarzem, lecz także psychiatrą i terapeutą. Musiał oswoić ludzi z nagłą, nieprzewidzianą śmiercią, do której nikt nikogo nie przygotowuje. Nie było nic gorszego.

W swojej pracy widział już tysiące reakcji. Niektórzy nie dowierzali, że osoba, z którą jeszcze przed godziną czy dwiema w najlepsze się kłócili, może być martwa. Nie dopuszczali myśli, że ich syn, brat czy siostra właśnie leżą przed nimi bez życia. Wmawiali sobie, że to nie oni. Nie rozpoznawali ich. Odmawiali identyfikacji. To wszystko było naturalne i znajdowało odzwierciedlenie w reakcjach psychologicznych. Do tego przygotowywały odpowiednie kursy oraz szkolenia. Ale przede wszystkim – lata praktyki.

Nowicki nie zaprzeczał. Szlochając, podpisał podsunięty przez Zalewskiego protokół, po czym, obejmując żonę, wyszedł z pomieszczenia. Oboje ciężko opadli na ławkę. Ściskali się, jakby prawdziwą miłość i potrzebę czułości można było poczuć tylko wraz z najgłębszym cierpieniem.

Langer odczekała kilka minut, stojąc nieruchomo w kostnicy. Obserwowała, jak Zalewski ponownie zakrywa ciało i wsuwa szufladę do

chłodni. Wreszcie powolnym krokiem podeszła do Nowickich. Zatrzymała się i cierpliwie dała im czas, aż zwrócili na nią uwagę.

– Robimy wszystko, by ustalić, co się stało – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Proszę mi wierzyć. Skontaktuje się z państwem psycholog, a ja również pozostaję do państwa dyspozycji.

– Dlaczego ona? – Nowicka wyrwała się na moment z objęć męża. – Jezu Chryste! Moja ukochana córka... Madziu... – Zwróciła się w stronę zamkniętych drzwi chłodni.

Langer nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Nie rozwodziła się nad obrażeniami, jakich doznała ich córka. Nie poruszyła tematu obciętych nóg, nie powiedziała też o usuniętym kręgu. To na to zwrócił jej uwagę Fischer. Wyniki autopsji wykonanej przez Zalewskiego musiały być znane w środowisku biegłych. Kryminalistyk od razu nawiązał do sprawy szczątków, które zostały pozbawione tego samego kręgu kilkadziesiąt lat wcześniej.

48.

Orest czekał na Lizę w samochodzie. Przez słomkę popijał z przezroczystego plastikowego kubka napój przypominający mrożoną herbatę. Wśród fusów unosiły się kostki lodu. W drugiej dłoni trzymał telefon, na którym coś intensywnie przeglądał.

– Już? – zapytał, nie odrywając wzroku od ekranu. – Źle czy bardzo źle?

– Bardzo źle – odparła Langer.

– Można się było spodziewać. Stracili jedyną córkę. Cholera, co za dramat...

– Stracili wszystko.

Langer wsiadła do mercedesa i wzięła od Remberta kubek. Pociągnęła przez słomkę spory łyk napoju. Przełknęła go, odchrząknęła i z obrzydzeniem zaczęła kaszleć.

– Co to za świństwo?

- Terere.
- Zaciąłeś się?
- Tak nazywa się mrożona yerba.
- Boże, smakuje jak sfermentowany tonik z otrębami. Nie mogłeś kupić kawy?

Rembert odłożył telefon i odwrócił się do Langer.

– Uruchom auto i włącz klimatyzację – powiedział poważnie. – Budka z napojami egzotycznymi była bliżej niż kawiarnia. Poza tym właśnie na to miałem ochotę. No i pojawiło się kilka nowych kwestii.

– Oho...

Langer przekręciła kluczyk i nastawiła klimatyzację na maksimum. Z wentylatorów z szumem wypadło chłodne powietrze. Rembert skierował nawiew prosto na twarz. Wziął od Lizy kubek i upił łyk yerby.

– Kilka osób, które rozpytano na temat Nowickiej, opowiedziało o niej niezbyt pochlebne rzeczy. Ogólnie rzecz biorąc, była to dość niestabilna kobitka. Prawdopodobnie wciąż leczyła się psychiatrycznie, jednocześnie okazjonalnie racząc się narkotykami. Nie była regularną ćpunką, ale chyba lubiła sobie przypalić. Potrafiła miesiącami nie odzywać się do znajomych, by potem odnowić kontakt. I tak w kółko. Na studiach jakoś sobie radziła. Ale, umówmy się, religioznawstwo to nie fizyka kwantowa.

- Swoją drogą, co można robić po religioznawstwie?
- Założyć sektę? Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.
- Pytałam poważnie.

Rembert wzruszył ramionami.

– A ja poważnie nie mam pojęcia. Ale jak na razie nie ustalono żadnego związku między Nowicką a Gromczyńskim. Nawet jeżeli badania potwierdzą, że to jej nogę dostał w prezencie nasz biznesmen, będziemy w tym samym miejscu. To dwa zupełnie różne światy. Przypadek.

- Wiesz, że nie wierzę w przypadki.
- Ma mi być przykro?

Rembert zauważył, że Nowiccy wychodzą z budynku zakładu medycyny sądowej. Objęci, ze spuszczoneymi głowami i tak skuleni, jakby byli parą stulatków, ruszyli w stronę starej skody.

- Serce się kraje... – szepnął.

– Świata nie zbawisz. – Langer usiłowała ukryć emocje. Odwróciła się w drugą stronę. – Mów, co jeszcze ustaliłeś.

Rembert głośno sapnął.

– Informatycy wyostrzyli nagranie z auta. Nie mają już żadnych wątpliwości, że tamta dziewczyna to Magda Nowicka.

– To akurat było do przewidzenia.

– Poza tym...

Orest zawiesił głos. Langer ukradkiem otarła skrzącą się w kąciku jej oka łzę i odwróciła się do niego.

– Poza tym co?

– Na Uniwersytecie Gdańskim jest profesor antropologii oraz jednocześnie wielki znawca historii. Dowiedziałem się, że jest specjalistą od nazistowskich badań paranaukowych oraz ekspedycji do Azji. Pisał rozprawy o wariactwach Himmlera, kulcie bóstw pangermańskich oraz...

Langer z irytacją machnęła ręką.

– Skończ z tymi bzdurami. Zaraz zaczniesz gadać o demonach i czarownicach.

– Chciałem tylko...

– Powiedziałam, dość! Nie mamy nic więcej?

– Na razie nie... – Rembert dopił terere i wstawił kubek w plastikowy uchwyt. Przez chwilę siedział, patrząc, jak stara skoda wytacza się z parkingu. Dwie postaci w środku przypominały cienie. Kiedy samochód zniknął za zakrętem, Orest opuścił szybę i nabrał powietrza przesiąkniętego wonią rozgrzanego asfaltu. Z niechęcią zasunął szybę i odwrócił się do Langer. Nagle zmrużył oczy i pstryknął palcami. – Aha, jeszcze jedno! Wojtiuk sprawdził rodzinę kobiety, którą rozjechała Nowicka.

– No i? Mamy kogoś, żeby o coś zaczepić?

– Nie bardzo. – Rembert westchnął. – W chwili śmierci miała trzydzieści lat. Przechodziła przez przejście, prowadząc przed sobą wózek. Gdy zobaczyła auto, odepchnęła go, całą siłą uderzenia przyjęła na siebie. Zgon na miejscu.

Liza żałośnie cmoknęła.

– Okej. Mówisz o okolicznościach śmierci. A co z rodziną?

– Teraz jej syn ma pięć lat. Mieszka z babcią na Podkarpaciu. Gdybyś podejrzewała sześćdziesięcioparolatkę o mordercze skłonności, od razu cię zasmucę. Chłopaki z tamtejszej komendy pod jakimś głupim pretekstem sprawdzili właśnie, czy jest w domu. Przyłapali ją na pieleniu grządek.

Langer westchnęła.

– I nikogo więcej? Ojciec? Bracia?

– Żadnych braci. Ojciec rok temu się powiesił. Nie wiem, czy w związku z traumą po utracie córki, czy z innych powodów. – Rembert bezradnie klepnął dłońmi w kolana. – W każdym razie to na pewno nie on jest mścicielem.

– Czyli o tamtym wątku możemy zapomnieć.

– Zdaje się, że tak...

– No dobrze. – Langer wycofała mercedesa i ruszyła w stronę wyjazdu z niewielkiego parkingu. – Tonący brzytwy się chwyta. Gdzie zastaniemy tego profesorka?

49.

Mimo wakacji Aleksander Bielski oczekiwał ich na uniwersytecie. Rozpoczęła się już sesja poprawkowa, a choć tłum studentów nie walił do niego drzwiami i oknami, profesor zdawał się tkwić na posterunku. Poza tym sprawiał wrażenie doskonale wpasowanego do własnego gabinetu. Stanowił niemalże jego immanentny element.

Bielski miał około siedemdziesięciu lat, siwe, krótko ostrzyżone włosy oraz szczeciniasty wąsik, który upodabniał go do angielskiego lorda z początku ubiegłego wieku. Nie nosił okularów, a jego brązowe oczy wydawały się bystre i czujne. Ubrany był w rdzawą marynarkę i szarą koszulę, a pod szyją miał ciasno zawiązany granatowy krawat. W przeciwieństwie do Remberta wyglądał w nim naturalnie. Prezentował się wyjątkowo elegancko, przypominając klasyczny typ dżentelmena.

– Zapraszam – odezwał się niskim, zachrypniętym głosem, gdy Langer zajrzała do jego gabinetu. – Pani z którego roku?

Liza uśmiechnęła się i radośnie skinęła głową.

– Uniwersytet trzeciego wieku – odparła, wchodząc. – Studium wieczorowe centralnego biura śledczego.

– Ach, tak! – Profesor podniósł się z fotela i obszedł biurko. – Najmocniej przepraszam.

– Potraktowałam to jako komplement.

– I całkowicie słusznie. Niektóre studentki z twarzami wymalowanymi jak Indianie wyglądają na znacznie starsze od pani. – Bielski pocałował ją w dłoń i zwrócił się do Oresta. – Doktor Rembert, jak mniemam?

– *Yes, that is my name* – odparł psycholog, podchwytyjąc nawiązanie do spotkania Livingstone’a i Stanleya. – To prawdziwa przyjemność. Przepraszamy za nagłe najście, domyślałam się, że to już pora...

– Bzdury. – Bielski wskazał im dwa krzesła naprzeciw biurka. Wielu studentów musiało na nich dygotać ze stresu, opowiadając o traktatach lokarneńskich albo więźniach Berezki Kartuskiej. – Niech państwo siadają.

Rembert usłużnie odsunął krzesło Langer. Obrzuciła go kpiącym spojrzeniem i przesunęła krzesło po swojemu. Usiadła, chłonąc szczegóły eleganckiego gabinetu.

Pomieszczenie miało kształt kwadratu o boku mierzącym około czterech metrów. Po prawej od okna, za plecami profesora, znajdowała się okazała biblioteka, w której kilka tysięcy woluminów stało za przeszklonymi drzwiczkami. Nieco dalej pysznił się wysoki, ponad dwumetrowy comtoise – charakterystyczny zegar wykonywany przez dziewiętnastowiecznych francuskich górali. Za okrągłym okienkiem rytmicznie przesuwało się lśniące mosiężne wahadło. Przy przeciwległej ścianie stała mahoniowa szyfoniera, na blacie której ustawiono srebrny świecznik. Ponad nią wisiała spora czarno-biała grafika przedstawiająca ukrzyżowanie Chrystusa. W samym rogu znajdował się okrągły stolik kryty hebanowym fornirem. Na jego blacie natomiast leżało kilka niedbale rzuconych teczek oraz dokumentów.

Profesor położył zadbane dłonie na dopełniającym całości eklektycznym biurku. Jego wyściełany zielonym suknem blat był miejscami

poprzecierany oraz poplamiony atramentem. Poza odstawionym na bok laptopem, stało na nim eleganckie etui na pióro, obok którego leżał oprawiony w sztuczną skórę notatnik.

– Może teraz panowie wytłumaczą mi, co tu robimy? – Langer założyła nogę na nogę i przyłożyła palce do skroni. Po nieprzespanej nocy zaczęła pękać jej głowa.

– Pan profesor jest specjalistą od paranaukowych badań prowadzonych przez nazistów...

– To już słyszałam.

– Ekspedycje wysyłane przez Himmlera...

Langer przymknęła oczy. Oderwała palce od skroni i złożyła błagalnie dłonie.

– Przepraszam, profesorze, za Oresta. Strasznie niekonkretny z niego gość. Wiem, że istnieje teoria, zgodnie z którą każda rozmowa po pewnym czasie zejdzie na temat Hitlera i jego bandy, ale jeżeli mamy rozmawiać, pokornie proszę, przejdźmy do sedna.

Profesor się uśmiechnął. Sięgnął do szuflady biurka i po chwili położył na jego blacie grubą księgę z pożółkłymi kartkami.

– Po krótkiej rozmowie z doktorem Rembertem przygotowałem się na to spotkanie. Ale niech się pani nie martwi, pani komisarz. – Dłoń profesora zakreśliła uspokajający gest i powędrowała ku książce. – Przechodzę do konkretów. Choć kryje się za nimi odrobina historii.

– Historia kryje się za wszystkim – bąknęła refleksyjnie Liza. – Zawsze tak uważałam. Nie matma, którą można zastąpić kalkulatorem, ale historia zawsze była dla mnie prawdziwą królową nauk.

– Łechce pani moje ego.

– Nie, akurat całkowicie poważnie stwierdzam fakt.

Orest starał się uchwycić spojrzenie Bielskiego, lecz ten zajął się wertowaniem księgi.

– Komisarz jest skłonna do wyrażania nader kategorycznych sądów – powiedział usprawiedliwiającym tonem.

– Nader kategorycznych sądów? – szepnęła do niego Langer, marszcząc nos. – Gdy przekroczysz próg uniwersytetu, dostajesz głupawki czy co?

Zamilkła, widząc, że profesor odnalazł szukany fragment. Nie zamierzał jednak czytać, a jedynie co do czegoś się upewnić.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym Himmler wysłał do Tybetu ekspedycję naukową – odezwał się, z zainteresowaniem spoglądając na Lizę. – Umyślnie używam słowa „naukową”, a nie „paranaukową”. To było towarzystwo złożone z naprawdę trzeźwo myślących badaczy. Antropologów, lekarzy, chemików oraz fizyków. Na wycieczkę załapali się nawet inżynier oraz architekt.

– Tybet z tamtego okresu kojarzy mi się z krainą odciętą od świata, dalajlamą i grubymi buddystami wyginającymi się w kwiat lotosu.

– W pewnym stopniu tak było. – Bielski przysunął się bliżej biurka i poprawił rękawy marynarki. – Proszę zauważyć, że mogliśmy dokonać skoku w medycynie, przywożąc rośliny z Dalekiego Wschodu lub obu Ameryk. Europejscy badacze odkryli wiele lekarstw, obserwując zwyczaje Indian czy Aborygenów.

– Himmler chciał tybetańskich lekarstw?

– Szykowała się wojna. Ważne były wszystkie sposoby zdobycia przewagi nad wrogiem.

Langer pokręciła głową.

– Okej. Niech będzie, że jednak nie taką historię miałam za królową nauk. Profesorze, proszę nawiązać do tego, po co tu przyjechaliśmy.

– Spokojnie, moja droga. – Bielski uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Moja córka jest dokładnie taka sama. Wiecznie w pośpiechu. Ale dobrze, już dobrze... Właściwie to właśnie do tego nawiązaliśmy. Mówiłem o medycynie tybetańskiej. Wśród żyjących tam plemion znajdowało się jedno, szczególnie intensywnie zajmujące się leczeniem i strzegące swoich tajemnic. To z jego członków rekrutowano na przykład nadwornych lekarzy dalajlamy.

– Amdowie znad jeziora Kuku-nor? – dopytał Rembert.

– Kolega chce się pochwalić, że również zajmował się antropologią – mruknęła Langer. – Nieważne, kto, co i jak. To zbędne szczegóły.

– Amdowie – zgodził się Bielski. – I właśnie ci Amdowie – przeniósł wzrok z Remberta na komisarz – wierzyli w szczególne znaczenie kręgu L1. Doktor wskazywał, że interesuje państwa właśnie ta kwestia.

Langer popatrzyła na profesora z nagłym zainteresowaniem. Przechyliła na bok głowę i założyła ręce na piersi.

– A jednak potrafi pan mówić bardzo konkretnie i ciekawie – powiedziała z zalotnym uśmiechem.

Bielski delikatnie się zaczerwienił. Spuścił wzrok i również wyszczerzył zęby w przelotnym uśmiechu. Zaraz jednak spoważniał.

– Zanim mnie pani aresztuje za omijanie sedna, dodam tylko, że wszystkie relacje z tamtych wypraw zostały zredagowane przez nazistów. Nie mamy innych źródeł.

– Czyli mogą być tak samo wiarygodne jak prasówka Wehrmachtu?

– Nie aż tak. Nie zapominajmy, że mają walor naukowy i że nad ich opracowaniem czuwali teoretycznie obiektywni badacze.

– Żeby w Trzeciej Rzeszy być badaczem, trzeba było mieć legitymację NSDAP – wtrącił Rembert. – Mimo to literatura fachowa stała wtedy na niezłym poziomie. Może z wyjątkiem paplaniny o kwestiach eugeniki oraz rasowych...

– Zgadza się – przyznał Bielski. – Poza tym w tej sprawie nie było potrzeby rozmijania się z rzeczywistością. Himmler prowadził poszukiwania Świętego Graala, Arki Noego, śladów wikingów w Himalajach, ale to wszystko była w mniejszym lub większym stopniu fantastyka. Tymczasem relacje co do autentycznej wiedzy medycznej odległych ludów mają typowo naukowe znaczenie. Co więcej, zważyć należy, że...

Langer ponownie złożyła dłonie jak do modlitwy.

– I cóż przyniosły te zaszłe germańskie peregrynacje? – zapytała wzniosłym tonem.

Swoim zwyczajem odgrywała szopkę, na jej twarzy pojawił się jednak zauważalny wyraz szczególnego zainteresowania. Spijała słowa z ust profesora, jednocześnie jak zawsze dążąc do zdobycia kluczowych informacji. Nie interesowały ją ani półśrodki, ani półprawdy. Zdobywanie wiadomości, których nie mogła natychmiast spożytkować, wolała zostawić na wieczorne czytanie.

Bielawski odsunął książkę na bok i wyprostował się w fotelu.

– Wiemy tylko, że pozyskano materiały, które zostały utajnione. Jeszcze w Tybecie przeprowadzono odpowiednie badania. Prawdopodobnie chodziło o nawiązania do tybetańskich odpowiedników czakramów. Każdy krąg związany był z jakąś funkcją życiową. W rzeczy

samej odkryto pewne powiązania nerwowe. Co ciekawe, wyniki badań przekazano nie tylko Himmlerowi, lecz także Sztabowi Generalnemu. Pozostała dotycząca tego notatka.

– Więc jakie znacznie miał mieć ten krąg?

Profesor wzruszył ramionami.

– Szczegóły chciałbym poznać osobiście – odparł z błyskiem w oku. – Marzyłbym, aby ktoś przeprowadził odpowiednie badania. Niestety, należałoby eksperymentować. Nie znamy konkretnej metody ani sposobu postępowania Tybetańczyków z tym kręgiem. Wiemy tylko... – Bielski przytknął do ust zaciśniętą pięść i odchrząknął. – Przepraszam. Wiemy tylko, że usuwano ten krąg wraz z włóknami nerwowymi oraz rdzeniem. Kruszono go i dodawano starty korzeń chang shan, czyli rosnącej w Tybecie rośliny z rodziny hortensjowatych. Nie wiemy nic więcej, nie zachowało się opracowanie dotyczące użycia preparatu. Mamy natomiast pewność, że Niemcy sprowadzili do Rzeszy kilkaset kilogramów korzenia chang shan. To jest natomiast o tyle ciekawe, że dzisiaj na masową skalę używa się go na przykład przy produkcji suplementów diety.

– Mogło chodzić po prostu o odchudzanie? – parsknęła Langer. – O to, by niemieccy wojacy po wieczery z ziemniakami i kiełbasą zachowali ładną linię?

– Nie wiem. Cała reszta to dywagacje. Choć w pewnych ilościach chang shan jest ponoć trucizną.

– Zdaje się, że hitlerowcy mieli wystarczającą ilość cyklonu B i sarinu.

Profesor ponownie złożył dłonie na biurku.

– Pewnych faktów możemy już nigdy nie poznać – odparł z autentycznym smutkiem. – Cokolwiek by mówić o Niemcach hitlerowskich, pchnęli technologię do przodu. Silniki odrzutowe, badania nad atomem, to wszystko ich zasługa. Być może w tym przypadku również dokonali jakiegoś szczególnego odkrycia... Na przykład niepozwalającej się wykryć trucizny. Zdajecie sobie państwo sprawę, jak bardzo takie odkrycie zmieniłoby świat? – Profesor wzniósł wzrok ku sufitowi. – Wiecie, że w dziewiętnastym wieku, gdy sądzono, że trucizny odroślinne nie pozostawiają w organizmie żadnych śladów, liczba zgonów w Europie wzrosła o prawie dwa procent? Dokładnie w tym czasie, gdy naukowcy przyznali się do swojej bezsilności, a morfina, kodeina

i nikotyna stały się powszechnie dostępne. Setki tysięcy niewyjaśnionych zgonów. Setki tysięcy spadków i rozwiązanych problemów...

Langer ciężko westchnęła. Miała wrażenie, że Bielski odpływa pogrążony we własnym świecie. Rezolutnie zabębniła palcami o kolano i wstała.

– Dziękujemy pięknie za wykład, panie profesorze. Oreście, czas na nas.

Gdy kilka minut później wyszli z gmachu uniwersytetu, Langer głośno wypuściła powietrze.

– Ulala – wyszeptała melodyjnie. – Niezły świr. Skądś ty go wytrzasnął, mój złotousty? Przynajmniej widzę potencjalny punkt wspólny dla...

Urwała. W jej kieszeni znów rozdzwoniła się komórka. Ktoś miał wyczucie czasu godne osoby szpiegującej ich kroki.

50.

– Przepraszam, tato... Nie miałem pojęcia. Już ci mówiłem, że nie wziąłem komórki, bo poszedłem biegać. Rozładowała mi się...

Langer z Rembertem zatrzymali się przed gabinetem Gromczyńskiego. Drzwi były otwarte, a w środku znajdował się jedynie biznesmen z synem. Stali pośrodku pomieszczenia. Ojciec górował nad dwudziestolatkiem i żywiłowo gestykulował.

– Akurat teraz. Myślałem, że zejdem na pieprzony zawał.

– Przepraszam...

Gromczyński wyrzucił w górę ręce. Założył je za głowę i głośno sapnął. Wreszcie spojrzął na syna, po czym przyciągnął go do siebie. Klepnął go w plecy.

– To nie twoja wina – mruknął łagodnie. – Nie twoja wina... Ale od dzisiaj koniec z bieganiem po lesie. Spaceruj po okolicy. Z domu wychodzisz tylko na osiedle i tylko za dnia. Obiecuj mi to!

Adam spojrzął ojcu w oczy. Delikatnie skinął głową.

- Powiedz, że obiecujesz.
- Obiecuję. Tylko...
- Żadnego „tylko”. Jakiś sukinsyn groził mnie i tobie. Nie odpuszczę mu, ale najpierw muszę mieć porządek na własnym podwórku. Dorwę go. Dlatego...

Gromczyński kątem oka dostrzegł Langer. Przerwał tyradę i odwrócił się do policjantów. Wyprostował się, po czym nerwowo przyglądał marynarce, jakby na polach dostrzegł jakieś zagniecenia.

- Właśnie go przywiózł mój współpracownik – odezwał się tonem wyjaśnienia. – Nie odbierał telefonów, nie było z nim żadnego kontaktu. Cholera jasna. Zgłoszono już wam, co się stało?

Rembert skinął głową. Wszedł do gabinetu biznesmena chwilę po Langer.

- Dostaliśmy informację, że technicy już badają gazetę oraz mięso – obwieściła komisarz. – Najprawdopodobniej akurat to było serce wołowe. Pobrano też próbki z auta, zabezpieczono odciski i inne ślady. Szyba została zbita z bliskiej odległości, dopiero potem wrzucono tam zawiniątko.

- Domyśliłem się, że paczką z flakami nie stłuczono by szyby.
- Muszę też zadać kilka pytań pańskiemu synowi.
- Proszę bardzo. Mam wyjść?

Langer pokręciła głową.

- Nie. To nie jest oficjalne przesłuchanie.

Odwróciła się do Adama. Młodzieniec stał z rękoma wbitymi w kieszenie i ze spuszczoną głową. Spoglądał na nią niepewnie. Odkąd weszła z Rembertem do gabinetu Gromczyńskiego, nie odezwał się nawet słowem.

Nagle komisarz zauważyła, że Orest przeszedł obok niej i zwrócił się do biznesmena.

- Mogę poprosić o kawę? – zapytał. – Jesteśmy dziś na nogach od wielu godzin...

Gromczyński przyklasnął.

- Zadzwoń po sekretarkę...
- Nie, nie. Proszę nikogo nie fatygować. Za rogiem na korytarzu widziałem automat. To wystarczy. Zwykła czarna.

Biznesmen spojrzał na niego uważnie. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał zaprotestować, lecz wreszcie ruszył do wyjścia.

– Mała czarna? – zapytał, stając w progu.

– Może być duża czarna. Z podwójnym cukrem.

– Przyjąłem.

Kiedy tylko Gromczyński zniknął na korytarzu, Rembert minął Langer i podszedł do Adama.

– Jak się układają twoje relacje z ojcem? – zapytał cicho. – Grajmy w otwarte karty. Jak faceci. No, szybko. Krótka piłka.

Młody Gromczyński wzruszył ramionami. Założył ręce na piersi, starając się zaprezentować jak najpoważniej.

– Jest nadopiekuńczy – stwierdził, jakby spodziewał się pytania Oresta. – Mimo że mam dziewiętnaście lat, niańczy mnie i chce kierować każdym moim krokiem. Ale to nic złego. Jesteśmy blisko.

– Adam...

– Chce jak najlepiej. Nigdy nie odmawia, jeśli mi na czymś zależy. Nazwiecie mnie bananową młodzieżą?

– Adam...

Nie dał sobie przerwać. Obrzucił Remberta niechętnym spojrzeniem.

– Chce pan, żebym naopowiadał, jak spieprzył mi życie? To byłaby nieprawda. Robię, co chcę, żyję, jak chcę, i nauczyłem się nie reagować na jego dyktatorskie zapędy. Chciałem samochód, dostałem samochód. Chciałem spróbować z firmą, dostanę firmę. Nie, to nie mój ojciec wrzucił sobie do auta kawał serca. On zawsze gra czysto. Choć mógłby teraz próbować różnych brudnych gier, nie zdobędzie się na to.

– Ale widzę pomiędzy wami dystans. Nie mów mi, że go nie ma.

Adam Gromczyński ponownie wzruszył ramionami. Przybrał pozę zbuntowanego nastolatka.

– Od śmierci mamy się zmienił. Zamknął się w sobie. Ja pewnie też. Straciliśmy najważniejszy łącznik, który wypełniał przestrzeń pomiędzy nami. Spajał nas w prawdziwą rodzinę... Nie zrozumiecie tego. Zresztą...

Chłopak urwał. Podniósł wzrok i spojrzał na drzwi. Po chwili do gabinetu wrócił Gromczyński. Podał Orestowi kubek z kawą, po czym

uważnie przyjrzał się synowi. Langer natychmiast zareagowała. Musiała ukryć niedomówienie, które ciężko zawisło w powietrzu.

– Ale nie spotkałeś się z absolutnie żadnymi sytuacjami, które mógłbyś odczytać jako groźby? – zapytała, jakby nawiązując do wcześniejszej rozmowy.

Młody Gromczyński szybko podjął grę.

– Nie.

– Spróbuj się zastanowić. To ważne. Pomyśl o mailach, anonimowych wiadomościach na serwisach społecznościowych, o wszystkim. Może zwróciłeś uwagę na kogoś, kto krzywo na ciebie patrzył w sklepie...

Chłopak pokręcił głową. Opuścił ręce i wydał wargi.

– Naprawdę nic nie przychodzi mi do głowy.

– Nawet z nikim się ostatnio nie pokłóciłeś? Co z tobą, chłopie? Każdy z nas może wymienić jakieś nieprzyjemne sytuacje z ostatnich dni życia.

– Ja nie. – Adam Gromczyński rozłożył ręce. – Przez wakacje niewiele spotykam się ze znajomymi. Większość kumpli ze studiów wróciła do rodzinnych miast. Poza tym staram się skupić na rozkręceniu firmy. – Chłopak spojrział na ojca. – Nie chcę zawieść taty. Wiem, jak dużym zaufaniem mnie obdarzył. Z nikim się nie kłócę, czasem przez cały dzień widuję tylko jego.

Langer westchnęła. Wymieniła wymowne spojrzenia z Rembertem. Chłopak nie miał zielonego pojęcia, pod jakim kloszem wyrastał. Nie buntował się, bo w ogóle tego nie czuł.

– Może przynajmniej powiesz mi...

Po raz kolejny przerwał jej telefon. Wściekle wyszarpnęła go z kieszeni, szukając palcem przycisku wyciszenia.

– Jezus Maria, co ja jestem, call center?! – warknęła, lecz gdy tylko zerknęła na wyświetlacz, złość znikła z jej twarzy. Natychmiast odebrała. – Tak? – Przez chwilę słuchała rozmówcy, wreszcie wyszeptała tylko jedno słowo: – Boże...

– Zalewski nie ma żadnych wątpliwości, że po obcięciu nóg Magda Nowicka nadal żyła. Pakowano w nią morfinę, ale nie w stopniu, który pozwoliłby jej całkowicie odpłynąć. Musiała być utrzymywana przy świadomości. Tyle że nie to było dla niej najgorsze.

Rembert rozpiął guzik koszuli i otarł pot z karku. Stali na parkingu w cieniu laboratorium LuxFoodu. Przed chwilą przeprosili Gromczyńskiego i wyszli na zewnątrz.

– Tej dziewczynie usunięto na żywca również najniższy kręgi lędźwiowy. Rozumiesz? – Langer nerwowo przygładziła włosy. – Zalewski opowiedział mi to dość obrazowo. Skrępowano ją i obrócono na brzuch. Następnie...

– Nie wiem, czy chcę tego słuchać...

– Wydawało mi się, że płacą ci właśnie za odtwarzanie zbrodni.

Orest rozłożył ręce, jakby miał tego wszystkiego dość. Opuszczając je, klepnął dłońmi o uda.

– Mów więc.

– Wokół kręgu dokonano płytkiego, kolistego nacięcia. – Liza relacjonowała metodycznie i z naukową skrupulatnością. – Zdarto skórę, po czym zeszkrobano przyczepy mięśniowe, tłuszcz i co tam jeszcze jest, by odsłonić kręgosłup.

– Dotknij się tam. Odsłonięcie kręgu nie wydaje się być trudne.

Langer zlekceważyła jego pomysł, choć jednocześnie poczuła nieprzyjemny dreszcz w okolicach lędźwi.

– Czymś ostrym pod kątem wbijano się pomiędzy kręgi – kontynuowała. – Sukcesywnie, coraz głębiej oddzielając je od siebie, aż został przerwany rdzeń kręgowy. Chrupnięciu kości zapewne towarzyszyło plaśnięcie rdzenia. Nie patrz tak na mnie. Zalewski uraczył mnie dokładnie tym sformułowaniem.

– Jak zawsze subtelny...

– Nieważne. W każdym razie najpierw odseparowano ten kręgi od kręgu poniżej. Pozbawiono dziewczynę czucia w biodrach oraz udach. Choć Zalewski dopuszcza, że drugą nogę odcięto jej właśnie wtedy. Nie mogąc jej przebadać, nie jest w stanie jednoznacznie tego stwierdzić.

Dopiero na końcu oddzielono kręgi L1 od kręgu L2. W ten sam sposób, co wcześniej. Został przy tym wykrojony solidny kawał rdzenia.

– Ktoś naprawdę mógł wziąć sobie do serca tybetańskie rytuały...

Langer odpaliła papierosa i powoli wypuściła dym. W ustach miała jednak tak sucho, że zaraz niemal cała wyrzuciła na ziemię.

– W Nowicką wpakowano śladową dawkę morfiny, całkiem sporo adrenaliny, a do tego jeszcze jakieś jedno gówno o skomplikowanej nazwie.

– Po co?

– Zalewski uważa, że mogło mieć to na celu tylko jedno.

– Hm?

– Zwiększenie odczuwania bólu w trakcie usuwania kręgu. To musiało być niewyobrażalne cierpienie. I raczej marnym pocieszeniem jest, że prawdopodobnie umarła dość szybko...

52.

W drodze do auta Langer i Rembert przystanęli za załomem budynku. Liza przytknęła do ust palec i skinęła głową w głąb parkingu. Orest natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. Przy nowiutkim białym lexusie stali Piotr Gromczyński oraz drugi, niższy mężczyzna o wychudzonej twarzy i niezdrowej, ziemistej cerze. Słysząc było strzępy ich ostrej, ocierającej się o kłótnię rozmowy.

– ...najwyższy czas, że już dość – mówił niższy mężczyzna. – Zbyt poważne. M... na sobie wszystkich.

– ...sz stchórzyć? – pytał Gromczyński. – Bo ktoś mnie tak...

– ...Wariatem. Nie mam klauzuli wyłączności.

– ...rzonym gnojem... pretekstu! Odejść do konkurencji?!

– ...Jestem wolnym człowiekiem!

– ...wany! LuxFood to nie sekta. Ale... tylu latach mnie wychując.

Gromczyński otwartą dłońią rąbnął w bok samochodu. Drugi mężczyzna splunął i wsiadł do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Pokazał szefowi środkowy palec, po czym uruchomił silnik.

– Idziemy. – Langer pchnęła Oresta. – Lepiej, żeby nie zauważył, że to słyszeliśmy.

Cofnęła się za załom muru. Odczekali kilkanaście sekund, a następnie ruszyli do mercedesa, obchodząc budynek z drugiej strony. Nie skomentowali sceny, której świadkami byli przed chwilą. Za to w myślach rozstrząsali ją uważnie.

Tym razem Rembert wszedł na miejsce kierowcy.

– Jedzenie? – zapytał krótko. – Dochodzi już dziewiętnasta. Zdycham z głodu.

– Byle nie hot-dog. Włoska knajpa, w której wypiekają pizzę w dwie minuty i nie trzeba stać w kilometrowej kolejce?

– Da się załatwić.

Rembert zawrócił i ruszył do wyjazdu.

– W laboratorium zapanowała atmosfera śmierci – zagadnął. – Paskudna sprawa dla biznesu.

Langer milczała. Zdała się na Remberta, gdy zapewnił, że pizza, na którą ją wiezie, jej nie rozczaruje. Chciała już coś zjeść. W przyczepie czekała na nią niemal pusta lodówka z resztkami z ostatnich dni. Tego wieczoru nie miała już siły na robienie zakupów. Głowa wciąż ją bolała z braku snu, a noga odzywała się przy każdym kroku.

Orest miał rację. Pizza w Positano była doskonała, a od chwili zamówienia do wydania minęło mniej niż pięć minut. Cały proces powstania oraz wypieku można było obserwować przez przeszkloną ścianę, dzielącą poczekalnię od kuchni.

Langer zamówiła klasyczną marinare, a Rembert propozycję dnia z prosciutto, rukolą oraz grana padano. Obie wypieczono na cienkim cieście przesiąkniętym dymem z opalanego drewnem pieca. Były mocno nasiąknięte oliwą, a mimo to liczne powietrzne wybrzuszenia przyjemnie chrupały.

– Brawo, Oreście. – Langer wytarła palce w papierową chusteczkę i z uznaniem pokiwała głową. – Przyprowadziły cię tu jakieś studentki i przegapiłam to, że przy wejściu trzeba podać hasło? Nigdy w życiu nie słyszałam o tym przybytku rozkoszy.

Rembert zwinął na pół ostatni brzeg pizzy i wytarł nią pozostały na talerzu sos.

– *Fare la scarpetta?* – zagadnął, przeżuwając. – Po prostu wiedziałem, co ci będzie odpowiadało.

– Po takim dniu jak dzisiaj albo nie jestem w stanie przełknąć niczego, albo mam wilczy apetyt. Trafiłeś na tę drugą opcję.

– Nie zmienia to faktu, że ta pizza była doskonała. To nowy lokal i wciąż niewiele osób o nim wie.

– Dziękuję za dopuszczenie do grona wybranych. Nim właściciele zachłysną się kasą i obniżą loty.

– To Włosi.

– Nie tylko Polacy tak robią.

Orest uśmiechnął się i wyprostował. Przez chwilę memtał chusteczkę, wreszcie podniósł wzrok na Langer.

– Napijemy się wina? Po małej lampce?

Liza spojrzała na niego z ukosa. Uśmiechnęła się tajemniczo, po czym przywołała kelnera. Gdy do stolika podszedł niski, krępy mężczyzna o wyraźnie włoskich korzeniach, nie spuściła wzroku z Remberta. Wypowiedziała tylko dwa słowa:

– Rachunek, proszę.

– Ale... – Rembert chciał zaprotestować, lecz urwał w pół zdania.

Langer przeniosła wzrok na kelnera, a ten natychmiast skinął głową.

– Rachunek – potwierdził. – *Ritorno subito*. Już się robi.

Kelner zniknął w głębi sali, a ona odwróciła się do Remberta.

– Praworządny Oreścik chciałby prowadzić po lampce wina?

– To tylko parę łyków. Myślałem, że byłoby miło...

– Było – ucięła Liza.

Wstała od stolika i nie czekając, aż kelner wróci, zapłaciła przy barze. Pospiesznie ruszyła do wyjścia. Rembert dogonił ją dopiero przy aucie.

– Chciałem...

– Nieważne. Odwieź mnie.

– Dlaczego znowu robisz z siebie niedostępną, zimną sukę?

– Nikogo z siebie nie robię – wycedziła. – Ja taka jestem, Oreście.

Wsiadła do mercedesa i trzasnęła drzwiami. Drogę na pole kempingowe pokonali w milczeniu. Gdy Rembert zatrzymał się przed

wjazdem na parking, Liza odwróciła się do niego. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wysiadła, lekceważąc jego błagalne, zagubione spojrzenie.

– Dzięki za podwózkę – rzuciła, idąc w stronę przyczepy.

Minęła już dwudziesta i na dworze zapadł półmrok. Słońce znikło za horyzontem, ale wciąż od spodu resztką sił rozświetlało niebo na fioletowo. Jak na wieczór pod koniec sierpnia, było duszno i ciepło.

Langer nie odwróciła się, ale aż do momentu, gdy weszła do przyczepy, światła mercedesa oświetlały jej drogę. Otwierając drzwi, dokładnie obejrzała zamek. Był nienaruszony. Gaz usypiający musiał zostać wpuszczony przez uchylone okno. Gdy weszła do środka, natychmiast je zamknęła i opuściła roletę. Wcześniej nie miała czasu, by sprawdzić, czy osoba, która ją uprowadziła, nie zostawiła żadnych śladów.

Przebrała się w dresy, wzięła latarkę i wyszła na dwór. Rembert już odjechał, a z głębi pola kempingowego dobiegały odgłosy tępej muzyki. Cieszyła się, że wynajęła miejsce położone najbardziej na uboczu. Tej radości nikt nie mógł jej odebrać.

Powoli obeszła przyczepę, lecz, tak jak się spodziewała, nic nie znalazła. Na trawie nie pozostały żadne ślady. Nie trafiła na żadne buteleczki z gazem, rurki ani dozowniki. Zresztą nie zaskoczyło jej to.

Zamknęła drzwi na klucz i bez zastanowienia zaczęła biec przed siebie. Polem kempingowym, między przyczepami, wydzielonym paleniskiem do grilla i ku drzewom. Z każdym metrem przyspieszała. Nie zwracała uwagi na ból biodra. Wyrzucała z siebie emocje całego dnia. Pędziła, jakby brała udział w wyścigu na czterdzieści metrów. Tymczasem pokonała kilkaset i wreszcie znalazła się na plaży. O tej porze nie było już nikogo. Ciężko wbijała buty w piasek, dyszała i powstrzymywała się, by nie zacząć krzyczeć. Zwolniła tylko na moment, aby zrzucić bluzę przez głowę. Na brzegu ściągnęła spodnie i w samej bieliźnie wpadła do Bałtyku.

Chłodna woda zadziałała kojąco. Pobudziła wydzielanie endorfin i uspokoiła jej myśli. Langer, walcząc z niewielkimi falami, przepłynęła kilkadziesiąt metrów kraulem. Zawróciła, by powrotny dystans pokonać na grzbiecie. Gdy pod plecami poczuła piasek, natychmiast się podniosła. Parskając i drżąc z zimna, wróciła po ubrania.

Przemoczona, ale w znacznie lepszym humorze, wróciła do przyczepy. Jak za dotknięciem różdżki ból nogi ustąpił, a głowa przestała ją ćmić.

W progu przyczepy usłyszała dobiegające gdzieś z oddali ujadanie deszczowego psa. Tym razem nie czuła przed nim strachu. Przez ostatnie miesiące nie tylko go oswoiła, lecz także niemal się z nim zaprzyjaźniła. Teraz miała wrażenie, że deszczowy pies jedynie ją przed czymś ostrzega. Jakby gdzieś w pobliżu działo się coś złego.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Po ciemku przeszła do części dziennej, po czym zrzuciła z siebie mokre ubrania. Latarnia za oknem znów zaczęła mrugać. Nie zwracając na to uwagi, wzięła szybki, gorący prysznic. Owinięta ręcznikiem, nie zapalając światła, wróciła do łóżka. W momencie, gdy na nim usiadła, coś plasnęło w okno.

Raz i drugi.

A potem znów.

Jakby o szybę tłukły skrzydła potężnej ćmy.

53.

Langer zerknęła na krzesło, ale zdała sobie sprawę, że już kolejny dzień jej kabura z bronią tkwi w policyjnym depozycie. Popełniła błąd, nie zabierając dzisiaj glocka ze sobą. Z pistoletem przy boku poczułaby się znacznie bezpieczniej.

Wciąż przy zgaszonym świetle podeszła do okna. Roleta przylegała do niego zbyt szczelnie, by mogła wyrzeć na zewnątrz. Poza tym ogarnął ją podświadomy lęk. Poczucie, że ktoś po drugiej stronie może właśnie mierzyć w nią z dowolnej broni. Choć jej nie widział, mógł spróbować szczęścia i wystrzelić. Z kuszy, rewolweru albo łuku sportowego.

Liza nie miała pojęcia, dlaczego akurat o tym zestawie pomyślała. Mimo to z uczuciem nieprzyjemnego palenia w piersi cofnęła się w głąb przyczepy. Zrzuciła z siebie ręcznik i pospiesznie włożyła spodnie dresowe oraz peniuar.

Następnie, starając się niemal nie oddychać, upewniła się, że drugi lufcik jest również zamknięty. Z ulgą głęboko nabrała powietrza. Nachyliła się nad szafką przy zlewie i zdjęła z ociekacza krótki nóż do obierania warzyw. Niespecjalnie nadawał się do obrony, ale był lepszy niż tępe, kuliście zakończone noże obiadowe. Albo widelce.

Ostrożnie podeszła do drzwi. Była gotowa je zablokować lub przepuścić napastnika i walczyć w przyczepie. Wyważenie wzmocnionych metalowych drzwi byłoby trudne, ale nie niemożliwe, tyle że wiązałoby się z nim mnóstwo hałasu. Poza tym krzycząc, mogła zwrócić uwagę przebywających na kempingu osób. Poza sezonem często była tu sama, lecz od maja codziennie widziała zapalone światła w innych przyczepach.

Coś znów plasnęło o ścianę. Tym razem bliżej drzwi wejściowych. Rozległo się piskliwe szuranie, jakby ktoś przeciągał po boku przyczepy paznokciami.

Langer napięła mięśnie i wstrzymała oddech. Żałowała, że zostawiła przy łóżku komórkę. Chciała po nią wrócić, lecz szuranie ustało i usłyszała kroki. Trzy, cztery... Ktoś kierował się do wejścia.

Nagle coś łupnęło o drzwi. Jakby ktoś uderzył w nie otwartą dłonią.

Langer zacisnęła w dłoni nóż i zdecydowała, że przegoni intruza. Wyjdzie z przyczepy i go zaatakuję. Zaskoczy go. Jeżeli to tylko dzieciaki z innych przyczep, nie pozwoli im się z siebie nabijać. Nie pozwoli robić z siebie żartów jak stetryczała staruszka, w której okno gówniarze rzucają śnieżnymi kulkami. A jeśli to nie dzieciaki, tylko...

Nie dokończyła tej myśli. Przerwał ją wybuch śmiechu. Głośnego, beztróskiego chłopięcego śmiechu.

Langer natychmiast gniewnie przekręciła zamek i otworzyła drzwi. U podnóża schodków zobaczyła Remberta. Księżyc padał na jego pociągłą twarz, sprawiając, że wydawała się szaroblada. Delikatny wiatr rozwiewał jego czuprynę.

– Znowu się wystraszyłaś? – zapytał rozbawiony. – I dobrze. To znaczy, że jesteś ostrożna.

Liza wciąż stała w progu, blokując wejście do przyczepy. Krótki nóż schowała do kieszeni peniuaru.

– Wieczorne rozmowy to tradycja? – zapytała rozdrażniona. – Chyba wzięłaś sobie to zbyt mocno do serca. Mówiłam, żebyś wracał do domu.

Rembert wspiął się na pierwszy stopień. Nie patrząc jej w oczy, wzruszył ramionami. Langer już wcześniej zauważyła, że sprawiał wrażenie przybitego, ale zrzuciła to na karb tego, co się wydarzyło. Mimo to teraz coś jej nie pasowało. Jakaś powolność i niezgrabność w jego ruchach. Tak nietypowy u niego markotny ton. Nawet jego krótki śmiech przed chwilą był wymuszony.

– Postanowiłem sprawdzić, czy zamknęłaś okno i czy masz szczelną instalację. – Gdy silił się na aktorską obojętność, w jego głosie krył się smutek. – To, że nie wymieniłaś zamka, jest oczywiste.

– O tak, to oczywiste. Zamiast zmieniać zamek, wybrałam cały dzień opieprzania się na plaży i pluskania w morzu.

– Ten świat równoległy całkiem mi się podoba. A co ja w nim robiłem?

– Zawracałeś mi dupę. Cofnęła się w głąb przyczepy i zapaliła światło. Ledowe żarówki rozświetliły wnętrze zimną, niebieskawą barwą. Znacznie bardziej lubiła przytulne światło lampki przy łóżku, lecz do niego był oddzielny włącznik.

Orest wszedł za nią do środka i zamknął drzwi. Zatrzymał się tuż za progiem, jakby czekał na dalsze zaproszenie. Łypnął na leżące na podłodze mokre ubrania.

– Co się tak gapisz? – Langer podniosła je i rozłożyła na oparciu krzesła. – Uznałam, że pójdę się utopić. W trakcie zrezygnowałam. Chodź tu i siadaj.

– Trudno jest się samodzielnie utopić.

– Tak, już to wiem.

Rembert podszedł do krzesła i obrócił je siedziskiem do siebie. Usiadł na nim okrakiem. Położył dłonie na oparciu, po czym spuścił głowę. Langer udała, że nie zwróciła uwagi na jego ponurą minę.

– Dlaczego zapytałeś młodego Gromczyńskiego o relacje z ojcem? – zagadnęła, przeciskając się między krzesłem a szafką pod oknem. Rembert nawet na nią nie spojrzał.

– Nie masz wrażenia, że między nimi coś jest nie tak?

– Znam wiele gorszych relacji. Poza tym to ojciec samotnie wychowujący syna. Ciężki punkt wyjścia dla idyllicznej historii o szczęśliwej rodzinie.

– Tak, też o tym myślałem.

– Ale?

– Ale wyczuwałem w ich zachowaniu jakąś złość, coś... Zresztą. Chłopak właściwie rozwiał moje wątpliwości. Sam przyznał, że od śmierci żony Gromczyński bardzo się zmienił. To akurat klasyczny przypadek. Postać potrafi się ciągnąć latami, rzutując na wszystkie relacje danej osoby. Nie tylko te z najbliższymi.

– Czyli nie ma w tym żadnej zagadki?

Rembert z niezadowoleniem westchnął.

– Z psychologicznego punktu widzenia – nie. Ale właściwie przyszedłem z czymś całkiem innym.

Langer zdjęła z głowy ręcznik i sięgnęła po leżącą na wąskiej półce szczotkę.

– Mianowicie? – zapytała, rozczesując włosy.

– W czasie, gdy chciałaś się topić, sprawdziłem w internecie informacje o Bernardzie Saserze.

– Sa-sa-sa co? Wybacz, Oreście, ale chyba tego jegomościa mi nie przedstawiano.

– Saser. To współpracownik Gromczyńskiego, który kłócił się z nim na parkingu. Pełni funkcję dyrektora w LuxFoodzie. Dyrektor do spraw wykonawczych, cokolwiek to znaczy.

– Jeżeli nie wiesz, co znaczy czyjaś funkcja, to znaczy, że mówisz o kimś ważnym. – Langer wyprostowała się i energicznie odrzuciła do tyłu włosy. Uniosła palec wskazujący. – To pierwsza zasada Brata Numer Jeden.

– He?

– O widzisz, o to właśnie chodzi. Brat Numer Jeden to był oficjalny tytuł Pol Pota. Nie wiedziało o tym jakieś dziesięć milionów Kambodżan. Wszyscy zginęli.

Orest westchnął.

– Nie wiem, czy Saser kogoś zamordował, ale to bez dwóch zdań geniusz. Opracował sposób na konserwowanie dań w ciekłym azocie. Mają zachowywać smak i wszystkie składniki odżywcze. Wymyślił też płynne posiłki.

– Sądzę, że wymyślono jej już znacznie wcześniej.

– Nie. Akurat te są przeznaczone dla ludzi mających trudności ze spożywaniem zwykłych dań. Dzięki zastosowaniu jakichś procesów, których nazw za cholere nie zapamiętałem, mózg zostanie oszukany i odbierze sygnał, jakby jedli pełnowartościowy posiłek. Poczują jego smak i konsystencję. Będą mogli nawet przeżuwać i czuć się, jakby gryźli.

Langer przyciągnęła sobie krzesło i usiadła. Przytknęła palec do brody.

– A teraz ten Sa-sa-seser czy inny faraon chce ustąpić z urzędu.

– Właśnie.

– I co? – zapytała ostro. Miała dość tego kłębowiska myśli. Marzyła tylko o poduszce i chwili snu, by jutro móc wszystko uporządkować. – I jajco. Jesteśmy w totalnej dupie. A teraz, Oreście, gdy podzieliłeś się ze mną hot newsem, pozwól mi, proszę, się przespać. Wczoraj miałam słabą noc.

Rembert wbił wzrok w podłogę. Wtulił głowę między ramiona i założył dłonie za kark.

– Chyba nie chcę wracać do pustego mieszkania.

– Potrzebujesz kołysanki i kaszki z mlekiem?

– Nie. Po prostu dziś jest dzień... Rocznicą...

Langer zmarszczyła czoło, ale Orest urwał. Nigdy nie pytała go o życie prywatne i w zasadzie poza kilkoma kwestiami, którymi się z nią podzielił, nie miała o nim żadnego pojęcia. Skąd pochodził, ile dokładnie miał lat, czy miał rodzinę... Nic. Wychodziła z założenia, że każdy, kto chce się czymś podzielić, po prostu to mówi. I choć zazwyczaj nie miała ochoty słuchać, teraz Rembert ją zaniepokoił. Gdy podniósł głowę, dostrzegła, że ma zaczerwienione, wilgotne oczy. Przypatrywała mu się uważnie przez kilka sekund. Pytanie o to, czego rocznicę dzisiaj obchodzi, miała już na końcu języka. Mimo to powstrzymała się i dziarsko podniosła z krzesła. Klepnęła Oresta w dłoń. Przez chwilę ich palce się splotły.

– Mam dodatkowy koc – oznajmiła krótko. – Jeżeli tego potrzebujesz, dziś jestem w stanie przygarnąć zagubionego wędrowca. Położysz się pod moim łóżkiem. Ale jeśli chrapiesz... W środku nocy wykopię cię na dwór.

54.

Trixie – to był jej pseudonim sceniczny.

Wiele potrafiła i robiła to lepiej niż inni. Niż inne.

Była instruktorką pole dance, tancerką burleski i dziwką. Choć lubiła nazywać sprawy po imieniu, nie lubiła określenia „dziwka”, „kurwa”, „ prostytutka”. Była przedsiębiorcą. Budowała swoją przyszłość tak, jak miała na to ochotę. I tylko trochę (przyznawała to z wielką niechęcią) tak, jak zmusił ją do tego los.

Jej matka i brat zostali zamordowani przez Rosjan w Donbasie. Choć ich mordercy nie mieli twarzy, Trixie każdego dnia marzyła, by ich dorwać. By sprawić im niewyobrażalny ból.

To pociski artyleryjskie rozerwały jej rodzinny dom. Pozostały z niego tylko zgliszcza i kawałek ściany. Akurat tej, na której wisiał obraz z Matką Boską Bołszowiecką. Tyle razy się do niej modliła, a wymodliła tylko ocalenie jej ikony.

Jej matka zginęła na miejscu, przygnieciona we własnym łóżku betonowym stropem. Trixie wyciągnęła ją spomiędzy płomieni, ale nic już nie dało się zrobić. Matka wyglądała, jakby spała, lecz z tyłu jej głowy zionęła pustka. Między palcami Trixie wypływał jej wciąż ciepły mózg. Pamiętała jego konsystencję każdego dnia, w każdej godzinie, minucie i sekundzie.

Jej brat został ranny w nogę. Niby nic strasznego, zmiażdżona kończyna nie nadawała się do leczenia, więc należało ją usunąć. W tamtych tygodniach w donbaskich szpitalach codziennie dokonywano dziesiątek amputacji kończyn ofiar wojny. Wojny – to podkreślała za każdym razem. Nie cholernego buntu, nie powstania narodów, które nigdy nie istniały, nie jakiegoś przewrotu. To była wojna z najbardziej krwiożerczym, zaborczym sąsiadem. Rosja Putina stanowiła emanację jej najokropniejszego koszmaru. Koszmaru, w którym zło nie ma twarzy. Najczęściej kryje się w dźwięku pocisku nadlatującego z wielu kilometrów. Tkwi w zbliżającym się coraz głośniejszym pisku, a potem odbiera to, co najcenniejsze. Dwadzieścia, trzydzieści lat życia.

Spuściznę pokolenia lub dwóch. W ułamku sekundy niweczy marzenia oraz weryfikuje plany.

Jej brat zmarł wskutek sepsy trzy dni po operacji. Nigdy się z nim nie pożegnała, a lekarze przez te trzy dni łudzili ją nadzieją. Nadzieją kosztującą ją wszystkie oszczędności, których nie strawił ogień.

Bomby nie mają twarzy. Ale za bombami i pociskami artyleryjskimi zawsze ktoś stoi. A jeśli nie można go dorwać, można dopaść jego bliskich: dzieci, żonę lub siostrę. O tym Trixie marzyła każdego dnia.

Marzyła o tym nawet w momencie, gdy kończyła swoją przygodę z kolejnym klientem. Odebrała pieniądze i włożyła majtki. Zasapany mężczyzna ruszył w stronę zostawionego na poboczu volkswagena golfa. Tak jak większość, nawet się nie odwrócił, jakby teraz, gdy było już po wszystkim, dopadły go wyrzuty sumienia. Kolejny żaloszny dupek.

Wyrzuty sumienia są największym złem.

Nigdy nie można ich mieć.

Trixie schowała pomięte banknoty do niewielkiej saszetki. Przypięła ją do wewnętrznej strony płaszcza – swojej tajnej kryjówki – i zawróciła na skraj lasu. Zawsze po seksie za kasę popadała w chwilowy stan apatii i odrętwienia. Trwał tak długo, aż pojawił się następny klient.

Natomiast seks z ukochanym dla odmiany wprawiał ją w długotrwałą euforię. O tak. Trixie miała męża, którego naprawdę kochała. Miała w Polsce nowy świat. Mogła realizować marzenia i snuć plany. Zawsze jednak towarzyszyło jej poczucie, że to wszystko może jej zostać nagle odebrane. Jak całe poprzednie życie.

Bomby nie mają twarzy, pomyślała po raz kolejny. Ta myśl wielokrotnie krążyła jej po głowie. Nie potrafiła się od niej opędzić. Powtarzała ją jak mantrę, którą zakazano jej umysł. Była zasłyszana rano melodią, którą podświadomie nuciła przez cały dzień. Przez cały dzień – od pięciu lat.

Nagle Trixie usłyszała kroki. Ktoś szedł skrajem lasu, nadeptując na suche gałęzie. W półmroku dostrzegła zarys postaci. Ulicą nie przejeżdżało żadne auto, którego reflektory mogłyby ją oświetlić.

Bomby nie mają twarzy.

Trixie policzyła do trzech. Zawsze tak robiła, gdy chciała, by sprzyjało jej szczęście. Wiązało się to z jakąś wyliczanką, którą знаła w dzieciństwie, a która teraz stanowiła jedynie mgliste wspomnienie.

Tak samo, jak twarze jej matki i brata.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

– Hej! Chłopcze! – krzyknęła Trixie zalotnie.

Z oddali dobiegł szelest opon i narastający pomruk silnika. Stary bus z warkotem przejechał drogą. W świetle jego reflektorów Trixie zauważyła, że twarz nastolatka, który szedł w jej stronę, wykrzywił grymas strachu. Chłopak zatrzymał się kilka metrów od niej. A potem nagle rzucił się do ucieczki.

Trixie go jednak nie goniła.

Nastolatek nie ostrzegł jej, że od tyłu zbliżał się do niej ktoś w upiornej masce.

DZIEŃ PIĄTY

55.

Langer obudziła się, gdy przez roletę przesączało się ciepłe żółte światło poranka. Zamrugwała. Nagle zerwała się z przeświadczeniem, że jest spóźniona. Chwyciła podpiętą do ładowarki komórkę, odblokowała ekran i kątem oka dostrzegła leżący pośrodku przyczepy kształt.

Zwinięte ciało.

Nieomal krzyknęła.

Dopiero po ułamku sekundy przypomniała sobie, że pozwoliła u siebie przenocować Orestowi. Leżał na boku i przeglądał coś na swoim telefonie. Pod głową trzymał zwiniętą rękę. Drgnął, widząc, że Langer się obudziła.

– Szósta siedemnaście – przywitał ją, jakby czytał jej w myślach. – Dokładnie za trzynaście minut miałem cię budzić.

Liza przygryzła wargi. Zsunęła się z łóżka i poprawiła gumkę na włosach.

– Cudownie widzieć twoją gębę o poranku, Oreście. Brakuje mi tylko kołyski Newtona napięprzajającej zamiast budzika.

– Nie zamierzałem jej używać.

– A jaki miałeś plan? Podejść do mnie i delikatnie pogładzić mnie po policzku, śpiewając: „Przebudź się, piękności ma”?

– To kolęda czy pieśń powstańcza?

Langer się uśmiechnęła. Żwawo podniosła się z łóżka, po czym stanęła obok Remberta. Kręcąc głową z udawaną irytacją, pomaszzerowała do łazienki.

– Idę się ogarnąć, a ty możesz zorganizować śniadanie. Lodówka jest w meblościance przy oknie.

– To chyba mikrolodówka...

– Dla jednej osoby w sam raz. Jeżeli zabraknie składników, potraktujemy to jako twoją zapłatę za nocleg, a po drodze wysadzę cię gdzieś na śniadanie.

Orest z wymowną miną uniósł kciuk. Ponownie zerknął w telefon i coś przewinął.

– Czekaj! – krzyknął, gdy Liza otworzyła drzwi do łazienki.
– Nie mów, że musisz zająć miejsce na moim złotym tronie.
– Nie, nie... Nie nakarmiłaś mnie na kolację. Poza tym to znacznie ciekawsze.

– Domyślam się. – Langer nerwowo zabębniła paznokciami w drzwi. – Wyduś z siebie słowa, Oreście, skoro nic innego nie możesz.

Rembert znowu przewinął wiadomość na ekranie komórki.

– Poprosiłem Wojtiuka, żeby razem z Różą Burzą zorganizowali akcję wypytywania znajomych Magdy Nowickiej o tych wspomnianych przez Darczewskiego gości.

– No i?

Langer utkwiała w nim pytające spojrzenie.

– Obudź się. Halo! Mówiłaś mi, że wspomniał o jakimś koleśiu, który wygląda jak Cygan, oraz o drugim, z ksywką „Kolorowy”.

– Jestem całkowicie rozbudzona, mój drogi. Po prostu czekam na konkrety.

– Paru ludzi w terenie jeszcze raz wypytało jej dawnych i nielicznych obecnych znajomych.

– Czego się dowiedzieliśmy?

– Nikt takiej dwójki nie widział ani o niej nie słyszał. Przynajmniej to stan na wczoraj, na dwudziestą trzecią jedenaście. Wtedy Wojtiuk przesłał mi wiadomość.

– A to ciekawe... Choć jeżeli dziewczyna unikała ludzi tak bardzo, jak opowiadano mi to wcześniej, mogła sobie dobrać towarzystwo dwóch osób i zajrzeć do baru dwa razy. Wtedy wystarczająco zwróciłaby na siebie uwagę.

– Ten Darczewski...

Langer nie pozwoliła mu skończyć.

– Rozmawiając z nim, starałam się być czujna. Wszystko trzymało się kupy, choć nie jestem tak mocna w psychologicznych trikach jak ty. – Trzasnęła drzwiami, po czym odezwała się z łazienki: – Zrób mi kawę. Dwie łyżeczki. Do tego łyżeczka cukru.

– Coś jeszcze, księżniczko?

– Tak. Nie mów do mnie „księżniczko”, bo wykopię cię szybciej niż za chrapanie.

Rembert wstał i podszedł do szafki kuchennej. Otworzył drzwiczki, szukając kawy.

– Ktoś ci mówił, że rankami bywasz jeszcze bardziej irytująco pobudzona niż zwykle?

– Rankiem, Oreście! Nie dostąpiłeś zaszczytu mówienia mi, jaka jestem rankami.

Z łazienki dobiegł odgłos lecącej z kranu wody. Jednocześnie Rembert słyszał brzęk muszli klozetowej. Uśmiechnął się sam do siebie i przetrząsnął kolejne półki w poszukiwaniu kawy. Znalazł ją i wsypał do stojącej na ociekaczu filiżanki. Uważając, by na ciasnej przestrzeni o nic się nie uderzyć, uruchomił czajnik elektryczny oraz stojące obok niego radio.

Dokładnie w momencie, gdy je włączył, wybrzmiał sygnał informujący, że jest szósta trzydzieści. Po chwili prezenter powitał słuchaczy i zapowiedział wiadomości.

Gdy Rembert otworzył lodówkę, relację zaczęła zdawać dziennikarka.

– Dziś w nocy technicy dokonali identyfikacji kolejnych ciał odnalezionych na terenie leśnych wykopów. Jednocześnie mamy informacje w sprawie Magdy Nowickiej. Na plaży, gdzie odnaleziono jej ciało, technicy kryminalni natrafili na ślady butów. Z dużym prawdopodobieństwem są to ślady pozostawione przez mordercę...

56.

– Po pierwsze, jakim cudem taka wiadomość trafia najpierw do mediów, a dopiero potem do mnie? – piekliła się Langer, pospiesznie popijając kawę. – Nie dość, że mają w laboratorium szczura, to jeszcze nie meldują mi o wszystkim na bieżąco. Po drugie, dlaczego ta cholerna dziennikareczka powiązała sprawę Nowickiej i szczątków?

Orest wzruszył ramionami. Zerknął na zegarek i jeszcze raz przyglądał pogniecioną wczorajszą koszulę.

– Może dlatego, że tymi dwiema sprawami kryminalnymi żyje cały Gdańsk? To brzmiało bardziej jak oszczędzanie czasu antenowego, niż jakby mieli jakiegokolwiek konkretne informacje.

– Pieprzę ich. Choć jestem pewna, że Siwecki będzie chciał zrzucić całą winę na mnie. A ze mnie żaden Maksymilian Kolbe.

– Nie musisz się za nikogo poświęcać. CBS to nie obóz koncentracyjny...

Liza dopiła kawę i wstawiła filiżankę do zlewu. Zalała ją wodą, po czym wymownie łypnęła na Oresta.

– Wiesz, jak jest. Dlatego – obwieściła, idąc do wyjścia z przyczepy – to ty dzwonicz do laboratorium i dowiadujesz się, na czym stoimy. Ja prowadzę. A prowadząc i rozmawiając z kimś, kogo mam ochotę rozszarpać, mogę być niebezpieczna.

– Okej.

– I jeśli chcesz jechać tą kobylistą taksówką z lat osiemdziesiątych, jedziemy oddzielnie.

Rembert bez słowa pomaszerował za Lizą. Odczekał, aż przesuną się elektryczne drzwi, i usiadł na miejscu pasażera. Oparł głowę o szybę, po czym wyciągnął komórkę. Z krzywą miną wybrał numer laboratorium. Dyżurny odebrał dopiero po kilku sygnałach.

Langer starała się odciąć od strzępów rozmowy, które do niej dolatywały. Skupiła się na prowadzeniu. Wciąż roztrząsała, czy dziennikarze połączyli obie sprawy przez przypadek, czy do mediów przedostała się jakaś plotka, o której nie miała pojęcia. Sama starała się znaleźć jakikolwiek punkt wspólny, lecz nie przychodził jej żaden rozsądny pomysł.

Dawne szczątki.

Wykopane zwłoki z usuniętymi kręgami.

Czyjeś amatorskie poszukiwania.

Porwana i zamordowana dziewczyna, której przed śmiercią również zostaje usunięty konkretny krąg.

Szantażowany biznesmen walczący o rozwój marki.

Właśnie. Czy Gromczyński walczył o rozwój marki, czy o pozostanie na rynku? Czy istniał jakikolwiek powód, by mógł próbować ukryć problemy finansowe? Tyle że on ich wcale nie ukrywał. Wobec niej grał w otwarte

karty. Poprzedniego popołudnia najadł się z synem sporo strachu. Choć mógł dzielić ich mur, kochali się i wzajemnie się o siebie martwili. To było widać.

A Bernard Saser?

– Tak, proszę?

Langer zdała sobie sprawę, że po raz drugi słyszy to pytanie. Oprzytomniała, po czym odwróciła się w stronę elektronicznego urządzenia, służącego do składania zamówień.

– Cheeseburger XXL raz. I kawa, czarna, mocna, z podwójnym cukrem.

– Czy...

– Nic.

Ucięła i ruszyła za samochodem przed sobą do okienka. Podśłuchiwała, że Rembert zszedł już na poboczne tematy. Musiał się dowiedzieć wszystkiego, co istotne.

Albo niczego.

Odebrała zamówienie i zapłaciła. Nie czekając na resztę, ruszyła do głównej drogi. Upiła solidny łyk kawy, po czym odwróciła się do Oresta.

– Masz. – Podała mu cheeseburgera. – Kończ pogaduchy, bo rzygać się chce od tego bezproduktywnego small talku. Tylko nie nakrusz, bo wylądujesz na poboczu autostrady.

Rembert pospiesznie się rozłączył i z rozmarzoną miną rozpakował zawiniątko.

– Dziękuję. Rozmawiałem z Szeniawską. Zawsze wolę mieć z nią dobre stosunki, na wypadek, gdyby...

– Oreście! – Langer oderwała dłonie od kierownicy, po czym nerwowo o nią plasnęła. – Jej możesz ściemniać, ale nie ze mną takie numery. Mnie interesują konkrety.

– Brzmisz, jakbyś była zazdrosna.

– Fantazje i marzenia.

– Okej, ale, wracając do sedna, wypytałem o wszystko, co nas interesowało.

– I?

– Mo... mment.

Rembert przeżuł kęs burgera. Przełknął i upewnił się, że nie nakruszył na siedzenie. Langer sapnęła.

– Na poboczu autostrady można skończyć z co najmniej dwóch powodów. Za kruszenie w aucie i za nadużywanie mojej cierpliwości. Dlatego...

Orest znacząco machnął dłonią.

– Przede wszystkim technicy nie dokonali żadnych identyfikacji. Wyciągnęli tylko kolejne szczątki. Ósme i prawdopodobnie ostatnie. To tyle co do wykopalisk archeologicznych. Nie dowiedziałem się niczego więcej, bo nic więcej się nie wydarzyło. Ofiary nie miały ani nieśmiertelników, ani dowodów osobistych.

– A sprawa Nowickiej?

– Gdybyśmy mieszkali w Anglii, nazywalibyśmy ją *Novicka and Corps Case*.

– Nie mieszkamy w Anglii.

– Może dlatego w niej dzieje się więcej ciekawego. Rzeczywiście, zabezpieczono ślady, które należały do kogoś, kto musiał chodzić po okolicy, gdy ciało pojawiło się już na brzegu. But męski, rozmiar czterdzieści trzy lub cztery. I to wszystko. Pasujący do jakichś ośmiu milionów Polaków. Może dziesięciu. Ale co ciekawe – Rembert wziął kolejny kęs burgera – co ciekawe – powtórzył, jedząc – zidentyfikowano, jakie auto odbiło opony przy parku.

– Co takiego?! Jakim cudem?

– To nietypowy bieżnik. Pasuje tylko do jednego rodzaju opon, które z kolei montuje się seryjnie tylko w jednym modelu aut. Oplu Vivaro. To się nazywa fart.

Langer natychmiast sięgnęła po telefon. Niemal ocierając kołami o krawężnik, wybrała numer. Pospiesznie skorygowała kierownicę.

– Jesteś już w firmie? – zapytała bez przywitania.

– Tak, tak... – odparł zaspany Wojtiuk. – Właśnie...

– Niech wszyscy wolni ludzie szukają na nagraniach przesłanych w sprawie Nowickiej opla vivaro! To pilne.

– Opla vivaro?

Nerwowo potwierdziła i się rozłączyła. Zirytowana zerknęła na Remberta. Czasem wściekało ją jego zdystansowane, niefrasobliwe

podejście do świata. Zamiast się złościć i działać, z uśmiechem dozował jej informacje.

Orest wyraźnie wyczuł jej myśli i ze zdziwieniem obserwował obraną przez nią drogę.

– Co tu robimy?

Langer bez słowa skręciła w boczną uliczkę. Wokół, prostopadle do niej, ciągnęły się czteropiętrowe bloki z lat siedemdziesiątych. To, że większość z nich niedawno pomalowano na żywe kolory, niewiele zmieniało. Wielkie, paskudne klocki wyrastały wśród stanowiących ich odbicie w mikroskali garaży. Socrealizm oszpecił Gdańsk niczym wrzód.

Liza zwolniła przed progiem spowalniającym. Przejechała po nim, po czym zwróciła się do Remberta.

– Mieszkasz gdzieś tutaj? – zapytała oschle.

– Odwozisz mnie do domu? Za pół godziny zaczynam pracę, a samochód, jak wiesz, zostawiłem...

– To ten dom studenta?

Orest skinął głową.

– Tamta klatka. – Wskazał w stronę rogu długiego budynku pomalowanego w żółto-pomarańczowe pasy.

Langer podjechała niemal pod same drzwi i nie wysiadając z auta, wyrzuciła kubek po kawie do śmietnika. Sięgnęła po leżącą w schowku szklaną lufkę.

– Jazda, Oreście. Leć na górę, zmień tę cuchnącą koszulę i wracaj, zanim się wkurzę i odjadę.

Rembert spojrział na nią zaskoczony, ale nic nie powiedział. Wysiadł z peugeota i pobrzękując kluczami, ruszył do klatki schodowej. Gdy do niej dochodził, drzwi się otworzyły i ze środka wypadły cztery roześmiane dziewczyny. Nie wyglądały na takie, które cieszą się z nowego dnia i porannej pobudki. Dla nich raczej wciąż trwała zeszłonocna impreza. Mijając Oresta, zamieniły z nim kilka zdań, a ten pośpiesznie uściśnął wysoką brunetkę. Ucałował ją w policzek i usprawiedliwił się przepaszającym gestem, po chwili zniknął w klatce.

Langer, paląc papierosa, spode łba obserwowała roześmiane dziewczyny. W końcu skręciły w uliczkę za budynkiem i straciła je z oczu.

Niecierpliwiąc się, odczekała dziesięć minut. Włączyła radio, ale przezornie zaraz je wyciszyła. Nie chciała słuchać bzdur. Nie chciała się denerwować. Gdy po raz kolejny sięgała po paczkę papierosów, rozdzwonił się jej telefon.

– Jest pani u siebie, pani komisarz? – usłyszała głos spłoszonego podrostka. Przyporządkowała go do twarzy jednego ze świeżo upieczonych posterunkowych.

– Będę w firmie za dziesięć minut. Coś się stało?

– Przyszła tu kobieta, która mówi, że... – Dyżurny odezwał się do kogoś i z głośnika popłynęły szумы. – Przepraszam, pani komisarz. Mamy tu magiel. Niech pani szybko przyjedzie.

57.

Adam Gromczyński biegł w samych bokserkach. Szybko stawiał bose stopy na terakotowej posadzce. Wybił się z prawej nogi i podciągnął kolana pod brodę. Po chwili z pluskiem wpadł do basenu.

Przepląnął kilka metrów, po czym obrócił się na grzbiet. Unosząc się na wodzie, zamknął oczy. Obrócił się tak, by promienie słońca padały mu na twarz. Co chwilę delikatnie poruszał rękoma. Mimo że dopiero minęła siódma, robiło się gorąco i parno. Niebo miało charakterystyczny, błękitnobiały kolor. Pojedyncze chmurki na zachodzie rozpraszały się i nikły. Zapowiadał się kolejny dzień upałów.

Młodzieniec przez kilka minut delektował się chwilą. Chłodna woda odprężała go i pozbawiała zmartwień. Miał zanurzone uszy, a z przeciwległego krańca basenu dobiegał mrukliwy warkot oczyszczarki.

Ojciec jeszcze nie pojawił się na dole. Poprzedniego wieczoru do późna siedział zamknięty w gabinecie i rozmawiał przez telefon. Adam wyraźnie słyszał jego wzburzony głos. Stary Gromczyński zszedł na dół grubo po północy. Głośno krzątał się w kuchni, przygotowując sobie drinka. Zapewne ulubionego long island. Nie szczędził przy tym wódki,

ginu, tequili oraz rumu. Porcje triple sec i soku cytrynowego były symboliczna. Coca-cola zaś służyła jedynie za usprawiedliwienie.

Ojciec Adama zawsze sączył drink przez równą godzinę. Nigdy go nie uzupełniał ani nie robił sobie kolejnego. Nie lubił się upijać. Choć po takiej mieszance większość ludzi byłaby przynajmniej lekko wstawiona, po nim nie dało się poznać, że cokolwiek wypił. Była to kwestia wielkiej postury albo przemiany materii. Albo jednego i drugiego.

Tuż przed pierwszą w nocy ktoś zadzwonił na komórkę ojca. Ten jednak, klnąc pod nosem, pospiesznie odrzucił połączenie. Następnie umył szklankę i powłókł się do łazienki.

Potem już nic nie zagłuszało domowej ciszy. Mimo to Adam z trudem podniósł się rano z łóżka. Kąpiel w basenie działała na niego jak cucenie. Dopóki pływał, czuł, że jego ciało powoli się rozbudza.

Powoli.

Bardzo powoli.

Padające na jego twarz promienie słońca ponownie rozleniwiały. Tak bardzo, że...

Chłopak musiał gwałtownie poruszyć rękoma, by się nie zanurzyć. Na moment jego myśli odpłynęły i niemal zasnął. Obrócił się ponownie na brzuch, po czym gwałtownie zanurkował. Basen, poza wypustkami przy bokach, miał stałą głębokość dwóch metrów. Adam dotknął oburącz dna i zrobił przewrót. Następnie gwałtownie wybił się ku bezchmurnemu niebu.

Całkowicie rozbudzony, wypłynął na powierzchnię. Odkaszlnął nabraną przy wynurzaniu wodę i przeczesał palcami włosy. Były ciemne, ale dość rzadkie. Zarysowujące się zakola upodabniały go do ojca. Wciąż jednak dzieliło ich blisko czterdzieści kilogramów. Adam, choć muskularny i z szerokimi ramionami, był o ponad głowę niższy. Pod względem figury wdał się w zgrabną, kształtną matkę. Doskonale ją pamiętał. W irracjonalnej tajemnicy przed ojcem bardzo często przeglądał również jej zdjęcia. Choć minęło tyle lat, niezmiennie tęsknił...

Podpłynął do metalowej drabinki i wyszedł z basenu. Otulił się wielkim granatowym ręcznikiem. Nie wycierał się, lecz pozwolił wodzie wsiąkać w bambusowobawełniany materiał.

Przeszedł przez ogród i wymachując rękoma, rozgrzał się. Gdy mijał pokrytą intensywnie kolorowymi kwiatami płataninę dziwaczków, jego uwagę przykuł jakiś ruch przy bramie. Niewiele widział między szczeblami. Wychylił się, lecz aby cokolwiek dojrzeć z tej strony, musiałby być co najmniej wzrostu ojca.

Był jednak pewny, że dostrzegł jakiś ruch.

Pewnym krokiem skierował się do furtki. Zaplótł szczelniej ręcznik i jeszcze raz przeczesał palcami włosy.

– *Open!* – krzyknął, gdy był już niedaleko ogrodzenia.

Brama niemal bezgłośnie zaczęła się przesuwac.

– *Stop!* – nakazał, gdy szczelina zrobiła się wystarczająca, by przeszedł.

Spostrzegł łaciatego kota, który wspinał się na leżący na podjeździe pakunek. Kot był oswojony i nawet nie zwrócił na niego uwagi.

– *Psik!* – Adam klasnął, chcąc przegonić zwierzaka. Z zaciekawieniem spojrział na tekturową paczkę, która, gdyby owiązać ją kolorową tasiemką, przypominałaby wyjęty wprost spod choinki prezent. – *Psik!* – Klasnął raz jeszcze, a kot, unosząc ogon, zeskoczył z pakunku. Ten zachwiał się i przewrócił na bok.

W tym samym momencie eksplodował.

58.

– Do prasy przeciekła informacja o odnalezieniu zwłok Magdy Nowickiej. Ubiegli nas. Lipnie to wygląda.

– W takim razie nie trzeba już nic wygłaszać. – Langer spojrziała na kroczącą obok niej posterunkową. – Albo można skrócić komunikat do minimum. Zresztą dlaczego zawraca się mi tym głowę? To rola rzeczownika.

– Tak, tyle że...

– Że co?

– Niech pani spojrzy.

Posterunkowa zatrzymała się w progu poczekalni, w którym kłębiło się kilkanaście osób. Różnej płci i w różnym wieku. Langer pospiesznie się cofnęła, aby zniknąć im z oczu. Przezornie wolała się najpierw dowiedzieć, w czym rzecz. Żałowała, że nie ma przy niej Remberta, który poszedł do toalety. On doskonale nadawał się na przespiegi. Przynajmniej jego twarzy nikt nie kojarzył z cholernej konferencji.

– Czego chcą? – zapytała podejrzliwie.

– Albo mają nagrania z aut, albo przez ostatnie godziny nie mogą się skontaktować z kimś bliskim. Makabryczna śmierć mobilizuje ludzi, pani komisarz.

– To akurat nie nowość. I dlaczego miałam tu pędzić na złamanie karku?

– Bo... – Posterunkowa lekko się zmieszała. Przeniosła wzrok w stronę poczekalni i z powrotem na Langer. – Jest tu mężczyzna, którego żona nie wróciła do domu. Nie chce przyznać wprost, ale zdaje się, że ta pracowała jako prostytutka...

Langer zmrużyła oczy. Posterunkowa usprawiedliwiająco wzruszyła ramionami.

– To trochę skomplikowane, ale...

– Zaprowadź mnie do niego.

Trzy minuty później Liza, już razem z Rembertem, weszła do niewielkiego gabinetu. Znajdowały się w nim dwie metalowe szafki z dokumentami oraz stare biurko. Na ścianach wisiało kilka tablic korkowych z numerami telefonów lub grafikami. Na krześle przed biurkiem siedział krępy, około czterdziestoletni mężczyzna. Był ubrany w czarny dres i niebieskie polo, na które miał wyłożony gruby złoty łańcuch.

Liza usiadła w fotelu, a Orest stanął przy oknie. Nie była to najlepsza technika śledcza, bo ta zalecała rozmowę w cztery oczy, i to bez zbędnych przedmiotów między przesłuchującym i przesłuchiwanym, ale należało się zadowolić istniejącymi warunkami. Nie można było każdego ściągać do specjalnie zaaranżowanego pokoju przesłuchań. Ustawiały się przed nim kolejka dłuższa niż przed McDonald'sem oferującym darmowe burgery pierwszym klientom. Nie było też takiej potrzeby. Tym bardziej, że w zasadzie chodziło o całkowicie nieformalną rozmowę.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Marcin Kwiatkowski, szybko przeszedł do konkretów.

– Moja żona niby nie ma nic wspólnego z tamtą kobietą, ale kto wie? Nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło. Czy myślicie, że mam powód do zmartwień?

Posterunkowa, z którą Langer rozmawiała po przyjeździe na komendę, zdradziła jej, że wszystkie pozostałe zgłoszenia zaginięć dotyczą albo nastolatków, albo osób w podeszłym wieku. Choć Liza tego nie powiedziała, statystyka stanowiła pierwszy powód do niepokoju.

– Kiedy miał pan po raz ostatni kontakt z żoną? – zapytała, obracając między palcami szklaną lufkę. Po chwili zrozumiała niefortunność pytania i sprecyzowała: – Kiedy rozmawialiście, pisaliście, widzieliście się...

– Wczoraj około dwudziestej. Napisała mi esemesa.

– Skąd? I jakiej treści?

– Była w pracy. Pisała, że wszystko w porządku.

– Gdzie pracuje pańska żona?

Kwiatkowski spuścił wzrok i przeciągnął dłońmi po twarzy. Powoli wypuścił powietrze. Langer i Rembert uparcie milczeli, skupiając na nim uwagę. Wreszcie pokiwał w zadumie głową, po czym się wyprostował.

– Jest kelnerką – stwierdził zachowawczo, po czym niewyraźnie dorzucił: – Ale dorabia jako tak zwana tirówka. Tak ją poznałem. Miała z tym skończyć, kiedy tylko wyjdziemy na prostą.

Liza nie zdradziła żadnych emocji. Odłożyła lufkę i położyła obie dłonie na biurku.

– Jaki jest jej rewir? – zapytała beznamiętnym tonem.

– Od tygodnia zaczęła działać na własną rękę i przeniosła się w okolice zjazdu z obwodnicy trójmiejskiej.

– Konkretnie, proszę.

Kwiatkowski opuścił ramiona i wbił wzrok w ziemię.

– Słoneczna – odezwał się, jakby zdradzał ciężący mu sekret.

– Czy nie obawiała się zemsty dawnego towarzystwa? – Do rozmowy włączył się Rembert. Poprawił węzeł krawata i zaraz dodał: – Doskonale wiemy, jak funkcjonuje ten rynek.

Mężczyzna popatrzył na niego spode łba.

– Nie – odparł kategorycznie. – Wszystko miała załatwione i dogadane. Skoro odchodziła z biznesu, pozwolono jej działać przez dwa tygodnie na własną rękę. To miała być nagroda za dobrą współpracę.

– Zna pan jej... pracodawców? Ma pan na nich jakikolwiek namiar?

– Nie.

Langer zabębniła palcami o biurko.

– Żona dała panu znać o dwudziestej, a później już się nie odezwała. Jak często pozostawaliście normalnie w kontakcie?

– Zależało mi, aby pisała nie rzadziej niż co dwie godziny. Przed północą pojechałem na Słoneczną, ale już jej nigdzie nie było. Umówiliśmy się, że ją odbiorę najpóźniej o drugiej w nocy. Trzykrotnie krążyłem po okolicy. Czekałem, myśląc, że... – Kwiatkowski urwał w pół zdania. Oparł dłonie na udach i ciężko sapnął. Nagle odezwał się zrezygnowanym, drżącym głosem: – Jesteśmy małżeństwem od dwóch miesięcy. Tatiana przyjechała do Polski z Ukrainy nieco ponad rok temu. Patrzycie na mnie i myślicie sobie, że facet ożenił się z kurwą. Ale to nie tak. Ta dziewczyna naprawdę nie chciała tak pracować, a ja spotkałem ją przez czysty przypadek. Potrzebowałem rozmowy, nie seksu. Wracalem z trasy, dopadła mnie chandra i... – Mężczyzna machnął ręką. – Ta kobieta, której ciało znaleziono... – powiedział nieskładnie. – Czy to jakiś seryjny morderca? Czy Tatiana mogła...

– Chwileczkę. – Langer weszła mu w słowo. Skinęła na Remberta, dając mu znać, by wyszli razem na korytarz.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, starannie przymknęła drzwi. Utkwiła w Orestie zmęczone spojrzenie. Zaciśnęła usta.

– Nie ma czasu do stracenia – odezwała się po chwili. – Musimy niezwłocznie zgłosić zaginięcie, ogłosić je mediom i zorganizować konferencję. Nawet jeżeli to niecelny strzał, musimy działać.

– Bo zaginęła dziwka? Do tego działająca na samowolce?

– Bo zaginęła kobieta mająca wiele cech wspólnych z inną uprowadzoną i zamordowaną przed paroma dniami. To na to powinieneś przede wszystkim zwrócić uwagę.

Orest mlasnął bez przekonania.

– Problemy z Siweckim biorę na siebie – uspokoiła go Liza. – Ty wypytaj tego człowieka o wszystko, co tylko może nam pomóc. I postaraj się dowiedzieć, czy sam w tym nie siedzi. Raz zgrywa mafioza, a raz zbite dziecko. Będziemy też potrzebować wizerunku zaginionej. Jeżeli ostatnio była w czerwonych szpilkach i kabaretkach, a ten facet ma jej zdjęcie w takim wdzianku, niech je daje. Nie wierzę w szczęście, ale może zgłosi się ktoś, komu wczoraj zrobiła dobrze.

– Czasem jesteś marzycielką, Lizo.

– Gorzej. Skoro od dawna nie dostałam od ciebie żadnych konkretów, panie profilerze, pozostaje mi być zdesperowaną marzycielką.

Odwróciła się i w tym samym momencie na końcu korytarza zobaczyła dyżurną, która szybkim krokiem maszerowała w ich stronę. Była blada i jeszcze bardziej zdenerwowana niż wcześniej.

– Pani komisarz, nie chciałam przeszkadzać, dzwoniąc...

Langer z aprobatą kiwnęła głową.

– Bardzo słusznie.

– Mamy pilną wiadomość od pana Gromczyńskiego. Jego syn...

Liza nie czekała na dalsze słowa. Pchnęła Remberta do pokoju, w którym został Kwiatkowski, i biegiem ruszyła na schody.

59.

– Mam tego dość. Robienia w tym chorym kraju biznesu, wypruwania sobie żył i snucia marzeń o tym, że można zarobić, jednocześnie ulepszając świat. Pieprzę to. Koniec z debiutem giełdowym, koniec z nowymi laboratoriami i zatrudnianiem. Stać mnie na to, żeby rzucić to wszystko w cholere i leżeć do końca życia do góry brzuchem. Gdziekolwiek zechcę. Przynajmniej w jednym kawałku i ze zdrowym synem. Bo cała ta policja jest tak samo dzika, jak ten cholerny kraj! To jakieś nieporozumienie!

Liza Langer cierpliwie przysłuchiwała się tyradzie Gromczyńskiego. Znajdowali się na tarasie jego rezydencji i od czasu do czasu niepewnie

zerkali w stronę bramy, przy której pracowali saperzy.

W pakunku, który eksplodował, był niewielki ładunek wybuchowy, w okolicy jednak mogły zostać ukryte następne. Poza tym zachodziło ryzyko wtórnej eksplozji. Dmuchając na zimne, należało zebrać wszystkie resztki i wysadzić je na poligonie.

Adam Gromczyński w chwili wybuchu znajdował się prawie dwa metry od paczki. Gdyby ta wybuchła mu w rękach, z pewnością odniósłby silniejsze obrażenia niż kilka draśnień szkłem, które upchnięto do środka. Jego ojciec wpadł w furję. Liza nie widziała go jeszcze tak wściekłego. Do tej pory sprawiał wrażenie wielkiego, nieco ociężałego osiłka, który ma wręcz anielską cierpliwość. Nawet w trakcie kłótni na parkingu mówił znacznie spokojniej niż jego podwładny.

– Zapewniam, że robimy wszystko, co możemy...

– Niech pani nie żartuje. Co takiego robicie?! Zbadaliście tę paczkę i odkryliście trupa? Co to dla mnie zmienia?

– Przydzielimy panu i pańskiemu synowi ochronę.

Gromczyński wyrzucił ręce. Zaśmiał się nerwowo.

– Jeszcze czego! Jeżeli jakiś psychopata chce mi zaszkodzić, zrobi to tym bardziej, gdy zobaczy wokół tępaków, którzy myślą, że skoro nie są w mundurach, to nikt nie pozna, że są gliniarzami.

– Równie dobrze mogą być w mundurach. Chodzi o...

– Nie obchodzi mnie, o co chodzi. To po prostu...

Tym razem Langer nie dała sobie przerwać. Z irytacją walnęła dłonią w stojący obok nich stół.

– W takim razie czego pan oczekuje? – zapytała ostro. – Mam przenieść się w czasie i sama odebrać tę paczkę? Aresztować kogo popadnie, byle pan miał satysfakcję, że coś się dzieje? Policja nie jest od działania na pokaz. Ma być skuteczna, choć czasem na ten skutek trzeba poczekać dłużej niż pięć minut. Szefuje pan LuxFoodowi. Czy to nie wy od paru lat pocicie się nad upowszechnieniem kuchni molekularnej? Śledztwo jest tak samo trudne, jak zrobienie z molekularnej kupy gówna kupy gówna instant.

– Wstydziliby się pani... – Gromczyński założył dłonie za głowę, wreszcie głośno wypuścił powietrze. Pokręcił głową i spojrzał Langer prosto w oczy. Zaśmiał się nerwowo. – Przepraszam – odezwał się

spokojniej. – Wiem, że robi pani, co może. Ale nie mogę pozwolić, żeby pod domem wybuchały mi bomby. Odkąd do prasy przeciekła informacja, że idziemy na giełdę... Komuś zależy, żeby mnie wygryźć. Adam zachowywał się nieswojo od paru tygodni. Dopiero teraz przyznał, że wtedy dostał pierwszą pogrózkę...

– Pierwszą pogrózkę? Dlaczego nic mi o tym nie powiedział?

Gromczyński wzruszył ramionami.

– Jest twardy. Chodzi własnymi ścieżkami i nie chciał wprowadzać większego chaosu, niż jest. To dobry chłopak i tak go wychowałem.

Langer przewróciła oczami.

– I pan chce sprawnego dochodzenia? Kiedy o takich sprawach dowiaduję się dopiero, gdy cholerna bomba nafaszerowała dupsko pańskiego syna odłamkami? Gdzie on jest?

60.

Adam Gromczyński siedział na łóżku. Na twarzy miał kilka drobnych otarć. Całe szczęście, żaden z odłamków nie ugodził go w oczy. Rany zostały zdezynfekowane, ale nie pozwolił sobie założyć opatrunków. Niepotrzebne też były szwy. Gruby ręcznik kąpielowy szczęśliwie ochronił resztę ciała.

Pokój dwudziestolatka urządony był w surowym, niemal ascetycznym jak na ten wiek stylu. Oprócz łóżka znajdowały się w nim spore eklektyczne biurko oraz pełna książek niewielka biblioteczka. Książki, ustawione w równe stosy, stały również na podłodze za biurkiem oraz przy łóżku. Langer rzuciła okiem na tytuły. Młody Gromczyński najwyraźniej chłonał wszystko. Na wierzchu leżały najnowsza powieść Maxa Czornyja, kilka podręczników oraz praca naukowa o zastosowaniu chemii w gastronomii. Widocznie Adam starał się zaimponować ojcu. Albo odwdzińczyć za spełnianie wszystkich swoich zachcianek.

Wchodząc do pokoju Adama, Langer powstrzymała gniew. Uspokoila się i prawie przekonała samą siebie, że chłopak nie jest niczemu winny.

Tylko dlaczego ukrywał to, że już mu grożono?

Po zadaniu tego pytania młody Gromczyński jedynie spuścił wzrok i westchnął.

– Chłopie, jeżeli chcesz dobrze dla ojca, musisz współpracować. – Langer postanowiła uderzyć w najdelikatniejsze struny rodzinnych relacji. – On zastanawia się nad zwinięciem biznesu. Sądzę, że zrezygnuje z tego tylko wtedy, gdy zobaczy za kratami sukinsyna, który podłożył tę paczkę. Rozumiesz? Możesz wszystko zaprzepaścić.

Adam bezrozumnie pokręcił głową. Liza dostrzegła łzy w kącikach jego oczu. Zacisnął zęby i uderzył pięścią w materac.

– Chciałem dobrze!

– Wszyscy zawsze chcemy dobrze. Lenin chciał dobrze, Stalin też. Luter i Luther King, Mao, Dzong Uny i Dzong Ile. Mam wymieniać dalej?

– Nie rozmawia pani z pięciolatkiem.

– A idąc tu, zastanawiałam się nad tym, jak marnie rozwinięty rozum trzeba mieć, żeby w sytuacji, gdy ojciec dostaje paczkę z fragmentem czyjegoś ciała, nie powiedzieć o tym, że już wcześniej pojawiały się groźby...

– Groźba – poprawił ją Adam.

– Tylko jedna? A mimo to powiedziałaś o tym dopiero teraz, więc jej nie zlekceważyłaś? Nie chodziło o mail z linkiem do filmiku, w którym po minucie ciszy wyskakuje wykrzywiona gęba?

– Nie chciałem zaszkodzić interesom ojca. Wszyscy czekają na jego potknięcie i liczą, że cena akcji w dniu debiutu powędruje na dno. Nie chciałem źle...

– Już to słyszałam. – Langer przysunęła sobie stojący obok biurka fotel obrotowy i usiadła naprzeciw Adama. – Okej, olejmy to, czego już nie zmienimy. Powiedz mi, co to była za groźba.

– Niby tylko głupi mail...

– Jak widać, nie taki głupi.

Adam wyciągnął z kieszeni telefon i odblokował ekran. Kilka razy kliknął, po czym podał komórkę Langer, a ta przeczytała krótką wiadomość.

Zapewne jesteś jedyną osobą, która może wpłynąć na ojca. Wybij mu z głowy giełdę. W przeciwnym razie obaj skończycie w ziemi, a gdy ktoś przez przypadek wykopie was za siedemdziesiąt lat, odkryje, że wasz koniec był naprawdę bolesny. Wręcz – niewyobrażalnie bolesny.

– Najpierw to brzmiało jak denny żart. Że to coś więcej, uświadomiłem sobie dopiero, gdy usłyszałem o ciałach odnalezionych w lesie.

– Nadawcą jest qwertybot – mruknęła Langer. – Coś mi to mówi...

– Już to sprawdziłem. – Adam z rezygnacją machnął ręką. – To serwer, za pośrednictwem którego można wysyłać szyfrowane maile. Obsługująca go firma ma siedzibę gdzieś w Afryce i nie ujawnia żadnych danych. Czytałem, że FBI użera się z nią od paru lat...

– Mimo to będę potrzebowała danych twojej poczty. Nasi informatycy mogą być lepsi od FBI, a poza tym wybaczone, ale w necie piszą różne bzdury. Muszę to sprawdzić.

Adam skinął głową.

– Może pani wziąć telefon. Gdzieś mam drugi.

– Okej, to może sporo ułatwić. Postaram się, żebyś go jak najszybciej odzyskał.

– To nieważne... Niech pani powie, podejrzewacie kogoś? Dorwiecie go szybko?

– Nie mogę tego obiecać. Na razie.

– Boże, to moja wina...

Langer przysunęła się bliżej chłopaka. Widziała, że jego usta drżą, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Ej, młody, nie odwalaj mi tu dramy. Wszystko będzie dobrze. Ważne, że nic się ci nie stało. Buźka się wygoi, nie będzie śladu i dziewczyny znowu zaczną się za tobą uganiać.

Młody Gromczyński pokręcił głową. Wbił palce w róg materaca i powoli podniósł głowę.

– Ja naprawdę chciałem dobrze...

– Powtarzając to po raz enty, niczego nie zmienisz. Choć w sumie święty Piotr trzykrotnie zarzekał się, że nie zna Jezusa, a potem został pierwszym papieżem...

Adam uśmiechnął się niewyraźnie.

– Na początku gorąco namawiałem ojca do debiutu na giełdzie – wyznał skruszony. – To wyglądało na wielką szansę na pozyskanie inwestorów i środków. Dokładnie tego potrzebował.

– Słabo się znam na ekonomii, ale myślę, że nadal wygląda.

– Nie. Teraz jestem pewny, że rację miał Saser.

– Saser?

– Bernard Saser, współpracownik ojca.

– Tak, wiem, kto to jest. Od początku był przeciwny debiutowi?

– Mówił, że jeśli pójdą na giełdę, niepotrzebnie zwrócą na siebie uwagę. Jego zdaniem biznes potrzebuje spokoju. To jego motto, które powtarzał do porzygu. Spokój w biznesie to, spokój w biznesie tamto... Jakby był jakimś cholernym Steve'em Jobsem albo Billem Gatesem.

Langer w zamyśleniu przygryzła policzek. Z niesmakiem przełknęła krew.

– Zdaje się, że twój ojciec od początku współpracuje z tym Saserem. Ma do niego zaufanie.

– Bernard to świetny gość – przyznał Adam. – Tyle że wbrew temu, co sam o sobie myśli, to typ naukowca, a nie biznesmena. Dlatego ostatnio co parę dni ogłasza ojcu, że odchodzi z firmy. Ma swoje humory, lecz trzeba się obchodzić z nim delikatnie. Po krótkim czasie się uspokaja i wraca do pracy. A swoją robotę wykonuje świetnie. Wie pani, że to on opracował przezroczysty makaron?

– Nigdy nie pojmem, jak się go robi. Choć, prawdę mówiąc, przypomina mi wysmarkane, podmrożone glutu, które... – Przerwała. W jej kieszeni zawibrował telefon. Po chwili rozległ się wrzask kobiety. Pospiesznie odebrała i przyłożyła komórkę do ucha. Przeprosiła Adama, po czym podniosła się z fotela. – Tak?

– W końcu coś mamy – obwieścił Wojtiuk. Był wyraźnie podekscytowany. – Na dwóch nagraniach zarejestrowano opla vivaro, który jechał obok parku w tym samym czasie, gdy była tam Nowicka.

Langer natychmiast się ożywiła. Energicznie się odwróciła i podeszła do okna. Popatrzyła na pracujących przy bramie techników. Wóz saperów już odjechał.

– Mamy numery rejestracyjne?

– Tak. To jest najlepsza wiadomość.

- Więc do kogo należy to auto?
- Wojtiuk westchnął.
- Właśnie tu pojawia się drobny problem.

61.

– Proszę, wypuść mnie...

– Wszystkie jesteście takie same. Próżne i samolubne. Myślicie tylko o sobie. Nie chcecie zapytać, po co się tu znalazłyście. Nie chcecie znać swojego miejsca w świecie, tylko wydaje wam się, że sterujecie własnym życiem. A potem, gdy się okazuje, że wcale tak nie jest, nadal chcecie być trybikiem w maszynie ludzkiego marazmu. Nie zamierzacie wnieść nic ponad swoją próżność i egoizm. Dla świata nie ma znaczenia, czy się na nim pojawiacie, czy nie. Poza paroma równie egoistycznymi jak wy osobami nikt nie dostrzeże waszego braku. Bez waszego urodzenia się, życia i zgonu nic by się nie zmieniło. Ale ja sprawię, że będzie inaczej. Twoje życie nabierze sensu, choć, niestety, aby się tak stało, musisz umrzeć. To jest smutna ironia losu...

Trixie z trudem rozumiała wypowiedziane szybko słowa. Nie dlatego, że jej znajomość polskiego była słaba. Po prostu nie mogła się na nich skupić.

Jej całą uwagę przykuwały sznury, którymi została spętana. Grube, szorstkie sznury krępujące jej nogi i ręce. Skórzane pasy poprowadzone przez jej pierś, pas oraz kolana i niepozwalające jej nawet drgnąć.

– Zabijesz mnie?

– Pewnie tak. To, niestety, może być nieuniknione.

Prosta, lekko wypowiedziana odpowiedź wywołała u Trixie panikę. Kobieta zaczęła drżeć i usiłowała się wyswobodzić. Nie była jednak w stanie. Pasy i więzy były zbyt mocne.

Nagle osoba skryta w półmroku podeszła do niej. Trixie oślepiało intensywne światło, więc nie widziała twarzy oprawcy.

Bomby nie mają twarzy.

Ta myśl sprawiła, że nagle się uspokoiła. Przecież gdzieś tam, po drugiej stronie cierpienia, są jej najbliżsi. Ukochany brat i matka. Nie miała czego się bać. Nie miała nawet prawa się bać po tym, co się im stało.

– Dlaczego? – zapytała krótko.

– Grzesznice przekształcam na prawdziwe dzieło Boże. – Porywacz westchnął. – Choć w sumie wcale nie wierzę w Boga. To kwestia ambicji. Albo zwykłego dążenia do uczynienia świata lepszym.

– Kim jesteś? Nigdy cię nie widziałam, nic ci nie zrobiłam...

– Nie jestem tak małostkowy, żeby mścić się na tych, którzy coś mi zrobili. To żalotne. Ja nie dopuszczam do sytuacji, bym miał się za co mścić. Rozumiesz? Powiedz mi, czy jesteś w s...

– Pieprz się!

Porywacz był wyraźnie zaskoczony tym, że mu przerwano. Przez chwilę milczał i stał nieruchomo. Trixie domyśliła się, że się w nią wpatruje. Analizował jej ruchy, jej oddech, jej zachowanie. Być może spoglądał jej prosto w oczy. A ona widziała jedynie jego niewyraźny zarys. Czarną sylwetkę na czarnym tle. Obraz godny największych mistrzów abstrakcji.

– Nie boisz się? – zapytał łagodnie.

– Pieprz się!

Nie miała nic do stracenia. Ani teraz, ani przez całe życie. Choć kochała męża, nie potrafiła o nim teraz myśleć. Umysł zaprzętał jej jedynie obraz brata i matki. Nie bała się śmierci.

Porywacz się zaśmiał. Krótko i cicho.

Kpiąco.

Miał ją za nic.

– Bardzo dobrze – syknął. – Lubię wyzwania. I dlatego obiecuję ci, że będziesz cierpieła jak nikt nigdy wcześniej.

– Samochód należy do wypożyczalni. Staramy się ustalić, kto go wypożyczył, ale podejrzewam, że wzięto go na fałszywe papiery. Choć dziwne, że sprawca nie posłużył się autem dostępnym przez jedną z aplikacji...

– Kiedy będziemy coś wiedzieć? – Langer gestem przeprosiła Adama Gromczyńskiego i pokazała mu, że idzie na dół.

– Za kwadrans mają oddzwonić – odparł Wojtiuk. – Zdaje się, że w papierach mają niezły burdel.

– Norma...

– Nasi technicy walczą z obrazem z kamery, ale to też potrwa.

Liza zeszła ze schodów i skierowała się do wyjścia na ogród. Piotr Gromczyński stał w tym samym miejscu, w którym rozmawiali pół godziny wcześniej. Wciąż tępym wzrokiem patrzył na bramę. Chyba nawet nie zauważył, że komisarz idzie do auta.

– Właśnie! – Langer przytrzymała telefon między ramieniem i uchem, po czym podała biznesmenowi dłoń. – Jesteśmy w kontakcie – szepnęła do niego, a następnie zapytała ponownie podniesionym głosem: – Co z nagraniami? Widać prowadzącego opla?

– Nie bardzo – odparł ponuro Wojtiuk. – Wyostrzanie jednego wideo to podobno walka z wiatrakami. Nic się nie da zrobić. Nieco lepiej wygląda sytuacja z drugim. Choć i tam nie jest kolorowo. Kierowcy mieli tandetne kamerki, które w nocy przydają się co najwyżej do stwierdzenia, czy to oni w kogoś wjechali, czy też wjechano w nich. No, może zobaczyłabyś jeszcze zmieniające się na sygnalizatorze światła...

Teren przed bramą wciąż zagrodzony był taśmą policyjną, więc Langer skierowała się do bocznej furtki. Zaraz za nią zostawiła peugeota. Podchodząc, nacisnęła pilot i drzwi zaczęły się przesuwac. Przez głowę przebiegła jej błyskawiczna myśl, że ten samochód doskonale wpasowuje się w zautomatyzowany klimat domu Gromczyńskiego.

– Czyli na razie kompletnie nic nie widać? – dopytała, wsiadając.

– Tylko tyle, że za kółkiem najprawdopodobniej siedzi kobieta.

– Co takiego?! Kobieta?

– Najprawdopodobniej... Nie mówiłem tego od razu, bo to na razie domysły.

– Nawet przy słabej jakości nie wiem, jak można pomylić babę z chłopem.

– W dzisiejszych czasach...

Langer się rozłączyła. Po prostu uwielbiała to gadanie o różnicy dzisiejszych czasów i historii starożytnej. Pojawiało się zawsze, gdy potrzebna była wygodna wymówka.

Gdy kilkanaście minut później szła korytarzem komendy, spotkała Remberta. W zamyśleniu snuł się przed gabinetem informatyków. Co chwilę pociągał łyk z pękatej matero.

– Czekałem na ciebie! – krzyknął, gdy w końcu zobaczył Langer. – Podobno już wiesz o rejestracji i filmiku?

– Podobno tak.

– Kobieta kompletnie nie pasuje mi do profilu psychologicznego. Zupełnie nie trzyma mi się to kupy. – Rembert zaczął z ożywieniem gestykulować, niemal rozlewając yerbę. – Przepraszam. W każdym razie ta druga postać nieco wyjaśnia i...

– Druga postać?

Orest zerknął na Lizę.

– Druga postać. Na razie udało się wyostrzyć film na tyle, by dostrzec, że w aucie siedziały dwie osoby.

– Tego nie wiedziałam. Czy to możliwe, żeby drugą była Nowicka?

– Nie. – Rembert pokręcił głową. – Mamy faceta i kobietę. Z tym że on jest widoczny w tak słabym świetle, że na pewno nie da się go wyostrzyć. Ale przynajmniej mamy usprawiedliwienie dla męskich śladów na plaży. Choć nie kupuję zbiorowego *modus operandi*. Statystycznie kobiety popełniają niemal wyłącznie zabójstwa domowe. A to ich mąż nadzieje się na nóż, a to dodadzą kochankowi do coli środek do czyszczenia rur... Seryjne morderczynie to mniej niż ułamek procenta...

– Oreście, Oreście... – Langer złapała go za rękę, powstrzymując nadchodzący słowotok. – Cała ta sprawa mieści się w ułamku procenta. Naucz się to przyjmować do wiadomości.

– Mordercza para... – mruknął Rembert. – Bonnie i Clyde, Fugate i Starkweather, Fernandez i Beck... To zawsze przykuwało uwagę opinii publicznej. Ale w Polsce?

– Musi być ten pierwszy raz, co?

– Akurat teraz? Akurat my?

– Czemu nie? Znasz mój fart.

Liza rozejrzała się w poszukiwaniu automatu z kawą. Na tym korytarzu go nie było, więc postanowiła kupić ją piętro niżej.

– Zaczekaj tu, a ja...

Przerwała, gdy otworzyły się drzwi pokoju informatyków. Ze środka wyrzwał chudy brunet ze zmierzwioną brodą i włosami.

– Zrobiłem, co mogłem – obwieścił. – Nic więcej nie wykrzeszę.

Langer bez słowa weszła do niewielkiego pomieszczenia. Stało w nim kilka komputerów oraz mnóstwo innych sprzętów. Wszędzie mrugały rozmaite diody, a w powietrzu unosił się zapach rozgrzanego plastiku.

– Gdzie mam...

Nie musiała kończyć. Jej wzrok padł na jeden z monitorów. Zacisnęła pięści i natychmiast odwróciła się do Remberta.

– Chyba ją znamy... – wyszeptała zaskoczona.

63.

– Myślisz, że jesteś odważna?

Porywacz pogładził skórę Trixie końcem drewnianej laski. Nagle z impetem uderzył nią o stół tak, że złamała się na dwie części.

– Nie będziesz błagała o litość?

– Mówiłam już. Pieprz się.

– Pieprzenie się to twoja działka, moja droga. Ty jesteś w tym lepsza. Dla mnie seks to zwykła strata czasu.

Cień przesunął się wzdłuż stołu i zatrzymał u nóg Trixie. Szybkim ruchem rozpiął klamrę paska krępującego jej kolana. Przesunął go nieco wyżej i wbił coś ostrego pod jej prawe udo. Trixie mimowolnie drgnęła. Odrzuciła nogę na bok. Wtedy porywacz uchwycił ją i przywiązał do umieszczonego z boku łóżka uchwytu.

– Co... – Pytanie uwięzło jej w gardle. Ostry szpikulec ugodził ją pod drugie udo. – Ty skurwy...

Usiłowała wierzgać, lecz jej oprawca był zbyt silny. Sprawnie owinał jej nogę drugim sznurem. Ściągnął go tak, że Trixie miała szeroko rozwarte nogi. Była całkowicie naga.

– Chcesz mnie zgwałcić? Naprawdę? Chcesz zgwałcić dziewczkę? Ty żałosny gnoju!

– O nie. Nie chcę cię zgwałcić – odparł spokojnie. – Brzydzę się tobą.

– Jesteś zerem. Chcesz się wyżyć na bezbronnej kobiecie? To cię podnieca?

– Nie chodzi o podniety. Już ci mówiłem.

– Więc o co?! Pieprzony gnoju!

– Aż tak ci spieszo?

– Poznałam takich, którzy potrafili się past...

Jej ciało przeszył piekielny ból, gdy oprawca wsadził jej coś do pochwy. Czowała, że przedmiot rozrywa ją od środka. Musiało to być coś przypominającego wielki wibrator lub...

– To gruba szklana rura – ubiegł jej myśli oprawca. – A to – uniósł coś, lecz przez światło reflektorów widziała tylko zarys sześcianu. – Szczury laboratoryjne.

– Mój Boże... Jesteś popieprzony!

– Wybacz, ale w tych warunkach mogłem wymyślić tylko coś takiego. Też wolałbym spektakularność i żelazne dziewice lub łamanie kołem. To całkiem ciekawe sprawdzić te maszyny w rzeczywistości...

– Po co to robisz?! – Trixie rozpaczliwie się szarpnęła. Nie bała się. Przynajmniej wmawiała sobie, że czuje tylko wściekłość. – Wiesz przynajmniej, czego chcesz? Nie sądzę, ty popieprzony świrze. Ty... ty...

Sadysta jeszcze mocniej wepchnął w nią rurę. Pochylił się nad stołem przy jej kroczu, a tuż obok postawił pudełko. Po chwili sięgnął do niego i Trixie usłyszała ciche popiskiwanie. Przez moment w świetle lampy dostrzegła obrzydliwy, długi i łysy ogon. Ogon, który zwisał pomiędzy palców oprawcy jak dżdżownica.

– Po prostu musisz się bać – wyszeptał sadysta. – Musisz cierpieć i się bać. Nie ma innej możliwości.

Ostre pazurki zapiszczały o szklaną rurkę. Trixie jęknęła z bólu, gdy ta się przekrzywiła i mocniej wbiła w jej ciało.

– Jesteś zerem!

– Ja? To twój koniec przyjdzie niedługo, ale wcześniej... – Oprawca zawiesił głos. Przez moment w skupieniu szeleścił jakimś papierem, aż wreszcie Trixie usłyszała odgłos odpalanej zapalniczki.

Boże – chciała się modlić, lecz nie potrafiła skupić myśli. Nie potrafiła zebrać słów.

Buchnął płomień, a po pomieszczeniu rozniósł się zapach palonych chemikaliów. Oprawca skierował w stronę jej krocza małą pochodnię. Płonęła niewielkim ogniem, lecz intensywnie dymiała.

Trixie zakaszłała.

W tym samym momencie poczuła potworny ból. Wpuszczony do szklanej rury szczur przestraszył się ognia i na oślep rzucił w głąb jej ciała. Gryząc i drapiąc, torował sobie drogę. Jego długie, ostre pazury wbijały się w Trixie i rozszarpały ją od środka. Dym pobudzał go do wręcz opętańczego wysiłku.

Kobieta odgięła dłonie do tyłu. Tylko na to pozwalały jej więzy. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć, ale oprawca nie zamierzał przestać. Oparł pochodnię o jakiś stojak, po czym obszedł stół. Z całej siły chwycił jej prawą pierś i przypominającym szczypce narzędziem chwycił sutek. Najpierw brutalnie go rozgniół, a potem wyszarpnął.

– Nie boisz się?! – wrzasnęła, nachylając się tuż nad nią. – Chciałaś być taka odważna?!

Trixie przeraźliwie wrzasnęła. Kilka kropli jakiejś substancji skapnęło na jej brzuch. Momentalnie zaczął ją parzyć, a w powietrzu oprócz dymu rozniósł się swąd palonej skóry. Rozległ się cichy odgłos, przypominający skwierczenie.

– To kwas solny – wyjaśnił sadysta. – Przepali ci skórę i zetnie białko. Ale cię nie zabije. Jeszcze nie.

Trixie czuła rozrywający ból w podbrzuszu. Zraniona pierś i brzuch piekły ją, lecz jej zmysły skupiały się na kolejnych ruchach łapek szczura. Na kolejnych milimetrach jej ciała rozorywanych przez jego pazury.

Nagle sadysta sięgnął po pochodnię. Owinął ją czymś tak, że momentalnie zgasła, a w powietrzu uniósł się dławiący dym. Szczur drapał jeszcze przez chwilę, ale powoli się uspokajał.

– Na razie starczy. Nie chcę, żebyś umarła zbyt szybko.

64.

– Kto to? – Rembert utkwiał w Langer zaskoczone spojrzenie. – Chyba jej nie kojarzę.

Liza nerwowo przygładziła włosy.

– Masz prawo. To dziennikarka, która pojawiała się na każdej konferencji. Gdy ogłaszałam zaginięcie Nowickiej, męczyła mnie, żebym zgodziła się na zadawanie pytań. Chciała jak najwięcej ze mnie wyciągnąć...

– Mamy jej dane?

– Nie wiem...

– Liza, co ty...

Orest ze zdziwieniem obserwował, jak Langer znieruchomiała i przymknęła oczy. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby medytowała. Nagle ponownie na niego spojrzała.

– Kamila Walewska. – Pstryknęła palcami. – Miała te dane na identyfikatorze prasowym.

– Kamila Walewska?

Informatyk pospiesznie wpisał imię i nazwisko do wyszukiwarki. Wyświetliło się wiele wyników, lecz już po chwili trafił na właściwy.

– Proszę zobaczyć.

Na stronie jednej ze stacji radiowych rzeczywiście figurowała dziennikarka o tym imieniu oraz nazwisku. Zgodnie z informacją była stażystką. Nigdzie jednak nie załączono jej zdjęcia. Informatyk otworzył kolejne zakładki. Po kilkudziesięciu sekundach popisu wirtualności w wystukiwaniu coraz to nowych haseł chudzielec radośnie zatarł ręce.

– Jest! To ona. Przynajmniej to nasza prawdziwa dziennikarka. A ta druga mogła jej podebrać dane. O ile wiem, nikt nie weryfikuje przepustek prasowych, choć to by się przydało...

Liza i Rembert nachylili się za plecami informatyka. Zerknęli na ekran. Wyświetlała się na nim strona jednego z portali dla osób

podających swoje referencje i kojarzących ich z ewentualnymi pracodawcami.

*Kamila Walewska, ur. 1995, studentka V roku dziennikarstwa.
Zrealizowane projekty:*

– Rozwinąć listę? – Informatyk najechał kursorem na strzałkę.

– Nie trzeba. – Langer wyprostowała się i sięgnęła po telefon. – To chyba ona... Może nieco inaczej uczesana, ale... Nie zwróciłam na nią uwagi. Imię i nazwisko zapamiętałam przez czysty przypadek. Możesz odtworzyć nagranie z mojej konferencji?

– Pewnie.

Palce informatyka ponownie wystukały na klawiaturze skoczną melodię. Kilka minut później na ekranie wyświetlił się film z głównej kamery, z której nagranie przekazywano stacjom telewizyjnym.

– Przewiń... – nakazała Liza. – Jeszcze, jeszcze... O! Czeka.

– Przewinę to poklatkowo, aby znaleźć najlepszą jakość. To potrwa szybciej niż wyostrzanie.

– Nie wiem, co do mnie mówisz, ale zgadzam się. Rób swoje.

Po kolejnej minucie na ekranie pojawiła się twarz dziennikarki obróconej w stronę kamery, tuż przed tym, jak Langer opuściła salę. Odmowa odpowiedzi na pytania wyraźnie zbiła ją z tropu. Miała zaciśnięte usta i ściągnięte brwi. Obraz był ostry i nie mógł budzić żadnych wątpliwości.

– To ona. Bez dwóch zdań. – Langer nerwowo odblokowała ekran komórki. – Muszę wiedzieć o niej wszystko. Natychmiast.

65.

Chudzielec dokonywał cudów. W ciągu kilku minut przetrząsnął internet w poszukiwaniu informacji o Kamili Walewskiej. Poza kilkoma dziennikarskimi projektami odkrył jej konto na YouTube i importował ulubioną playlistę. Choć Langer chciała natychmiast przejść do kolejnych danych, Rembert uparł się, by ją pospiesznie przejrzeli.

Zawierała nieco ponad trzysta pozycji. Popularna muzyka współczesna mieszała się z dziełami klasyków. Do tego pojawiały się pojedyncze kawałki XX-wiecznych legend rocka oraz punku. Walewska subskrybowała również kanał o dziennikarstwie śledczym oraz aferach wykrytych przez pracowników mediów. Do ulubionych należały kilkuodcinkowe seriale paradokumentalne o Watergate oraz Donaldzie Trumpie.

Nagle Rembert uniósł dłoń i niemal przytknął palec do ekranu.

– Patrzcie... Ciekawe, co?

Langer przez chwilę nie rozumiała, o co mu chodzi. Wskazywał na klip jakiejś kapeli o niemieckiej nazwie. Dopiero po chwili zwróciła uwagę na tytuł piosenki: *Gott mit uns*.

– Uruchom to – nakazała informatykowi.

Na ekranie wyświetliło się nagranie zarejestrowane w trakcie koncertu. Kilkudziesięciu ogolonych na łyso mężczyzn stało pod sceną i co chwilę wyrzucało ręce w hitlerowskim salucie.

– Neofaszyści? – Rembert włożył dłonie pod pachy. – To by ciekawie łączyło niektóre wątki...

Langer przytaknęła w zadumie.

Uważnie przejrzelili całą playlistę Walewskiej. Trafili jeszcze na cztery podobne filmiki z dwoma różnymi zespołami. Jakimś cudem uniknęły cenzury YouTube'a. Poza tym w internecie nie znaleźli już nic ciekawego. Gdy informatyk ostatecznie ogłaszał kapitulację, Langer odebrała telefon. Przez chwilę rozmawiała z kimś podekscytowanym tonem, wreszcie się rozłączyła i zerknęła na Remberta.

– Wypożyczalnia wszystko potwierdziła. To Kamila Walewska wynajęła na kilka godzin opla vivaro. Mam już jej adres, a lada chwila prokurator klepnie nakaz rewizji.

Orest podniósł się z krzesła i rozprostował kark.

– Dokąd jedziemy?

Langer wyciągnęła z kieszeni kluczyki i pokręciła głową.

– Ty zostajesz. Nie będziemy tam potrzebni we dwójkę. W tym czasie nadzoruj wszystko na komendzie i staraj się sklecić rozsądny profil tej pary.

– Przecież o facecie nic nie wiem – zaprotestował Rembert. – Mam coś wyczarować?

– Analizuj dziennikareczkę. Chcę być przygotowana, gdybyśmy musieli ją przycisnąć albo wyciągać z jakiejś dziury w ziemi jak Husajna. Chcę mieć na nią haki. I dowiedzieć się w końcu, o co w tym chodzi.

– Ale...

– To jest sedno twojej roboty, Oreście. To, że zaczęłam zabierać cię w teren, nie zrobiło z ciebie śledczego. Jesteś psychologiem. A kiedyś przebąkiwałeś nawet, że profilerem.

Nie czekając na jego reakcję, wyszła z pokoju. Szybko przemierzyła korytarze komendy. Skontaktowała się z Wojtiukiem i poleciła mu zorganizować grupę uderzeniową. Walewska z kochasiem mogli być w mieszkaniu. Mogli też być wyjątkowo zdeterminowani i niebezpieczni. Szczególnie jeśli w którymś z pokoi właśnie rozkawałkowywali jakąś panią Kwiatkowską.

Tatianę Kwiatkowską vel Trixie.

66.

Kamila Walewska była zameldowana w niewielkim mieszkaniu na Morenie. Grupa rozpoznawcza potwierdziła, że to jej ostatnie miejsce pobytu i że w okolicy była widziana jeszcze zeszłego wieczoru. Tego dnia miała natomiast wolne w pracy i nie wiadomo było, czy przebywa w domu. Langer zadecydowała o obserwowaniu okolicy oraz niezwłocznym wejściu do środka. Skoro miała podkładkę od prokuratora, nie było powodu zwlekać.

Tuż po czternastej ośmioosobowa grupa policjantów wjechała na ciche, zamknięte osiedle. Mieszkanie Walewskiej mieściło się w jednopiętrowym domu wielorodzinnym. Na parterze znajdowały się podwójne garaże, część mieszkalna – z osobnym wejściem – była zaś na piętrze.

Na niewielkim parkingu przed budynkiem nie parkowało ani jedno auto. W cieniu tui stał za to ciężki, turystyczny motocykl z kuframi. O tej porze okolica wydawała się wymarła, w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Tylko ci, którzy musieli, byli w pracy. Wszyscy pozostali ratowali się orzeźwieniem nad Bałtykiem lub na wakacjach daleko stąd.

Drzwi do klatki zostały rozkodowane i grupa szturmowa w wyćwiczonym szyku wtargnęła na korytarz. Po chwili znaleźli się przed drzwiami. Langer została na dole, czekając na rozwój wydarzeń. W ostatniej chwili uzyskała zgodę Siweckiego na działanie na własną rękę. Inspektor swoim zwyczajem usuwał się w cień, by winą za ewentualną wpadkę w całości obarczyć Lizę. Trzeba było mu przyznać, że nie garnął się również do przywłaszczania sobie sukcesów. Był w tej komfortowej, przedemerytalnej sytuacji, że było mu to po prostu obojętne. Chciał dożyć do początku przyszłego roku. Nic więcej.

Na wezwanie do otwarcia mieszkania nikt nie odpowiedział. Zresztą Langer nawet na to nie liczyła. To byłby zbyt duży fart. Miała nadzieję, że to, co znajdą w środku, pozwoli im na dalsze działania. W innej sytuacji nakazałaby czekać w ukryciu, aż pojawi się właściciel. Tym razem jednak właściciel mógł być gdzieś indziej i mordować kolejną kobietę.

– Wchodzimy! – nakazała, podnosząc kciuk.

Ustawiony na półpiętrze policjant w pełnym rynsztunku bojowym również uniósł kciuk i pokazał go w stronę grupy znajdującej się na piętrze.

Ułamek sekundy później potężny taran wybił drzwi z zawiasów. Te z łoskotem i w kłębie pyłu runęły na podłogę w środku mieszkania.

– Policja! Na ziemię!

Chwilę potem w mieszkaniu wybuchły dwa granaty hukowo-błyskowe. Funkcjonariusze jeden za drugim wpadli do środka. Błyskawicznie sprawdzili kolejne pokoje.

– Czysto!

– Czysto!

Sierżant stojący na półpiętrze wymownie spojrzał na Langer. Ta, nie zdradzając żadnych emocji, powoli wspięła się po schodach. Zatrzymała

się na moment w progu mieszkania. Dowódca grupy gestem zaprosił ją do środka.

– Nikogo nie ma, pani komisarz.

– Nie jestem głucha... – Liza ponownie cofnęła się na korytarz. – Niech wszyscy wychodzą i pakują się do

wozu. Lepiej nie rzucajcie się w oczy. Kiedy wyjdę, zabezpieczycie mieszkanie, ale teraz nie rozpieprzajcie wszystkich śladów.

Gdy funkcjonariusze posłusznie wyszli na klatkę schodową, wkroczyła do mieszkania. Nie wzięła ze sobą rękawiczek, ale i tak rozpoczęła metodyczny obchód. Na przeszukanie każdej szuflady nie miała czasu.

Mieszkanie było urządzone skromnie, ale schludnie. Przypominało klasyczne mieszkania studenckie, choć było o tyle bardziej zadbane, że Walewska była jego właścicielką, a nie jedynie najemczynią. Zapewne albo je odziedziczyła, albo dostała w prezencie od rodziców, dumnych z tego, że córka poszła na studia. Była też jeszcze co najmniej jedna możliwość...

Liza wierzchem dłoni otworzyła drzwi po prawej stronie niewielkiego przedpokoju. Zajrzała do tonącej w półmroku, mikroskopijnej łazienki. Znajdowały się w niej sedes, kabina prysznicowa oraz niewielka szafka, której blat przykrywał również pralkę. Langer spojrzała wyżej i nagle drgnęła.

Kątem oka dostrzegła ruch.

Jakby ktoś w ostatniej chwili starał się przed nią schować.

Albo wymierzyć w nią z pistoletu...

Uskoczyła, czując gwałtowny przyływ adrenaliny. Serce załomotało jej w piersi. Żałowała, że nie ma ze sobą broni. Przesunęła się za załom ściany i gwałtownie wyprostowała.

Nic się nie stało.

Wściekła na siebie, zdała sobie sprawę, że w samym rogu łazienki wisi lustro, w którym odbijał się przedpokój. W pierwszej chwili go nie zobaczyła, bo większą część tafli zasłaniał ręcznik wiszący na pałąku obok.

– Ja pieprzę...

Zawróciła i na sztywnych nogach zajrzała do kuchni. Składały się na nią meble w standardzie „kup tanio i złóż je sam”. Pomiedzy szafką oraz

ścianą była kilkunastocentymetrowa przerwa, a okap równie mocno nie zgrywał się z płytą elektryczną. Na okrągłym, lakierowanym stoliku stały karafka z wodą oraz popielniczka. Pod nim Liza dostrzegła strzępy granatu hukowego.

Zerknęła na zawieszony na ścianie kalendarz. Miał spory format i obejmował wszystkie miesiące roku. Czerwony znacznik pozostał na siódmym lipca. Kilka notatek przypominało o urodzinach albo egzaminach. Jeden z czerwcowych weekendów został zakreślony zielonym markerem. Nieco wyżej wielkimi literami napisano: „WESELE MNP!”.

Komisarz jeszcze raz powiodła wzrokiem po blatach kuchennych, wreszcie wycofała się do przedpokoju. Kolejne drzwi prowadziły do kwadratowego pomieszczenia, które zaaranżowano na garderobę. Piętrzyły się w nim ubrania i trochę książek, a bezpośrednio na podłodze stało kilka kartonowych pudeł. Langer rozchyliła jedno z nich. W środku znajdowały się kolejne książki oraz gazety. Najwidoczniej Walewska jeszcze nie przeprowadziła się tu na dobre lub uznała, że wypakowywanie podręcznej biblioteki można zostawić na inne, większe mieszkanie.

Langer czujnie, jakby wciąż się obawiając, że ktoś niespodziewanie ją zaatakuje, przeszła na koniec wąskiego korytarzyka. Zobaczyła przestronny, prostokątny salon, którego od przedpokoju nie odgradzały drzwi. Również tutaj znajdowało się niewiele mebli. W pomieszczeniu dominował toporny dębowy stół, pośrodku którego ustawiono flakon z podwiedłym już bukietem róż. Naprzeciw wejścia znajdowała się ściana z oknami oraz wyjściem na balkon. Przysłaniała je poźółkła, zbyt krótka firanka. Po prawej ustawiono białą szafkę z metalowym uchwytem. Na jej blacie stało kilka bibelotów. Naprzeciw, po drugiej stronie stołu, znajdował się biały kredens, za którego przeszklonymi drzwiczkami Langer nie dostrzegła żadnych przedmiotów.

Powoli podeszła do szafki po prawej. Coś przyciągnęło jej uwagę, choć nie była do końca pewna co. Przez chwilę przypatrywała się gumkom do włosów leżącym w okrągłym opakowaniu, następnie zeszytowi w czerwonej okładce. W końcu przeniosła wzrok na czarno-białą fotografię, zapewne przedstawiającą rodziców Walewskiej. Dwójka

młodych ludzi w ubraniach i fryzurach wprost z lat siedemdziesiątych przytulała się do siebie.

W rogu ramki włożone było niewielkie zdjęcie legitymacyjne. Było kolorowe i przedstawiało kogoś zupełnie innego. Langer zdębiała.

– Oż kurwa! – zaklęła, pędząc do wyjścia.

67.

Odkąd Langer opuściła komendę, Orest był pogrążony w myślach. Nie wiedział, czy dopiekła mu umyślnie, czy jej słowa to był tylko żartobliwy, nic nieznaczący przytyk. Mimo wszystko czuł, że w tej sprawie zrobił niewiele.

Powlókł się do gabinetu i usiadł za biurkiem. Uruchomił kołyskę Newtona. Przez kilka minut wpatrywał się w nią, porządkując myśli. Metaliczne stukanie pozwalało mu naprowadzić je na właściwe tory. Zmuszało go do koncentracji.

Wyciągnął z szuflady szesnastokartkowy zeszyt w jedną linię i podzielił stronę na pół. Następnie zaczął spisywać swoje spostrzeżenia. Najpierw skupił się na sprawie wykopanych zwłok. Nie miał wątpliwości, że nie może chodzić o seryjnego zabójcę sprzed paru dekad. Przynajmniej nie o osobę kierującą się żądzą zaspokojenia lub rozładowania emocji. Nie miał pojęcia, dlaczego podobne *modus operandi* znalazł w znacznie świeższych sprawach, lecz podświadomie łączył je z jedną osobą lub grupą osób.

Hitlerowcy? Byli hitlerowcy? To byłoby najprostsze wytłumaczenie. A jednocześnie Rembert optował za najprostszymi wytłumaczeniami. Neofaszyści...

Dlaczego jednak ktoś poszukiwał tych szczątków? Orest był pewny, że chaotyczne wykopy miały na celu ich odnalezienie. W tym przypadku sprawdzała się reguła wykluczająca zbiegi okoliczności. Brak wiary w takie zbiegi był jednym z mott Lizy Langer, lecz i on wziął je sobie do serca.

Modus operandi sprawcy wysyłającego kawałek nogi do Gromczyńskiego wydawało się oczywiste. To działanie, razem z tym, co się wydarzyło z samochodem biznesmena, należało zakwalifikować jako próbę zastraszenia. Bomba przed bramą mogła być ostatnim ostrzeżeniem. Na sprawę trzeba było jednak spojrzeć również z innej perspektywy.

Zastraszając Gromczyńskiego, słusznie skierowano się przeciw jego synowi. To bez wątpienia był jego najwrażliwszy punkt. Jaki jednak związek miała z nim Magda Nowicka? Zagubiona dziewczyna z problemami psychicznymi wydawała się funkcjonować poza światem poważnego biznesu.

Orest nakreślił na kartce znak zapytania. Wpatrywał się w niego przez chwilę, wreszcie, nie odrywając wzroku od notatek, sięgnął po stojące na biurku matero. Wziął łyk wystygniętej yerby i skrzywił się z niesmakiem.

Nowicka była istotną luką w odtwarzaniu *modus operandi* sprawcy. Dlaczego usunięto jej kręg? Czy to działanie miało stanowić jedynie symboliczne nawiązanie do zbrodni sprzed lat? Czy pojawił się jakiś mściciel? Wreszcie: komu i czym mógł zależeć za skórę Gromczyński? Wydawało się, że mimo swojej pozycji jest całkowicie uczciwym i porządnym człowiekiem. Ideowcem, który kieruje się w biznesie rzadko spotykanym etosem. Może właśnie to było komuś nie w smak?

Rembert zastukał skuwką w ząb. Łypnął na kołyskę Newtona i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Brwi się zbiegły, a czoło zmarszczyło.

Orest pospiesznie nakreślił na kartce pytanie. Musiał coś sprawdzić. Włączył laptopa i czekając, aż się uruchomi, rozparł się w fotelu. W tym momencie zadzwonił telefon.

Liza.

Rembert natychmiast odebrał.

– Co u ciebie? Ja właśnie...

Langer była zdyszana. Musiała biec lub dowiedzieć się czegoś, co pobudziło ją mocniej niż podwójne ristretto zmieszane z redbullem. Weszła mu w słowo.

– Ten facet z baru, Mariusz Darczewski, to chłopak dziennikareczki! – wykrzyczała podekscytowana. – Nie zdziwiłabym się, gdyby ten tępak bawił się w bojówki neofaszystowskie. Ale to nie wszystko. – Głośno sapnęła. – Właśnie dostałam informację, że jeden z wozów patrolowych widział Walewską w pobliżu Centrum Solidarności. Zaczęła uciekać bocznicami w stronę torów, ale raczej daleko nie zajdzie.

Rembert momentalnie zagryzł wargę. Nagle poderwał się od biurka i rzucił do drzwi.

– Podejrzewam, że wiem, dokąd biegnie. Już jadę! Daj Boże, żebym zdążył...

Tym razem to on pierwszy się rozłączył.

68.

Reakcja Remberta nieco zaskoczyła Langer, ale nie mogła się nią teraz zajmować. Ujęcie Walewskiej powinno być tylko kwestią czasu. W obręb stoczni ściągnięto już patrole z psami, a te zwietrzyły trop. Okolice została wyłączona z ruchu. Urządzono objazdy. To wszystko Langer zorganizowała, jadąc za pojazdem grupy uderzeniowej, który kierował się do baru U Kapitana. Liza modliła się, by Darczewski nie został jeszcze ostrzeżony.

Od celu dzieliło ich już tylko kilka minut.

Czuła zwykle w takich chwilach podniecenie. Wreszcie kolejne elementy wskakiwały na swoje miejsce. Choć wciąż nie znajdowała odpowiedzi na wiele pytań, układanka stawała się kompletna. Czas na wyciąganie wniosków i roztrząsanie niewiadomych miał dopiero nadejść.

Teraz liczyły się konkretne działania.

Uznała, że nie będzie pytać Siwieckiego o zgodę. Brała na siebie pełną odpowiedzialność. Chciała też uniknąć rozbicia się o biurokratyczną maszynę w postaci uzyskania podkładki od prokuratora. Istniała możliwość zaklepania przez niego akcji po fakcie i tego zamierzała się

trzymać. Stan wyższej konieczności. Pilna potrzeba. Brak czasu na konsultacje.

Druga grupa miała lada moment wejść do domu Darczewskiego: niewielkiej rudery na Brzeźnie, którą, zgodnie z błyskawicznie zebranymi informacjami, mężczyzna odziedziczył po dziadkach.

Gdy grupa szturmowa wypadła z wozu, Langer dopiero dojeżdżała na miejsce. Peugeot dał z siebie wszystko, lecz mimo to jego silnik nie należał do odrzutowych.

Tym razem nie czekano na jej zgodę. Już pod blokiem, w którym mieszkała Walewska, Langer nakazała natychmiastowe uderzenie, bez baczenia na znajdujących się w środku gości. Należało zabezpieczyć teren, by Darczewski nie wymknął się jakimś tylnym wyjściem, i wpaść do środka, licząc na pełne zaskoczenie.

Tak się właśnie stało.

Trzech funkcjonariuszy popędziło na tyły knajpy. Czterech kolejnych skierowało się do głównego wejścia. Zwrócili na siebie uwagę wszystkich przechodniów. Zdawało się, że czas stanął w miejscu.

– Policja! – krzyknęła Langer. – Proszę się trzymać w bezpiecznej odległości!

Dwóch chłopców, którzy przed chwilą podawali sobie piłkę plażową, zastygło w pełnym podekscytowania bezruchu. Z otwartymi ustami obserwowali zbliżających się do baru uzbrojonych funkcjonariuszy. Gruby mężczyzna, który właśnie wychodził z Kapitana, cofnął się do środka. Wtedy grupa szturmowa przyspieszyła.

Dwóch policjantów wpadło do baru, kolejny ubezpieczał ich przy drzwiach, a jeszcze jeden zatrzymał się, mierząc w stronę okien. Langer stanęła w odległości kilkunastu metrów od wejścia. Z zapartym tchem wsłuchiwała się w okrzyki dobiegające ze środka.

– Policja, na ziemię! Wszyscy! Ręce na wierzch!

Następnie podniósł się krótki, pijacki krzyk, po którym nastąpiła cisza. Liza zacisnęła pięści i zaczęła liczyć oddechy. Doszła do jedenastu, gdy usłyszała ostry krzyk dowódcy.

– Mamy go.

Odetchnęła z ulgą. Szybkim krokiem ruszyła do knajpy i przekroczyła próg. Darczewski leżał na ziemi, przyduszony przez jednego

z funkcjonariuszy. Trzem gościom pozwolono już wstać.

– Zamknięte! – krzyknęła do nich Langer. – Dziś piliście na koszt lokalu. Spadajcie! – Podeszła do Darczewskiego i nakazała go podnieść. Kątem oka zerknęła na zawieszony za kontuarem włączony telewizor. Ostatnim razem nie zwróciła na niego uwagi. – Usadźcie go przy stoliku – poleciła. – Musimy szybko porozmawiać. Jak matka z synem.

Właściciel baru wydawał się całkowicie zaskoczony. Utkwił w komisarz pełne wyrzutu, zagubione spojrzenie. Już nie starał się prężyć mięśni. Pokrywające jego ciało tatuaże nagle wydały się żalostną mazaniną na rękach uczniaka.

Langer wyciągnęła z kieszeni złożone na pół zdjęcie, przedstawiające kadr z nagrania. Był na nim widoczny opel vivaro oraz siedzące w nim dwie osoby. Darczewskiego raczej nie dało się rozpoznać, lecz Walewska była dość dobrze widoczna. Liza plasnęła zdjęciem o stolik.

– Kojarzysz? – zapytała ostro.

Mimo panującego we wnętrzu baru półmroku dostrzegła, że mężczyzna spurpurowiał. Co chwilę mrugał i przełykał ślinę. Na jego czole pojawiły się krople potu.

– Kojarzysz?! – powtórzyła Langer jeszcze ostrzej. Zastukała palcem w zdjęcie.

Darczewski pociągnął nosem.

– Mam chyba prawo do adwokata czy...

Liza rąbnęła dłonią w drewniany blat stołu.

– Nic nie rozumiesz?! Okej, mogę ci ściągnąć adwokata, mogę cię wpakować na czterdzieści osiem, ale teraz staram się działać po dobroci. Może jeszcze uwierzę, że to nie twoja wina, że jedynie słuchałeś się swojej dziuni. Gdzie jest dziewczyna? Gdzie przetrzymujecie kolejną kobietę?

Darczewski wbił w nią jeszcze bardziej zdezorientowane spojrzenie.

– Boże... – wyszeptał, drżąc na całym ciele. – Czy ta dziewczyna... Czy my...

– Wyduś to z siebie, człowieku.

– Nic z tego nie rozumiem...

Langer pochyliła się do niego.

– Wystarczy, że powiesz, gdzie ona jest. To może uratować ci dupę.

– Czy wtedy, gdy jechaliśmy oplem, zaginęła Magda Nowicka? To była ona, prawda?

Pytanie zaskoczyło Lizę. Układanka znowu zaczęła się rozjeżdzać. W jej umyśle zapaliło się czerwone światło alarmowe.

– Tak – przyznała zirytowana. – Zostaliście nagrani tuż przed tym, jak zniknęła Magda. Tak się składa, że kilkadziesiąt metrów dalej.

– Boże...

– Teraz rolę Najwyższego odgrywam ja. Mnie możesz wyznać grzechy, a nad odkupieniem popracujemy później.

– To jakieś szaleństwo – wyszeptał Darczewski. – Ja nawet jej nie znałem...

Langer zacisnęła usta. Z trudem opanowywała pełną napięcia wściekłość. Wiedziała, że liczy się każda sekunda, a te mijały na nieskładnym gadaniu.

Powoli wypuściła powietrze. Wtedy jej uwagę przykuł obraz z telewizora. Ujęcie z helikoptera lub drona pokazywało pościg za uciekającą przez dawną zajezdnię kobietę. Kilkadziesiąt metrów za nią pędzili policjanci. Teren dzieliły wysokie płoty i ogrodzenia, więc psy pozostały w tyle.

W rogu ekranu czerwonymi literami napisano: „Relacja na żywo”.

Langer przeniosła wzrok na Darczewskiego.

– Chyba twoja paniusia lada moment zostanie złapana. Lepiej dla ciebie, żebyś ty pierwszy zaczął sypać.

Darczewski ponuro pokiwał głową.

– Okej, okej... Przyznaję się.

69.

Rembert biegł ile sił w nogach. Jeden z dyżurnych podwiózł go na Jana z Kolna. W tym czasie Orest na telefonie uruchomił relację na żywo. Nie wiedział, jakim cudem stacje telewizyjne tak błyskawicznie się porozumiały i korzystały z obrazu przekazywanego z drona.

Co chwilę spoglądał na ekran komórki, lecz nie miał wątpliwości. Wiedział, dokąd biegnie zdesperowana, osaczona kobieta. Gdy zauważył, że przeskoczyła przez jedną z zardzewiałych bram i skierowała się ku estakadzie, nie miał już wątpliwości. W oddali słyszał wycie syren. Radiowozy pędziły od strony Centrum Solidarności, by odciąć jej drogę ucieczki.

Tyle że ona wcale nie chciała uciekać.

Orest jeszcze raz zerknął na ekran telefonu. Była już mniej niż sto metrów od niego. Ledwo łapiąc oddech, wbiegł po kilkudziesięciu stopniach i pobiegł do starego pomarańczowego wiaduktu nad torami. W okolicy nie było nikogo. Wycie syren stawało się jednak coraz głośniejsze.

Wpadł na wiadukt akurat w momencie, gdy z przeciwnej strony pojawiła się na nim Walewska. Nieco zwolniła, aż w końcu zatrzymała się niemal dokładnie w połowie wiaduktu. Wskoczyła na metalową barierkę i spojrzała w dół.

– Zrób choć krok, a skoczę! – wrzasnęła, odrywając dłoń od balustrady.

Z przeciwnej strony na wiadukt wpadli już policjanci. Widząc, co się dzieje, gwałtownie przystanęli i wymierzili w nią z pistoletów. Wśród nich nie było żadnych funkcjonariuszy wyposażonych w broń długą. Akcja zaangażowała przede wszystkim zbieraninę przypadkowych patrolowych oraz krawężników.

– Stójcie! – wrzasnął Rembert, choć ledwie łapał oddech. Podał swoje stanowisko i machnął legitymacją. – Dajcie mi z nią porozmawiać.

Zrobił ostrożny krok w stronę dziennikarki, lecz ta natychmiast wyciągnęła rękę. Na moment całkowicie puściła się poręczy. Stała na wąskiej barierce, za sobą miała kilkunastometrową przepaść. Na dole ciągnęły się tory otoczone kamienistym podkładem kolejowym. Upadek nie dawał niemal żadnych szans na przeżycie.

Rembert posłusznie stanął i uniośł ręce. Mimo że od dziewczyny dzieliło go kilkanaście metrów, doskonale widział upiorny wyraz jej twarzy. Wysilek spowodowany biegiem sprawił, że na jej policzkach wykwitły intensywne, nieregularne rumieńce. Jej oczy były szeroko rozwarte, a spojrzenie – rozbiegane. Oddychała przez usta. Co chwilę poruszała głową w nerwowym tiku. Najwyraźniej była naćpana.

- Nie jestem uzbrojony! Nie bój się.
- Jeżeli zrobisz choć pół kroku, ja zrobię to samo. Do tyłu.
- Jasne. Zrozumiałem. Pozwól, że się przedstawię...

Orest opuścił ręce i powoli nabrał powietrza. Starał się uspokoić po biegu. Serce wciąż łomotało mu w piersi. Walewska weszła mu w słowo.

– Trafieś kiedyś do świata zamieszkanego przez cienie? – zapytała. – Widziałeś cień, jaki rzucają cienie w ciemności?

Rembert pokręcił głową.

– Jezu. To chyba zbyt skomplikowane. Możesz mi to wytłumaczyć? Czy...

– To szaleństwo. Ja natomiast widziałam twarz tej dziewczyny. Widziałam ją w telewizji. A potem słyszałam, że jest martwa.

– Mówisz o Magdzie Nowickiej?

– To tylko cień... – Dziennikarka wyraźnie traciła wątek. Zebrała myśli i przytrzymała się barierki. – Właśnie wypaliłam jej crack – wyznała z uśmiechem. – I to

wszystko, co mamy ze sobą wspólnego. Gdy się zabiję, przeproszę ją.

Orest poruszył powoli rękoma. Nie był negocjatorem, lecz brał udział w kilku kursach z tym związanych i czytywał branżową prasę.

– Nie musisz się zabijać – odezwał się łagodnym, spokojnym głosem. – To nic nie zmieni. Nie wiem, co zrobiłaś, a przede wszystkim tego nie oceniam.

– Bóg mi wybaczy.

– Mówisz o Bogu? Wierzysz w Boga?

– Nie mogę pójść siedzieć...

Rembert nie chciał, by zmieniła temat na wizję spędzenia życia za kratkami. To z pewnością by nie pomogło. Jak najszybciej powrócił do poruszonego przez nią tematu.

– Wierzysz w Boga? – zapytał ponownie. – Wiesz, że Bóg nie lubi samobójców. To sprzeczne z zasadami wiary, ale Bóg jest też miłosierny i...

– Nic nie rozumiesz. – Kobieta zerknęła przez ramię ku przepaści. Odwróciła się do stojących u wejścia na most policjantów i ponownie się uśmiechnęła. – Nikt z was nic nie rozumie.

– Mylisz się.

– Nie próbuj mnie podchodzić... Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz, co się wydarzyło.

Rembert delikatnie pokręcił głową.

– Wśród twoich artykułów widziałem ten o samobójcach z gdańskich wiaduktów. To zostaje w głowie, prawda? Jeżeli jest się w sytuacji bez wyjścia, odżywają emocje towarzyszące pisaniu takich tekstów. Mam rację? – Nie czekał, aż dziennikarka odpowie. – Mówisz, że nie wiem, co się wydarzyło. Powiedz mi.

– I tak mi nie uwierzysz.

– Zostaw to mnie.

– Cokolwiek by się działo, świat będzie chciał, żebym poszła siedzieć. Tylko za to, że goniłam cienie.

– Wszystko da się wytłumaczyć...

Kobieta wzruszyła ramionami. Zaśmiała się nerwowo.

– Chciałam zostać gwiazdą – odezwała się po chwili. – Dostałam info od chłopaka, że zrobimy doskonały materiał. Miał jakieś cudowne informacje, które miały mi pomóc w karierze. Gówno. Gówno. Ktoś go zmanipulował jak dziecko. Jedyne, co mieliśmy dać w zamian, to podwieźć dziewczynę, która miała na nas czekać przy parku. Dostaliśmy nawet pieprzoną butelkę wody, którą mieliśmy ją poczęstować. A ona od razu zasnęła.

Walewska urwała i się poruszyła. Przełożyła nogę nad barierką.

Rembert poczuł ukłucie w piersi. Chciał rzucić się w jej stronę, lecz jego nogi zamieniły się w betonowe bloki. Odetchnął z ulgą, gdy jedynie usiadła na poręczy.

– Oni już się zbliżają? – zapytała, spoglądając w głąb dawnej zajezdni.

Orest nie wiedział, o czym mówi kobieta. Wyprostował się i zerknął ponad barierką. W dole dostrzegł wóz strażacki oraz policjantów. Od wiaduktu dzieliło ich kilkadziesiąt metrów.

– Nie wiem, dlaczego ta dziewczyna wsiadła bez pytania do naszego auta – ciągnęła Walewska. Mówienie sprawiało jej ulgę, jakby wyznawała grzechy. – Wyraźnie na nas czekała, ale o nic nie pytała. Może ktoś ją mamił tak samo, jak nas. Wiem, jak skończyła. Nie musicie mi ściemniać...

– Jeżeli nie zrobiłaś nic złego, nie pójdziesz siedzieć. O nic się nie martw. – Orest starał się błyskawicznie uporządkować historię dziennikarki. Jednocześnie przez cały czas utrzymywał z nią kontakt wzrokowy. – Zaufaj mi i zejdź. Wszystkim się zajmę. Obiecuję.

– Miałabym ci zaufać?

– Oczywiście.

Walewska nerwowo pomachała stopami. Przekrzywiła głowę i zerknęła na policjantów.

– Oni są gotowi mnie zastrzelić – odezwała się ponuro.

Orest odwrócił się w ich stronę.

– Opuśćcie broń! – krzyknął. – Nie musicie w nią mierzyć. Jest nieuzbrojona!

Już wcześniej większość policjantów opuściła pistolety. Tylko nieliczni pozostali w gotowości do strzału. Ktoś powtórzył komendę Remberta i pozostali również skierowali lufy ku ziemi.

– Widzisz? Mówiłem, że możesz mi zaufać.

Dziennikarka uśmiechnęła się i otarła łzy. Pąsy powoli zniknęły z jej twarzy, lecz oczy nadal pozostały nienaturalnie rozwarte.

– A tamci? – zapytała, wskazując funkcjonariuszy na dole. – Ty też chciałeś mnie oszukać.

Spojrzała Rembertowi w oczy. Zamrugęła, chcąc powstrzymać kolejne łzy. Uśmiech zniknął z jej ust.

Odchyliła się i puściła barierkę. Rozłożyła ręce na boki.

70.

– Współpracuję z grupami rekonstrukcyjnymi i biorę udział w wykopkach...

Langer utkwiała w Darczewskim ostre spojrzenie, więc ten natychmiast wyjaśnił:

– Chodzimy z wykrywaczami, szukamy starych łusek albo rozwalonego hełmu... Zazwyczaj trafia się na jakiś złom.

– Nie pomyślałabym o niczym innym.

Darczewski oparł brodę na dłoni. Langer przed chwilą kazała go rozkuć. Chciała, by poczuł się możliwie swobodnie i chętniej opowiedział swoją historię. Nie wiedziała, na ile może mu wierzyć, lecz starała się natychmiast analizować jego słowa. Błyskawicznie zrozumiała, do czego zmierza.

– A potem usłyszałeś o tych znalezionych w lesie szczątkach? W miejscu, gdzie szukałeś?

– Gdzie szukaliśmy – poprawił ją barman. Nerwowo podrapał się po wytatuowanym na przedramieniu smoku.

– Wy?

Darczewski oparł się ciężko na stoliku i podniósł wzrok.

– Moja dziewczyna zajmuje się dziennikarstwem śledczym – odezwał się pozornie bez związku. Langer zaczęła się niecierpliwić, lecz starała się tego nie okazywać. Łypnęła w stronę telewizora. Natychmiast kazała go wyłączyć, by nie rozpraszać uwagi Darczewskiego. – Zgłosił się do mnie facet, który miał ponoć materiał na sprawę dotyczącą zbrodni sprzed lat. Poza tym mieliśmy wykopać jakieś naprawdę ciekawe eksponaty, a on zapewniał, że dysponuje dobrymi mapami.

– Kto to był?

– Nie wiem, do kurwy nędzy. Komunikowaliśmy się przez forum odkrywców amatorów. Na wykopkach pojawił się tylko raz, w szalu i bandanie. Wiesz doskonale, że takie wykopki to jak wojna partyzancka z policją, strażą leśną i całym państwem, które telepie się, że bez jego wiedzy z ziemi wyciągnie się Bursztynową Komnatę albo pociąg ze złotem.

– Czyli byś go nie rozpoznał? To taki sam człowiek widmo jak ci dwaj, których wymyśliłeś ostatnim razem? Kolorowy, tak? I Cygan?

Darczewski westchnął.

– Boże... Wtedy chciałem tylko, żebyś dała mi święty spokój...

– I to był błąd. Mogłeś się wytłumaczyć.

– Ale ja...

Langer nerwowo cmoknęła.

– Jaki związek miały te wykopki ze sprawą twojej dziewczyny? Tracę czas, a interesuje mnie, gdzie jest ta druga kobieta.

– Druga? – Darczewski nie krył zdziwienia. Langer pomyślała, że albo jest doskonałym aktorem, albo naprawdę nie ma pojęcia o zaginionej.

– Wiem, że porwaliście Magdę Nowicką. Co z Kwiatkowską?

– Boże, nie wiem, o czym pani mówi.

Nagle stała się dla barmana „panią”.

– Raczysz mnie bajeczką o przypadkowych wykopkach w miejscu, gdzie zostają odnalezione szczątki, ale to już historia. Interesują mnie żywi. – Słowo „żywi” wypowiedziała ze specjalnym naciskiem.

Darczewski spuścił wzrok.

– Wzięliśmy tamtą dziewczynę spod parku. Dowieźliśmy ją tam, gdzie kazał mi tamten człowiek, a ona zasnęła w aucie.

– Tam?

– Pod miasto. Zostawiliśmy samochód i mieliśmy wrócić na piechotę. Ta przysługa była ceną za kolejne informacje o sprawie dla Kamili. Ale kontakt całkowicie się urwał. Gdy zobaczyłem w dzienniku informacje o szczątkach, domyśliłem się, że to ich mieliśmy szukać. Nie wiem, po jaką cholere. Zaangażowałem do tego paru kumpli...

Langer zmrużyła oczy.

– Potwierdzą twoją historię?

– Oczywiście. Do samego końca liczyłem, że naprawdę trafiliśmy na jakiś materiał. Do łba mi nie przyszło, że tej dziewczynie może się coś stać. Miała być informatorem, a ten kutas musiał ją wtedy porwać. Posłużył się nami, żebyśmy wywieźli ją z miasta, pewnie jej samej opowiedział jakąś bajeczkę, żeby zgodziła się wsiąść do naszego auta, i tyle... Zresztą, jak na moje oko, ona była totalnie naćpana. Z kieszeni wypadł jej crack.

– Wiesz, że ta historia wygląda na mocno naciaganą?

Darczewski przetarł twarz. Odruchowo napiął przy tym bicepsy. Musiał to być wystudiowany przez lata ruch, którym raczył panienki przy barze.

– Jezu. Nie wiem, jak to wygląda, ale taka jest prawda. Kolesiowi kurewsko zależało na znalezieniu tych szczątków w lesie. A jednocześnie do czegoś była mu potrzebna ta panienka. Ja tak to widzę i możecie z tym zrobić, co tylko zechcecie. Kropka. Nie wiem, nic więcej. I nie powiem już ani słowa bez adwokata.

– Chciałabym ci wierzyć, ale potrzebuję dowodu.

– Marek Błoński i Łukasz Kowal. Oni potwierdzą, że razem kopaliśmy w lesie. – Na twarzy Darczewskiego pojawił się wyraz maksymalnego skupienia. Wiedział, że właśnie ma ostatnią szansę uratować się przed tymczasowym aresztowaniem. – W moim telefonie są do nich numery. Nie wiem, gdzie mieszkają ani nic więcej, ale pewnie macie swoje sposoby. Nagrania z aut potwierdzą trasę, którą przebyliśmy w stronę Otomina. Później wracaliśmy taksówką, co chyba też da się ustalić. Prawda?

– Otomina? – zapytała czujnie Langer.

– Tak. Tam pod lasem mieliśmy zostawić auto ze śpiącą dziewczyną.

– I nie wiesz, co się stało później?

– Nie mam pojęcia. Chcieliśmy jak najszybciej wrócić do mieszkania, bo pod drzwiami mieliśmy znaleźć teczkę z materiałami na reportaż dla Kamili. Oczywiście, niczego takiego nie było. Daliśmy się koncertowo zrobić w chuja. Wy zresztą też.

Langer doskonale wiedziała, kogo konkretnie ma na myśli Darczewski. Była coraz bardziej skłonna uwierzyć w jego wersję. Wystarczyło ją tylko zweryfikować. Gdyby nagrania poświadczyły, że rzeczywiście mówi prawdę, nie miałyby podstaw doszukiwać się drugiego dna. Chyba że pod Otominem spędziliby więcej czasu. Albo gdyby to tam odnaleziono szczątki Nowickiej...

Kątem oka dostrzegła, że w ich stronę zmierza umundurowany policjant. Gdy się do niego odwróciła, wymownie uniósł brwi. Pochylił się do niej.

– Ta dziennikarka skoczyła z kładki koło stoczni – szepnął nie dość cicho, by Darczewski go nie usłyszał. – Zginęła na miejscu.

Barman jak oszalały zerwał się z miejsca. Dopadł do policjanta i jedną ręką chwycił go za ramię, a drugą starał się wyrwać tkwiącą w jego kaburze broń.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął, plując. – Powiedzcie, że to wasz podstęp! Że to tylko wasz sposób na przesłuchiwanie!

Langer błyskawicznie założyła mu chwyt pod szyję i powaliła na ziemię. Wbiła mu kolano w plecy.

– Przykro mi...

Sięgnęła po kajdanki. Tym razem sama wolałaby, aby to był tylko element niezbyt etycznego przesłuchania.

Deszczowy pies zawył gdzieś w oddali.

71.

Do końca dnia wszystko stało się jasne. Grupa pod komendą Langer rozrosła się do kilkudziesięciu osób. Sprawdzono każdą informację zdobytą w ostatnich godzinach. Każdy trop.

Na jednym z już wcześniej przesłanych nagrań zarejestrowano, jak opel vivaro z dziennikarką za kierownicą zmierza w stronę Otomina. To był pierwszy gwóźdź do trumny sukcesu. Niedługo później jedna z korporacji taksówkarskich potwierdziła zgłoszenie na kurs właśnie z Otomina pod mieszkanie Walewskiej.

Oba wydarzenia dzieliło niespełna trzydzieści minut. Biorąc pod uwagę odległości, Darczewski i dziennikarka mieli co najwyżej kwadrans na pozbycie się Nowickiej oraz auta. Kolejnego ranka opel został jednak odstawiony do wypożyczalni. Nikt nie weryfikował, kto dokładnie go oddał. Na zautomatyzowanym parkingu nie było też kamer. Przetrzęsanie nagrań z całej nocy stanowiło ostateczność, lecz właśnie na tę ostateczność zdecydowała się Langer. Wyników należało się spodziewać nie wcześniej niż za dwa, trzy dni. Do przejrzania był ogrom materiału, a tylko nieliczne kamery monitoringu miejskiego zostały wyposażone w detektor tablic rejestracyjnych. Bez ogromnego szczęścia przeglądanie nagrań mogło trwać nawet tydzień i angażowało cały oddział ludzi. Gros materiału Langer zleciała do analizy strażnikom miejskim.

Rembert pojawił się w komendzie późnym popołudniem. Zdał obszerny raport, spisał go i przesłał Lizie oraz Siweckiemu. Następnie zniknął niczym duch. Langer zwróciła uwagę, że był roztrzęsiony i trupioblady. Mimo to odmówił konsultacji z drugim z wydziałowych psychologów. Zresztą nigdy nie ukrywał niechęci do doświadczonej,

pięćdziesięciokilkuletniej weteranki świata, do którego sam dopiero wkraczał.

Informatycy bez problemu znaleźli forum archeologów amatorów, na którym był zarejestrowany Mariusz Darczewski. Dzięki jego korespondencji szybko dotarli do Marka Błońskiego i Łukasza Kowala. Pisali pod nickami Werwolf oraz Rotmistrz. Jeszcze przed osiemnastą do mieszkań jednego oraz drugiego zaczęli dobijać się funkcjonariusze. Przyciśnięci do muru mężczyźni potwierdzili słowa barmana o nieudanych poszukiwaniach w podgdańskim lesie. Mieli wykonać osiem próbnych wykopów zgodnie z mapą, którą dysponował Mariusz. Niczego nie odnaleźli. W mieszkaniu Rotmistrza policjanci natrafili na kilkanaście sztuk broni oraz sporo amunicji. Drugowojenna kolekcja, jak na wykopki, była w całkiem dobrym stanie. I mogła zafundować swojemu posiadaczowi, niewinnemu amatorowi historii oraz badań archeologicznych, osiem lat odsiadki. Tyle samo, ile groziło za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Albo za gwałt.

Langer wyszła z komendy, gdy zrobiło się już zupełnie ciemno. Była zła i zrezygnowana. Przybiło ją, że informatykom nie udało się dociec, kto krył się pod nickiem Tesoro. To właśnie z jego konta wysłano do Darczewskiego wiadomość z propozycją wspólnego projektu poszukiwawczego. Osoba, która za tym stała, korzystała z quertybota. Tego samego pozwalającego ukryć numer IP serwisu, którego używał nadawca maila z pogrózkami do Gromczyńskiego.

O dwudziestej pierwszej Langer zdała sobie sprawę, że stoi pod blokiem Remberta. Usiłowała dociec, które z mieszkań wynajmuje Orest. Gdy otworzyły się drzwi i z klatki wyszła roześmiana para studentów, Liza ruszyła w ich stronę.

– Szukam doktora Remberta... – odezwała się, gdy dzielił ich niespełna metr.

Studenci obrzucili ją zaciekawionym spojrzeniem.

– Doktor nigdy nie zgadza się na konsultacje w domu. – Zaśmiała się niska, krępa dziewczyna z pofarbowanymi niemal na białe włosami.

– Można go zaprosić na imprezę – dodał jej równie niski i krępy partner – ale dostać się do niego – to graniczy z cudem.

– Zresztą nie ma co się martwić – zawtórowała mu studentka. – Doktor przepuszcza wszystkich.

– Właśnie.

Langer uśmiechnęła się wymownie.

– Jestem znajomą. O studiach zdążyłam już zapomnieć.

– Ach... – Młody mężczyzna obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem. – Numer trzystaście. Trzecie piętro.

Podziękowała i podeszła do domofonu. Kilkukrotnie zadzwoniła, lecz nikt nie odebrał. Odeszła od klatki, po czym policzyła mieszkania. W obu na trzecim piętrze paliły się światła. Nim po raz kolejny zaczęła wydzwaniać domofonem, z klatki wyszedł szczupły, przygarbiony mężczyzna. Langer przytrzymała drzwi i weszła do środka.

Po chwili znalazła się pod drzwiami z mosiężnym numerem trzystaście. Zadzwoniła i zaraz zaczęła pukać.

Nic.

Odpowiedziała jej cisza.

Zadzwoniła po raz kolejny, pięć lub sześć razy z rzędu. Usłyszała szmer pod drzwiami naprzeciw. Ktoś wyglądał na korytarz, ale miała to gdzieś.

Zaczęła się niepokoić. Złe przeczucie ścisnęło jej gardło i rozlało się po całym ciele.

Nacisnęła klamkę, ale ta nie ustąpiła. Zadudniła pięścią w drzwi, po czym ponownie zadzwoniła.

– Orest! – wrzasnęła tak, że jej krzyk poniósł się echem.

Chwilę później zgrzytnął zamek. Drzwi się otworzyły, a w progu stanął Rembert. Miał na sobie jedynie sprane niebieskie jeansy.

– Co jest, do... – Przez jego twarz przemknął wyraz głębokiego zaskoczenia. Orest natychmiast się wyprostował i otworzył szerzej drzwi. Usunął się na bok. – Liza! Chodź, chodź tu...

Langer, czując na sobie wzrok zza judasza naprzeciw, pospiesznie weszła do mieszkania. Światło było zapalone jedynie w przedpokoju. W reszcie pomieszczeń panował półmrok. Wyczuła w nim zapach kadzideł oraz jaśminowego odświeżacza powietrza. Jej uwagę od razu zwrócił odgłos tykania kilku zegarów. Mogła się spodziewać, że trafi do największego skupiska kołysek Newtona w tej części świata.

– Od paru minut dobijam się jak głupia, a ty nie raczysz ruszyć dupy do domofonu?

– Domofon mam wyciszony.

– Walałam w drzwi.

– Nie chciało mi się wstać. Nie wiedziałem, że to ty. Czemu nie zadzwoniłaś?

Langer wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, dlaczego nie wpadła na to najprostsze rozwiązanie.

Rembert zapalił światło w pokoju. Znajdowały się w nim pokryte notatkami biurko oraz spora biblioteczka. Zmrużył oczy i zasłonił je dłonią.

– Wyglądasz jak kupa gówna. – Obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

– Zadręczasz się? Nie mów mi, że rozpaczasz dlatego, że tamta dziewczyna wybrała ciemną stronę księżyca.

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś tam była. Nie mówiłabyś...

Nagle Liza przyciągnęła go do siebie. Jedną ręką go objęła, a drugą dotknęła jego karku. Delikatnie nakłoniła, by się pochylił. Po chwili musnęła ustami jego usta. Przymknęła oczy. Gdy tylko Rembert odwzajemnił jej pocałunek, przyciągnęła go jeszcze mocniej. Przygryzła jego wargę i smagnęła po niej językiem. Jej dłonie powędrowały po jego długich, szczupłych plecach.

Przywarli do siebie. Mocno i szczelnie. Całowali się bez opamiętania, wciąż stojąc w progu gabinetu Oresta. Przygrywały im stukot kołyski Newtona oraz łomot studenckiej imprezy za ścianą.

72.

Ból.

Potworny, bezgraniczny ból przepelniał ciało Trixie.

Szczur już z niej wypelzł, a sadysta usunął szklaną rurkę. Kobieta czuła, że wypływa z niej krew. Ciurka. Kropla po kropli. Wraz z życiem.

Kręciło się jej w głowie. Odpływała.

Przy kolejnych oddechach poparzona i poraniona skóra jej brzucha oraz piersi sprawiała wrażenie, jakby miała pęknąć i odsłonić jej trzewia.

Ból.

Nigdy nie czuła tak wielkiego bólu.

Nikt nigdy go nie czuł.

73.

Rembert przewracał się z boku na bok. Leżał na starej wersalce w salonie. Langer spała jak zabita w pokoju, który normalnie służył mu za gabinet oraz sypialnię. Moc pocałunków i emocji opadła natychmiast, gdy przed paroma godzinami zbliżyli się do łóżka. Oboje poczuli, że przekraczają granicę, za którą czai się zbyt wielka niewiadoma. Niemal jednocześnie odpuścili. Z zakłopotaniem spuścili wzrok i choć żadne z nich nie powiedziało „przepraszam”, słowo to zawisło na ustach obojga.

Mimo to Langer zgodziła się u niego przenocować. Wyciągnął świeżą pościel i uwił jej w swoim łóżku przyjemne gniazdko. Było im zbyt miło, aby tej nocy się rozstać i spać całkowicie oddzielnie. Spędzenie kilku wspólnych chwil tuż przed pójściem do łóżek sprawiło, że oboje poczuli się lepiej.

Liza wzięła prysznic i przebrała się w sportowy dres, który jej dał. Prawie do dwudziestej drugiej rozmawiali w jego gabinecie. Ona otulona cienką kołdrą, a on wciąż w samych spodniach, bez skarpet i z założonymi na stopy skórzanymi kapciami. Siedział przy biurku, odruchowo przerzucając ostatnie zapiski.

Langer powoli odpływała. Coraz wolniej odpowiadała na jego pytania, mięśnie jej twarzy się rozluźniły i w końcu zasnęła. Po dniu takim jak ten Rembert też potrzebował odpoczynku, tyle że buzowały w nim zbyt silne emocje. Ilekroć zamykał oczy, widział Kamilę Walewską zsuwającą się z barierki wiaduktu. Widział jej ciało leżące w nienaturalnie wygiętej pozycji dwadzieścia metrów niżej. Widział uśmiech, który chwilę wcześniej zniknął z jej twarzy.

Jeden z zegarów wybił dwudziestą trzecią, gdy Orest z irytacją podniósł się z wersalki. Coś przyszło mu do głowy. Kilka urwanych myśli, które wcześniej nie znalazły właściwego ujścia. Za każdym razem, gdy chciał sformułować poprawne pytania, coś mu przeszkadzało. Teraz miał wreszcie chwilę spokoju.

Usiadł przy stole i uruchomił laptopa. Po chwili zaczął przeglądać kolejne strony internetowe. Wyszukiwał spółki Gromczyńskiego na portalu Krajowego Rejestru Sądowego. Sprawdzał kolejne rubryki. Następnie wczytał się w artykuły dotyczące przekształceń przedsiębiorstw oraz procesów związanych z ich debiutem na giełdzie.

Kolejne informacje coraz bardziej składały się w całość. Możliwa utrata kontroli przez wspólników nad spółką, umorzenie udziału, wyłączenie wspólnika, bezwzględne prawo większości... Rembert szybko przyswajał nowe pojęcia. Powoli w jego umyśle klarował się obraz możliwej sytuacji, lecz nadal brakowało mu niektórych danych.

Starał się szczegółowo odtworzyć to, co w komendzie powiedziała mu Langer. Po tym, jak zdał raport, ona pokrótce streściła mu rozmowę z Darczewskim. Wtedy był zbyt roztrzęsiony, by zwracać uwagę na szczegóły, lecz teraz wreszcie zebrał się do kupy. Poza tym gdy ślęczał nad laptopem przed oczami nie przemijały mu wspomnienia sprzed paru godzin. Przypomniawszy sobie, że Darczewski wspomniawszy o wywiezieniu Nowickiej do Otomina. Powiązał to również z ulicą Słoneczną, przy której miała pracować żona Kwiatkowskiego. Ta sama okolica, ten sam czas.

Orest wyciągnął przed siebie ręce i splótł palce. Strzelił stawami. Oczy zaczęły mu łzawić, lecz musiał jeszcze sprawdzić kilka rzeczy. Przeszukał archiwa i po raz kolejny przestudiował informacje zawarte na stronach firm Gromczyńskiego. Nie znalazł jednak potrzebnych mu danych. Jedyne, co mógł zrobić, to wykonać dwa telefony. Tylko to przyszło mu do głowy.

Nie zważając na porę, przymknął drzwi i sięgnął po komórkę. Wybrał pierwszy numer, po czym nacisnął przycisk połączenia. Gdy po kilku sygnałach nikt nie odebrał, zostało ono automatycznie zakończone. Rembert ponownie nacisnął zieloną słuchawkę.

Efekt był taki sam.

Orest dopuszczał możliwość, że osoba, do której dzwonił, wyciszyła na noc dzwonki, lecz przewidywał również inną ewentualność. Taką, że jest obecnie bardzo zajęta...

Aby to sprawdzić, wybrał kolejny numer. To była jego jedyna szansa. Jego, a przede wszystkim Tatiany Kwiatkowskiej.

74.

Langer obudziła się w środku nocy. Przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Łóżko było znacznie większe niż jej, materac – miękniejszy, a pościel sztywna od krochmalu, którego jej poszwy nie zaznały od lat.

Tykanie zegarów zaczęło przywoływać ją do rzeczywistości. Przypomniła sobie wszystkie wydarzenia sprzed paru godzin i otworzyła oczy. Ciężko westchnęła. Z jednej strony była wdzięczna samej sobie, że udało się jej powstrzymać przed zrobieniem ostatecznego kroku. Natomiast z drugiej potwornie tego żałowała. Samotność codziennie wypełniała jej myśli. Choć Liza nie dawała tego po sobie poznać, diabelnie potrzebowała drugiego człowieka. Nikt nie mógł jej zastąpić Michała, ale może zdołałby choć częściowo wypełnić emocjonalną pustkę, która po nim została.

Od wielu tygodni analizowała swój stosunek do Remberta. Lubiała go. Ceniła i szanowała. Uważała go za dobrego specjalistę, ale przede wszystkim za porządnego faceta. Co jednak jeszcze ważniejsze, dobrze czuła się w jego towarzystwie. Po dniu takim jak wczorajszy nie wyobrażała sobie, by mogła spędzić czas z kimkolwiek innym. Rozmawiali przy tym o pracy, ale w sposób, który pasjonował ich oboje. Nie było to jedynie przeniesienie obowiązków i problemów do życia prywatnego. Łączyła ich pasja.

Pasja.

To słowo wydało się Langer dwuznacznie śmieszne.

Przerwało potok jej myśli.

Wstała i na bosaka przeszła do kuchni. Kilka zapalonych punktowych lampek pozwoliło jej uniknąć wpackowania się na meble. Otworzyła lodówkę i wyciągnęła butelkę wody. Rembert kazał jej czuć się jak u siebie w domu, więc właśnie to robiła. Pociągnęła kilka sporych łyków, lecz postanowiła wziąć butelkę ze sobą.

Po drodze zerknęła do salonu. Wersalka, na której miał spać Orest, była pusta. W poświacie rzucanej przez niewielkie lampki ledowe wyraźnie widziała odrzucony na bok koc.

Zerknęła do łazienki, lecz drzwi do niej były zamknięte, a w otworze wentylacyjnym nie dostrzegła światła.

– Cholera!

Natychmiast się rozbudziła. Wróciła do salonu i zapaliła światło. Spostrzegła stojący na stole laptop oraz kilka luźnych notatek. Zaczęła je pospiesznie przeglądać. Kartki wyrwały się spod jej wciąż zaspanych palców i rozsypały wokół. Schyliła się, by je pozbierać.

– Kurwa – syknęła wściekle. – Coś ty wymyślił, Oreście?!

Pomiędzy papierami dostrzegła kartkę ze swoim imieniem zapisanym na samej górze.

Lizo,

śpisz jak zabita, nie mam serca Cię budzić. Jeżeli wstaniesz, a mnie jeszcze nie będzie – pojechałem coś sprawdzić. Będę grzeczny i ostrożny. Gdybym się czegoś dowiedział i zaszła taka potrzeba, będę natychmiast dzwonił. Sprawdziłem i wiem, że masz włączone dzwonki. Widzisz, jaki przezorny jestem? ;)

– Niech cię szlag!

Wróciła po komórkę i kilkakrotnie próbowała dodzwonić się do Remberta, ten jednak nie odbierał.

– Niech cię szlag! – zaklęła jeszcze raz.

Podeszła do stołu i podniosła klapę laptopa. Ekran natychmiast się rozjaśnił. Nie musiała wpisywać hasła, od razu wyświetliło się okno przeglądarki. Otworzyła historię. Kolejne odwiedzane przez Remberta strony pozwalały odtworzyć jego potencjalny tok rozumowania. Było

jednak między nimi zbyt wiele luk, by Liza mogła być czegokolwiek pewna.

Zaskoczona zdała sobie sprawę, że Orest zwrócił uwagę na szczegóły, które dotąd wydawały się jej całkowicie nieistotne. Oględnie zbadał kilka tematów i rozpisał je na kartkach. Między wierszami zanotował również adres.

Czy to tam pojechał? Co się pod nim mieściło?

Langer wpisała adres do wyszukiwarki. Od razu pojawiło się kilka archiwalnych wyników oraz grafik. Nagle kłębiące się chaotycznie w jej głowie myśli zaczęły się uporządkowywać. Była pewna, że właściwie odtworzyła rozumowanie Remberta. Zdała sobie jednak sprawę, że nie zweryfikował on jednej z odnotowanych na kartce uwag. Nie sprawdził faktu, który rzutował na całą sprawę. A przez to mógł popełnić kardynalny błąd.

Po chwili była już pewna. Przez cały czas istotną wskazówkę mieli na wyciągnięcie ręki, lecz nie przyszło im do głowy, by ją sprawdzić.

Orestowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie miał pojęcia, w co się pakuje. A co gorsza – nie miał pojęcia, komu rzuca wyzwanie. Jego prawidłowa dedukcja doprowadziła do błędnych wniosków.

Liza błyskawicznie zrzuciła dresy, przebrała się w swoje ubrania z poprzedniego dnia i popędziła do auta. Nie miała kluczy, więc mieszkanie Remberta pozostało otwarte. Ale nie miało to teraz żadnego znaczenia.

75.

Rembert jeszcze raz odtwarzał zebrane informacje. Bernard Saser mógł czuć się pokrzywdzony postępowaniem Gromczyńskiego i warunkami, które postawiono mu po latach współpracy. Jako genialny naukowiec liczył zapewne, że będzie mógł w spokoju kontynuować badania. Chciał wreszcie osiągnąć sukces, nie tyle dla LuxFoodu, ile dla siebie. Liczył na ukoronowanie swojej kariery.

Debiut giełdowy mocno krzyżował jego plany. Zamknięto kolejne laboratorium i ograniczono zakres działania firm. Piotr Gromczyński bardziej stawiał na utrzymanie stałego dopływu gotówki niż na innowacje. Nie zależało mu już tak bardzo jak wcześniej na samej idei. Na marzeniu o stworzeniu czegoś całkowicie nowego.

Właśnie to tkwiło jednak w głowie Bernarda Sasera. Chciał zostać zapamiętany jako twórca przełomowych technologii. W jego pojęciu wynalazca dań molekularnych instant mógł zmierzyć się z legendą Nikoli Tesli czy Steve'a Jobsa. Byłby wizjonerem, który zrewolucjonizował cały świat gastronomii.

To stanowiło powód nienawiści do Gromczyńskiego. Reszty Rembert jedynie się domyślał, lecz pewne elementy jeszcze się mu nie zgrywały. Planował podejść Sasera, dzwoniąc do niego w środku nocy i chcąc umówić się na pilną rozmowę. Miał zasłonić się czynnościami policyjnymi, a potem odegrać na poczekaniu scenkę, która pozwoliłaby mu poznać kolejne odpowiedzi. Aby Bernard nie nabrał podejrzeń, usprawiedliwiłaby się planowaną jednocześnie akcją. Nieobecność Langer miała uwiarygodnić jego słowa.

Saser nie podniósł jednak słuchawki. Być może realizował swoje szaleńcze pomysły, a może Rembert niesłusznie go podejrzewał. Dopuszczał i taki scenariusz. Możliwe, że Saser jest jedynie oddanym naukowej karierze, niegroźnym geniuszem.

Gromczyński wprost powiedział im, że zawęził działalność i zamknął jedno z laboratoriów. Dodał też, że jego wyposażenie nie zostało jeszcze sprzedane. Nie panował nad tym, ale w procesie decyzyjnym łatwo mógł go zastąpić Saser. Człowiek, którego cenili wszyscy pracownicy i którego traktowano jako nieformalną prawą rękę szefa. Bez problemu mógł zdecydować o zachowaniu laboratorium w nienaruszonym stanie. Mógłby to ukryć przed szefem i w ten sposób zyskać miejsce dla własnych, niczym nieskrępowanych działań. Po latach pracy zapewne zgromadził na to stosowne fundusze.

Może w swoim obłędzie uznał, że do stworzenia dzieła życia potrzebuje na przykład ludzkiego szpiku? Ludzkich komórek mózgowych? Tkanki chrzęstnej? Kręgu lędźwiowego?

Roztrząsanie tych kwestii nie przynosiło żadnych efektów. Rembert nie był w stanie wejść w genialny umysł w dziedzinie całkowicie dla niego obcej. Wiedział też, jak wiele miejsca pozostawia na domysły. Mógł przez to popełniać ogromny błąd. Mógł naciągać fakty do swoich teorii, co w psychologii zostało już przeanalizowane z każdej strony. Nie potrafił jednak ocenić, czy rzeczywiście tak przebiegało jego rozumowanie.

Dlatego postanowił pójść na skróty. Drugi telefon wykonał do Piotra Gromczyńskiego. Ten odebrał niemal natychmiast i chętnie odpowiedział na wszystkie pytania. Nie zaskoczyło go, że Rembert o północy wypytuje o zamknięte laboratorium.

Dojeżdżając na miejsce, Orest odtwarzał szczegóły tej krótkiej rozmowy. Zastanowiło go, że choć był środek nocy, Gromczyński nie wydawał się zaspany. Odebrał od razu, a jego głos był całkiem świeży. Biznesmen wydawał się wręcz pobudzony. Wyrażał się jednak powoli, jakby starał się tłumić emocje. Mogła to być kwestia nadinterpretacji, bo podobnie mówili na przykład ludzie bezgranicznie skupieni, lecz Orest nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Wszystko do siebie pasowało. Laboratorium znajdowało się kilkaset metrów od miejsca, w którym Walewska miała zostawić samochód i w którym zaginęła Tatiana Kwiatkowska. Przynajmniej tak pokazywał GPS.

Szeroki, nisko zawieszony mercedes co chwilę szorował podwoziem o nierówności terenu. Po obu stronach ciągnęły się drzewa. Światła reflektorów rozpraszały się w gęstej mgle. Rembert skręcił w wąską dróżkę tuż przed Jeziorem Otomińskim. Przez cały czas liczył, że nie zakopie się lada moment w błocie lub nie okaże się, że na końcu drogi znajduje się bagno. Gromczyński wspomniał, że laboratorium jest na zadupiu, bo miało służyć pracy i kontemplacji naukowców, ale takiego zadupia Orest się nie spodziewał.

Gałęzie co chwilę muskały szyby i karoserię auta. Droga wygodnie mogli się poruszać co najwyżej rowerzyści lub spacerowicze. Na szczęście od dawna porządnie nie padało, więc podłoże było mocno ubite. Mimo to mercedes drżał co chwilę, wypadając z kolein wybitych w starym asfalcie przez węższe auta – należące być może do naukowców Gromczyńskiego. Naukowców, którzy niczym na stację badawczą mieli dotrzeć do

laboratorium i spędzić w nim bez przerwy kilka tygodni. Ten system pracy opracował sam Bernard Saser. Ponoć przynosił najlepsze efekty, a o udział w organizowanych przez niego projektach były się rzesze młodych naukowców. Wydawały się równie atrakcyjne, co wyjazd na arktyczną stację badawczą.

Droga kilkakrotnie się rozgałęziała, lecz gdy Rembert miał wątpliwości, którądy jechać, wystarczyło, że lekko wycofał auto i oświetlił okolicę długimi światłami. Boczna dróżka zawsze okazywała się po kilkunastu metrach zamieniać w ledwie widoczną w zaroślach ścieżkę.

Po paru minutach walki z wertepami płaski teren zaczął nieco falować. Po prawej stronie wznosił się, natomiast po lewej wyraźnie opadał, a kłębiąca się mgła pozostawała poniżej drogi. Dziurawy asfalt coraz częściej ginął pod zwałami ziemi oraz gnijących liści.

Rembert zwolnił do minimalnej prędkości. Żwir chrzęścił pod oponami, a pomiędzy drzewami profiler co chwilę widział lśniące się w świetle reflektorów ślepie zwierząt. Las zdawał się zaciskać wokół mercedesa.

W pewnym momencie GPS nakazał Rembertowi skrócić mocno w lewo. Tymczasem główna droga wiodła na wprost, a w kierunku wskazanym przez nawigację prowadziła ledwie widoczna we mgle ścieżka. Znajdowała się przy niej niewielka poręba, która być może służyła za parking. Orest wysiadł z auta i zapalił latarkę w telefonie. Ku swojemu zdziwieniu dostrzegł całkiem świeże ślady opon. Powstały w wierzchniej warstwie gołej ziemi, która w tym miejscu rozpulchniła się pod wpływem nocnej wilgoci.

Po kilku metrach natrafił na metalowy szlaban, jaki często odgradza leśne ścieżki pożarowe. Ślady opon biegły dalej, więc ktoś musiał go podnieść. Rembert nachylił się i dostrzegł sporą kłódkę. Szarpnął ją, lecz była zamknięta.

Obszedł szlaban i zdecydowanym krokiem ruszył w głąb lasu. Po kilkudziesięciu metrach znalazł się na skraju tonącej we mgle polany. Niedaleko przed nim majaczył niewielki budynek przypominający betonowy dom jednorodzinny z metalowym silosem przed wejściem. Poza poddaszem budynek nie miał żadnych okien. W oparach mgły Orest dostrzegł również kanciasty kształt potężnego lexusa Sasera.

– A jednak... – szepnął sam do siebie.

Starając się zachowywać jak najciszej, zbliżył się do dwuskrzydłowych drzwi laboratorium. Osłaniał dłonią latarkę tak, by światło padało jedynie na ziemię. Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Langer. Pierwotnie planował tylko sprawdzić, czy laboratorium wciąż funkcjonuje. To byłoby istotną przesłanką do podjęcia dalszych kroków. Poza świeżymi śladami opon w okolicy nie trafił jednak na ślad żywego ducha.

Zdecydował się działać. Uznał, że się wycofa, gdy zbierze więcej informacji.

Jeszcze nie teraz.

Adrenalina pchała go do przodu.

Odczekał kilka długich sekund, nasłuchując, ale ciszy nie zakłócił żaden niezwykły dźwięk. Gdzieś w oddali pohukiwała sowa. Delikatny wiatr szemrzał w koronach drzew. Wnętrze laboratorium mogło być jednak szczelnie wyciszone i zachowywać wszystkie sekrety w swoich ścianach.

Orest nabrał głęboko powietrza i delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, jakby budynek zapraszał go do środka.

Rembert starał się zachowywać bezgłośnie. Przytrzymując klamkę, zamknął drzwi i ponownie przystanął, nasłuchując. Tym razem wydało mu się, że gdzieś z głębi laboratorium dobiega dziwny, równomierny szmer.

Osłaniając dłonią latarkę, próbował się rozejrzeć po pomieszczeniu. Znajdował się w niewielkim holu, z którego prowadził wąski korytarz. Powietrze pachniało środkami czystości oraz wilgocią.

Orest krok za krokiem szedł korytarzem. Po prawej minął solidne metalowe drzwi. Po drugiej stronie była zewnętrzna ściana budynku. Od środka została pomalowana na niebiesko z ciągnącym się mniej więcej na wysokości metra białym pasem.

Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Powoli ruszył dalej. Po kilku metrach przeszedł przez łącznik, w którym umieszczono odblaskowe tablice wskazujące kierunek ewakuacji. Na ścianie znajdowały się dwie strzałki skierowane grotami w głąb rozdzielającego się korytarza. Jedną opisano jako: „Blok A”. Drugą: „Blok B”.

Rembert zamknął oczy i wsłuchał się w odgłosy budynku. W szybie wentylacyjnym hulał wiatr. Wydało mu się jednak, że gdzieś z oddali usłyszał jęk. Dobiał z głębi laboratorium. Mógł to jednak być odgłos wiatru przeciskającego się przez jakieś szpary.

Orest mocniej ścisnął telefon i skierował się w stronę bloku B. Korytarz po kilkunastu metrach kończył się klatką schodową. Rembert bez namysłu zbiegł po kilku stopniach. Stąd słyszał jęk znacznie wyraźniej. Zdawało mu się, że rozróżnia nawet pojedyncze bełkotliwe słowa. Umysł mógł mu jednak płatać figle.

Stanął przed kolejnymi drzwiami i przytknął do nich ucho. Jęk bez wątpienia dobiegał właśnie stamtąd. Przypominał skomlenie bitego psa.

Orest cofnął się i wyłączył latarkę. Serce łomotało mu w piersi. Musiał zadzwonić do Langer. Rozjaśnił ekran komórki i bezgłośnie zaklął. W budynku nie miał ani jednej kreski zasięgu.

Pospiesznie, niemal biegiem zawrócił do wyjścia. W pojedynekę nie mógł nic więcej poradzić. Pakowanie się w kłopoty było najgłupszym, co mógłby zrobić. Teraz musiał wezwać pomoc.

Gdy znalazł się na klatce schodowej, zamrugało światło. Po chwili jarzeniówki rozblęły stałym białym blaskiem. Przerazenie zacisnęło palce na gardle Oresta. Odebrało mu dech.

– Nie ruszaj się – usłyszał za plecami. – Mierzę do ciebie z kuszy, która wystrzeliwuje bełty z prędkością ponad czterystu kilometrów na godzinę. Czyli taką, by przebić cię na wylot i polecieć z twoimi flakami dalej.

CHWILĘ WCZEŚNIEJ

76.

Oprawca oparł łokcie na stole obok Trixie i zerknął, czy jest przytomna. Wyciągnął w jej stronę ekran tabletu. Kobieta z trudem zdołała skupić uwagę na podzielonym na kilka okienek wyświetlaczu. W każdym z nich pokazywał się obraz z innej z kamer.

– Idzie odsiecz – szepnął sadysta. – Tak jak sądziłem. Choć miałem nadzieję na nieco liczniejsze towarzystwo.

– Pommmc...

– Co chciałaś powiedzieć?

– Pmm...

– Chyba nie rozumiem.

Oprawca nachylił się i obrócił ucho ku ustom Trixie. Przez chwilę stał w tej pozycji, wsłuchując się w jej bełkot. Nagle cicho się zaśmiał. Wyprostował się, po czym położył tablet tuż obok jej głowy. Sięgnął po leżący pod stołem przedmiot.

– Chciałaś wezwać pomocy? – zapytał kpiąco. – Pmmm... Pommmmy... – przedrzeźnił ją. – Nie masz siły porządnie krzyknąć? A nie, już rozumiem. To przez twój język. Wrzeszcząc z bólu, odgryzłaś sobie połowę języka, biedaczko...

77.

Rembert leżał na kamiennej posadzce. Miał skrupowane kajdankami nogi oraz ręce. Nie miał szans się uwolnić. Przez głowę przemknęły mu

wszystkie sposoby, jakie kiedykolwiek widział na filmach lub o których przeczytał w książkach. Wszystkie były tyleż naiwne, ileż bezużyteczne.

Znajdował się w sporym, okrągłym pomieszczeniu z wysoko zawieszonym stropem. Rozświetlało je bardzo intensywne białe światło dziesiątek diod. Wewnątrz mieściło się kilka laboratoryjnych sprzętów, a na środku stało metalowe biurko z laptopem oraz rzędem próbówek w wirnikach. Wirniki były podłączone kablami do laptopa z wygaszonym ekranem.

Z głośników dobiegało równomierne elektroniczne pikanie.

Kilka metrów od Oresta na szpitalnej leżance spoczywało ciało dziewczyny. Z początku był przekonany, że jest martwa. Była cała pokryta otwartymi ranami oraz oblepiona krwią. Mimo to zauważył, że jej pierś faluje w nierównym, rwanym oddechu. Czasem wypuszczenie powietrza i kolejny wdech dzieliły kilkusekundowe przerwy. Rembert domyślał się, że to Tatiana Kwiatkowska, lecz z tej perspektywy nie mógł się upewnić. Poza tym jej twarz musiała być zmieniona nie do poznania.

Nieco dalej, w pobliżu solidnych metalowych drzwi leżał Bernard Saser. Podobnie jak Orest, został skrępowany kajdankami. W przeciwieństwie do psychologa miał jednak wepchnięty do ust knebel. Był przytomny i przerażony spoglądał to na Oresta, to w głąb pomieszczenia. Nie szarpał się jednak.

– Musiałem wepchnąć mu do gęby szmatę – odezwał się smutny głos. – Nie miałem takiego planu, a laboratorium jest wystarczająco wyciszone, żebym nie miał też takiej potrzeby. Ale hałasy kurewsko przeszkadzają mi w pracy. Dekoncentrują mnie.

Rembert podparł się na łokciach i oparł głowę o ścianę. Spojrzał na ubranego w biały kitel Adama Gromczyńskiego. Dziewiętnastolatek w jednej ręce trzymał potężną kuszę, a w drugiej – niewielki tablet, na który co chwila zerkał. Na głowie miał czepek chirurgiczny. Z kieszeni wystawały mu zakrwawione lateksowe rękawiczki.

Orest ponownie zmienił niewygodną pozycję. Przeniósł wzrok na nagą kobietą i z powrotem na Gromczyńskiego.

– Ona się wykrwawi – odezwał się ciszej, niż chciał.

– O to się nie martw. Nim to się stanie, rozetnę jej skórę i wytnę fragment pieprzonego kręgosłupa.

– Po co to robisz?

Adam Gromczyński uśmiechnął się szeroko. Puścił do Remberta oko.

– Nie domyśliłeś się, prawda? Nic a nic? Miałeś nakreślić mój portret psychologiczny, tyle że nie znalazłeś żadnego rozsądnego motywu. A wiesz dlaczego?

Orest zacisnął wargi i pokręcił głową.

– Bo nikt wcześniej – a przynajmniej nikt, o kim mogłeś gdziekolwiek czytać lub słyszeć – nie miał podobnego planu.

– Dopuszczałem możliwość, że jesteś w to zamieszany...

– Dopuszczałeś możliwość? – prychnął Adam. – Nie zostawiłem najmniejszego śladu.

– Zostawiłeś ich wiele.

– Prowadzących tutaj. Ale nie do mnie. Prędeż do Berniego. – Adam zerknął na skrępowanego naukowca. – Co nie, Saser? Dałeś się tu ściągnąć jak ostatni dureń. I wiesz co? Domyślasz się, dlaczego jeszcze ci nic nie zrobiłem? Bo jesteś mi potrzebny. Załatwię to tak, żebyś wyszedł na opętanego naukowca, który popełnił samobójstwo podczas pracy nad wielkim projektem. Nikogo to nie zdziwi.

– A ty? – zapytał Rembert. – Porzucisz to wszystko?

– Zostawię rozwiązanie problemu. Mieszankę, która będzie zapewniała przyjmowanie się wszelkich przeszczepów. Jestem ideowcem. Wierzę w postęp i wiedzę. Nie potrzebuję uznania ani nagród.

– Mieszankę zapewniającą przyjmowanie się przeszczepów? Wierzysz w takie bzdury? Naprawdę?

Młody Gromczyński skinął głową i znów zerknął na ekran tabletu.

– O tak. Choć pewnie nie przekonasz się, że miałem rację. Tobie jest pisane tu umrzeć, a ja po prostu stąd wyjdę...

– Znikniesz? Będziesz się ukrywał jak pieprzony bin Laden? Myliłem się, bo nie sądziłem, że jesteś aż tak infantylny.

– O nie. Będę dalej pracował w firmie ojca. A on zyska przepis na sukces. Rewolucyjną substancję, która pchnie go do przodu bardziej niż te pieprzone głupoty z dmuchanymi kebabami albo kawiozem z octu.

Rembert przełknął ślinę. Mimo że w pomieszczeniu były chłodno, miał plecy mokre od potu. Mimowolnie drżał.

– Policja cię rozgryzie. Połączy z każdą z ofiar...

– Nikt nie ma najmniejszego podejrzenia, że cokolwiek mnie z nimi wiąże.

– Zostawiłem wiadomość, że to ty. Rozgryzłem cię.

– Rozgryzłeś? Jesteś zbyt słabym pokerzystą, żeby blefować. – Adam krótko się zaśmiał. – Żebyś widział swoją minę przed paroma minutami. Nic nie mogło cię na mnie naprowadzić.

Rembert starał się błyskawicznie uporządkować informacje. Wzbudzając wątpliwości u młodego Gromczyńskiego, mógł nie tylko zyskać na czasie, lecz także odwieść go od tego, co ten zamierzał. Przynajmniej miał taką nadzieję. Pospiesznie dopasowywał elementy do składającego się w całość obrazu. Ciągłe wierzył, że za pomocą psychologicznych sztuczek zdoła się uratować.

– Choćby mail, który zawierał groźby – rzucił.

– Co z nim? – Adam badawczo przyjrzał się Rembertowi. – Ułożyłem go całkiem zgrabnie.

– Musiał zostać napisany po odkryciu szczątków, a nie przed. Stąd łatwo się domyślić, że wysłałeś go sam do siebie. Inaczej jakim cudem ktoś nawiązałby do siedemdziesięciu lat spoczywania w ziemi? To nie mógł być przypadek.

Gromczyński wzruszył ramionami. Najwidoczniej słowa Remberta nie zrobiły na nim wrażenia.

– Mógł być. Nikt nie postawiłby mi zarzutów na tej podstawie, że w mailu, który miałbym rzekomo wysłać sam do siebie, wspominał o czasie, który minął od wojny. Wiadomo, że większość szczątków sprzed kilkudziesięciu lat to szczątki akurat z wojny. Części nawet się nie bada...

– Tyle że to wszystko składa się w całość. Wysłałeś do ojca przesyłkę z kawałkiem nogi niewinnej dziewczyny tylko po to, by być bliżej śledztwa. Za każdym razem starałeś się wypytać nas o szczegóły. Gdy trafiliśmy na Darczewskiego, spanikowałeś. Dlatego dałeś się zranic przez własną bombę. Wiedziałeś, że nie wyrządzi ci krzywdy.

– O nie, nie. – Adam stanowczo zaprzeczył. – To był przypadek. Ona miała zranić ojca, ale pieprzony kot... – Machnął ręką.

– Udało ci się skutecznie rzucić podejrzenie na współpracownika ojca – kontynuował Rembert. – To odciągnęło od ciebie moją uwagę. Ale tylko na krótki czas...

Gromczyński z entuzjazmem poruszył biodrami, jakby tańczył.

– To był majstersztyk! Nagadałem Berniemu bzdur, żeby pokłócił się z ojcem na waszych oczach. Musiałem go sprowokować i wyszło mi to jak ta lala. Idiota w ogóle nie ma pojęcia o ekonomii i prawie handlowym. Nie było szansy, żeby na wejściu na giełdę cokolwiek stracił.

– Na całej sprawie zyskacie tylko ty i twój ojciec. To będzie wystarczająco podejrzone.

– Bez dowodów... – Gromczyński urwał w pół zdania i zerknął na ekran tabletu. Jego twarz ponownie rozpromienił uśmiech. – O! Zaraz dołączy do nas kolejna osoba. Komisarz Liza Langer. Tak właśnie sądziłem...

Rembert nerwowo zacisnął pięści. Szarpnął się, lecz kajdanki pozostawiały jedynie odrobinę luzu.

– Zostaw ją! – wrzasnął.

– Twój krzyk jedynie ją tu sprowadzi. Proszę bardzo, krzycz ile sił.

– Liza, uważaj!

W tym momencie drzwi do pomieszczenia otworzyły się z hukiem. W progu stanęła Langer. Obie dłonie zaciskała na rękojeści glocka.

– Rzuć broń! – krzyknęła do Gromczyńskiego. – Rzuć broń i na glebę! Obie ręce w górę!

Gromczyński wydawał się kompletnie zaskoczony. Zmrużył brwi i tkwił w bezruchu.

– Gleba, mówię!

Mężczyzna powoli się pochylił i położył kuszę na podłodze. W tym samym momencie uniósł jednak głowę.

– *Dark!* – wrzasnął tak, że jego głos poniósł się echem po całym laboratorium. – Door!

Światło momentalnie zgasło. Nim Langer zdążyła się poruszyć, znajdujące się obok niej metalowe drzwi się zamknęły. Uderzyły ją przy

tym w ramię z takim impetem, że pistolet wypadł jej z dłoni. Skuliła się z bólu. Na chwilę straciła dech w piersi.

– *Lights!*

Światła ponownie się zapaliły. Gromczyński stał o kilka kroków przed Langer i mierzył w nią z potężnej kuszy. Komisarz z trudem się wyprostowała.

– To było łatwe – szepnął Adam.

78.

– Przyspieszenie mechanizmu reagującego na komendę głosową to kaszka z mleczkiem. – Adam odłożył tablet i sięgnął po pistolet Langer. – *Door!* – krzyknął, a ciężkie skrzydło drzwi otworzyło się z potężną prędkością. Gdyby Langer stała nieco bliżej, mogłoby ją połamać. – Komendy głosowe to pasja nie tylko mojego ojca. Łatwo zarazić się niektórymi zainteresowaniami...

– Twój ojciec zawsze działał dla dobra ludzi – wycedziła Langer. Starła się rozmasować ramię, lecz przy każdym dotyku przeszywał ją potworny ból. – Mógłbyś przejąć od niego to zainteresowanie.

Adam pokręcił z lekceważeniem głową.

– Dobro ludzi? To dla mnie najważniejsze. Nawet pani nie wie, pani komisarz...

– Wiem więcej, niż myślisz. – Langer zadziornie uniosła głowę. Powstrzymała przy tym jęknięcie z bólu. Przez jej twarz przemknął jednak grymas cierpienia. – Wiem, że twoja matka nie utonęła w morzu. Okłamałeś nas, bo sam chciałeś przez lata wierzyć w to kłamstwo. Mam rację? Wyciągnięto ją jeszcze żywą, choć po długiej reanimacji pewnie i tak zostałaby warzywkiem.

Młody Gromczyński spojrział na nią z zaciekawieniem. Wciąż mierzył prosto w jej pierś. Kątem oka zerknął na Remberta oraz Sasera. Obaj w ciszy przyglądali się temu, co się działo. W oczach jednego i drugiego błąkała się rozpaczliwa rezygnacja.

– Tyle że była szansa, żeby ją uratować! – warknął Adam. – Od lat opracowywana jest metoda regenerowania tkanki mózgowej, ale nie można pchnąć jej naprzód bez przeprowadzania eksperymentów na ludziach. Na żywych ludziach.

– Twoja matka zmarła?

– Ojciec po dwóch dniach podjął decyzję o odłączeniu jej od aparatury. Prawo nie stało temu na przeszkodzie, a w tamtej chwili nie istniała najmniejsza szansa ratunku. Teraz zresztą też nie, bo liczy się idiotyczna etyka, broniąca jednostek, a nie gigantyczny rozwój.

Langer zrobiła krok w stronę Gromczyńskiego. Ten jednak natychmiast mocniej chwycił pistolet.

– Nic nie kombinuj. Cofnij się! Cofnij się, bo rozwalę ci łeb.

Posłusznie się cofnęła.

– To ty patrzysz na tę sprawę indywidualnie – odezwał się Rembert. Wreszcie wszystkie elementy układanki wskoczyły mu na właściwe miejsce. – Nie widzisz, że przez całe życie przygniatał cię ciężar jednej śmierci?

Gromczyński nawet na niego nie spojrzał.

– Teraz nie chodzi już o moją matkę. To minęło, choć wtedy kurewsko bolało. Patrzyłem na wszystko i zegnałem się z nią, mimo że wyglądała, jakby jedynie spała. Rozumiesz, jak znosi to dziecko? A wiele lat później zupełnie przypadkiem trafiłem na DTE.

– DTE? – spytała Langer. Teraz grała już tylko na zwłokę. Była bezbronna i jedyną szansę widziała w tym, by Gromczyński zbyt długo skupił uwagę na kimkolwiek innym niż na niej. Znajdowała się najbliżej niego i mogłaby spróbować do niego doskoczyć. O ile wcześniej nie wypaliłby jej prosto w głowę. Czyli przypominało to przekonywanie się do wiary w cuda.

– Deutsche Tibet-Expedition Raport – wyjaśnił Adam.

– Znalazłeś to w domu, prawda? – dociekała komisarz. – Dokument sprzed lat, dodatkowo opisujący próby przekucia zebranych legend w medyczną praktykę. Niedaleko stąd. W Stutthofie. Twój dziadek się tym zajmował? Pradziadek? Adamie Grohman?

– Właśnie... – szepnął Rembert. – Tego nie zdążyłem sprawdzić.

Adam zmrużył oczy i przekrzywił głowę. Przyglądał się Langer, jakby rozważał, czy już teraz jej nie zastrzelić. Gładził palcem spust i mruzczał coś do siebie.

– Brat mojego dziadka jedynie ocalał raport – odezwał się wreszcie. – Nie miał nic wspólnego z Zagładą. Pracował jako lokaj Franza Bisteimeiera, jednego z obozowych lekarzy. Medycy ze Stutthofu byli przekonani, że udało się im dokonać przełomu... A cały przełom skończył się tym, że niedługo później pozostali w Polsce Niemcy musieli zmieniać nazwiska. Mój dziadek – Heinrich Grohman – też. Stał się Henrykiem Gromczyńskim.

– Ale po latach niektórzy z tamtych naukowców kontynuowali badania. Stąd szczątki odnalezione niedaleko Olsztyna oraz w Hiszpanii.

– Pewnie tak. Nie zagłębiałem się w tę historię, choć o niej wiedziałem. Ekipa Bisteimeiera liczyła ośmiu lekarzy i genialnych naukowców. Każdy z nich wierzył w ideę i za wszelką cenę był gotów kontynuować pracę. Niestety, Amerykanie nie dali im paszportów.

– A ty liczyłeś, że na własną rękę dokonasz cudu.

Adam wzruszył ramionami. Pistolet zaczął drżeć w jego wciąż wyciągniętej dłoni.

– Raport był jasny – stwierdził obojętnie. – Chodziło o wywołanie u dawcy stresu, strachu i bólu, z którymi wiązał się odpowiedni poziom hormonów oraz ciśnienia krwi. Ponoć było to bardzo istotne w procesie przyjmowania się przeszczepu. Następnie wystarczyło za życia dawcy pozbawić go kręgu, sproszkować ten krąg i mieszać z paroma innymi substancjami. Ostatecznie papka miała służyć jako klej. Jeszcze nie zdążyłem jej przetestować...

– Najpierw zamierzałeś przebadać zwłoki ofiar Bisteimeiera? Dlatego szukałeś ciał?

– Tak. W innych dokumentach znalazłem informację o miejscu ich pochówku oraz że dokonano go w glebie torfowej. Na wypadek, gdyby w przyszłości zaszła potrzeba ekshumacji mumii.

– Ale gdy wkroczyły tam buldożery, dałeś sobie spokój i postanowiłeś porwać żywą osobę?

– I tak musiałbym to zrobić. Spodziewałem się, że zwłokom brakuje kręgów. Interesowały mnie tylko pod względem technologii

przeszczepów. Każda z tamtych osób miała być biorcą, a następnie dawcą. Jeżeli przeszczep się u nich przyjmował, była większa szansa, że ten pobrany od nich przyjmie się na przykład u rannych żołnierzy. Zwłoki osób zagazowanych i tej zastrzelonej to inna historia, której pewnie nigdy nie poznamy. Przynajmniej wy na pewno.

– Ale jakim cudem udało ci się wywieźć zwłoki z zakładu medycyny sądowej? – Rembert dołączył do beznadziejnej walki z czasem o kolejne sekundy życia.

Młody Gromczyński się uśmiechnął.

– Przewiozłem je w bagażniku dachowym – takim na deskę windsurfingową. Wiedziałem, że w szczycie sezonu nikt nie zwróci na niego uwagi. – Tryumfalnie zachichotał, po czym zerknął na przywiązaną do leżanki kobietę. To ona miała stać się jego drugim dawcą, a niespodziewanie wybór biorców się rozszerzył. – Które z was chce uczestniczyć w naukowym przełomie? – zapytał, wymachując pistoletem.

– Naprawdę uwierzyłeś w te bzdury? – Langer pokręciła głową, udając, że nie słyszała jego pytania. – Naziści odnaleźli też włócznie świętego Maurycego, Świętego Graala i Arkę Noego.

– Może. Wynaleźli też V1, V2 i V3. Opracowali silniki odrzutowe, rakietowe oraz technologię niewykrywania przez radary. Metadon, filmy 3D oraz kanistry na benzynę.

– A milion pomysłów okazał się czystą bzdurą...

Gromczyński nerwowo syknął. Poprawił chwyt na pistolecie i zrobił dwa sztywne kroki w stronę Langer.

– Denerwujesz mnie, paniusiu komisarz – wycedził wściekle. – Strasznie mnie denerwujesz. Nie jestem w stanie działać, gdy ktoś mnie drażni. – Nagle wymierzył w Remberta, potem w Sasera i w ułamku sekundy z powrotem wycelował wylot lufy w Langer. – Które z was zginie? Poświęcisz swoje życie w zamian za cudze? To jest to twoje dobro publiczne? Odpowiadaj: poświęcisz?! Jesteś gotowa umrzeć?! – Jego wrzask poniósł się echem. Dłonie mu drżały, a z oczu ciekły łzy wściekłości. Na czole pojawiły się krople potu. Przeształ kontrolować emocje. Stawał się kimś całkiem innym niż dotąd. – Odpowiadaj, bo liczę do trzech i strzelam!

Langer nie była na to gotowa. Nie miała szans dopaść do Gromczyńskiego, nim ten wystrzeli. Nie mogła nic zrobić. Wokół niej nie znajdował się nawet żaden przedmiot, który mogłaby kopnąć, ani nic, za czym mogłaby się schować.

– Trzy!

Komisarz się wyprostowała. Spojrzała na Remberta, a ten z pąsową ze stresu twarzą odwzajemnił jej przerażone spojrzenie.

– Nie musisz już nikogo zabijać – odezwał się rozedrganym głosem. – Wygrałeś, teraz wystarczy...

– Dwa!

Gromczyński błyskawicznie się obrócił, zataczając pistoletem łuk. Wydawało się, że nic go nie łączy z otaczającym światem. Nie reagował na żadne bodźce i niczego nie słyszał.

Langer wyciągnęła w jego stronę dłoń. Zacisnęła usta i przesunęła się do Oresta.

– Po co to robisz?!

– Jeden!

Rembert rzucił się jak oszalały, chcąc wywinąć się z kajdanek, lecz była to próba całkowicie bezsensowna. Jego spojrzenie jeszcze raz spotkało się z pełnym determinacji i jednocześnie całkowicie bezradnym wzrokiem Langer.

– Zastrzel mnie! – wrzasnął Orest. – Mnie!

Twarz Gromczyńskiego nagle się rozpozodziła. Uśmiechnął się i delikatnie cofnął. Jego rysy gwałtownie złagodniały.

– Dobrze, bardzo dobrze – powiedział spokojnie, jakby się właśnie obudził. – Dziękuję. Nauka ma zbyt mało osób gotowych do poświęceń.

Błyskawicznie wymierzył w głowę Oresta. Ten zamknął oczy i gwałtownie wciągnął powietrze. Żyłki na jego skroniach się uwypukliły, a twarz oblał czerwony rumieniec. Przyczepy mięśni zuchwy drżały.

Langer jak na filmie puszczonej w zwolnionym tempie rejestrowała, jak palec Gromczyńskiego wędruje po spuście glocka. Zdołała wykonać jedynie minimalny ruch w stronę Oresta. Nie miała szans zasłonić go własnym ciałem. Nie mogła go uratować ani zamienić z nim ostatniego słowa.

Była bezużyteczna.

Była bezmyślna.

Przez jej umysł przeszła litania samooskarżeń. Powinna była przyjechać tu razem z antyterrorystami. Powinna powiadomić Siweckiego...

– Orest... – Chciała krzyknąć, lecz z jej ust dobył się jedynie charkot.

Ułamek sekundy później padł strzał.

Deszczowy pies żałośnie zawył.

EPILOG

– Gdy przy nazwisku Gromczyńskiego zobaczyłam postawiony przez ciebie znak zapytania, od razu mnie oświeciło. Choć najpierw nie chciało mi się w to wierzyć... Ale kiedy sprawdziłam w necie i wyświetliły się wyniki o jakimś Grohmanie vel Gromczyńskim, wszystko stało się jasne. Nagle dwa wątki połączyły się w jeden. Eugenika! – Langer pstryknęła palcami. – Laboratorium, badania kliniczne, okaleczone zwłoki... Do tego dwie uprowadzone to chora psychicznie ćpunka oraz dziwka. Eksterminacja w skali mikro? Proszę bardzo, do tego w szczytnym celu.

Rembert siedział na obrotowym stołku tuż obok łóżka, na którym leżała Langer. Okazało się, że komisarz ma wybity bark oraz pękniętą kość ramienną. Mimo to nie okazywała bólu.

– Młody Gromczyński przeżyje? – zapytała.

Orest skinął głową.

– Miał więcej szczęścia niż Kwiatkowska. Operacja ciągle trwa, ale lekarze są dobrej myśli.

– A jego ojciec?

– Jest załamany. Wciąż nie może w to wszystko uwierzyć.

Langer odwróciła się i spojrzała w sufit. Grupa ratowników przemknęła obok, pchając łóżko z wijącym się z bólu pacjentem.

– A jednak strzelił do synalka – mruknęła, gdy na korytarzu znów zrobiło się ciszej.

Rembert założył ręce za głowę i westchnął.

– A jednak strzelił... – powtórzył za komisarz. – Mój telefon wzbudził w nim niepokój. Uznał, że za pytaniem o laboratorium musi coś stać, i w środku nocy wybrał się, żeby wszystko sprawdzić. Na szczęście wziął giwerę, choć nie wierzyłem, że będzie w stanie skrzywdzić syna. Tym bardziej, że nie miał pojęcia, co ten tak naprawdę zrobił... Równie

dobrze to my mogliśmy być psychopatami. – Orest westchnął. – Może w ich świecie po prostu nie ma miejsca dla przegranych?

– Sądzisz, że...

Popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Liza przez chwilę milczała. Zaciśnęła dłonie na pościeli i spuściła głowę.

– Wiesz co?

– Mówiłem ci, że jestem profilerem. Nie wróżbitą.

– Nadal nie wierzę, że chciałeś oddać za mnie życie. Że zdecydowałeś się zginąć zamiast...

Rembert skromnie machnął ręką. Emocje wciąż w nim buzowały, lecz odzyskał rezon. Wszedł jej w słowo.

– Daj spokój, tak powinien się zachować mężczyzna. To nic...

– Jesteś idiotą, Oreście.

Langer powiedziała to z twarzą odwróconą do ściany. Nie chciała, by Rembert dostrzegł, że z jej oczu ciekną łzy.

—= FADE TO BLACK =—

POSŁOWIE

Ślepiec miał stanowić tylko pojedyncze spotkanie z Lizą oraz Orestem. Jednak w trakcie pisania tak mocno zżyłem się z bohaterami, że wciąż do mnie powracali. Nieomal wmieszali się do życia komisarza Deryły i przemykali w tle akcji innych książek.

Nie miałem wyboru. Musiałem do nich powrócić i sprawdzić, jaką sprawą zajęli się ostatnio. Gdy zacząłem w to wnikać, całkowicie przepadłem. Kilka tygodni później *fade to black* zakończyło przygodę, której tytułu jeszcze nie znałem. Co więcej, te kilkaset stron pozwoliło mi jeszcze mocniej zbratać się z tym specyficznym duetem. Teraz znów jestem ciekaw, jak potoczyły się ich losy.

I losy deszczowego psa, rzecz jasna.

Należy się jeszcze słowo wyjaśnienia dotyczące samej fabuły. Wiosną 1938 roku rzeczywiście odbyła się niemiecka ekspedycja do Tybetu. Kierował nią naukowiec oraz podróżnik – Ernst Schäfer. Towarzyszył mu między innymi Bruno Beger – który kilka lat później stworzył słynną kolekcję szkieletów zamordowanych tylko w tym celu Żydów.

Według rozmaitych relacji członkowie wyprawy Schäfera poszukiwali w Tybecie między innymi pradawnych pism medycznych. W tym celu przetrząsali najbardziej niedostępne tybetańskie klasztory. Ponadto badacze (czy też pseudobadacze) próbowali dotrzeć do Szambali – mitycznej krainy zamieszkiwanej przez ludzi, którzy osiągnęli duchową doskonałość. Co więcej, mieli także odnaleźć i przetransportować do Rzeszy vimanę – pojazd, na którym bogowie ponoć dotarli z gwiazd na Ziemię...

Jaka była prawda, być może nigdy się nie dowiemy. Pewne jest jednak, że żadnym czasem nie brakuje szaleńców.

Tymczasem kołyska Newtona wciąż działa. Mam nadzieję, że przykuwa Państwa uwagę tak samo, jak moją. I że wspólnie znów zechcemy podnieść sobie poziom adrenaliny. Jak zwykle, jedynie w szczytnym celu...

Ukłony

Max Czornyj

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytaty

PROLOG

PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

1.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ

2.

3.

4.

5.

6.

7.

DZIEŃ DRUGI (DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY DO WIELKIEGO ZNIKNIĘCIA)

8.

9.

10.

11.

12.

- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.

DZIEŃ TRZECI (WIELKIE ZNIKNIĘCIE)

- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.

DZIEŃ CZWARTY

- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.

- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.
- 51.
- 52.
- 53.
- 54.

DZIEŃ PIĄTY

- 55.
- 56.
- 57.
- 58.
- 59.
- 60.
- 61.
- 62.
- 63.
- 64.
- 65.
- 66.
- 67.
- 68.
- 69.

70.

71.

72.

73.

74.

75.

CHWILĘ WCZEŚNIEJ

76.

77.

78.

EPILOG

POSŁOWIE

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2019
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Agnieszka Zygmunt / Słowne Babki
Korekta: Lena Marciniak-Cąkała / Słowne Babki
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-115-9

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.